

DAVID
MORRELL
SIŁA STRACHU
Przekład
Przemysław Bieliński

AMBER

Tytuł oryginału THE PROTECTOR

Redaktorzy serii

MAŁGORZATA CĆBO-FONIOK ZBIGNIEW FONIOK

Redakcja stylistyczna KATARZYNA MAKARUK

Redakcja techniczna ANDRZEJ WITKOWSKI

Korekta

MAGDALENA KWIATKOWSKA ELŻBIETA STEGLIŃSKA

Ilustracja na okładce EDWIN HERDER

Opracowanie graficzne okładki STUDIO GRAFICZNE WYDAWNICTWA AMBER

Skład WYDAWNICTWO AMBER

Wydawnictwo Amber zaprasza na stronę Internetu

<http://www.amber.sm.pl> <http://www.wydawnictwoamber.pl>

Copyright C 2003 by Morrell Enterprises Inc. All rights reserved.

Żadna pasja nie pozbawia umysłu wszelkiej mocy
rozumowania i działania tak skutecznie, jak strach.
Edmund Burke O rzeczach wzniosłych i pięknych

Z 0.0.

For the Polish edition Copyright (c) 2003 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.

ISBN 83-241-0403-8

Prolog

STAN WYJĄTKOWY

POLICJA ROZPĘDZA DEMONSTRANTÓW

St Louis, Missouri, 14 kwietnia (AP)

To, co dla władz mogło być trzecim dniem zamieszek, skończyło się dzisiaj rano, kiedy dwa tysiące policjantów przy użyciu pałek i gazu łzawiącego rozpędziło dziesięć tysięcy protestantów.

Zamieszki, w które przerodził się protest przeciwko konferencji Światowej Organizacji Handlu (WTO) w St Louis, zamieniły centrum miasta w ogromne pole bitwy. Straty spowodowane pożarami i aktami wandalizmu ocenia się na dużo ponad piętnaście milionów dolarów.

Zdaniem protestujących WTO lekceważy ochronę środowiska naturalnego i nie szanuje praw pracowniczych w krajach nierozwiniętych. Chociaż podobne demonstracje cztery lata temu w Seattle pokazały władzom St Louis, czego należy się spodziewać, policja i tak początkowo była bezradna.

- Przygotowywaliśmy się pół roku - powiedział szef policji Edward Gaines. - Ale ci anarchiści są lepiej zorganizowani niż w Seattle. Dzięki Bogu, w końcu ich złamaliśmy.

- Anarchiści. - Prowadzący zebranie zastanowił się chwilę nad tym słowem. - Ładnie to ujął.

rozruchy. Wkroczyła policja i prawdziwi demonstranci musieli się bronić, wszczynając zamieszki i dyskredytując swoją sprawę.

- To teoria spiskowa - westchnął przewodniczący. - Zawsze musi być jakaś teoria spiskowa. Ale tym razem akurat mają rację. Tylko że tu chodzi o inny spisek, niż myślą.

Generał kiwnął głową.

-1 w dodatku wszystko pokazała telewizja. Wszystkie stacje. Czarno na białym. Nikt nic nie zauważył.

- Jak powiedziałem - oświadczył wojskowy analityk i rozejrzał się po zebranych - operacja zakończyła się całkowitym sukcesem.

ŚMIERĆ RANGERSÓW PODCZAS MISJI SZKOLENIOWEJ

Bagno to mój przyjaciel, powtórzył Braddock.

Trzymając nad głową M-16, brnął przez sięgającą mu do piersi zimną wodę. Wprawdzie z trudem wyciągał buty z mulistego dna, ale powtarzał mantrę, której dawno temu nauczył się na szkoleniu od instruktora.

Bagno to mój przyjaciel.

Od tamtej pory wiele się wydarzyło. Braddock walczył na Grenadzie, w Panamie, był w Afganistanie, brał udział w "Pustynnej Burzy"

11

- To Al zasugerowała, żeby Gaines tak ich nazwał w swoim oświadczeniu - powiedział generał.

- Ale szef nie miał pojęcia, co się naprawdę stało. Ta operacja zakończyła się całkowitym sukcesem - podsumował wojskowy analityk.

W skład grupy wchodziło jeszcze dwóch podpułkowników i wysoka muskularna kobieta. Ubrana w kostium khaki Al (zdrobnienie od Alicia) siedziała wraz z innymi w pokoju sztabowym. Wysokie fotele ustawiono przed dużym ekranem, na którym można było zobaczyć nagrania z zamieszek.

Właśnie skończył się reportaż NBC i zaczęła relacja CNN. Pokazano pierwszy dzień zamieszek.

Demonstracja ciągnęła się od Busch Stadium i gmachu sądu federalnego aż do olbrzymiego America's Center, w którym odbywała się konferencja WTO. O zmierzchu całe centrum St Louis było już sparaliżowane. Na ekranie widać było demonstrantów tłukących wszystkie okna w zasięgu wzroku. Przewracali i podpalali samochody, a płomienie odbijały się w potłuczonym szkłe.

Drugiego dnia zamieszek demonstrantów było jeszcze więcej. Niszczyli wszystko, co wpadło w ich ręce. Na konferencji prasowej burmistrz ogłosił stan wyjątkowy i nakazał mieszkańcom omijać centrum.

Trzeciego dnia policja miejska przy wsparciu oddziałów policji stanowej i Gwardii Narodowej przeprowadziła kontratak. Demonstrantów zepchnięto przy użyciu gazu łzawiącego w stronę Memoriał Park. Tam, wśród zieleni otaczającej wyniosły Gateway Arch, protestanci stratowali miasteczko namiotów, które sami zbudowali.

Reporter mówił coś szybko. Kamera z helikoptera filmowała demonstrantów spychanych za Gateway Arch. Z tłumu leciały na nacierających policjantów kamienie i butelki. Jedna wypełniona była jakimś płynem i zatkana szmatą. Młody mężczyzna podpalił ją i rzucił, a kamera uchwyciła moment eksplozji. Maski przeciwgazowe, tarcze i pancerze sprawiały, że policjanci wyglądali jak "armia robocopów"; tak to ujął zdyszany reporter. Ignorując płonąca benzynę i kamienie, policja odpaliła pociski z gazem łzawiącym. Demonstranci niemal zniknęli za chmurą gazu.

Druga kamera, zainstalowana na barce na Missisipi, pokazała, jak z chmury gazu wytaczają się ludzie. Zgięci w pół, kaszlący, wyglądali na przerażonych. Za nimi pojawili się policjanci.

Demonstranci w panice rzucili się do ucieczki w jedynym kierunku, jaki im pozostał: do Missisipi. Tysiące ludzi skoczyło do rzeki. Z trudem usiłowali utrzymać się na powierzchni. Na brzegu zaroilo się od ciemnych sylwetek policjantów.

- Widzieliście człowieka, który rzucił koktajl Mołotowa - odezwał się generał. - Niektórzy liberalni

komentatorzy uważają, że to podżegacz z zewnątrz. Zagrożone korporacje miały wynająć ludzi, żeby wszczęli

10

Camp Rudder, Floryda, 24 kwietnia (AP) Dowódca Camp Rudder, kwatery głównej 6. Batalionu Szkoleniowego Rangersów, potwierdził, że piętnastu członków tej formacji utonęło dwa dni temu w bagnach podczas misji szkoleniowej. Oświadczenie zostało wydane z opóźnieniem, żeby najpierw powiadomić rodziny żołnierzy.

- Cały czas próbujemy ustalić, co się wydarzyło - powiedział podpułkownik Robert Boland. - Prowa-

dzimy ćwiczenia w tym rejonie regularnie, ale dotąd nie mieliśmy żadnych poważniejszych problemów. Co prawda ostatnia noc była wyjątkowo zimna, jak na tę porę roku, a po ostatnich deszczach poziom wody znacznie się podniósł. Tylko że to byli rangersi. Na tym etapie szkolenia wiedzieli już, jak radzić sobie w znacznie trudniejszych warunkach. Wiemy jedynie, że nie nawiązali łączności radiowej o określonej porze.

i wielu innych tajnych misjach podczas niewypowiedzianych wojen, często w dżungli. Teraz sam był instruktorem. Brnął przez ciemność, pochylony lekko do przodu, by zrównoważyć trzydziestokilowy plecak, i miał nadzieję, że każdy żołnierz w jego drużynie powtarza tę samą mantrę.

Bagno to mój przyjaciel.

Aligatory to moi przyjaciele.

Węże to moi przyjaciele.

Nie myśl.

Po prostu powtarzaj to i uwierz.

Ignorując coś, co przypominało zatopioną kłodę, ale przemknęło mu pod nogami, tak że niemal stracił równowagę, Braddock skupił się man-trze. Miał nadzieję, że jego ludzie robią to samo. Brnęli przez bagno już prawie trzy godziny. Przed sobą mieli jeszcze dwie. Już ponad połowa drogi za nimi, chciał pocieszyć żołnierzy Braddock, ale nie mógł tego zrobić. Podczas ćwiczenia obowiązywała całkowita cisza. Nawet sygnały wysyłane przez radio co pół godziny do drugiej drużyny były bezgłośnie i składały się z elektronicznych impulsów. Co więcej, żaden rangers nie miał noktowizora w myśl zasady, że nowoczesny sprzęt to luksus i nie powinni na nim polegać.

Ciemność to mój przyjaciel.

Noc była bezksiężycowa - dlatego właśnie wybrano ją na ćwiczenia. Co więcej, gęste chmury zasłaniały gwiazdy. W ciemności majaczyły potężne pnie martwych drzew, szare na tle wszechobecnej czerni, wyznaczając zarys okolicy. W takich warunkach mogłoby się wydawać, że kolory maskujące na twarzach żołnierzy są zbędne. Braddock uprzedził ich jednak, że muszą być przygotowani na każdą ewentualność. Nawet podczas nocnej misji maskująca farba na twarzy była obowiązkowa.

Przemoczony, zimny mundur kleił się Braddockowi do ciała. Przed sobą dostrzegł lekki poblask kompasu. Zwiadowca sprawdził położenie i zmienił kierunek marszu. Będzie musiał go za to ukarać - zabrać przepustkę, wydłużyć codzienny bieg o kilka kilometrów. Nie powinien był dostrzec światełka kompasu. Snajper też by je zobaczył.

Chociaż spryskał się środkiem odstraszającym owady, na twarzy siadały mu chmary komarów. Nie zwracał na nie uwagi. Owady to jego przyjaciele.

Wsluchiwał się w plusk wody towarzyszący oddziałowi brnącemu wśród ledwie widocznych drzew. Uniesione w górę ręce zaczynały drętwieć. Cuchnąca woda sięgała już do szyi. Coś pod powierzchnią otarło się o niego. Czuł smród gnijących roślin. Zadrzał.

12

To go zaniepokoiło. Przywykł do znacznie cięższych warunków i miał do siebie pretensję, że traci

zimną krew.

Wokół kłębiła się szara mgła, a cierpki smród zgnilizny drażnił nozdrza. Woda zrobiła się jeszcze zimniejsza. Braddock znów zadrzał, ale drętwa nóg i ucisk w piersi nie miały znaczenia. Miał na głowie ważniejsze sprawy.

To już za chwilę.

Nie mylił się. Na niebie rozbłysły flary, przesywając ciemność ostrym światłem. Ludzie Braddocka zaskoczeni spojrzeli w górę. Światło flar odbijało się w mętnej wodzie. Chociaż on sam wiedział, co ma się stać, dostał rozkaz, żeby nie uprzedzać żołnierzy.

Przewiduj.

Nic nie może cię zaskoczyć.

To ćwiczenie miało sprawić, że zmęczony oddział Braddocka poczuje się niespodziewanie zagrożony. Nad szkieletami drzew trzy myśliwce przemknęły tak szybko, że ogłuszający ryk dał się słyszeć, dopiero kiedy znikły w ciemności. Braddock miał przy sobie elektroniczny lokalizator, żeby piloci wiedzieli, gdzie nie strzelać. Pociski smugowe przeorały bagno. Dwieście metrów przed rangersami noc ożyła wybuchami i ogniem.

- Jezu - powiedział ktoś.

Nie, jęknął bezgłośnie Braddock. Nie wolno się odzywać.

- Co, do... - zaklął ktoś inny. - Nie wiedzą, że tu jesteśmy?

Braddock rzucił się w jego stronę przez zimną wodę. "Stul pysk", mówiło jego spojrzenie.

Cały oddział spowity kłęby cuchnącego korytem i padliną dymu. Braddock omal się nie zakrztusił.

- Chryste, prawie nas trafili - powiedział trzeci komandos.

Braddock skoczył w jego stronę, uciszając go spojrzeniem. Cholera

jasna, panujcie nad sobą, chciał krzyknąć. Po prostu wykonujcie rozkazy. Woda wydawała się jeszcze zimniejsza. Coś miękkiego znów szturchnęło Braddocka w bok. Zadrzał gwałtownie. Serce waliło mu jak młotem, oddech przyspieszył.

- Nikt nie wspominał nic o rakietach - powiedział drżącym głosem czwarty żołnierz.

Braddock z wściekłością skoczył do niego i zatrzymał się gwałtownie, gdy flary z sykiem wpadły do wody. Wszystko utonęło w kłębach dymu. Braddock zadygotał tak mocno, że zaszczekały mu zęby.

Poczuł, że pali go żołądek. Jego ciało powoli opanowywał niepowstrzymany strach. Drętwiały mu mięśnie, rozsadało klatkę piersiową. Nie był w stanie zapanować nad oddechem. Wdech, raz, dwa, trzy. Przytrzymaj

13

powietrze, raz, dwa, trzy. Wydech, raz, dwa, trzy. Wdech, raz, dwa, trzy. Przytrzymaj powietrze, raz, dwa, trzy.

Pierś jednak nie chciała go słuchać. Nic nie rozumiał. Miał za sobą tyle trudnych misji, że to była błahostka. Bagno to mój przyjaciel. Ciemność to mój przyjaciel. Co się ze mną dzieje, chciał wrzasnąć.

Jeden z rangersów - najtwardszy w drużynie - wrzasnął naprawdę:

- Coś mnie ugryzło!

Nie! Drżący głos żołnierza zdradzał panikę. Jakby był zwykłym cywilem! O co chodzi?

- Wąż!

Kłoda - albo coś innego - uderzyła Braddocka w bok.

- Aligator!

-Mam coś pod...!

Wtem któryś żołnierz zaczął strzelać seriami w ciemność. Ogień wystrzału wydobył drobne zmarszczki na powierzchni wody. Pociski darły martwe pnie drzew. Reszta oddziału z krzykiem otworzyła ogień. Prawe ramię Braddocka przeszła kula. Stracił równowagę i runął do tyłu. Błotnista woda zalała mu usta i nos.

Broń zagrzecgotała głucho pod powierzchnią bagna. Trzymając mocno karabin, Braddock pokonał opór ciągnącego go wdół plecaka. Szarpnął się do góry. Gdy się wynurzył, desperacko łapiąc powietrze, huk wystrzałów go ogłuszył. Wokół kłębił się dym i czuć było smród kordytu. Błysk wystrzałów oślepił.

- Przerwać ogień! - krzyknął Braddock. - Przerwać ogień!

Z trudem rozpoznał własny głos. Ściskający gardło strach zmienił krzyk w cienki pisk.

Trafiony kulą w lewy bark znów osunął się do wody. Na szyi poczuł kły. Nie! Bagno to mój przyjaciel! Aligatory, węże...!

Gdy po chwili udało mu się wydobyć na powierzchnię, w chaos paniki, krzyków i wystrzałów, następny pocisk odstrzelił mu potylicę.

Część pierwsza

OCENA ZAGROŻENIA

B

uty i zegarki. Już dawno temu Cavanaugh nauczył się, że dobry ochroniarz powinien zwracać uwagę na buty i zegarki. Na przykład mokasyny. Człowiek w mokasynach rzadko kiedy okazuje się wyszkolonym porywaczem czy zabójcą. Takie buty łatwo zgubić podczas pościgu czy walki.

Odpowiednie są jedynie wysokie buty albo sznurowane pantofle. Również cienkie podeszwy informowały, że ich właściciel raczej nie stanowi zagrożenia. W walce liczą się tylko grube podeszwy. Oczywiście ktoś w mokasynach albo butach na cienkiej podeszwie też może mieć złe zamiary, ale wtedy wiadomo że człowiek ma do czynienia z amatorem.

Podobnie cennych informacji dostarczają zegarki. Wielu agentów wyszkolonych w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych nosiło roleksy dla pływaczów albo pilotów. Powody były dwa. Po pierwsze, cieszyły się opinią niezawodnych w trudnych warunkach, co dla agenta jest szczególnie ważne. Po drugie, w razie nagłej potrzeby można je było łatwo sprzedać.

Nie każdy właściciel roleksa wzbudzał podejrzenia Cavanaugha. Musiał mieć czterdzieści albo więcej lat i pasować do wizerunku agenta wyszkolonego w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Agenci z tamtych lat lubili sportowe buty, dzinsy, T-shirty i wiatróvky (często skórzane). Luźna kurtka pozwala łatwo ukryć pistolet. Dla niewprawnego oka ktoś taki wygląda zwyczajnie, ale Cavanaugh przyglądał mu się podejrzliwie.

Agenci wyszkoleni w latach dziewięćdziesiątych i później wyglądali inaczej. Byli oczywiście młodszy, a poza tym woleli tanie, ale wytrzymałe zegarki ze stoperem - na przykład gumowane dla pływaczów - dostępne w każdym przyzwoitym sklepie sportowym. Nosili buty turystyczne

2 - Siłą strachu

17

(twarde, grube podeszwy), luźne spodnie z dużymi kieszeniami (żeby ukryć broń), luźne bluzy (żeby ukryć broń) i plecaki (żeby ukryć broń). Dla większości ludzi na ulicy ktoś taki nie wyróżnia się z tłumu, Cavanaugh jednak natychmiast umieszczał go na liście podejrzanych.

Zegarki. Tyle mówią o właścicielach! Cavanaugh pracował kiedyś w Istambule. Miał zapewnić bezpieczeństwo amerykańskiemu miliardero-wi, który pojechał tam w interesach, nie zważając na pogrożki związane ze wsparciem finansowym, jakiego udzielał Izraelowi. Zanim samolot miliardera wylądował na istambulskim lotnisku, Cavanaugh sprawdził zatłoczoną halę i teren przed terminalem. W różnobarwnym tłumie, w którym tradycyjne arabskie stroje mieszały się z ubraniami zachodnimi, trudno było znaleźć coś charakterystycznego, jakiś wspólny mianownik. Cavanaugh wiedział jednak, że zegarki rzadko kłamią. Wyłonił z tłumu sześciu mężczyzn koło trzydziestki, w

nierzucających się w oczy, ale luźnych ubraniach. Na pozór nic ich ze sobą nie łączyło, wszyscy jednak nosili podobne bury na grubej podeszwie, a na rękach mieli takie same czarne, wytrzymałe sportowe zegarki. To właśnie zaalarmowało Cavanaugha. Wiedział, że musi znaleźć jakąś inną drogę, żeby wydostać swojego klienta z lotniska.

To wszystko było nieświadome. Działał instynktownie, zgodnie z zasadami legendarnego specja od ochrony, pułkownika Jeffa Coopera. Jego uwaga utrzymywała się na poziomie żółtym. Cooper podzielił natężenie uwagi na trzy poziomy: biały oznaczał zwykły brak czujności przechodnia, żółty - wyteżoną uwagę w warunkach zagrożenia, czerwony - walkę na śmierć i życie.

Utrzymując uwagę na poziomie żółtym - przyglądając się zegarkom, butom i innym oznakom ewentualnego niebezpieczeństwa - Cavanaugh wysiadł z taksówki przy Columbus Circle.

Skierował się do Central Parku. Zbliżała się druga po południu. Trasa, którą wybrał, prowadziła go z dala od ścieżek. Chciał zorientować się, czy nikt go nie śledzi. Wyszedł na Zachodniej Siedemdziesiątej i na chybił trafił kilka razy skręcił. Kierował się na południe. Wreszcie dotarł do schodów prowadzących z Dziewiątej Alei na olbrzymi plac przed Lincoln Center.

Taka ostrożność miała też swoje uroki. Pozwalała docenić wartość każdej sekundy, dostrzec każdy szczegół słońca. Cavanaugh widział nie tylko kłębiący się tłum, ale także błękit nieba nad głową. Czuł, jak ogrzewają go promienie wspaniałego majowego słońca. Podszedł do słynnej fontanny, siadł do niej plecami i rozejrzał się dookoła. Dwaj młodzi mężczyźni grali we frisbee. Studenci - przypuszczalnie z pobliskiego Juil-liarda - czytali na ławkach skrypty. W tę i z powrotem sunął tłum pracowników z okolicznych budynków. Cavanaugh odwrócił się i zobaczył

18

siedzącego na krawędzi fontanny biznesmena. Mężczyzna trzymał na kolanach teczkę i zerkał na zegarek.

Cavanaugh z przyzwyczajenia usiadł tak, żeby mieć go na oku. Mężczyzna miał około trzydziestu kilku lat, był średniego wzrostu, i budowy, miał ciemne, krótkie włosy. Wyglądał jak typowy yuppie. Czarny, drogi garnitur leżał na nim jak ulał. Pod takim garniturem nie sposób ukryć broni. Równie droga czarna teczka lśniła jak nowa. Kiedy mężczyzna założył nogę na nogę, Cavanaugh przyjrzał się jego butom. Solidne czarne pantofle, tak nowe, że ich podeszwy były jeszcze niestarte. A co do zegarka...

To wcale nie jego ultranowoczesny wygląd zaniepokoił Cavanaugha. Oczywiście biznesmeni na pewnym poziomie unikają ostentacji, niektórzy jednak lubią chęłpić się gadżetami - zegarek wyposażony w stoper i wskazujący dokładny czas jednocześnie w dwóch różnych strefach czasowych wydaje im się zabawny. Cavanaugha zaniepokoiło coś innego

- zegarek był tak duży, że mężczyzna musiał aż rozpiąć mankiet koszuli.

To nadawało jego nieskazitelnemu wyglądowi rys niechlujności.

Biznesmen znów spojrzał na zegarek i zerknął w stronę wejścia do pobliskiego budynku.

Tymczasem Cavanaugh wyczuł, że ktoś do niego podchodzi. Podniósł wzrok i zobaczył wysokiego, szczupłego mężczyznę. Miał cienki wąsik i kapelusz z szerokim rondem skrywający rzędzące siwe włosy. Chociaż wyglądał na ponad pięćdziesiąt lat, tryskał młodzieńczą energią. W jego wypolerowanych butach odbijali się przechodnie, a szary prążkowany garnitur leżał na nim jak mundur. Biała koszula była mocno wy-krochmalona. Jedynym kolorowym akcentem był biało-czerwony krawat, który niezbyt harmonizował z bledością twarzy.

- Duncan. - Cavanaugh uśmiechnął się i uścisnął dłoń przybysza. -

Jesteś trochę blade. Powinieneś częściej wychodzić na dwór.

- To mi szkodzi. - Rondo kapelusza Duncana skrywało jego twarz w cień. Duncan Wentworth większą część życia spędził na powietrzu jako członek sił specjalnych, a potem główny instruktor szkoleniowy Delta Force.

Miał za sobą trzy operacje z powodu raka skóry. - Ty za to jesteś zdecydowanie za bardzo opalony. Musisz smarować się kremem z większym filtrem.

- Jasne, warstwa ozonowa jest coraz cieńsza. Jakbyśmy mieli mało zmartwień. - Cavanaugh rzucił okiem na biznesmena na skraju fontanny.

- Zresztą jest zbyt ładna pogoda, żeby siedzieć w budynku. Pomyślałem, że skoro zajmujesz się nowymi zabezpieczeniami Centrum, możemy się spotkać tutaj, zamiast w twoim biurze.

Cavanaugh miał na myśli główną kwaterę Global Protective Services na Madison Avenue. GPS było agencją ochrony, którą Duncan założył po

19

opuszczeniu Delta Force. Po upływie zaledwie pięciu lat agencja miała swoje oddziały w Londynie, Paryżu, Rzymie i Hongkongu i szykowała się do otwarcia następnego w Tokio. GPS cieszyła się zasłużoną renomą ze względu na kwalifikacje personelu - wszyscy pracownicy służyli niegdyś w siłach specjalnych, a wielu z nich Duncan szkolił osobiście.

- Jak twoje rany? - spytał Cavanaugha.

- Zagoiły się.

- Ambasador przesyła pozdrowienia.

- Miał kupę szczęścia.

- Tak. Ma kupę szczęścia, że ktoś taki jak ty załatwia jego sprawę.

Cavanaugh nie mógł się powstrzymać. Wyszczерzył zęby w uśmiechu.

- Za każdym razem, kiedy mnie chwalisz, chcesz czegoś w zamian.

Duncan spojrział na niego ze skruchą.

- Myślisz, że możesz już wrócić do pracy?

Cavanaugh zerknął w stronę mężczyzny w czarnym garniturze. Zauważył, że stał się niespokojny - częściej spoglądał na zegarek i cały czas patrzył w stronę Avery Fisher Hali. Rozpięty mankiet był coraz bardziej podejrzany.

Wtem mężczyzna zobaczył coś i zeszytniał. Położył ręce na zatraskach teczki.

- Przepraszam - powiedział Cavanaugh do Duncana. Wstał i okrążył fontannę, podążając wzrokiem za spojrzeniem mężczyzny. Z Avery Fisher Hali wyszła właśnie kobieta. Miała około trzydziestki, była dobrze ubrana i atrakcyjna. Obok siedł jakiś mężczyzna, którego pocałowała na do widzenia w policzek. Ruszyła przez plac. Za kilka sekund znajdzie się przy fontannie i mężczyźnie w czarnym garniturze.

Cavanaugh zaszedł go od tyłu w chwili, gdy ten otwierał teczkę, żeby sięgnąć do środka.

Kobieta podeszła bliżej i zerknęła w jego kierunku. Dziwne, pomyślał Cavanaugh, większość ludzi nie zauważa, co się dzieje dookoła. Zamarła, kiedy mężczyzna wstał. Teczka zsunęła mu się z kolan, odslaniając w ręce pistolet.

Kilka rzeczy wydarzyło się prawie jednocześnie. Kobieta krzyknęła, mężczyzna w czarnym garniturze ruszył w jej stronę, a Cavanaugh rzucił się na niego. Podbił mu rękę, wyrwał pistolet i szarpnął w tył. Mężczyzna potknął się o podstawioną nogę i wpadł do fontanny. Cavanaugh natychmiast wepchnął mu głowę pod wodę.

Podszedł Duncan.

- Tak, widzę, że czujesz się już lepiej.

- Będziesz tak stał i się cieszył, czy może łaskawie zadzwonisz po gliny?

20

Duncan wyjął komórkę.

- Nie sądzisz, że powinieneś pozwolić mu złapać oddech?

- Właściwie nie, ale wtedy pewnie nie powie nam, o co mu chodziło.

- Przecież to jasne. Zażądała rozwodu, czy coś w tym rodzaju, a on nie potrafił się z tym pogodzić - stwierdził Duncan.

- Tak. Ale chcę wiedzieć, dlaczego się tak wystroił. Na co dzień nie

chodzi w garniturze. To widać - zegarek nie mieści mu się pod mankiem.

- Jeśli szybko nie dasz mu odetchnąć, to się nie dowiesz.

- Ty to umiesz zepsuć zabawę.

Cavanaugh wyciągnął głowę mężczyzny spod wody i poczekał, aż złapie oddech. A potem spytał go o garnitur.

Następna sesja przytapienia skłoniła nieznanego do wyjaśnień. Po zastrzeleniu żony, która faktycznie zażądała rozwodu i miała się z nim spotkać u adwokata, planował popełnić samobójstwo. Czarny garnitur był nowy, podobnie jak buty. Zostawił list pożegnalny, w którym zaznaczył, że w tym stroju ma być pochowany.

- Myślałem, że po tylu latach nic już mnie nie zaskoczy - stwierdził Cavanaugh.

To jednak nie było wszystko. Mężczyzna w czarnym garniturze spoglądał wciąż na zegarek, bo wiedział, o której jego żona wyjdzie z pracy, żeby się spotkać z adwokatem. Zegarek miał trzy wyświetlacze: jeden pokazywał obecny czas, drugi odliczał czas, jaki minął od decyzji o rozwodzie, a trzeci - sekundy życia, które miała przed sobą kobieta.

Cavanaugh znów wepchnął głowę mężczyzny pod wodę.

-1 co myślisz? - spytał Duncan.

- O czym?

- Jesteś gotów przyjąć zlecenie?

Hotel Warwick został niedawno odnowiony, ale wyłożony marmurem i ciemnym drewnem hol pozostawiono bez zmian. Cavanaugh skręcił w lewo i wszedł do cichego hotelowego baru. Przy stoliku w rogu siedziała atrakcyjna kobieta o zielonych oczach i intrygującym wyrazie twarzy. Cavanaugh docenił wybór miejsca - plecami do ściany, z dala od licznych okien - chociaż gdyby uważał, że grozi jej jakieś niebezpieczeństwo, nie pozwoliłby się jej pokazać w miejscu publicznym.

Nazywała się Jamie Travers i mieszkała razem z Cavanaughem na jego ranczu w górach, niedaleko Jackson Hole w Wyoming. Zawsze kiedy

21

stamtąd wyjeżdżał, pilnował, by nie zaniedbywała ćwiczeń z bronią i by byli w pobliżu jacyś jego koledzy. Dwa lata wcześniej Jamie zeznawała w sądzie w sprawie człowieka zabitego w wyniku gangsterskich porachunków. Szef mafii, który trafił wtedy za kratki, wydał na nią wyrok. Mimo policyjnej ochrony dwa razy ledwo uszła śmierci. W końcu Cavanaugh, który podziwiał jej determinację, zajął się tą sprawą osobiście i zaaranżował jej zniknięcie. Problem rozwiązał się sam, kiedy mafioso udławił się w więzieniu spaghetti z klopsikami. Chociaż śmierć wyglądała na przypadek, Jamie była przekonana, że Cavanaugh maczał w tym palce. On jednak wypierał się udziału w całej sprawie, chociaż kiedyś powiedział jej, że jedynym sposobem, aby wyeliminować zagrożenie ze strony gangstera, jest jego śmierć. "Kismet", tylko tyle miał do powiedzenia w sprawie wypadku. Niedługo potem Jamie i Cavanaugh pobrali się. Dalej mieszkali w Wyoming, ale już tylko ze względu na piękną okolicę.

Długie do ramion ciemne włosy, szmaragdowa bluzka i beżowe spodnie - Jamie wyglądała przepięknie. Cavanaugh przysunął sobie krzesło. Ze swojego miejsca widział oba wejścia i ludzi idących Pięćdziesiątą Czwartą i Avenue of Americas.

- Co pijesz? - spytał.

- Perriera z limonką.

Cavanaugh spróbował, rozkoszując się cytrynowym smakiem.

- Jak ci minęło popołudnie? Podoba ci się rola turystki?

- Bardzo. Dawno nie byłam w Museum of Modern Art. Czułam się, jakbym odwiedziła starego przyjaciela. A co u ciebie?

Powiedział jej.

- Wzięłaś następne zlecenie? - Jamie wyglądała na zaskoczoną.

- Mieliliśmy lecieć pojutrze do domu, więc to nie będzie duży problem. Zwłaszcza że chciałaś jeszcze odwiedzić matkę. Myślałem, że nie będziesz miała nic przeciwko, żeby wrócić do domu przede mną. Przyjadę za tydzień.

- Ale dopiero co przyszedłeś do siebie.

- To będzie łatwe.

- Ostatnim razem też tak mówiłeś.

- I dobrze mi zapłacą.

- Mam więcej pieniędzy, niż potrzebujemy - zauważyła Jamie.

Cavanaugh pokiwał głową. Jego dochód pozwalał im mieszkać

w Warwicku, hotelu wygodnym, ale nie ostentacyjnym. Gdyby płaciła Jamie, mogliby zamieszkać w hotelu Plaża lub przynajmniej St Regis. Niedawno sprzedała obiecującą firmę internetową, którą założyła podczas boomu w latach dziewięćdziesiątych.

22

- Dlaczego nie pozwalasz mi się sobą zaopiekować? - spytała.

- Głupia męska duma.

- Ty to powiedziałeś, nie ja.

Wzruszył ramionami.

- Ludzie potrzebują ochrony.

- I to właśnie robisz. Niepotrzebnie pytałam. - Wzięła go pod ramię. - Powiedz mi w takim razie, dlaczego to zadanie będzie takie łatwe?

- Klient nie chce ochrony.

- Tak? - Jamie znów zrobiła zdziwioną minę. - A czego chce?

- Tego samego co ty. Zniknąć.

Cavanaugh wysiadł z samochodu - dwuletniego forda taurusa dostarczonego mu przez Global Protective Services. Wybrano go nie tylko z powodu odpowiednich modyfikacji, między innymi wyścigowego silnika i zawieszenia, lecz także ze względu na brudnoszary kolor i pospolity kształt, dzięki którym nie wyróżniał się z otoczenia. W niedzielne popołudnie był to jednak jedyny pojazd w opuszczonej dzielnicy przemysłowej Newark w New Jersey. Cavanaugh przyjrzał się upstrzonemu graffiti magazynowi - dwupiętrowej budowli z powybijanymi szybami. Pokryte rdzawymi zaciekami drzwi stały otworem, ukazując sterty śmieci, które po bliższym przyjrzeniu okazały się miasteczkiem bezdomnych. Jak wzrokiem sięgnąć, wewnątrz magazynu wypełniały kartonowe schronienia. Ich mieszkańcy trzymali swój dobytek w plastikowych czarnych workach. Ciemne chmury przesłoniły niebo. Na płynącej nieopodal rzece buczały silniki łodzi i syreny holowników. Zagrzmiało. Cavanaugh oparł łokieć na przypiętym do paska pod kurtką pistolecie. Sig sauer 225 miał osiem naboju w magazynku i jeden w komorze. Nie była to taka siła ognia, jaką zapewnia na przykład szesnastonabojowa beretta, ta jednak była trochę za duża dla Cavanaugha. Dziewięć dobrze wymierzonych kul jest lepsze niż szesnaście posłanych na boki. Poza tym zgodnie z opinią Federal Air Marshals, waga i konstrukcja sig sauera 225 czyniły z niego idealną broń do noszenia w ukryciu. Na wszelki wypadek Cavanaugh miał przy sobie dwa zapasowe magazynki.

Zimny wiatr wzmógł się, zapowiadając ulewę. W otwartych drzwiach magazynu pojawiło się kilka zniszczonych twarzy.

Cavanaugh wyjął komórkę i wybrał ważny tylko dzisiaj numer, który dał mu Duncan.

23

Tymczasem w drzwiach pojawiło się więcej twarzy. Malował się na nich strach pomieszany z ciekawością. Telefon zadzwonił po raz drugi.

- Tak? - Drżący męski głos brzmiał tak, jakby rozmówca znajdował się w studni.

Cavanaugh powiedział hasło.

- Nie wiedziałem, że magazyn został zamknięty.

- Dziesięć lat temu - brzmiał odzew. Głos dalej był niepewny. -

Pańskie nazwisko...

- Cavanaugh. A pańskie...?

- Daniel Prescott. Daniel. Nie Dan.

To również była część hasła.

Cavanaughowi przyglądało się coraz więcej obszarpańców, istna armia. Próbowali zdecydować, czy jest wrogiem, dobroczyńcą czy celem. Kilka kropli spadło na chodnik.

- Global Protective Services to podobno najlepsza firma - powie

dział Prescott. - Spodziewałem się lepszego samochodu.

- Jesteśmy najlepsi także dlatego, że nie zwracamy na siebie uwagi.

Ani nie ściągamy uwagi na naszych klientów.

Deszcz stawał się coraz gęstszy.

- Zakładam, że mnie pan widzi - powiedział Cavanaugh. - Tak jak pan chciał, przyjechałem sam.

- Proszę otworzyć drzwi samochodu.

Cavanaugh usłuchał.

-1 bagażnik.

To też zrobił. Najwyraźniej Prescott miał punkt obserwacyjny, z którego mógł widzieć samochód.

Ciemne chmury zgęstniały. Padało coraz mocniej.

Cavanaugh usłyszał w słuchawce słabe echo jakichś metalicznych odgłosów.

-Halo?

Żadnej odpowiedzi, tylko echa.

Huk grzmotów był coraz bliżej.

Kilku obszarpańców wyszło z magazynu. Byli obdarci i zarośnięci, ale desperacja w ich oczach wyraźnie różniła się od rezygnacji i pustki w spojrzeniu reszty. Narkomani, zdecydował Cavanaugh. I to na takim głodzie, że są gotowi napaść kogoś, kto był na tyle nierozsądny, że przyjechał do piekła.

- Jestem tu, żeby panu pomóc - powiedział do słuchawki. - Nie, żeby zmoknąć.

24

W odpowiedzi usłyszał echa.

- Chyba się pomyliliśmy. - Zamknął bagażnik i drzwiczki. Już miał wsiąść do samochodu, kiedy znów usłyszał drżący głos.

- Na wprost, po lewej. Widzi pan drzwi?

-Tak.

Jedyne zamknięte drzwi.

- Niech pan wejdzie - powiedział niepewnym głosem Prescott.

Cavanaugh wsiadł do samochodu.

- Powiedziałem "niech pan wejdzie" - powtórzył Prescott.

- Tylko przestawię samochód.

Ruszył wzdłuż splekanego parkingu. Nieopodal drzwi zawrócił i ustawił wóz przodem do kierunku jazdy. Chciał się przygotować na szybką ucieczkę.

- Wchodzę - powiedział do słuchawki.

Wysiadł z wozu, zamknął drzwi pilotem i pobiegł do drzwi. Kątem oka dostrzegł jakiś ruch.

Zerknął w lewo, wzdłuż ściany magazynu, i zobaczył kilku ćpunów przyglądających mu się uważnie. W obawie przed tym, co go czeka za drzwiami (następni narkomani?), schował telefon do kieszeni i zrobił coś, czego nie planował: wyciągnął pistolet. Nacisnął klamkę. Spod brudu przebijał lśniący metal - zamek był nowy. Ale otwarty. Cavanaugh pchnął ciężkie metalowe drzwi, skulił się i wbiegł do środka.

Zatrzasnął za sobą drzwi tak szybko, jak tylko się dało. Niewidoczny na tle ściany zanurkował w cień i rozejrzał się. Był na zakurzonej klatce schodowej. W górę prowadziły metalowe stopnie, z poręczy zwiślały pajęczyny. Po lewej, za drzwiami windy, warczał silnik. Wszystko cuchnęło

pleśnią i wilgocią.

Mierząc z pistoletu w stronę schodów i windy, Cavanaugh sięgnął za siebie, żeby zamknąć zasuwkę. Zanim jednak jej dotknął, zamek zatrzasnął się, sterowany przez pilota.

Cavanaugh skoncentrował się, żeby zapanować nad rosnącym niepokojem. Nie miał powodu podejrzewać, że grozi mu niebezpieczeństwo. Duncan ostrzegł go, że potencjalny klient, choć nie ściga go prawo, jest ekscentryczny.

Prescott po prostu jest ostrożny, powiedział sobie. Do diabła, jeśli boi się tak, że aż prosi o ochronę, to jasne, że zamyka drzwi. To on ma kłopoty, nie ja.

To dlaczego trzymam w ręku pistolet?

25

Wyjął z kieszeni telefon i przyłożył go do ucha.

- Co teraz? - Jego głos rozbrzmiał echem w pustej klatce.

Jakby w odpowiedzi otworzyły się drzwi windy, odsłaniając jasno oświetloną kabinę.

Cavanaugh nienawidził wind: małe, zamknięte pomieszczenie łatwo mogło stać się pułapką. Nigdy nie wiadomo, co czeka za drzwiami, kiedy się otworzą.

- Dzięki - powiedział do telefonu - ale przyda mi się trochę ruchu.

Pójdę schodami.

Kiedy jego wzrok przywykł do ciemności, pod schodami zauważył kamerę wycelowaną w drzwi.

- Słyszałem, że chce pan zniknąć. Zdaje się, że już pan to zrobił.

- Niezupełnie. - Tym razem niepewny głos dobiegał z ukrytego w ścianie głośnika.

Cavanaugh schował telefon. W nozdrza kłuł go ledwie uchwytny gryzący odór, jakby gdzieś niedaleko rozkładało się martwe zwierzę. Poczul przyspieszone bicie serca.

Nieważne, jak ostrożnie stawiał stopy na metalowych stopniach, klatka schodowa rozbrzmiewała echem jego kroków.

Gdy minął półpiętro, gryzący zapach stał się mniej natłoczony. Stał przed metalowymi drzwiami i poczul skurcz żołądka. Z wahaniem wyciągnął rękę do klamki.

- Nie te. - Głos wciąż dobiegał ze ściany.

Z napiętymi nerwami Cavanaugh wspiał się jeszcze wyżej i zatrzymał przy następnych drzwiach w połowie drogi.

- Te też nie - odezwał się Prescott. - Jak mam się czuć bezpiecznie, widząc, że idzie pan do mnie z bronią w ręku?

- Nie wiem jak pan, ale ja w tych okolicznościach czuję się z nią o niebo lepiej.

W odpowiedzi usłyszał dźwięk, który mógł być gorzkim śmiechem.

O dach magazynu uderzyła ulewa. Cały budynek zawibrował.

Na szczycie schodów czekały ostatnie drzwi. Były otwarte. Cavanaugh zobaczył jasno oświetlony korytarz i następne drzwi na końcu.

To tak jak wejść do windy, pomyślał. Smród w tym miejscu był trochę mocniejszy. Cavanaugh poczuł, że napinają się mięśnie. Nie wiedział, co się z nim dzieje. Coś mówiło mu, że powinien opuścić budynek. Udałoby mu się? Chociaż zawsze miał przy sobie komplet wytrychów zaszyty w kołnierzu kurtki, mogły nie wystarczyć do otwarcia drzwi na dole. Zaczął szybciej oddychać. To nie jemu grozi niebezpieczeństwo, tylko Prescottowi. To nie pułapka. Facet po prostu chciał się zabezpieczyć.

26

Zerknął na kamerę pod sufitem. Do diabła z tym! Gdyby Prescott chciał mnie zabić, mógł to zrobić już dawno. Serce waliło mu jak młotem, ale rozsądek kazał poddać się. Coś wewnątrz krzyczało, żeby uciekał, mimo że nie miał żadnych powodów uważać, że jest w niebezpieczeństwie.

Zniecierpliwiony schował pistolet do kabury. W tym korytarzu i tak na wiele mi się nie przyda, pomyślał.

Wszedł do środka. Nie zaskoczyło go, że drzwi zatrzasnęły się za nim, a zamek szczęknął. Wprawdzie po półmroku klatki schodowej jasne światło raziło go, ale przynajmniej smród zniknął. Cavanaugh poczuł się nieco pewniej. Ruszył do drzwi na końcu korytarza. Nacisnął klamkę i znalazł się w jasno oświetlonym pomieszczeniu pełnym monitorów i elektronicznych konsol. Okno na przeciwległej ścianie zostało zamurowane.

Pośrodku pokoju stał mężczyzna. Miał około czterdziestu lat i sporą nadwagę. Ubrany był w pogniecione spodnie i pogniecioną białą koszulę z plamami potu pod pachami i na wydatnym brzuchu. Gęste jasne włosy sterczały we wszystkie strony. Twarz pokrywał zarost. Mężczyzna miał worki pod oczami i powiększone źrenice.

Celował w Cavanaugha z colta kaliber 0.45. Jego lufa drżała.

Gdyby Cavanaugh wciąż miał w ręku pistolet, Prescott z pewnością by strzelił. Próbując opanować oddech, Cavanaugh podniósł ręce w uspokajającym geście. Niepokój, który czuł na schodach, musi być niczym w porównaniu z tym, co czuje ten mężczyzna. Nie licząc żołnierzy w ogniu walki, Prescott był najbardziej przerażonym człowiekiem, jakiego Cavanaugh kiedykolwiek widział.

- Proszę pamiętać, że to pan po mnie posłał - powiedział. - Jestem tu, żeby panu pomóc.

Prescott dalej mierzył do niego z colta. Jego źrenice zrobiły się jeszcze większe, a pokój wypełnił kwaśny odór strachu.

- Znałem jednorazowy numer telefonu i hasło - przekonywał Cavanaugh. - Tylko ktoś z Protective Services mógł mieć te informacje.

- Mógł pan wydobyć je siłą od kogoś, kogo wysłali - odparł Prescott. Jego głos wciąż drżał. Cavanaugh zrozumiał, że nie był to efekt elektronicznego urządzenia - głos Prescottta drżał ze strachu.

Drzwi zamknęły się z hukiem, a elektroniczny zamek wskoczył na miejsce. Cavanaughowi udało się nie podskoczyć.

27

- Nie wiem, czego lub kogo się pan boi, ale raczej nie wysłaliby jednego człowieka. Nie przy zabezpieczeniach, jakie pan zbudował. Logika podpowiada, że nie jestem dla pana groźny.

- Najlepszą taktyką jest działanie z zaskoczenia. - Uchwyt Prescottta na kolbie czterdziestki piątki był tak samo niepewny jak jego głos. - Poza tym logika działa przeciwko panu. Jeśli jeden człowiek nie jest zagrożeniem, jak może mi zapewnić odpowiednią ochronę?

- Nie wspominał pan, że potrzebuje ochrony. Mówił pan, że chce zniknąć.

Prescott przyjrzał się Cavanaughowi uważnie. Plamy potu pod jego pachami były coraz większe.

- Wstępne rozmowy zawsze przeprowadzam w pojedynkę - ciągnął Cavanaugh. - Muszę zadać panu kilka pytań, żeby ocenić stopień zagrożenia. Potem zdecyduję, jakiej pomocy mi potrzeba.

- Słyszałem, że był pan w Delta Force. - Prescott oblizał spierzchnięte wargi.

- Zgadza się.

Żołnierze sił specjalnych mieli szerokie ramiona i wąskie silne biodra - siła i sprawność górnej połowy ciała były jednym w głównych celów forsownego szkolenia.

- Sporo pan ćwiczy - zauważył Prescott. - To wystarczy, żeby kogoś chronić?

Cavanaugh zaśmiał się, próbując go uspokoić.

- Chce pan zobaczyć moje referencje?

- Jeśli chce mnie pan przekonać, że przyszedł mi pan pomóc. Jeśli chce pan dla mnie pracować.

- To nie tak. Rozmawiam z potencjalnym klientem nie dlatego, że

chęć dla niego pracować. Czasami nie chcę.

- Chodzi panu o to, że musi go pan polubić? - spytał z niesmakiem Prescott.

- Czasami zdarza się, że nie lubię - odparł Cavanaugh. - Ale to nie oznacza, że nie ma prawa żyć. Jestem od ochrony, nie od sądenia. Choć są wyjątki. Żadnych handlarzy narkotyków. Pedofilów. Żadnych potworów. Jest pan potworem?

Prescott spojrział na niego ze zdumieniem.

- Oczywiście, że nie.

- W takim razie pozostało mi ustalić już tylko jedno.

- To znaczy? ,

- Czy będzie pan posłuszny?

Prescott mrugnął, strzepując z powiek kropelki potu.

28

- Słucham?

-Nie mogę chronić kogoś, kto nie chce wypełniać poleceń - stwierdził Cavanaugh. - Na tym polega paradoks tej pracy. Ktoś mnie wynajmuje. Teoretycznie jest moim szefem. Ale kiedy przychodzi co do czego, to ja wydaję polecenia. Klient musi się zachowywać, jakbym to ja był jego szefem.

Będzie pan posłuszny?

- Zrobię wszystko, żeby żyć.

- Zrobi pan, co panu każe?

Prescott zastanowił się chwilę i kiwnął głową.

- W takim razie dobrze, oto pierwsze polecenie: niech pan odłoży ten pistolet, zanim wepchnę go panu do gardła.

Prescott mrugnął kilka razy i cofnął się, jakby Cavanaugh uderzył go w twarz. Ścisnął mocniej pistolet, zmarszczył czoło i opuścił go.

- Świetny początek - powiedział Cavanaugh.

- Jeśli nie jest pan tym, za kogo się pan podaje, niech pan to zrobi od razu - sapnął Prescott. -Niech mnie pan zabije. Nie mogę już dłużej tak żyć.

- Spokojnie. Kimkolwiek są pana wrogowie, ja do nich nie należę.

Cavanaugh rozejrzał się po pomieszczeniu. W rogu po prawej, za konsolami i monitorami, zobaczył półówkę, minilodówkę, zlew i kuchenkę. Dalej stała toaleta, prysznic i odpływ. Jedzenie na półkach jasno wskazywało na to, że Prescott nie przejmował się nadwagą: opakowania makaronu z serem, ravioli i lazanie, czekoladki, batoniki i chipsy, zgrzewki coli.

- Jak długo pan tu siedzi?

- Trzy tygodnie.

Na półce pod jedzeniem Cavanaugh zauważył książki. Większość dotyczyła fotografii i geologii. Ta od frontu miała na okładce nagą kobietę i najwyraźniej traktowała o seksie. Dla kontrastu obok stał zbiór wierszy Robinsona Jeffersa i kilka książek biograficznych o autorze.

- Lubi pan poezję? - spytał Cavanaugh.

- Uspokaja duszę - powiedział Prescott obronnym tonem. Wyraźnie bał się kpin.

Cavanaugh wziął tomik i przeczytał pierwsze wersy, na jakie trafił.

- "Zbudowałem dla niej wieżę, kiedy byłem młody, a ona kiedyś umrze".

Prescott spojrział na niego niepewnie.

- Podoba mi się. - Cavanaugh odstawił książkę i wrócił do oględzin.

Obok małego telewizora leżały kasety wideo. Prescott miał bardzo różnorodny gust: thriller z Clintem Eastwoodem, stary romans dla nastolatków z Troyem Donahue i Sandrą Dee... - Widziałem już gorsze kryjówki - zadumał się Cavanaugh. - Bezdomni i ćpuny jako osłona. Sprytne. Jak pan znalazł ten magazyn? Jak pan to wszystko urządził?

- Zrobiłem to rok temu - odparł Prescott.
- Przeczuwał pan kłopoty?
- Nie te.
- W takim razie po co...
- Zawsze się zabezpieczam - powiedział Prescott.
- To bez sensu.
- Na wszelki wypadek - dodał Prescott.
- Na wypadek czego? - Cavanaugh dostrzegł ruch na jednym z monitorów. - Chwileczkę...

6

- Co się dzieje? - Prescott gwałtownie odwrócił się do monitora. Na czarno-białym ekranie widać było tuzin obszarpanych mężczyzn zmierzających w deszczu w stronę taurusa.
 - Jezu - szepnął.
 - Determinacja narkomanów jest zdumiewająca - zauważył Cavanaugh. - Wszystko jedno, co się zostawi, i tak spróbują ukraść. Znałem kiedyś faceta, który rąbnął ojcu dwadzieścia kilo karmy dla psów, żeby kupić sobie działkę. I co ciekawe, diler wziął od niego tę karmę zamiast pieniędzy. Z tego, co wiem, sam ją zjadł.
- Na ekranie przemoczeni mężczyźni zaczęli szarpać lusterka i odrywać dekle z kół.

- Da się stąd usłyszeć, co się dzieje na zewnątrz? - spytał Cavanaugh.

Prescott wcisnął przycisk na konsoli. Z głośnika dał się słyszeć szum deszczu. Z daleka dobiegał zgrzyt metalu. Przemoczeni obszarpańcy próbowali rozmontować samochód.

- Znajdźcie sobie pracę, chłopaki.

Cavanaugh wyciągnął z kieszeni pilota od taurusa. Był bardziej skomplikowany niż zwykły - miał sześć przycisków.

Prescott popatrzył ze zdziwieniem, kiedy Cavanaugh nacisnął jeden z nich. Z głośnika dobiegł ryk taurusa. Obszarpańcy rzucili wszystko, co mieli w rękach, i uciekli. Przypominali przemoczone strachy na wróble.

Cavanaugh wcisnął przycisk jeszcze raz i ryk ucichł.

- Jest pan gotów, żeby się stąd wynieść? - spytał Prescott.
- Dokąd? - Mężczyzna spojrział na niego z obawą.
- W bezpieczniejsze miejsce, choć Bóg mi świadkiem, że i to jest bezpieczne. Kiedy pojawi się mój zespół i wszystko zorganizujemy, damy

30

panu nową tożsamość i przeniesiemy pana w jakieś inne miejsce. Najpierw jednak muszę poznać stopień ryzyka. Dlaczego się pan tak boi?

Prescott otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale tylko zmarszczył czoło, spojrzawszy na monitor. Czterech mężczyzn wróciło do taurusa.

- Należą im się dodatkowe punkty za upór - zauważył Cavanaugh.

Wcisnął inny przycisk na pilocie. Spod nadkoli trysnęły kłęby gazu, który mimo deszczu wzbił się, otaczając chmurą czterech narkomanów. Kaszłąc, łzawiąc i przeklinając, cofnęli się zgięci, jakby mieli zwymiotować. Cavanaugh wcisnął przycisk jeszcze raz i zamknął dopływ gazu.

- Boże, co to było? - spytał Prescott.
- Gaz łzawiący.
- Co takiego?
- Samochód został zmodyfikowany tak jak najlepsze wozy Secret

Service. Jest opancerzony i... - Cavanaugh spojrział na monitor i prze-
rwał. - Niesamowite. Gdyby ci goście byli politykami, z taką ambicją
rządziliby światem.

Dwóch obszarpańców wróciło do taurusa.

- Niech pan ściszy ten głośnik - powiedział Cavanaugh.

Prescott zrobił, co mu kazano. Kiedy intruzi znaleźli się dostatecznie
blisko samochodu, Cavanaugh nacisnął trzeci przycisk.

Spod nadkoli wystrzeliły małe czarne pojemniki przypominające puszki z zupą. Ekspłodowały z
hukiem, który wstrząsnął głośnikiem. Rozbłysk towarzyszący eksplozji był tak jasny, że kamera
przez chwilę miała problemy z ustawieniem kontrastu. Kiedy rozwiął się dym, intruzi leżeli na
ziemi.

- Mój Boże, zabił ich pan - sapnął Prescott.

-Nie.

- Ale byli tak blisko granatów...

- To nie były granaty.

Mężczyźni na monitorze zaczęli się poruszać.

- Użyłem petard hukowych - powiedział Cavanaugh.

- Petard hukowych?

- Przypominają granaty, ale nie rażą odłamkami. Ogłuszają na chwi-
lę i oślepiają. Ci dwaj będą mieli cholerną migrenę.

Mężczyźni podnieśli się z trudem, ściskając uszy rękami.

- Ale samochód można wyposażyć w granaty, jeśli to będzie po-
trzebne - dodał Cavanaugh. - I można zamontować karabiny maszynowe
pod światłami. Każdy dyktator i większy handlarz narkotyków ma coś
takiego. Oczywiście w bardziej luksusowym wozie niż taki taurus. Pro-
szę mi wierzyć, panie Prescott, będziemy umieli się panem zaopiekować.

31

Cavanaugh spojrział na rząd monitorów. Jedna z kamer pokazywała taurusa z poziomu ziemi, tak że
można było pod niego zajrzeć. Cavanaugh zmarszczył brwi na widok czegoś ciemnego. Wskazał
palcem.

- Czy można powiększyć ten obraz?

- Można. - Prescott przekręcił potencjometr, powiększając obraz na
monitorze. Kształt pod taurusem okazał się małym pudełkiem. Jezu, mu-
siało to podrzucić któryś z tych ćpunów, pomyślał Cavanaugh.

Mrugnął, kiedy taurus wyleciał w powietrze.

Ryk był tak potężny, że całe pomieszczenie się zatrzęsło. Szczątki taurusa spadły na beton na tle
kuli ognia i dymu.

Prescott patrzył na monitor z otwartymi ustami.

Pokojem wstrząsnęła druga eksplozja. Inny monitor pokazał wpadające do środka drzwi, przez
które Cavanaugh wszedł do budynku. Dym i płomień wypełniły dolne piętro. Na klatkę wpadło
trzech mężczyzn. Chociaż mieli potargane włosy i brudne, zarośnięte twarze, w ich spojrzeniu nie
było pustki bezdomnych ani desperacji narkomanów. Rozglądali się czujnie jak zawodowcy.

- Jest stąd jakieś inne wyjście?

Prescott gapił się na ekran. Jeden z mężczyzn mierzył z pistoletu w stronę drzwi windy, pozostali
dwaj z bronią w ręku szturmowali schody.

- Prescott? - Cavanaugh wyciągnął pistolet.

Prescott patrzył na monitor. Cavanaugh złapał go za ramię i obrócił.

- Chryste Panie, słyszysz? Jest stąd jakieś inne wyjście?

W odpowiedzi Prescott podskoczył do jednej z konsolet i przekręcił jakiś potencjometr.

- Co robisz?! - krzyknął Cavanaugh.

Prescott spojrział na inny monitor.

Dwaj mężczyźni pokazali się u góry schodów. Zatrzymali się, mierząc w górę i rozglądając się uważnie. Wyraźnie myśleli, że za łatwo im poszło i w budynku muszą na nich czyhać jakieś pułapki.

Na monitorze pokazującym wejście do magazynu pojawiło się jeszcze dwóch zarośniętych napastników. Biegli przez rozwiewający się dym z pistoletami w dłoni.

Ruszyli po schodach w górę i zatrzymali się w tym samym miejscu, co poprzedni. Podejrzliwie spojrzeli za siebie w dół, jakby wyczuwali niebezpieczeństwo.

32

- Zaminowałaś klatkę schodową, tak? - spytał Prescottta Cavanaugh.

Nic jednak nie wybuchło. Żadne ukryte karabiny nie otworzyły ognia.

Ze ścian nie buchnęły płomienie. Mimo to napastnicy zachowywali się niespokojnie. Na monitorach widać było mężczyznę pilnującego windy, dwóch, którzy zatrzymali się na schodach, i dwóch w połowie drogi na górę. Ci ostatni patrzyli w głąb klatki, jakby myśleli, że to śmiertelna zasadzka. Mieli mokre twarze. Cavanaugh pomyślał w pierwszej chwili, że to krople deszczu. Zaraz jednak zdał sobie sprawę, że to pot.

Nagle mężczyzna na schodach zaczął strzelać w górę. Pozostali ruszyli jego śladem. Obszarpaniec na dole co chwila oglądał się przez ramię, jakby słyszał jakieś podejrzane dźwięki. Wtem odwrócił się, skoczył do drzwi i strzelił w deszcz.

- Co się dzieje, do cholery? - spytał Cavanaugh.

Prescott wciąż kręcił pokrętłem, mamrocząc pod nosem, jakby się coś zepsuło.

- Tak - odwrócił się do Cavanaugha. - Jest stąd inne wyjście.

Zaskoczony Cavanaugh zobaczył, że Prescott biegnie w stronę półek

zjedzeniem. Zmarszczył czoło, widząc na monitorach strzelających w górę napastników. Jedni pospiesznie przeładowywali broń, inni miotali się, celując za siebie. Mężczyzna na dole celował na zmianę to w drzwi windy, to znów na zewnątrz.

Cavanaugh usłyszał chrobot i obejrzał się. Prescott odsunął półki, odsłaniając drzwi.

- Dokąd prowadzą?

- Do magazynu.

Cavanaugh przypomniał sobie armię obszarpańców, którą widział na dole. Zastanawiał się, na ile może liczyć na pomoc Prescottta.

- Wie pan, jak posługiwać się bronią?

-Nie.

Cavanaugha to nie zaskoczyło. Podniósł czterdziestkę piątkę i zobaczył, że Prescott nawet jej nie odbezpieczył. Co gorsza, komora okazała się pusta. Wysunął magazynek z rękojeści i znalazł w nim siedem nabojów. Wepchnął go z powrotem i przeładował.

- Ma pan dodatkową amunicję?

-Nie.

To też go nie zdziwiło. Odciągnął kurek i zabezpieczył broń jak przystało na zawodowca. Wsunął pistolet za pasek i wyciągnął swojego sigę.

33

Po raz ostatni spojrzął na monitory i zobaczył posiłki biegnące po schodach. Również ci obszarpańcy zawahali się w pewnej chwili, jakby przestraszyło ich coś, czego nie widziały kamery.

3 - Sita strachu

Uwagę Cavanaugha przykuł obraz na środkowym monitorze. Za wrakiem taurusa, który wciąż płonął mimo ulewy, stał brodaty mężczyzna w brudnych łachach. Zmoknięty, trzymał w rękach metalową rurę. Miała jakieś półtora metra długości i podejrzanie przypominała wyrzutnię raket.

- Prescott, gdzie można zobaczyć, co jest za tymi drzwiami?

- Górne monitory. Po prawej.

Ekranu pokazywały pustą metalową galeryjkę.

- Otwieraj drzwi! Odsuń się!

Przerażony Prescott otworzył zamek i szarpnął drzwi, chowając się między nie i ścianę. Cavanaugh wycelował w otwór, ale zobaczył tylko galeryjkę, która ginęła w ciemnościach. Cały magazyn huczał od uderzającej w dach ulewy.

- Pamiętaj pan, co mówiłem o słuchaniu poleceń?

- Tak. - Prescott mówił z trudem.

- Jest pan chory na serce? Albo na coś innego?

- Nie - wydusił z siebie Prescott.

- Dobra. Kiedy wybiegnę na zewnątrz, niech pan biegnie za mną!

Proszę się trzymać blisko mnie!

Widoczny na środkowym ekranie mężczyzna skończył namierzać cel. Wyrzutnia była na tyle krótka, że bez trudu oparł ją na ramieniu i skierował w zamurowane okno.

- Teraz! - krzyknął Cavanaugh.

Rzucił się przez drzwi, celując w dół, w mrok pod galeryjką. Słyszał stukot swoich butów o metal.

Ułamek sekundy później poczuł ulgę, gdy tuż za sobą usłyszał pospieszny tupot Prescottta.

A potem słyszał już tylko dzwonienie w uszach, kiedy w ścianę za nimi trafiła rakietka. Poczuł falę uderzeniową, jakby ktoś popchnął go w plecy, i chociaż nie mógł obejrzeć się za siebie, oczami wyobraźni widział cegły rozbijające monitory i konsoly.

Runął na chodnik, uderzając czołem, kiedy przygniótł go ciężar Prescottta. Zatknięta za pasek czterdziestka piątka boleśnie wbiła mu się w bok. Na chwilę pociemniało mu przed oczami.

Galeryjka niebezpiecznie się zakołysała.

8

Prescott jęknął. Galeryjka zakołysała się mocniej. Cavanaugh odzyskał wzrok. Wziął głęboki oddech. Poczuł ból w piersi i spróbował wyczołgać się spod Prescottta. Cali pokryci byli kurzem.

34

- Prescott.

Grubas zakaszłał.

- Nic panu nie jest?

- Chyba... chyba nie.

Miał wrażenie, że głos Prescottta dobiega z oddali.

- Musimy wstać.

- Galeria - ostrzegł Prescott.

Galeryjka bujała się jak ciskany burzą samolot. Dzięki przeszkoleniu Cavanaugh nie tracił w takich sytuacjach równowagi ani nie robiło mu się niedobrze. Z Prescottem jednak było inaczej. Nie miał doświadczenia i z przerażenia niemal odchodził od zmysłów.

Po hali bezładnie latały przerażone gołębie. Z dziur w dachu lały się kaskady wody.

- Prescott, zajmę się panem. Musi pan tylko zrobić coś bardzo prostego.

- Prostego? - Prescott uczepił się go jak tonący ratownika.

- Bardzo prostego. - Cavanaugh wyobraził sobie biegnących po schodach napastników, którzy za chwilę wpadną do pomieszczenia z monitorami. Nie ośmielił się jednak ponaglać Prescottta.

- Co mam zrobić?

- Podnieść się.

Galeryjka zadrżała. Prescott stęzał.

- To nic trudnego. - Cavanaugh z trudem panował nad głosem. -

Niech pan udaje, że robi pan pompkę.

Prescott nie mógł się ruszyć.

- Podnieś się - warknął Cavanaugh. - Ale już.

Prescott ostrożnie, z wysiłkiem wyprostował łokcie. Pięć centymetrów. Dziesięć.

Cavanaugh wyczołgał się spod niego. Wcisnął pistolet do kabury i wstał. Przykucnął i obiema

rękami złapał się poręczy chyboczącej się galeryjki. Kurz opadł, a przez potłuczone szyby przesączało się światło. Cavanaugh spojrział w stronę zrujnowanego pomieszczenia, z którego uciekli, i zobaczył miejsce, gdzie galeryjka przymocowana była do ściany. Zardzewiałe wkręty wyszły już do połowy.

Szybko obliczył, ile czasu potrzeba napastnikom, żeby dostali się do pomieszczenia.

- Prescott, świetnie pan sobie radzi. Teraz musi pan tylko wstać.

- Nie mogę.

Galeryjka zadrżała. Cavanaugh z trudem utrzymał równowagę. Przez dziury w dachu wlewały się strugi deszczu.

35

- W takim razie niech pan pełźnie - powiedział.

-Co?

-Pełznij. I to już.

Pociągnął Prescottta do przodu.

- Jeszcze trochę. Szybciej.

Pociągnął go raz jeszcze, aż Prescott popelzł przed siebie rozbujaną galeryjką. Na rękę chlusnęła mu woda.

- Niedobrze mi -jęknął.

- Poczekaj, aż się stąd wydostaniemy. - Cavanaugh miał nadzieję, że skieruje myśli Prescottta w przyszłość.

- Wydostaniemy - wymamrotał Prescott.

- Właśnie. Niech się pan czołga. Szybciej. Zaraz będą drugie drzwi.

Cavanaugh wyteżył wzrok i zobaczył, że wkręty w drugiej ścianie też wyszły do połowy. Metal zaskrzypiał. Pod nimi rozległ się głos.

- Patrzcie! Na galerii!

Drzwi kryjówki Prescottta wyleciały w powietrze. Gdy tylko napastnicy wpadli do środka, Cavanaugh strzelił trzy razy. Padli na ziemię, szukając osłony. Strzelił jeszcze trzykrotnie w nadziei, że powstrzyma ich na tyle, żeby udało się dotrzeć do następnych drzwi. Prescott jednak zadygotał, przerażony hukami wystrzałów i szarpnął galeryjkę. Wkręty wyskoczyły ze ściany. Runęli w dół.

Przerdzewiały metal wygiął się. Koniec galeryjki z chrzęstem zjechał po ścianie. Cavanaugh i Prescott robili wszystko, żeby tylko nie zsunąć się na dół.

- Łap poręcze! - wrzasnął Cavanaugh.

Tym razem Prescott nie potrzebował dalszej zachęty. Nawet w półmroku wyraźnie widać było jego pobieliałe kłykcie zaciśnięte na metalowych prętach.

Przy wtórce jęku dartej stali galeryjka zsunęła się jeszcze niżej.

- Złóż rękę za ręką! - rozkazał Cavanaugh. - Jak po linie!

Koniec galeryjki z hukiem uderzył w podłogę. Siła wstrząsu niemal

oderwała Cavanaugha od poręczy. Wisieli z Prescottem pod kątem czterdziestu pięciu stopni.

Cavanaugh miał nadzieję, że w półmroku napastnicy będą mieli trudności z celowaniem. Ale co z tym, który krzyczał na dole?

36

I

— Prescott, zapomnij o linie! Oprzyj się piętami i zjeżdżaj!

Twarz Prescottta stężała.

— Ale już! - krzyknął Cavanaugh. - Patrz!

Zsunął się na pośladkach, hamując stopami i przytrzymując się rękami poręczy. Odetchnął, gdy za sobą usłyszał chrobot Prescottta.

Magazyn rozbrzmiał echem wystrzałów. Kule odłupywały tynk ze ściany. Prescott nie potrzebował zachęty. Zjeżdżał tak szybko, że kopnął Ca-vanauha w plecy. On też przyspieszył. Czuł, że za chwilę pękną mu spodnie. Buty Prescottta znów uderzyły go w plecy. Przyspieszyli jeszcze bardziej. Cavanaugh poturlał się po mokrej podłodze, w ostatniej chwili usuwając się spod cielska Prescottta. Zanim jednak sprawdził, czyjego klientowi nic się nie stało, wyciągnął broń i przykucnął, wypatrując tego, kto krzyczał na dole. Ściana drgnęła. Cavanaugh zrozumiał, że widzi chowających się w mroku bezdomnych. Zobaczył wielkie kartonowe pudła, w których spali, i wypełnione, Bóg wie czym, worki na śmieci. Od smrodu odchodów prawie zakręciło mu się w głowie. Kilku oberwańców ruszyło w jego stronę. Strzały z góry zmusiły ich do ucieczki w cień. Pociski odbijały się od podłogi. Nie widzą nas, pomyślał Cavanaugh. Strzelają na oślep. Jeśli odpowiem, zobaczą błyski i będą wiedzieli, gdzie celować. Woda strugami lała się z dachu. Cavanaugh obejrzał się, zobaczył drzwi i siłą postawił Prescottta na nogi. Kiedy jednak pociągnął za klamkę, okazało się, że drzwi są zamknięte. Klnąc w duchu, rozejrzał się za inną drogą ucieczki. Zobaczył schody i pobiegł do nich, ciągnąc za sobą Prescottta. Wiedział, że na dole będą na nich czekali, ale musiał zaryzykować. Nie minęło nawet dwadzieścia minut, odkąd poznał Prescottta. Nie miał pojęcia, kim jest ani dlaczego ktoś chce go zabić. Nie był nawet pewien, czy przyjąłby zlecenie, gdyby ustalił stopień zagrożenia. Miał tylko słowo Prescottta, że nie jest handlarzem narkotyków ani żadnym potworem. Teraz to wszystko nie miało już znaczenia. Okoliczności zdecydowały za niego. Byli odtąd z Prescotttem obrońcą i bronionym. Prowadząc Prescottta po schodach, szybko przeładował pistolet. Pusty magazynek schował do kieszeni, nowy wyjął z ładownicy przy pasku. Śmierdziało coraz bardziej. Prescott biegł tak szybko, że echo jego kroków niesło się po całym magazynie. Usłyszą go i zastrzelą! Cavanaugh mógł mieć tylko nadzieję, że huk deszczu stłumi hałas ich ucieczki. Nadzieja okazała się płonna. W górze huknęły strzały, kule znów przeorały ścianę. Poganiając Prescottta, Cavanaugh zamarł na widok

37

kolejnej grupy bezdomnych. Wycelował w ich stronę w obawie przed przebranymi napastnikami. Większość uciekła przerażona strzałami z góry i nagłym widokiem dwóch obcych. Broń w rękę Cavanaugha sprawiła, że skulili się jeszcze bardziej. Kilku patrzyło na nich jak szakale czekające na chwilę nieuwagi ofiary. Żaden jednak nie wyciągnął pistoletu, chociaż mieliby spore szansę w starciu z jednym uzbrojonym mężczyzną i człowiekiem, którego ze wszystkich sił starał się bronić. Cavanaugh usłyszał nad sobą gniewne krzyki i chrzęst galeryjki. Napastnicy chcieli chyba podążyć ich śladem. Część pewnie pędziła schodami do drzwi wejściowych. Zamierzali wpaść do magazynu, rozpędzić bezdomnych i zakończyć polowanie. Kilku prawdopodobnie zajmie pozycje po drugiej stronie budynku, na wypadek gdyby Cavanaugh i Prescott próbowali uciec tamtędy. Nie mogli jednak biec tak szybko, by już tam być. Celując do obszarpańców, Cavanaugh gestem kazał Prescotttowi biec za sobą w stronę zardzewiałych drzwi wychodzących na rzekę. Przemknęło mu jednak przez myśl, że nawet jeśli napastnicy jeszcze tam nie dobiegli, kilku mogło zacząć się przy oknach na piętrze. Nie mielibyśmy żadnych szans, pomyślał. Przez otwartą bramę zaciął do środka deszcz. Kusiło szarawe światło dnia. Na rzece zaryczała syrena holownika. Tak blisko. Cavanaugh znów wyobraził sobie, jak do magazynu wpadają napastnicy, rozpędzają mieszkańców, polują na... ..rozpędzających?
- Prescott, wracamy.

- Dlaczego? Nie uciekamy?
- Dopiero, kiedy powiem.
- Wrócili na środek hali. Cavanaugh stanął przed bezdomnymi.
- Mam dla was robotę.

Popatrzyli na niego zdziwieni. Kilku było równie przerażonych słowem "robota", jak pistoletem w rękę Cavanaugha. Zagrzmiało.

- Wasz pierwszy krok na drodze do samowystarczalności.

Popatrzyli jeszcze bardziej zdziwieni.

- To nic trudnego, a jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, przyślę jutro ciężarówkę zjedzeniem i ubraniami dla wszystkich. To dobra cena.

Patrzyli na niego, jakby mówił w obcym języku.

- Co wy na to? Umowa stoi?

Znów żadnej reakcji.

- Świetnie - powiedział Cavanaugh. - Widzicie tę bramę? Prowadzi do magazynów, a potem nad rzekę. Macie... Prescott?

-Co?

38

- Zakryj uszy.

Tym razem obyło się bez pytań. Kątem oka Cavanaugh zobaczył, że Prescott usłuchał.

- Macie wszyscy - zwrócił się do armii oberwańców - myśleć o jedzeniu i ubraniach, które jutro dostaniecie, i - podniósł pistolet - biec w tamtą stronę.

Patrzyli na niego pustym wzrokiem. -I to już!

W dalszym ciągu stali w bezruchu. Cavanaugh strzelił nad ich głowami. Błysk wystrzału rozjaśnił półmrok, a huk sprawił, że się cofnęli.

- Biegiem! - Nie bacząc na hałas, Cavanaugh strzelił jeszcze dwa razy. Przerażenie zmusiło bezdomnych do reakcji - zaczęli się cofać przed wariatem z pistoletem.

Następny wystrzał załatwił sprawę. Gromada oberwańców wpadła w panikę i galopem runęła do bramy. Potykając się o siebie, bezdomni wybiegli na deszcz.

10

- Za nimi! - krzyknął Cavanaugh do Prescottta.

Strzelił po raz ostatni, żeby uciekający nie stracili rozpędu. Przeraził ich tak bardzo, że wypadli na zewnątrz, nie zważając na szalejącą burzę. Musiało ich być przynajmniej trzydziestu. Rozbiegli się w poszukiwaniu osłony. Cavanaugh pociągnął Prescottta. Miał nadzieję, że w zamieszaniu napastnicy nie będą strzelać. W strugach zimnego deszczu zbiegli po rampie na zaśmiecony parking.

Wokół miotali się bezdomni jako strachy na wróble. Kilku przeciskało się przez dziurę w ogrodzeniu. Rozchlapując kałuże, Cavanaugh pociągnął Prescottta w tamtą stronę. Rozchylił siatkę i przepchnął go przez otwór. Kiedy przeciskał się za nim, zmroziło go coś więcej niż deszcz.

Zrozumiał, że wśród kilku bezdomnych obaj stanowią z Prescotttem łatwy cel. Uchronić mogła ich tylko odległość i to, że stanowili ruchomy cel.

Trach! Kula uderzyła o beton.

- Prescott, magazyn przed nami!

Trach! Jeszcze jedna.

- Jeszcze kawałek!

Trach! Odprysk betonu niemal uderzył Cavanaugha w czoło.

- Ruszaj się, Prescott!

39

Cavanaugh nie mógł biec zbyt szybko. Musiał dotrzymywać kroku Prescottowi, poganiać go i

podtrzymywać, kiedy się potykał. Mimo to jego płuca płonęły z wysiłku, kiedy znaleźli się za rogiem magazynu. Prescott zgiął się wpół, dysząc ciężko.

- Udało się - wykrztusił. - Nie mogę uwierzyć, że...

- Ruszaj się.

- Ale muszę złapać...

- Nie ma czasu. Idziemy. - Cavanaugh pociągnął go za ramię.

Szyby w oknach magazynu nie były powybijane. W środku stały skrzynie. Wyraźnie jest czynny, pomyślał Cavanaugh. Podeszedł do drzwi i szarpnął za klamkę. Zamknięte. Choć było wcześniej, w środku nie paliły się światła. Nie widać też było żadnego ruchu. Nic dziwnego, niedziela.

Cavanaughowi udało się zmusić Prescottta do truchtu. Zawłókl go przed front. Przed nimi siał szereg mniejszych budynków. Nieopodal spowita mgłą płynęła rzeka. Wszystkie budynki były dobrze utrzymane, w żadnym jednak nie było żywego ducha. Gdzieś pewnie siedział stróż, ale Cavanaugh go nie widział, a już na pewno nie miał zamiaru wołać. W ten sposób ściągnąłby na siebie uwagę napastników. Pewnie i tak otaczali już teren.

Zacinający deszcz chłostał Cavanaugha po twarzy. Ubranie przyłgnęło mu do ciała. Gorączkowo myślał i odrzucał kolejne pomysły. Mógł włamać się do któregoś budynku i spróbować ukryć z Prescottem w środku, ale wszystkie drzwi miały zakratowane okienka. Wystarczyłoby, że napastnicy zajrzeliby do środka. Kałuże, które Cavanaugh i Prescott z pewnością zostawiliby na podłodze, jasno wskazałyby, gdzie się schowali.

Pociągając Prescottta za ramię, Cavanaugh ruszył opustoszałą, zalaną deszczem ulicą. Świat tonął w półmroku. To nam pomoże, pomyślał. Ale nie wystarczy. Świadom, że nie mogą pozostać na otwartym terenie, rozejrzał się za kryjówką. Zauważył kontener na śmieci, ale był pełny. Poza tym i tak stanowiłby tylko kolejną pułapkę. Ktoś wcześniej czy później zajrzałby do środka.

- Muszę odsapnąć - wymamrotał Prescott. Zmęczenie i tusza zwy ciężyły przerażenie. Oklapł.

- Już niedługo.

Pociągając go, Cavanaugh jeszcze raz rozważał wszystkie możliwości. Gdyby włamali się do któregoś budynku, minęłoby trochę czasu, zanim by ich znaleźli. Cavanaugh mógłby tymczasem zadzwonić z komórki do Protective Services po pomoc.

Być może eksplozja i strzały skłoniły kogoś do wezwania policji, ale równie możliwe, że wybuch uznano za huk grzmotu. Co do strzałów, burza mogła je stłumić albo też były w tej okolicy czymś zwyczajnym. Tak

40

czy inaczej, policja oznaczałaby więcej komplikacji niż pożytku. W końcu skoro napastnicy przebrali się za bezdomnych, równie dobrze mogliby przebrać się za policjantów. Bezpieczniej było zaufać Protective Services. Zadzwonił do Duncana. Zespół ratunkowy przyjedzie za...

Ile? Piętnaście minut? Mało prawdopodobne. Pół godziny? Może, ale nie na pewno. I skąd będzie wiedział, w którym budynku ukryli się Cavanaugh z Prescottem?

Trzeba uciekać. Z prawą dłonią opartą na pistolecie Cavanaugh pociągnął Prescottta za przemoczoną koszulę. Przed nimi zamajaczyło kolejne ogrodzenie. Tym razem całe i w dodatku brama zamknięta była na kłódkę. Na budynku obok wisiała tablica z napisem: BRACIA WILSON, USŁUGI BUDOWLANE. Drżąc z zimna, Cavanaugh pociągnął Prescottta bliżej ogrodzenia. Zobaczył dwa wózki widłowe, wywrotkę, pikapa i poobijany rdza-worudy samochód osobowy, który wyglądał na co najmniej dwudziestoletni.

Oby miał pełny bak, pomyślał Cavanaugh. Wyciągnął komplet wytrychów z kołnierza przemoczonej kurtki i wybrał dwa pasujące. Wsunął je do zamka, jednego używając jako dźwigni, drugim zaś przesuwając zapadki. Dziesięć sekund później brama stała otworem.

Gdy tylko wepchnął Prescottta na parking i zamknął bramę, pomiędzy magazynów kawałek dalej wybiegło dwóch mężczyzn. Cavanaugh popchnął Prescottta za samochód, słysząc ich kroki i gniewne głosy. Ledwie zarejestrował, że kolor sedana jest wynikiem prawdziwej rdzy, a nie lakieru. Pociągnął za klamkę od strony kierowcy. Otwarte. Firma budowlana musiała uznać, że płot jest

wystarczającą ochroną dla samochodu, który wyglądał jak kupa złomu. Głosy były coraz bliżej. Jeśli napastnicy zobaczą, że kłódka jest otwarta...

Deszcz zalewał Cavanaughowi oczy. Otworzył drzwiczki i wślizgnął się do środka. Zaparł się nogami i pociągnął za kierownicę, żeby złamać blokadę. Szarpnął za dźwignię otwierającą maskę, wypełził z powrotem na deszcz i pospiesznie uniósł klapę. Do komory silnika z kolumny kierownicy biegła wiązka przewodów. Cavanaugh wyciągnął z kołnierza agrafkę, przekłuł dwa, zamykając obwód, i zapiął ją. Silnik zaskoczył. Jego warkot przyciągnął kroki i głosy.

Nie zważając na hałas, Cavanaugh zatrzasnął klapę i wepchnął Prescottta do samochodu.

- Zapnij pasy!

Wrzucił bieg i nacisnął gaz.

- Otwórz okno!

41

11

Sedan zaskoczył Cavanaugha - wystrzelił do przodu z niezwykłą energią. Ktoś najwyraźniej dbał o silnik, chociaż karoserię miał gdzieś.

- Opuść szybę! - krzyknął do Prescottta, który natychmiast posłuchał.

- Zsuń się na podłogę! - Cavanaugh wyciągnął pistolet.

Kiedy samochód uderzył w ogrodzenie, tłukąc przednie reflektory, Cavanaugh przez okno po stronie Prescottta ostrzelał dwóch napastników. Właśnie zbliżali się, żeby sprawdzić płot, kiedy ten odskoczył na bok. Stali jak wryci, gdy dosięgły ich kule.

Pistolet szczęknął głucho. Magazynek był pusty. Cavanaugh skręcił gwałtownie w lewo, żeby uciec przed kolejnymi dwoma napastnikami. Nie miał czasu sięgnąć po zapasowy. Musiał polegać na czterdziestce piątce zabranej Prescotttowi.

Wypadła mu na siedzenie. I tak nie mógłby strzelać. Z trudem panował nad samochodem, który zarzucał tyłem na mokrej nawierzchni. W strugach deszczu ledwie widział drogę przed sobą. Lewą ręką wymacał włącznik wycieraczek i odkrył, że działa tylko ta po stronie kierowcy. W dodatku nie mógł zmienić jej prędkości.

Gdy wycieraczka zaczęła wściekle miotać się po przedniej szybie, tylną strzaskał pocisk, który wyszedł tuż nad głową Cavanaugha. Ten skulił się, próbując obserwować ulicę. Wiedział jednak, że wycelowany w tył wozu pocisk ma spore szansę przebić bagażnik trafić w niego.

Nie bał się, że trafią w zbiornik paliwa. Bak był pełny w trzech czwartych. Ryzyko eksplozji istniałoby jednak tylko, gdyby strzelający używali pocisków smugowych. Ale nie używali. Gdyby trafili w zbiornik, nie byłoby to takie złe - spowolniłoby kulę, tak że nie przebiłaby się przez fotele. Napastnicy powinni strzelać w opony. Nawet wtedy jednak szkody byłyby znacznie mniejsze, niż się przypuszcza. Pocisk ze strzelby albo seria z automatu mogła rozerwać oponę, strzały z pistoletu jednak nie były tak groźne. Mogliby jechać na przestrzelonej oponie jeszcze pięć-dziesięć kilometrów, a to znaczy, że mogliby zgubić pościg. W razie konieczności Cavanaugh (robił to już kilka razy) jechałby dalej na gołej feldze.

Kolejny pocisk przeleciał obok. Cavanaugh usłyszał gwizd przy uchu i poczuł podmuch na policzku. Nie mógł jednak myśleć o tym ani o skulonym obok Prescottcie. Koncentrował się na ledwo widocznej drodze.

Wtem z boku wyskoczył długi czarny samochód. Zatrzymał się, blokując skrzyżowanie przed Cavanaughem. Ze środka wozu wyskoczyło kilku mężczyzn. Chowając się za karoserią, wymierzili w sedana. Szybko jednak zrozumieli, że sami wpadli w pułapkę. Cavanaugh nie miał

42

czasu zahamować - musiał w nich uderzyć. Napastnicy wpadli w panikę i rzucili się do ucieczki.

- Prescott, trzymaj się! Cholernie łupniemy!

Przyspieszył. Przez zasłone deszczu widział wystarczająco dużo, by mieć pewność, że po obu stronach blokady jest za mało miejsca. Nie da rady wyminąć wozu. Miał do wyboru dwa wyjścia. Po pierwsze, mógł zaciągnąć ręczny hamulec i przekręcić kierownicę o ćwierć obrotu, czyli

wykonać tak zwany manewr przemytnika. Samochód obróciłby się o sto osiemdziesiąt stopni, a Cavanaugh mógłby zostawić za sobą blokadę. W ten sposób jednak trafiłby na pościg. Poza tym śliski asfalt nie gwarantował precyzji zwrotu. Pozostawało drugie rozwiązanie.

Spojrzał na prędkościomierz. Setka. Za szybko. Spocony, zwolnił pedał gazu i zacisnął wilgotne dłonie w pozycji za dziesięć drugą. Szeroko rozsunął palce.

Jeśli uderzy w środek blokady, obaj z Prescottem zginą na miejscu w wyniku zderzenia niepowstrzymanej siły z nieruchomą masą. Trzeba po prostu zmienić stosunek siły do masy.

- Uważaj, Prescott! Trzymaj się!

Zwalniając do osiemdziesięciu na godzinę, Cavanaugh wyteżył wzrok. Ignorując oszalałe wycieraczki, próbował przyjrzeć się ustawionemu w poprzek drogi samochodowi. Celował w najlżejszy punkt - bagażnik. Skupił się na tylnym błotniku.

Wstrząs przy zderzeniu był straszliwy. Cavanaugh spodziewał się, że głowa odskoczy mu w tył, więc zsunął się, opierając ją o fotel. Mimo to poczuł ból w karku.

Precyzja manewru zredukowała siłę uderzenia i masę o jakieś dwie trzecie. Posypało się szkło, słychać było trzask metalu. Stojący w poprzek drogi wóz obrócił się, robiąc miejsce dla Cavanaugha.

Napastnicy otrząsnęli się na tyle, żeby zacząć strzelać za odjeżdżającym samochodem. Cavanaugh nie wychylał się, słysząc grad pocisków uderzających w bagażnik. Kilka przebiło dach i resztki przedniej szyby. Jeden strzaskał deskę rozdzielczą. Inny odstrzelił miotającą się wycieraczkę. Przez przednie okno do środka strugami wlewał się deszcz. Cavanaugh pędził wąską uliczką. Gdzieś w oddali usłyszał wycie syren.

- Prescott, wszystko w porządku?

Cisza.

Przez ścianę deszczu Cavanaugh dostrzegł zbliżające się skrzyżowanie i wcisnął lekko hamulec, żeby skrócić. Opony ślizgały się na mokrym asfalcie jak po lodzie. Puścił hamulec, zwalniając nieco gaz i hamując silnikiem. Minęli skrzyżowanie, zanim zdołał skrócić.

43

- Prescott, odezwij się! Nic ci nie jest?

Skulony Prescott poruszył się.

- Dobrze wiedzieć, że wciąż jeszcze jesteś wśród nas.

Syreny zawyły głośniejsze. Przed nimi zamajaczyło kolejne skrzyżowanie. Tym razem Cavanaugh zapanował nad samochodem i skręcił. Poczul ulgę.

- Trafili cię? - spytał Prescott.

-Nie.

- W takim razie wylaż stamtąd i zrób coś pożytecznego.

- Nie najlepiej się czuję...

- Ja też miewałem lepsze dni. Słuchaj, muszę się skupić na prowa-
dzeniu. Wyjmij z mojej kurtki telefon i wybierz ten numer. - Cavanaugh
podyktował Prescottowi ciąg cyfr. - A teraz daj mi telefon, to sprowadzę
pomoc.

- Tak, pomoc - przytaknął Prescott.

- A potem - ciągnął Cavanaugh - powiesz mi, kim, do cholery, są ci
ludzie i dlaczego tak bardzo chcą cię zabić.

12

- Nie chcą mnie zabić - powiedział Prescott.

-Co takiego?

- Chcą mnie żywego.

Cavanaugh poczuł nagle ukłucie chłodu. Spojrzał we wsteczne lustro, żeby sprawdzić, czy nikt
ich nie ściga. W świetle tego, co powiedział Prescott, wydarzenia w magazynie nabrały innego
sensu. Cavanaugh myślał, że to ciemność i deszcz miały wpływ na celność strzelców. Teraz

zrozumiał, że wszystko było zaplanowane - strzały miały zatrzymać Prescottta, a nie zabić. Jeśli ktoś miał zginąć, to tylko ja, pomyślał. Dotarło do niego, że wszystkie kule wycelowane były w stronę kierowcy - w niego, a nie w Prescottta. Może jedynie rakietka nie pasowała do tego schematu. Cavanaugh uświadomił sobie jednak, że siła eksplozji była mniejsza niż normalnie. Budynek powinien być znacznie bardziej ucierpieć. Wystrzelono słabszy pocisk w nadziei, że jego wybuch ogłuszy, a nie zabije.

- Jasne.

Cavanaugh ucieszył się, kiedy zobaczył mijające ich samochody. Skręcił, zostawił za sobą ostatnie magazyny i wjechał między zapuszczone domki przy autostradzie.

44

- Przebrali się za narkomanów, wtopili w tło i mieli nadzieję, że cię zaskoczą. Kiedy się pojawiłem, zrozumieli, że ich plan spalił na panewce i szybko dostosowali go do sytuacji. Zaatakowali bez przygotowania. Syreny przed nimi zawyły głośniejsz.

- Zadzwon - powtórzył Cavanaugh. - Wybierz numer, który ci dałem. Prescott w końcu to zrobił.

- Już.

Cavanaugh wziął telefon i postanowił sprawdzić Prescottta.

- Syreny, słyszysz? Chcesz, żebym zawiadomił policję?

- Nie - odparł Prescott.

- Dlaczego?

- Żadnej policji - powiedział stanowczo.

Zanim Cavanaugh zdążył go o cokolwiek zapytać, usłyszał w słuchawce głos Duncana.

- Global Protective Services.

- Tu Cavanaugh. Stan czerwony.

Wyobraził sobie, że Dunean się prostuje.

Wiatr i ryk zepsutego tłumika niemal zagłuszyły słowa szefa.

- Lokalizator w twoim taurusie nie działa. Nie widzę cię na ekranie.

- Taurus to już historia. Prescott i ja jedziemy kradzionym wozem. -

Cavanaugh przycisnął telefon mocniej do ucha.

- Podaj mi położenie.

- Przechodzę na kodowanie głosu. - Przycisnął guzik na spodzie aparatu, włączając scrambler. Jeśli napastnicy mieli skanery komórkowe, to uniemożliwiło im podsłuch. - Wciąż jestem w Newark. Oddalam się od rzeki. Przed sobą widzę spory ruch, ale nie wiem, co to za autostrada.

- Ilu napastników? - Głos Duncana był zduszony z napięcia.

- Może ośmiu.

- Gonia was?

- Nie jestem pewien. Mogłem... - "ich zgubić", chciał powiedzieć, ale mijając kolejne rudery, zerknął w lusterko. Zza rogu wyskoczyły dwa samochody. - Tak. Gonia nas.

Przy wjeździe na autostradę zobaczył tablicę informacyjną.

- Jadę na północ Dwudziestą Pierwszą. - Zobaczył następny znak. -

Wjeżdżam na autostradę McCartera.

- Jeśli oddalasz się od rzeki i jedziesz na północ... - Cavanaugh wyobraził sobie, jak Dunean studiuje mapę na ekranie komputera. - Jedź dalej w tym kierunku. Za jakieś piętnaście kilometrów dojedziesz do Trójki. Skręć na wschód, potem na pomoc szosą 17. Dasz radę dojechać do Teterboro?

45

Lotnisko Teterboro - czwarte w okolicach Nowego Jorku po Kenne-dym, LaGuardii i Newark International - od centrum Manhattanu dzieliło dwadzieścia kilometrów trasą przez most Waszyngtona. Zaprojektowano je jako lotnisko "odciążające" - korzystają z niego samoloty korporacyjne, czarterowe i prywatne, nie kolidując z ruchem pasażerskim na większych lotniskach. Ponieważ wielu klientów Global Protective Services stanowiły rozmaite ważne szczyty, agencja miała na lotnisku swoje biuro i śmigłowiec pod szyldem Atlas Avionics.

- Jestem teraz w biurze w Teterboro. - Głos Duncana trzeszczał przez burzę. - Robimy podmianę. - Znaczyło to, że klient przesiadał się z opancerzonego wozu do swojego odrzutowca, gdzie przejmowali go agenci innej firmy. Z chwilą startu samolotu zlecenie uznawano za wykonane. - Dasz radę tu dotrzeć?

- Mam nadzieję. - Cavanaugh spojrzął na wskaźnik poziomu paliwa, który wskazywał już tylko połowę.

- Zadzwoń za dziesięć minut - powiedział Duncan. - Przygotuję szczegóły.

Cavanaugh rozłączył się i położył telefon na siedzeniu obok czterdziestki piątki. Spojrzął w lusterko. Pościg właśnie wjeżdżał na autostradę. Z powodu burzy większość aut miała zapalone światła, te jednak jechały w ciemności.

Wycie syren ucichło w oddali.

- Prescott, nie odpowiedziałeś na moje pytanie. - Cavanaugh otarł z twarzy deszcz i skupił się na ciężarówce przed nimi. - Dlaczego nie chcesz, żebym zawiadomił policję?

- Nie wiedzieliby, co z nami zrobić. Broń. Kradziony wóz. Chryste.

- Twarz Prescottta skurczyła się ze zdenerwowania. - Przesłuchiwaliby nas na ulicy. Przesłuchiwaliby nas na komisariacie. Zanim by mnie wreszcie wypuścili, tamci zdążyliby zastawić zasadzkę.

- To prawda. - Cavanaugh znów otarł twarz. - Ale mam wrażenie, że masz jeszcze jakiś inny powód, żeby nie iść na policję.

- Taki sam, jak żeby nie iść do DEA*.

Nie ufam nikomu, kto ma do czynienia z rządem.

- DEA? A co oni mają z tym wspólnego... - Cavanaugh poczuł skurcz żołądka na myśl, że Prescott może jednak być potworem.

- Ci ludzie pracują dla Jesusa Escobara. - Twarz Prescottta pobladła jak płótno.

! DEA (Drug Enforcement Administration) - amerykańska agencja rządowa zwalczająca handel narkotykami (przyp. tłum.).

46

Cavanaugh poczuł się jeszcze gorzej: Jesus Escobar był jednym z największych bossów narkotykowych Ameryki Południowej. Zerknął w lusterko - pościg był coraz bliżej.

- Powiedziałeś, że nie masz nic wspólnego z prochami. Nie ochraniaj dilerów!

- Mówiłem ci, że nie jestem dilerem. Ale nie powiedziałem, że nie mam nic wspólnego z narkotykami.

- To bez sensu.

- Słyszałeś kiedyś o D.P. Bio Lab?

-Nie. - Cavanaugh wyprzedził następną ciężarówkę. Spod opon pryskała woda.

- D.P., czyli Daniel Prescott. Moje laboratorium biotechnologiczne.

Żardzo nowoczesne. - Oczy Prescottta powiększyły się ze strachu, kiedy zerknął na ścigające ich wozy. - Gdybyś słyszał o D.P. Bio Lab, byłbym niepokieszony. Pracuję w głównej mierze dla rządu.

Cavanaugh pomyślał, że wie, co zaraz usłyszy.

- Zajmowałem się badaniem tej części mózgu, która jest odpowiedzialna za uzależnienia. - Z podniecenia Prescott mówił coraz szybciej: - Mechanizm uzależnienia jest bardzo skomplikowany. Nie wiadomo, czy ludzie uzależniają się z przyczyn psychicznych czy fizycznych. Różne osoby uzależniają się od różnych efektów. Osobnicy bierni ulegają depresantom. Aktywni pożądamy stymulatorów. Czasami jest na odwrót. Pościg był już sto metrów za zardzewiałym sedanem.

- Chodzi o to - ciągnął Prescott - że gdyby udało mi się znaleźć jakiś wspólny mianownik, wspólny mechanizm dla wszystkich typów uzależnień, na przykład w korze mózgowej albo w podwzgórzu, można by go jakoś wyłączyć. Nie doszłoby do uzależnienia.

Pościg był już tak blisko, że Cavanaugh widział w lusterku mężczyzn siedzących w obu samochodach. Po czterech w każdym. Jeden kierowca miał wąsy, drugi ogoloną głowę. Oczy błyszczały im determinacją myśli-wych połączonych na ludzi.

-I znalazłeś to... ten mechanizm?

-Nie.

Cavanaugh próbował przewidzieć następny ruch przeciwników. Chcał Prescottta żywego. Nie strzela do mnie, nie przy takiej prędkości, pomyślał. Nie mogą spowodować wypadku, w którym Prescott mógłby zginąć. Pozostaje im zepchnąć nas z drogi.

-Nie znalazłem mechanizmu, którym pozwalałby powstrzymać uzależnienie - ciągnął Prescott. - Zamiast tego, Boże dopomóż, odkryłem łatwy do produkcji środek, który natychmiast je wywołuje. Uzależnia.

47

Jest tani. Nie wymaga skomplikowanego sprzętu. A sam proces produkcji nie daje żadnych szkodliwych efektów ubocznych, żadnych wybuchów i pożarów jak przy produkcji narkotyków. Cavanaugh spojrział w lusterko. Pościg był już zaledwie dwadzieścia metrów za sedanem.

- Gdy tylko zgłosiłem swoje odkrycie - ciągnął Prescott - agencja, dla której pracowałem, tak się przestraszyła, że skasowała mój program. Jeden samochód podjechał do sedana od tyłu, drugi zajechał go z lewej.

- Nagle pojawiło się DEA i skonfiskowało wyniki badań - mówił dalej Prescott. - Mnie i moim asystentom kazali przysiąc, że nie piśnie my o wszystkim ani słowa. Chociaż im nic nie grozi. Tylko ja znam formułę.

Cavanaugh spojrział na drogę przed sobą i podjął szybką decyzję. Głos Prescottta drżał, grubas mówił z wielkim trudem.

- Ale Escobar musiał mieć wtyczkę w DEA. Moje laboratorium jest tak pilnie strzeżone, że nawet jego ludzie nie mogą przeniknąć do środka. Dlatego może liczyć tylko na mnie. Chce mnie złapać i zmusić, żebym zdradził formułę.

- Na miłość boską, dlaczego DEA cię nie chroni?

- Próbowali. Ale ludzie Escobara i tak postanowili mnie porwać.

Myślę, że ktoś z DEA dla niego pracuje i przekazuje informacje. Moja ochrona została zaatakowana. Ledwie uciekłem. Skorzystałem z zamieszania i zniknąłem. Udało mi się dotrzeć do magazynu.

- Który przygotowałeś sobie wcześniej. Na wszelki wypadek - za uważył Cavanaugh.

- Ale nie mogłem siedzieć tam wiecznie. Skończyłoby mi się jedzenie. Chciałem z kimś porozmawiać. Mam już dość życia w strachu.

- Zrobię, co w mojej mocy, żeby ci pomóc. - Cavanaugh opuścił szybę w drzwiach po swojej stronie. Przez szum deszczu usłyszał nadjeżdżający samochód.

- Wiesz, jak załadować pistolet?

TNie.

Świetnie. Chciał dać Prescottowi magazynek siga, żeby przeładował broń. Teraz nie ma czasu tłumaczyć mu, jak to zrobić. Musi polegać na czterdziestce piątce.

Samochód po lewej zrównał się z sedanem i uderzył go w bok.

- Przypnij się mocniej - syknął do Prescottta.

Samochód znów wyrzwał w bok sedana. Cavanaugh usłyszał zgrzyt metalu. Jedną ręką kierując, w drugą wziął pistolet.

- Lepiej, żeby działał. - Zmienił ręce.

48

Samochód uderzył w sedana po raz trzeci, próbując zepchnąć go na pobocze. Cavanaugh kciukiem odbezpieczył czterdziestkę piątkę.

13

Dwa samochody o podobnej masie mogą uderzać w siebie bokami dość długo, a jeśli kierowcy są równie doświadczeni, żaden nie da się zepchnąć z drogi. Problem w tym, że uderzający w zardzewiałego sedana samochód był większy i cięższy. Prawa fizyki działały na jego korzyść. Samą masą stopniowo spychał sedana na pobocze.

Cavanaugh mógł zastrzelić kierowcę, ale wtedy auto mogłoby spowodować wypadek. Co więcej, pociski mogły trafić samochód po drugiej stronie autostrady i przypadkiem kogoś zabić.

Czterdziestki piątki można było jednak użyć w jeszcze jeden sposób.

- Prescott, zakryj uszy.

Od pierwszych wystrzałów w magazynie Cavanaughowi wciąż dzwoniło w uszach. Teraz przygotował się na kolejną dawkę cierpienia.

Nacisnął mocno gaz i samochód skoczył do przodu. Wymijając przeciwnika, Cavanaugh wysunął przez okno pistolet, wycelował w kratkę wentylacyjną i strzelił siedem razy najszybciej, jak mógł.

Wentylator samochodu zniknął. Chłodnica eksplodowała. Z dziur po kulach strzelił olej i pył węglowy, z kratki para z roztrzaskanej chłodnicy.

Suchy trzask poinformował Cavanaugha, że magazynek jest już pusty. Cofnął rękę, dając tym samym znak, że nie będzie więcej strzelał. Liczył na to, że napastnicy nie odpowiedzą ogniem. I tak mieli sporo zmartwień. Czterdziestka piątka uszkodziła ich wóz dość poważnie. Szybko tracił prędkość. W kłębach pary zjechał na lewe pobocze.

Drugi kierowca starał się nadrobić utratę przewagi liczebnej. Podjechał bliżej i stuknął w tylny zderzak sedana. Samochód zadygotał, ale Cavanaugh nie stracił panowania nad kierownicą.

Chociaż taka taktyka wyglądała bardzo dramatycznie, była nieskuteczna. Kiedy ścigający wóz uderzył po raz drugi, Cavanaugh nacisnął lekko hamulec i pozwolił mu się pchać. To, że napastnik uważał, że taki manewr coś da, zdradzało amatora.

49

Tylko jeden manewr jest skuteczny w takim starciu. Najpierw jednak Cavanaugh musiał zająć odpowiednią pozycję. Zjechał niespodziewanie na prawe pobocze i nacisnął hamulec, wykorzystując niemal całą jego siłę. Dziewięćdziesiąt osiem procent nacisku pozwoliło mu skutecznie zwolnić i zachować panowanie nad samochodem. Przy stuprocentowym

4 - Sita strachu

nacisku hamulce by się zakleszczyły, a sedan zamienił się w dwie tony ślizgającego się metalu.

Ścigający ich samochód przejechał obok. Cavanaugh puścił hamulec i ustawił się za nim, wciąż jadąc poboczem. Celując przednim lewym błotnikiem, stuknął lekko tył przeciwnika. Manewr

zwany Techniką Precyzyjnego Unieruchomienia, w skrócie TPU, nie wymagał prawie w ogóle siły. Wystarczyło, żeby przeciwległe błotniki obu samochodów lekko się o siebie otarły.

Znów zadziały prawa fizyki. Ścigający sedana wóz obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni.

Zaskoczeni pasażerowie obejrzeni się za siebie. Ich samochód zsunął się na prawo, uderzając w barierkę. Cavanaugh odbił na lewy pas i przyspieszył. Urok TPU polega między innymi na tym, że

nie tylko spycha się samochód z drogi, ale też odsuwa od siebie, unikając zderzenia.

- Prescott, obejrzyj się. Ktoś jeszcze zjeżdża z drogi? Jakież wypadki?

Prescott spojrzął za siebie zdumiony.

- Nie. Mój Boże, kilka samochodów jedzie zygzakiem, ale trzymają się pasów. Żadnego wypadku. Nie mogę uwierzyć, że ci się udało. Uciekliśmy im.

- Nie. - Cavanaugh przecząco pokręcił głową.

-Ale...

- Manewr TPU nie uszkadza drugiego samochodu.

- Jaki manewr?

- Jeśli nie unieruchomiła ich barierka, znów ruszą za nami. - Cavanaugh spojrzął na wskaźnik poziomu paliwa. Wskazówka pokazywała jedną czwartą baku. - Do tego mamy za dużo dziur w zbiorniku paliwa. Niedługo skończy się nam benzyna.

W oddali zawyły syreny.

Cavanaugh zerknął w lusterko. Pościgu nie było widać. Przez ścianę deszczu zobaczył przed sobą zjazd. Może nie zauważą, że skręca. Miał taką nadzieję.

Syreny zawyły głośniej.

- Czas na zmianę planów. - Cavanaugh skręcił. W dole zobaczył centrum handlowe. Skierował samochód na zapchany parking. Ludzie z otwartymi ustami patrzyli na zdezelowany przód sedana.

- Prescott, wytrzymaj rękawem wszystko, czego dotykałeś. Rozmaz odciski palców.

Licząc, że deszcz ukryje ich poczynania, Cavanaugh wjechał na parking. Nigdzie jednak nie mógł znaleźć wolnego miejsca. Przeklinając, skręcił w następną alejkę. Tu też wszystko było zajęte.

50

Jasne, niedziela po południu, pada deszcz. Co można robić? Zakupy.

Skręcił w następną alejkę i w jeszcze jedną. Wszystkie zajęte.

Syreny w oddali umilkły. Prawdopodobnie samochody policyjne dotarły do podziurawionego kulami samochodu. Nagle w alejkę, którą właśnie jechał, skręcił czarny wóz. Zza wycieraczek patrzyli na niego trzej pasażerowie i ogolony na tyso kierowca.

Cavanaugh zahamował, wrzucił wsteczny i zaczął się cofać. Mężczyzna obok kierowcy opuścił szybę. Wychylił się na zewnątrz i wycelował z pistoletu z tłumikiem. Cavanaugh nie usłyszał strzału tylko trzask pocisku trafiającego w chłodnicę.

Z otworu buchnęła para. Trzask. Chłodnicę przedziurawiła następna kula. Napastnicy czegoś się nauczyli. Pistolet w ręku mężczyzny był mniejszy od czterdziestki piątki Cavanaugha. Nie mógł tak bardzo uszkodzić silnika, ale na pewno poradzi sobie z chłodnicą.

Cofając pospiesznie, Cavanaugh wdepnął hamulec i przekręcił kierownicę o ćwierć obrotu. Sedan zawrócił o sto osiemdziesiąt stopni. Na niewielkiej przestrzeni i przy mokrym asfalcie Cavanaugh nie wykonał manewru tak sprawnie, jak potrafił. Zahaczył błotnikiem o tylne światła jakiejś furgonetki. Sedan się zatrząsł. Mimo to udało mu się wykonać obrót. Cavanaugh wrzucił bieg i ruszył alejką.

Gdy jednak deszcz zdusił kłęby buchającej z chłodnicy pary, Cavanaugh zeszywniał. Spomiędzy samochodów wyszła kobieta z parasolką. Zamarła w połowie drogi, widząc pędzącego na siebie sedana.

14

Nigdy nie patrz na to, co chcesz ominąć. Patrz zawsze tam, gdzie chcesz jechać. Tę zasadę wbili Cavanaughowi do głowy instruktorzy z Bili Scott Raceway w Zachodniej Wirginii. Global Protective Services i rozmaite agencje wywiadowcze wysyłały tam swoich ludzi na szkolenia.

- Dlaczego podczas wypadku samochody uderzają siebie czołowo albo prosto w bok, jakby nie próbowały się wyminąć? - Duncan siedział

wtedy obok, na fotelu pasażera.

Cavanaugh nie mógł odpowiedzieć. Był zajęty wchodzeniem w zakręt z prędkością stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę.

- Dlaczego jeśli kierowca wpadnie w poślizg, zawsze uderzy w jedyny słup albo drzewo w promieniu stu metrów?

Cavanaugh wsłuchiwał się w pulsowanie opon, żeby nie stracić przyczepności i nie wypaść z drogi. Duncan odpowiedział za niego.

51

- Bo kierowca patrzy na nadjeżdżający samochód albo na słup czy drzewo i chociaż chce je ominąć, zawsze w nie trafi. Dlaczego?

- Bo na nie patrzy - wystękał Cavanaugh, wyprowadzając samochód na prostą.

- Tak. Jedziesz tam, gdzie prowadzacie oczy. Jeśli będziesz patrzył na to, co chcesz ominąć, na pewno na to trafisz.

Wtem na jezdnię przed Cavanaughem wpadło duże kartonowe pudło. Tak się przestraszył, że spojrzął na nie i prawie skręcił w jego stronę. Szybko oderwał wzrok od kartonu, spojrzął przed siebie i udało mu się zostać na drodze. Samochód zachybotał się tylko nieznacznie. Cavanaughowi zdawało się, że widzi przywiązaną do kartonu linkę.

- Ktoś przy drodze wyrzucił pudło na jezdnię? - Cavanaugh wpadł w następny zakręt.

- Osiemdziesiąt procent początkujących kursantów widzi je i wjeżdża do rowu - odparł Duncan. - Jaka płynie stąd nauczka?

- Patrz tam, gdzie chcesz jechać, a nie na to, w co możesz uderzyć.

-Tak!

Teraz Cavanaugh wbił wzrok w kałużę za kobietą.

Nie ruszaj się, kochana.

Wdepnął hamulec, czując pulsację pedału. Przy dziewięćdziesięciu ośmiu procentach wstrzymał stopę. Zwolnił i utrzymał kontrolę nad wozem.

Był już tak blisko sparaliżowanej strachem kobiety, że widział jej rozszerzone źrenice. Skręcił gwałtownie kierownicę w prawo.

Nie patrz na nią! Patrz na kałużę!

Cavanaugh poczuł, że samochód traci przyczepność na mokrym asfalcie. Udało mu się jednak przesunąć w prawo, tak jak chciał. Uparcie patrząc tam, gdzie chciał jechać, Cavanaugh odbił w lewo, omijając kobietę. Usłyszał świst obtartej parasolki, wjechał w kałużę i puścił hamulec. Zerknął w lusterko. Przez chwilę myślał, że ścigający go samochód trafi kobietę, ta jednak nie stała już jak sparaliżowana. Rzuciła się między auta tuż przed tym, jak czarny samochód przemknął oboje, ochlapując ją wodą.

Uważając na pieszych, Cavanaugh pędził w stronę centrum. Skręcił w lewo i podjechał pod drzwi.

- Prescott, otwieraj! Wysiadamy!

-Ale...

- Już!

- Zatrzymał się z piskiem opon pod drzwiami. Złapał sigę i czterdziestkę piątkę.

- Wysiadaj! - krzyknął.

52

Prescott niezgrabnie wygramolił się na deszcz. Cavanaugh zostawił zapalony silnik, wcisnął guzik zapalniczki i pobiegł za nim. Zimny deszcz zalał mu głowę.

Wpadli do środka, słysząc pisk opon nadjeżdżającego samochodu.

15

W środku było ciepło, sucho i jasno. Dwupiętrowe centrum handlowe wypełniał gwar rozmów. Cavanaugh interesował sklep ze sprzętem elektronicznym po lewej.

- Tam! - pokazał Prescottowi.

Wiedział, że czarny wóz zatrzyma się koło przerdzewiałego sedana. Trzej pasażerowie wpadną do budynku. Kierowca zostanie. Będzie utrzymywał łączność przez komórkę. Gdyby Cavanaugh i Prescott chcieli uciec innymi drzwiami, natychmiast tam podjedzie.

Popychając Prescott, Cavanaugh wepchnął broń za pasek. Drugi pistolet przycisnął do ciała.

Wysunął pusty magazynek, schował go do kieszeni, włożył nowy i zwolnił zamek. Wszystko to zrobił odruchowo i sprawnie dzięki setkom powtórzeń podczas szkolenia.

Młody sprzedawca w sklepie elektronicznym popatrzył ze zdziwieniem na ociekających wodą klientów.

- W czym mogę pomóc?

Chowając sigę pod kurtkę, Cavanaugh pociągnął Prescott obok sprzedawcy w stronę jaskrawo świecących rzędów telewizorów, magnetowidów i odtwarzaczy DVD.

- To, czego szukamy, jest na zapleczu.

Sprzedawca pobiegł za nimi.

- Jeśli mi panowie powiedzą, co to, z przyjemnością przyniosę.

- Świetnie.

- Cavanaugh z Prescottem przeciskali się między klientami, kierując się w stronę lady w głębi sklepu. Po lewej stronie były drzwi. Cavanaugh popchnął Prescott i otworzył je.

- Proszę pana! - zawołał sprzedawca. - Klientom nie wolno wchodzić do magazynu!

- Tego nam właśnie trzeba. - Cavanaugh wciągnął Prescott, zatrzasnął drzwi i przekręcił klucz.

- Proszę pana! - zaprotestował stłumiony głos.

Cavanaugh ruszył między słabo oświetlonymi półkami zastawionymi pudłami.

53

- Idziemy, Prescott.

Ignorując odgłosy za drzwiami, ruszył do wyjścia. Widział je, kiedy podjeżdżali pod wejście.

Wiedział, że przepisy wymagały, by zewnętrzne drzwi w centrach handlowych miały łatwe do otwarcia zamki na wypadek pożaru. Te były zabezpieczone zwykłą zasuwką.

Podczas gdy napastnicy przeszukiwali centrum, Cavanaugh z Prescottem wybiegli na deszcz. Przy krawężniku za sedanem stał czarny samochód. Tak jak się spodziewał Cavanaugh, wóz miał włączony silnik. Ogolony na łyso kierowca patrzył na drzwi, za którymi zniknęli jego kompani. To też było do przewidzenia.

Zanim kierowca spostrzegł, co się święci, Cavanaugh biegł już pochylony w jego kierunku.

Chowając się za sedanem, wyciągnął czterdziestkę piątkę i uderzył lufą w szybę od strony pasażera. Odłamki szkła posypały się na zaskoczonego skinheada. Cavanaugh wycelował w niego sigę. Obok mężczyzny na siedzeniu leżały telefon i pistolet.

- Wsiadaj! - rozkazał Cavanaugh.

Trzymając wciąż ręce w rękawiczkach na kierownicy, przerażony skinhead spojrzał na pistolet obok.

- Wsiadaj! - krzyknął Cavanaugh.

Mężczyzna cały czas patrzył na broń.

Cavanaugh nacisnął spust sigy i przedziurawił dach. Skinhead drgnął i rzucił się do drzwi.

- Biegiem! - Cavanaugh strzelił nad łyśną głową. Mężczyzna przyśpieszył.

- Prescott, wsiadaj!

Prescott usłuchał. Cavanaugh obiegnął samochód, żeby otworzyć drzwi od strony kierowcy. Zanim

wsiadł, zajrzał do sedana i wyciągnął zapalniczkę, którą wcześniej włączył. Miała rozżarzony czubek.

Cavanaugh wrzucił ją pod tył sedana, gdzie tworzyła się właśnie kałuża wyciekającej benzyny. Opary natychmiast buchnęły płomieniem, który ogarnął cały spód sedana. Cavanaugh wskoczył do czarnego wozu, wrzucił bieg i odjechał.

We wstecznym lusterku zobaczył, jak sedan zakołysał się od eksplozji. Wybuch wcale nie przypominał filmowych fajerwerków. Nie było wielkiej kuli ognia ani huku, jakby ktoś zdetonował kilka ton dynamitu. Tylko głucho łupnięcie i płomienie. Nawet gdyby bak był pełny, byłoby za mało tlenu na taką eksplozję. Samochód płonąłby tylko na zewnątrz.

Cavanaugh zobaczył, jak z centrum wybiega trzech rozwścieczonych mężczyzn. Wydawało mu się, że tak jak skinhead mieli rękawiczki. Wreszcie dotarł do ulicy za parkingiem i stracił ich z oczu.

54

Pomknął do wjazdu na autostradę. Jazda samochodem z całą przednią szybą i dwiema działającymi wycieraczkami wydała mu się luksusem. Pierś Prescottta ciężko unosiła się i opadała. Przycisnął do niej dłoń.

- Wszystko w porządku? - Cavanaugh wjechał na autostradę. Trzy mały się prawego pasa, próbując zniknąć między samochodami. - Chyba nie masz ataku serca?

- Nie. Nie mogę tylko... Zdyszałem się.

- Brak kondycji - odparł Cavanaugh. - Musisz zadbać o siebie. - Żeby rozluźnić Prescottta, odmalował wizję bezpiecznej przyszłości. - Kiedy już znikniesz, będziesz miał dużo czasu, żeby poprawić formę.

- Ćwiczenia. Nawet to sprawiłoby mi przyjemność.

Zawyło kilka nowych syren. Chociaż Cavanaugh chciał dotrzeć na lotnisko w Teterboro najszybciej, jak się da, nie przekraczał dozwolonej prędkości, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

- Dobrze jechać suchym samochodem - powiedział uspokajająco.

- I ciepłym.

- Tak. - Cavanaugh cały był przemoczony. Na szczęście skinhead zostawił włączone ogrzewanie. Ciepłe powietrze owiewało pasażerów. Prescott zadrzał.

- Podkręć nawiew - powiedział Cavanaugh. - Skieruj nadmuch jak najwyżej.

Drżącymi dłońmi Prescott przekręcił pokrętło na desce rozdzielczej.

- Po co podпалиłeś samochód? Żeby odwrócić uwagę?

- Też. Policja straci trochę czasu, gasząc pożar i kombinując, co się stało.

- Powiedziałeś "też". - Prescott zmarszczył czoło. - Był jeszcze inny powód?

- Odciski palców. - Cavanaugh spojrział w lusterko. - Myślałem, żeby zostawić samochód na parkingu. Przez jakiś czas nikt by na niego nie zwrócił uwagi. Moglibyśmy wytrzeć ślady palców, zanim byśmy uciekli. Ale potem pojawił się ten drugi samochód i... Dzięki pożarowi nie musimy się o to martwić. Wierz mi, policja znalazłaby odciski palców i mogłaby nas zidentyfikować. To kiepski pomysł, jeśli chcesz zniknąć i pozostać niewidzialny.

- Cavanaugh.

- Tak?

- Nie wiem, jak masz na imię.

- Wcale. Cavanaugh to nazwisko do pracy. Nigdy nie podaję praw dziwego. Rzykowałbym bezpieczeństwo ludzi, których chronię.

Ulżyło mu, kiedy zobaczył, że Prescott odycha już spokojniej. Warto było odwrócić jego uwagę od sytuacji, odpowiadając na niewinne pytania.

- Łatwo można dotrzeć do klienta, jeśli się pozna tożsamość jego obrońców.

- Co by to dało?

- Można by ustalić, gdzie mieszkają, czy mają rodziny i tak dalej. Rozumiesz?

Tłusty podbródek Prescottta zakołysał się, gdy pokiwał głową.

- Przeciwnik mógłby zabić ochroniarzy w domu po służbie, kiedy nie są już tacy czujni.

- A nowy zespół musiałby się najpierw wdroyć. Klient stałby się łatwym celem - powiedział Cavanaugh.

Prescott znów skinął głową.

- Albo porwałby kogoś z rodziny i zmusił do mówienia.

- Szybko łapiesz. Moim bliskim nie grozi niebezpieczeństwo, jeśli źli nie wiedzą, kim oni są. A nie wiedzą, kim są, bo nie wiedzą, kim jestem ja.

- Masz rodzinę?

- Nie - skłamał Cavanaugh. - Powiedziałeś "ochroniarze". Nie jestem ochroniarzem.

- A kim?

- Raczej agentem ochrony.

- Co to za różnica?

- Ochroniarze to osiłki. Takich zatrudniają gangsterzy. Same mięśnie.

- A to, czym ty się zajmujesz, wymaga pewnych umiejętności. Wiadziałem. Dzięki. To najodważniejsza rzecz, jaką w życiu widziałem.

- Nie - powiedział Cavanaugh. - To nie była odwaga.

- Nie umiem tego inaczej nazwać.

- Uwarunkowanie.

Leżący między nimi telefon skinheada zadzwonił.

16

Prescott drgnął.

Telefon zadzwonił raz jeszcze.

- Odbierz - powiedział Cavanaugh. -1 daj mi go.

Prescott z ociąganiem usłuchał. Cavanaugh przyłożył aparat do ucha.

- Pizza Hut.

- Jak uroczko - powiedział głos szorstki jak papier ścierny.

- Dzięki.

- Nie chodzi o Pizza Hut. Raczej o samochód i ucieczkę.

56

- Wiem, o co ci chodzi.

Prescott uważnie przyglądał się Cavanaughowi, próbując odgadnąć, o czym mowa.

- To nas nie powstrzyma. Będziemy was dalej ścigać - powiedział głos w słuchawce.

- Spodziewałem się tego.

-Nie jesteś gliną. Nie wezwałeś wsparcia. Unikasz radiowozów, więc musisz być prywatną ochroną. Odpuść sobie. To nie twoja liga.

- Zdaje się, że jak dotąd całkiem nieźle mi szło.

- Prescott powiedział ci, z kim masz do czynienia?

-Nie miał czasu - skłamał Cavanaugh. Słabo słyszał. Od huku dzwoniło mu w uszach i musiał mocno przyciskać telefon, żeby rozróżnić słowa.

- Skoro nic nie wiesz, damy ci spokój. Oddaj go nam, a my puścimy cię wolno.

- Powiedz to jeszcze raz bardziej przekonująco.

W głosie mężczyzny pojawiło się znużenie.

- Już byś nie żył, gdybyś się nie trzymał blisko Prescottta. To chyba pierwszy raz, kiedy facet, którego ścigamy, jest tarczą dla swojego ochroniarza.

- Agentu ochrony.

- Słucham?

- Nie jestem ochroniarzem.

- Wszystko jedno. - Głos się zniecierpliwiał. - Następnym razem, kiedy cię zobaczę, módl się, żebyś był blisko Prescottta. Inaczej wpakuję ci kulkę w łeb. Zabrzmiało przekonująco?

- Po to dzwonisz? Żeby mi grozić?

Cisza.

Cavanaugh nagle zrozumiał, o co chodzi.

- Dużo sera, tak?

- Słucham?

- Pańska pizza będzie gotowa za piętnaście minut. - Rozłączył się. Minął ich pikap wyładowany złomem. Cavanaugh opuścił szybę i rzucał telefon na stertę.

- Co robisz? - spytał Prescott.

- Ludzie Escobara nie dzwonili bez powodu. Chcieli się upewnić, że jesteśmy w pobliżu telefonu.

- Ale po co mieliby...

- Aparat musiał mieć lokalizator. Pojadą za nim, myśląc, że zaprowadzi ich to do nas. Teraz trafią donikąd. O ile się orientuję, ten samochód też ma lokalizator, ale w tej chwili nic na to nie poradzę.

57

- Dlaczego nie zabiłeś kierowcy? - spytał Prescott.

- Co takiego? - Cavanaugh skrzywił się na to nieoczekiwane pytanie.

- W centrum handlowym. Ryzykowałeś, każąc mu uciekać. Mógł sięgnąć po broń - zauważył Prescott.

- Trup w samochodzie tylko by nas spowolnił. Musielibyśmy wyciągnąć go zza kierownicy, Reszta mogłaby nadbiec, zanim zdążylibyśmy odjechać.

- Zabiłbyś go, gdyby nie siedział w samochodzie? - spytał Prescott.

- Gdyby dał mi powód. W przeciwnym wypadku... Zajmuję się ochroną, nie zabijaniem.

Deszcz zelżał.

Cavanaugh wyjął z kurtki swój telefon i wybrał ostatnie połączenie.

- Global Protective Services. - W głosie Duncana słychać było na pięcie.

Telefon wciąż miał włączony scrambler.

- Musiałem zmienić samochód. Jedziemy czarnym pontakiem.

- Uda ci się dotrzeć do Holiday Inn w pobliżu lotniska? Czekam tam z przyjaciółmi.

- To dobrze - powiedział Cavanaugh. - Przyjaciele zawsze się przydadzą.

UNIKANIE ZAGROŻENIA

U

lewa zamieniła się w mżawkę, kiedy Cavanaugh, kierując się wskazówkami Duncana, dotarł do Holiday Inn. Duncan czekał przy wejściu do motelu w płaszczu przeciwdeszczowym i kapeluszu. Ręce trzymał w kieszeniach. Bez wątpienia w jednej trzymał pistolet. Krótko przystrzyżone wąsy podkreślały wąską linię zaciśniętych ust. Wyprostowana sylwetka wojskowego i czujne spojrzenie sprawiały, że wyglądał na osobę, na której można polegać.

Gdy tylko Cavanaugh podjechał do wejścia i zatrzymał się obok Duncana, z tyłu pojawiła się szara furgonetka.

Prescott drgnął.

- Mają nas.

- Nie - Cavanaugh pokręcił przecząco głową. - Wszystko w porządku.

Z furgonetki wysiadło dwóch mężczyzn i kobieta. Cała trójka miała na sobie przeciwdeszczowe płaszcze. Znał ich. Trzymali ręce pod płaszczem, przypuszczalnie na kolbie pistoletu, i rozglądali się uważnie. Gdy nie zauważyli nic podejrzanego, jeden z mężczyzn podszedł do Cavanaugha.

Cavanaugh uznał to za sygnał, że wszystko jest w porządku i odblokował centralny zamek. Duncan natychmiast otworzył drzwi od strony pasażera i zajrzał do środka.

- Pan Prescott?

Prescott spojrział na niego osłupiały.

- Jestem Duncan Wentworth. Global Protective Services. Rozmawialiśmy przez telefon. Proszę za mną.

Zanim Prescott zdążył cokolwiek zrobić, Duncan wyciągnął go z samochodu. Kobieta i drugi mężczyzna odeskortowali ich do furgonetki.

61

Cavanaugh też wysiadł z pontiaka.

- Jak tam? - Krótco ostrzyżony mężczyzna obok żuł gumę.

- Lepiej niż pół godziny temu.

- Wyluzuj. Teraz my działamy.

- To dobrze. W samochodzie może być lokalizator.

- Zanim go znajdą, będzie daleko od lotniska. Nie domyśla się, jak uciekłeś.

- Pistolet na siedzeniu należy do nich. - Cavanaugh wyciągnął zza paska czterdziestkę piątkę. - To Prescott. Nic o niej nie wiem.

- Eddie - tak miał na imię mężczyzna - skinął głową. Jedna z podstawowych zasad bezpieczeństwa głosiła: nigdy nie trzymaj przy sobie broń, jeśli nie znasz jej historii. Jeżeli cię z nią złapią, może się okazać, że brała udział w jakiejś strzelaninie. Policja będzie miała podstawy sądzić, że ty także brałeś w niej udział.

- Skończą w kawałkach na dnie kanału - powiedział Eddie.

Cavanaugh odsunął się i wpuścił go za kierownicę.

- Wszyscy nosili rękawiczki.

Eddie poprawił własne.

- Nie zidentyfikujemy ich po odciskach palców, więc nic się nie stanie, jeśli zetnę twoje.

- Nie dotykałem niczego poza przednim fotelem.

- To tylko ułatwia sprawę. Ciao.

Pontiac odjechał przed motelu. Cavanaugh wsiadł do furgonetki i zatrzasnął za sobą drzwi.

- Hej, Cavanaugh. - Siedzący za kierownicą Latynos wrzucił bieg i ruszył. Drobnny deszcz bębnił o dach.

- Hej, Roberto. - Cavanaugh znał tylko imię mężczyzny z bródką.

Domyślał się, że jest nieprawdziwe. - Jak tam twoje rybki?

- Pozżerały się. Mam nowe hobby.

- Jakie?

- Modele samolotów. Takie z silniczkami, co naprawdę latają. Poprzerabiam je tak, żeby mogły ze sobą walczyć i w ogóle.

- W ogóle?

- Wiesz, małe rakiety. Może będą też zrzucać małe bombki.

Tył furgonetki został przerobiony. Pod ścianami zamocowano dwa rzędy foteli, między którymi stał stolik. Cavanaugh usiadł w głębi, obok Prescottta i Duncana, i zapiął pasy. Po drugiej stronie siedzieli mężczyzna i kobieta, którzy eskortowali Prescottta do furgonetki. Zdjęli płaszcz, pod którymi mieli kevlarowe kamizelki kuloodporne i pistolety w kaburach przy pasie.

62

- Cześć, Chad - powiedział Cavanaugh do rudowłosego mężczyzny.

Miał około trzydziestu pięciu lat i podobnie jak Cavanaugh barczystą sylwetką. On też nosił pseudonim.

Rude włosy Chada mogły stanowić problemem w pracy, ponieważ zwracały na niego uwagę. On jednak umiał je wykorzystać do zmylenia przeciwnika. Zabójca albo porywacz obserwujący swój cel dość długo, by stwierdzić, że rudowłosa mężczyzna należy do ochrony, mógłby zacząć go śledzić, wychodząc z założenia, że Chad cały czas trzyma się blisko klienta. Zatem Chad zwykle chronił sobowtóra, gdy tymczasem prawdziwy klient wymykał się niezauważony z eskortą. Kiedy Chad chciał się stać niewidzialny, wkładał czapkę.

- Słyszałem, że cię postrzelili - powiedział Cavanaugh.

-Nie.

- To dobrze. Cieszę się, że nic ci się nie stało.

- Nie powiedziałem, że nic mi się nie stało - sprostował Chad. -

Dźgnęli mnie nożem.

-Au!

- Mogło być gorzej. Trafili w lewy bark. Gdyby dźgnęli mnie w ramię, którym gram w kręgle...

Cavanaugh spojrział na siedzącą obok kobietę.

- Cześć, Trący.

Trący miała na sobie bluzę Jankesów. Blond włosy schowała pod czapkę bejsbolową tej samej drużyny. W zależności od potrzeby umiała wyglądać pospolicie albo oszalamiająco pięknie. Gdyby weszła do restauracji Holi-day Inn umalowana, z rozpuszczonymi włosami i w obcisłej bluzce, wszyscy goście w wieku od czterech lat w górę pamiętaliby japo wyjściu.

- Słyszałem, że odchodzisz - powiedział Cavanaugh.

- Miałabym zrezygnować z pracy w takich warunkach? No i kiedy widywałabym się z ukochanym, gdybym z nim nie pracowała?

Miała na myśli Chada, ale żartowała. Pary nie mogły pracować w tym samym zespole. Klient zawsze musi stać na pierwszym miejscu. Chad i Trący nieraz już jednak udowodnili, że znają priorytety.

Furgonetka wjechała na autostradę i skierowała się w stronę lotniska. Duncan dał Prescotttowi i Cavanaughowi koce. Do styropianowych kubków nalał gorącej kawy.

- Niedługo dostaniecie suche ubrania.

Cavanaugh czuł, jak kawa rozgrzewa mu żołądek.

- Dobrze się pan spisał, panie Prescottt.

- Panie Prescottt? Teraz zwraca się pan do mnie per "pan"? Dotąd wciąż słyszałem tylko "Prescott, zrób to", Prescottt, zrób tamto".

63

Duncan zmarszczył czoło.

- Czy to jakiś problem?

Prescott zmrużył podpuchnięte oczy.

- Żaden. Ten człowiek uratował mi życie. Jestem mu wdzięczny. -

Z uśmiechem uściskał Cavanaughowi dłoń.

- Ma pan zimną rękę.

- To samo mogę powiedzieć o panu.

Cavanaugh spojrział na swoje dłonie. Uświadomił sobie, że faktycznie jest mu zimno. Ale nie dlatego, że był przemoczony. Chodziło o coś innego.

Zaczyna się. Zacisnął dłonie na ciepłym kubku, ale miał wrażenie, że należą do kogoś innego.

Drżały tak, że prawie wylał kawę na podłogę.

- Niedługo opadnie ci adrenalina - powiedział Duncan.

- Już opada.

- Chcesz deksedrynę, żeby dojść do siebie?

-Nie. - Cavanaugh odstawił kubek i skupił się, żeby zapanować nad drżeniem rąk. - Żadnych spidów.

Duncan miał na myśli "zjazd" na adrenalinowym "haju". Cavanaugh czuł już nieprzewartą chęć ziewania. Nie miała nic wspólnego z sennością, była objawem rozluźniania się napiętych mięśni. Deksedryna sprawiłaby, że system nerwowy powróciłby do takiego stanu, w jakim był jeszcze niedawno. Cavanaugh jednak wolał nie polegać na chemikaliach i jak zwykle starał się kontrolować spadek adrenaliny. Nie chciał, żeby klient dostrzegł niepewność ruchów i ziewanie. Prescott mógłby wziąć to za oznaki strachu, tak jak wcześniej co innego wziął za odwagę.

- Żadnych spidów - powtórzył.

Kiedy wieża kontrolna udzieliła pozwolenia na start, helikopter Bell 206L-4 wzniósł się nad lotnisko Teterboro i skierował na północ wzdłuż rzeki Hudson. Ponieważ lotnisko przeznaczone było dla prywatnych samolotów, nie trzeba było przechodzić przez wykrywacze metalu i inne podobne zabezpieczenia. Cały zespół bez trudu mógł więc przenieść broń, na którą zresztą miał w kilku stanach pozwolenie.

Podobnie jak łodzie, samochody i broń palna - rzeczy niezbędne przy ochronie - żaden helikopter nie nadawał się do wszystkich zadań. Na jego wybór, oprócz szybkości i liczby miejsc, wpływ miały pojemność luku bagażowego, zwrotność i zasięg. Long Ranger został zaprojektowany tak, by szybko i bez kłopotów przewozić ludzi i ładunek w miejsca

64

L

niedostępne lub odległe. Często używała go policja i służby ratunkowe, chociaż cieszył się popularnością także wśród biznesmenów. Mógł bez trudu zabrać siedem osób, wliczając w to pilota, którym był Roberto. Osiągał maksymalną prędkość dwustu trzech kilometrów na godzinę i miał zasięg pięciuset osiemdziesięciu kilometrów. Maksymalna długość lotu na najwyższych obrotach wynosiła zatem około trzech godzin.

Górną granicę pułapu wyznaczała wysokość sześciu i pół tysiąca metrów, ale Roberto zdecydował, że będzie się trzymać tysiąca trzystu metrów nad rzeką. Mżawka zamieniła się we mgłę, zza której wyglądało słońce. Roberto chciał uspokoić Prescottta, umożliwiając mu podziwianie malowniczych pejzaży wzdłuż New Jersey Palisades.

Prescott jednak nie wykazywał zainteresowania widokami. Ignorował wielkie okna z kuloodpornego pleksi. Rozkład foteli w śmigłowcu przypominał ten w furgonetce: dwa rzędy naprzeciwko siebie. Fotele w opancerzonym wozie zostały pomyślane tak, by wytrzymały atak. Natomiast siedzenia w obłożonym kevlarem śmigłowcu były przede wszystkim wygodne - obite miękką skórą, miały poręcze, podnóżki i można je było rozłożyć.

Ubrany w duży kombinezon - i tak opięty na brzuchu i klatce piersiowej - Prescott nie zwracał uwagi na widoki. Zbyt był zajęty odpowiadaniem na pytania Duncana i wyjaśnieniami na temat Jesusa Escobara.

Cavanaugh milczał. Zespół musiał usłyszeć, jak Prescott własnymi słowami opisuje problem. W końcu Duncan spojrział na Cavanaugha.

65

- Chcesz coś dodać?

- Dość dobrze przyjrzałem się napastnikom. Nie widziałem żadnych Latynosów.

- Więc Escobar nie ma uprzedzeń narodowościowych - powiedział przez ramię Roberto. - Czarni też nie zawsze zatrudniają tylko czarnych.

- Atak z takim rozmachem musiał zorganizować ktoś o możliwościach Escobara - stwierdził Cavanaugh.

- Mieli dokładny plan - zauważył Chad. - Udawali bezdomnych, wto pili się w otoczenie. Gdyby pan Prescott opuścił magazyn, bez trudu by go porwali. Gdyby zmęczyło ich czekanie, wtargnęliby do środka i wzięli go siłą. Kiedy pojawił się Cavanaugh, zdenerwowali się. Pomyśleli, że należy do zespołu, który ma wydostać pana Prescott, i uznali, że muszą działać.

- Skontaktuję się z DEA i powiem, żeby zatkali przeciek - zdecydował Duncan.

- Na miłość boską, nie mówcie im, że was wynająłem i że macie pomóc mi zniknąć - zaprotestował Prescott. - Ten, kto pracuje tam dla Escobara, powtórzy mu to.

5 - Siła strachu

- Niech się pan nie martwi - uspokoił go Duncan. - Nie zamierzam dopuścić, żeby coś wyciekło ode mnie. Proszę się odprężyć i cieszyć lotem.

- Dokąd mnie zabieracie?

- W bezpieczne miejsce.

Helikopter poleciał na północ wzdłuż rzeki Hudson jakieś trzysta kilometrów. Mijali miasta i miasteczka. Za Kingston skręcili na zachód, w niskie góry Catskill, gęsto zalesione i pełne malowniczych dolin.

- Patrzcie! - Cavanaugh wskazał słup dymu nad przełęczą na północy.

- Tak. Wiosna była sucha - zauważył Duncan.

- Słuchałem komunikatów radiowych - powiedział Roberto przez ramię. - Nie było tu deszczu. Tylko burza. Uderzył piorun, zaproszył ogień. Niewielki, już go opanowali.

Duncan skinął głową i spojrział na niebo za nimi.

- Ktoś nas śledzi?

W helikopterze było mnóstwo nowoczesnych urządzeń elektronicznych, w tym potężny radar, który namierzyłby każdy samolot trzymający się ich ogona.

Roberto postukał w klawisze i przyjrzał się ekranowi.

- Nada.

- Zrób to - rozkazał Duncan.

Roberto przeleciał nad przełęczą i opuścił się w niedużą dolinkę zarośniętą iglakami.

- Proszę spojrzeć w dół, panie Prescott - powiedział Chad. - To pana zainteresuje.

Śmigłowiec zniżał się coraz bardziej.

- Na co mam patrzeć? - spytał Prescott. - Widzę tylko jodły.

- O to właśnie chodzi. - Trący zaśmiała się.

- Ciągłe nie... - Prescott spoglądał przez okno.

Roberto, manewrując sterami, wcisnął przycisk.

- A teraz?

- Nie... Ostrożnie. Zaraz uderzymy w drzewa! Dobry Boże!

Ze swojego miejsca Cavanaugh nie mógł widzieć tego, co Prescott, mimo to wiedział, co się dzieje. Fragment lasu o powierzchni trzydziestu metrów kwadratowych zaczął się przesuwać. Niespodziewanie między drzewami pojawił się asfalt.

-Co, do...

66

- Najlepsza dostępna na rynku siatka maskująca - powiedział Duncan. - Nawet z tak niewielkiej wysokości trudno odróżnić iluzję od rzeczywistości.

Śmigłowiec usiadł na lądowisku. Roberto wyłączył silnik. Pasażerowie odpięli pasy i wysiedli.

- Ostrożnie - powiedział Cavanaugh. Czując podmuch wirujących łopat, przygiął Prescottta do ziemi.

Ruszyli do skrzynki na słupku między drzewami na skraju lądowiska. Duncan otworzył ją kluczem.

- Musimy poczekać, aż śmigło się zatrzyma. Inaczej podmuch mógł by wessać siatkę między łopaty.

Nacisnął przycisk. Dał się słyszeć szum elektrycznego silnika.

Prescott ze zdumieniem patrzył, jak realistycznie naśladowująca gęste jodły siatka wraca na miejsce.

Podtrzymywana przez solidne słupy sunące po szynach przykryła ich i zasłoniła niebo.

- W zimie, kiedy pada śnieg - wyjaśnił Duncan - czujniki automatycznie składają siatkę, żeby się nie uszkodziła. Kiedy grzałki w asfalcie rozpuszczą śnieg, siatka wraca na miejsce. Śnieg na drzewach szybko ginie, więc kamuflaż nie różni się od otoczenia.

- Powiedziałem kontroli w Teterboro, że lecimy do prywatnej posiadłości w górach - dodał Roberto. - Wszystkie doliny są do siebie podobne. Opis nie był dość dokładny, żeby nas zlokalizowali. Nawet pan nie trafiłby tutaj, gdyby chciał pan wrócić.

- Dzięki radarowi wiemy, że nikt nas nie śledził - powiedziała Trący.

- I nikt nie zobaczy helikoptera z powietrza - dodał Chad. - Może się pan więc uspokoić. Trudno o lepsze środki bezpieczeństwa.

- A co z ciepłem?

Spojrzeli na siebie zdziwieni.

- Słyszał pan o wykrywaczach ciepła? - spytał Cavanaugh.

- Przecież jestem naukowcem. Każdy przedmiot wydziela ciepło.

Samolot albo śmigłowiec z nowoczesnymi czujnikami podczerwieni może je wykryć, stworzyć profil cieplny i zobaczyć, co jest ukryte pod siatką maskującą albo w ciemności.

- Taki sprzęt ma tylko wojsko i policja - powiedział Chad. - Ktoś, kto by go miał, mógłby też wyposażyć swoją maszynę w różne inne zabawki.

- Na przykład karabiny maszynowe i rakiety - dodała Trący.

Prescott zmarszczył czoło.

- To ma mnie uspokoić?

- Chodzi im o to - powiedział Cavanaugh - że równie dobrze może się pan obawiać napalmu i pocisków balistycznych.

67

Prescott spojrział na niego, nie rozumiejąc. Duncan podszedł do naukowca.

- Pierwsza zasada w naszym fachu głosi, że dostosowujemy środki do stopnia zagrożenia klienta. Escobar ma dużo pieniędzy i możliwości, ale nie byłby w stanie w tak krótkim czasie wyposażyć helikopter albo samolot w taki sprzęt. Nie ma czegoś takiego jak idealnie bezpieczna

kryjówka. Nawet wojskowe centrum dowodzenia w górach Cheyenne można zniszczyć, jeśli komuś uda się przeszmyglować do środka walizką bombę atomową. Ale biorąc pod uwagę grożące panu niebezpieczeństwo, Chad ma rację. - Duncan położył Prescottowi rękę na ramieniu. - Bezpieczniejszy pan już nie będzie.

Prescott rozejrzył się wciąż nieswój.

- Gdzie będziemy mieszkać?

- Tam - pokazała Trący.

- Gdzie? Widzę tylko drzewa.

- Niech się pan dobrze przyjrzy.

- Ta górka? Jest za nią jakiś domek czy coś takiego?

- W pewnym sensie. - Cavanaugh poprowadził Prescottta między drzewa.

- Zaraz do was dołączę - powiedział Roberto. - Muszę zatankować śmigłowiec.

Ruszył do pompy obok zamaskowanej szopy na skraju lądowiska.

- Macie tu paliwo? - W głosie Prescottta słychać było niedowierzenie.

- Podziemny zbiornik. Co pół roku przysyłamy tu cysterne, żeby uzupełnić zapasy.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Dolinę spowity cienie. Delikatny wiatr niósł ze sobą zapach jodłowych igieł. Miękką ściółką tłumiła odgłos kroków. Skierowali się w stronę niewysokiej górki. Pomiędzy porastającymi ją krzakami sterczały głazy. Cavanaugh minął jeden i pokazał Prescottowi ukryty w zboczu betonowy tunel.

- To jest ten domek. W pewnym sensie.

Duncan wszedł do tunelu i zatrzymał się przy metalowych drzwiach. Obok w ścianie znajdowała się mała klawiatura. Kiedy Duncan wyciągnął w jej stronę rękę, klawisze zabłyśły słabym światłem. Stojąc tyłem do Prescottta, Duncan wstukał kod.

Zamek otworzył się z trzaskiem. Duncan otworzył drzwi. Zapiszczał alarm.

- Jeśli nie wyłączy się go w ciągu piętnastu sekund - powiedział

Cavanaugh - intruz dostaje dawkę gazu obojędnego.

Duncan odwrócił się do wewnętrznej konsoli i zasłaniając ją przed wzrokiem Prescottta, wcisnął kilka guzików.

68

Alarm zamilkł.

Czujniki ruchu zapaliły światła w całym kompleksie.

- Witamy w bezpiecznym miejscu.

Prescott wszedł powoli do środka. Był jeszcze bardziej zdumiony niż na widok wracającej na miejsce siatki maskującej.

Korytarz prowadził do dużego salonu po prawej. Podłogę wyłożono dębowymi panelami. Pod białymi ścianami stały regały pełne książek, a obok kominka wisiały płótna impresjonistów.

- To kupa ze zbrojonego betonu przykryta ziemią - poinformował go Duncan. - Zamaskowaliśmy załamania. Ponieważ budynek jest do brzo ocieplony, temperatura wewnątrz zawsze wynosi około dwudziestu stopni zimą. We wszystkich pokojach znajdzie pan kominki.

- Elektryczność mamy dzięki bateriom słonecznym - powiedział

Roberto. - W razie awarii włącza się zapasowy generator.

- Wodę do picia czerpiemy ze studni pod bunkrem, więc nie da się jej zatruć. Światło wpada przez szyb wentylacyjny i jest rozprowadzane za pomocą systemu luster, tak że wydaje się, iż pokoje mają okna - dodała Trący. - To jeden z najbardziej energooszczędnych budynków, jakie można sobie wyobrazić.

- Ale zamek przy drzwiach musi mieć zasilanie. Jeśli siądzie prąd, będziemy w pułapce - zauważył Prescott.

- Drzwi można otworzyć ręcznie. Poza tym jest też tu drugie wyjście. - Duncan wskazał metalowe drzwi na końcu korytarza. - Mają klamkę i zasuwę, ale tylko od wewnątrz. Na zewnątrz nie ma nic. Żadnej klamki, żadnej dziurki od klucza. Nie można się przez nie włamać.

Prescott wyraźnie się odprężył.

- Ktoś jest głodny? - Chad zatarł ręce.

- To zależy - powiedziała Trący. - Kto będzie gotował? Ty?

- Nikt inny.

- W takim razie umieram z głodu.

Chad miał opinię doskonałego kucharza.

- Panie Prescott, jest pan wegetarianinem? Jest pan na coś uczulony?

- Mogę jeść wszystko.

Cavanaugh przytaknął w duchu na wspomnienie pólek w kryjówce Prescottta.

- W takim razie będzie bef Strogonow - zdecydował Chad.

69

- Tylko tym razem uważaj ze śmietaną- poprosiła Trący.

- Jeżeli zamierzasz ograniczać geniusza przy pracy...

- Staram się mieć na uwadze swoją figurę.

- Ja też mam na uwadze twoją figurę.

- Słyszeliście?

- Niech oni to sobie wyjaśnią - powiedział Prescottowi Duncan - a pan tymczasem może się zadomowi. Jeśli lubi pan tytoń, mamy pokój z przyborami do palenia.

- Nie. - Prescott wzdrygnął się na myśl o paleniu.

- W takim razie pański pokój jest tam. Trzecie drzwi po lewej. Pewnie chciałby pan wziąć prysznic i przebrać się? Mamy też barek, telewizję satelitarną i saunę. Miał pan ciężki dzień. Może uda się panu zdrzemnąć.

- Co o nim sądzisz? - spytał Cavanaugha Duncan, gdy Prescott zniknął. Chad i Trący zajęli się swoją pracą, a oni dwaj przeszli przez salon do gabinetu.

- Niezbyt silna osobowość, ale za to idealny klient - stwierdził Cavanaugh. - Robił dokładnie to, co mu kazałem. Ma nadwagę i brak mu kondycji, ale potrafi wziąć się w garść. Co prawda niemal się porzygał ze strachu, zaufał mi jednak i nie spanikował. Ogólnie rzecz biorąc, nawet mi zaimponował.

-Coś jeszcze?

- Jest bystry.

- Oczywiście. To biochemik.

- Lubi się uczyć. Zadaje dużo pytań.

- Umawiałem się z nim przez telefon, pieniądze przekazał przez Internet. Upierał się, że nie możemy się spotkać osobiście.

- Teraz wiemy już dlaczego.

- Dlaczego nie powiedział mi, jaki ma problem? - Duncan usadowił

się w wygodnym fotelu za biurkiem.

- Może nie wiedział, czy może nam zaufać. Chciał poczekać, aż będzie mógł stanąć z nami twarzą w twarz.

Duncan zastanowił się nad tym.

- Ale zaufał nam na tyle, żeby powiedzieć, gdzie się chowa. To się nie trzyma kupy.

-Niekoniecznie. Nie mógł do nas przyjść, więc nie miał innego wyjścia. Musiał pozwolić, żeby ktoś z nas zjawił się u niego - powiedział

70

Cavanaugh. - Poza tym przyjrzał mi się dokładnie. Miał zainstalowany system kamer. Gdyby zauważył coś podejrzanego, wystarczyłoby, żeby zamilkł, a ja nie wiedziałbym, gdzie jest.

- Myślisz, że on zdaje sobie sprawę, co to znaczy naprawdę zniknąć?

Jest gotów pogodzić się z konsekwencjami?

- Ma dobrą motywację - stwierdził Cavanaugh. - Gość przez telefon powiedział, że nie przestaną go szukać. Właściwie ja też stałem się zwieryszą.

-Tak?

- Dla tego gościa to chyba sprawa osobista.

Duncan pomyślał przez chwilę. Podniósł słuchawkę telefonu.

- Porozmawiam ze znajomymi z DEA i dowiem się szczegółów.

- Skoro już dzwonisz...

-Tak?

- Kilku bezdomnych pomogło nam w ucieczce. Obiecałem im na jutro ciężarówkę jedzenia i ubrań. Może trochę śpiworów. Duncan się uśmiechnął.

- Będą mieli jak w Ritzu.

Cavanaugh rozebrał swój pistolet. Oprócz osadu spalonego prochu przedostała się do niego deszczówka. Gdy czyścił go na stoliku w salonie, kątem oka dostrzegł ruch. Podniósł głowę i zobaczył Prescottta.

- Przespał się pan? - spytał.

Prescott kiwnął głową.

- Nawet mnie to zaskoczyło. Byłem tak spięty, że bałem się, że będę leżał na łóżku i gapił się w sufit.

- Sen dobrze panu zrobił?

- Kiedy się obudziłem, przez chwilę czułem się wspaniale. Potem...

- Prescott umilkł. Wyglądał, jakby źle się czuł w dżinsowej koszuli i spodniach. Najwyraźniej był przyzwyczajony do garniturów i krawatów. Tym razem jednak ubranie przynajmniej dobrze na nim leżało. Duncan chlubił się tym, że ma w bunkrze różne rozmiary.

- Gdzie są wszyscy? - spytał Prescott.

Cavanaugh naoliwił części sigi.

- Duncan rozmawia przez telefon. Trący jest w pomieszczeniu kontrolnym.

- W pomieszczeniu kontrolnym?

71

- To coś takiego, jak pan miał w magazynie. Wszędzie dookoła są kamery. Trący obserwuje monitory i radary. Ostrzeże nas, jeśli w okolicy pojawi się jakiś samolot albo helikopter. Roberto robi coś przy śmigłowcu. Chad gotuje.

Do salonu napłynął zapach gulaszu.

- A pan? - Prescott spojrział na dżinsowy kombinezon, który Cava-

naugh miał na sobie. - Odpoczął pan?

- Musiałem napisać raport i zrobić parę rzeczy.

- Na przykład to? - Prescott wskazał rozłożony pistolet.

- Nauczono mnie, żeby po akcji od razu przejrzeć sprzęt. - Cavanaugh wsunął lufę w zamek i założył sprężynę. Skierował broń w bok, żeby nie zranić siebie albo Prescottta, gdyby sprężyna się wyrwała.

- Co miał pan na myśli, mówiąc "uwarunkowanie"? - spytał Prescott.

Cavanaugh pokręcił głową, zmieszany.

- Kiedy powiedziałem panu, że to, co pan zrobił, żeby mnie uratować, to jedna z najodważniejszych rzeczy, jakie widziałem - ciągnął Prescott - pan powiedział, że to nie odwaga, tylko uwarunkowanie.

Cavanaugh wsunął mechanizm zamka i zabezpieczył broń. Zastanawiał się przez chwilę.

- Ludzie są odważni, nawet kiedy się boją, ale zmuszają się, żeby zaryzykować życie dla kogoś innego.

Prescott kiwnął głową. Słuchał uważnie.

- Dlaczego to pana interesuje? - spytał Cavanaugh.

-Zajmuję się mechanizmami funkcjonowania ludzkiego mózgu. Tym, jak wydziela hormony i kontroluje zachowanie - powiedział Prescott. -Epinefryna... potocznie nazywana adrenaliną... to jeden z hormonów związanych z uczuciem strachu. Przyspieszone bicie serca. Uczucie gorąca w brzuchu. Drżenie mięśni. Interesuje mnie, jak ktoś taki jak pan przezwycięża te efekty.

- Ja ich nie przezwyciężam.

- Nie rozumiem.

- W Delta Force nauczono mnie z tego korzystać, traktować jako coś pozytywnego.

Prescott słuchał dalej.

- Jeśli założy pan komuś spadochron i każe wyskoczyć z samolotu lecącego na wysokości siedmiu tysięcy metrów, będzie przerażony. Sytuacja zagrożenia życia w dodatku zupełnie nieznana. Ale niech pan go szkoli stopniowo, tak żeby najpierw skakał z coraz wyższych platform do basenu. Potem na bungee. Potem niech go pan nauczy skakać z małych samolotów i niedużych wysokości. Niech pan stopniowo zwiększa wiel-

72

kość samolotu i wysokość skoku. I kiedy już będzie skakał z siedmiu tysięcy metrów, wciąż będzie czuł to przyspieszone bicie serca, będzie miał uczucie gorąca w brzuchu i będą mu drżały mięśnie.

Ale nie będzie przerażony. Będzie wiedział, jak zminimalizować ryzyko. Będzie miał za sobą setki podobnych skoków. Zamiast czuć strach, skoncentruje się jak sportowiec gotowy do startu.

Adrenalina podziała na niego jak zawsze. Ale umysł będzie wiedział, jak ją kontrolować i wykorzystać konstruktywnie.

- Konstruktywnie?

- Przyspieszone bicie serca powoduje, że do mięśni dopływa więcej krwi. Szybszy oddech to większa dawka tlenu. Wątroba produkuje glukozę, zwiększając poziom cukru we krwi. Jednocześnie do krwiobiegu przedostaje się więcej kwasów tłuszczowych. Razem z cukrem stanowią paliwo, dają więcej energii i zwiększają wytrzymałość.

- Zgadza się - powiedział Prescott. - Doskonale pana nauczono.

- Wyszkolono mnie, żebym cieszył się z adrenaliny, doceniał to, co robi, żeby utrzymać mnie przy życiu. Nauczono mnie też myśleć o strzelaniu, pościgu i innych rzeczach, z którymi mieliśmy dziś do czynienia, jako o... może nie do końca zwyczajnych, ale przewidywanych. Wiem, jak reagować. Mogę uczciwie powiedzieć, że ani razu nie czułem dzisiaj tego, co powszechnie nazywa się strachem.

Cavanaugh umilkł. Ani razu? A w magazynie, kiedy szedł po schodach do Prescottta?

- Potężną dawkę adrenaliny - podjął - ale nie strach. Dlatego uważam, że to, co dzisiaj zrobiłem, nie ma nic wspólnego z odwagą. To pan jest odważny.

Prescott zamrugał oczami.

- Ja? Odważny? Nonsens. Przez ostatnie trzy tygodnie, a zwłaszcza dzisiaj, byłem śmiertelnie przerażony.

- O to mi chodzi - powiedział Cavanaugh. - Nie można być odważnym, jeśli się nie jest przerażonym. To, co pan dzisiaj przeżył, było tak dramatyczne, że poruszyłoby nawet doświadczonego agenta. Mogę się tylko domyślać, ile siły woli kosztowało pana przezwyciężenie strachu. Nie sparaliżował pana. Nie wpadł pan w panikę. Obiecał pan, że będzie pan wykonywał polecenia, i tak też było. Jest pan idealnym klientem.

Skrępowany Prescott wbił wzrok w podłogę. Najwyraźniej nie był przyzwyczajony do komplementów.

- Może się pan nie boi, ale ryzykuje pan życie. Dla obcych. Dlaczego pan to robi?

Cavanaugh założył bawełniane rękawiczki i zaczął ładować do magazynka naboje. W barze hotelu Warwick Jamie zadała mu podobne pytanie.

73

- Bo umiem to robić i jestem w tym dobry.

- Nie ma innych powodów?

- Jest coś, o czym zwykle nie mówię. Większość ludzi tego nie rozumie. Może pan zrozumie, bo zajmował się pan uzależnieniami.

- Spróbuję.

- Alkohol, kokaina, heroina, pochodne amfetaminy. Można się uzależnić od wielu rzeczy. Niektórzy żołnierze nie mogą znieść życia w cywilu po zakończeniu służby. Zostają najemnikami albo kontraktowymi agentami CIA. Albo ochroniarzami.

- Albo agentami ochrony?

Cavanaugh rozłożył ręce.

- To tak, jak z kierowcą rajdowym, który jest szczęśliwy, tylko kiedy ściga się na torze z prędkością trzystu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Uderzenie adrenaliny. Żeby je poczuć, musi znieść beczynność przed każdym wyścigiem i po nim. Tak zwykle wygląda nasza praca.

Okresy beczynności. Ale nawet taka beczynność w oczekiwaniu na kłopoty daje kopa. Niechętnie się do tego przyznaję, ale jestem uzależniony.

- Niechętnie?

- Każde uzależnienie to słabość.

W drzwiach pojawił się Chad. Miał na sobie biały fartuch, który wyglądał dość zabawnie na muskularnym ciele rudzielca.

- Podano do stołu - powiedział, naśladując ton filmowego lokaja.

Cavanaugh nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Zbiorę resztę.

Chad wrócił do kuchni, a Prescott spojrział pytająco na bawełniane rękawiczki Cavanaugha.

- Dlaczego włożył pan rękawiczki, kiedy ładował pan...

- Magazynek. - Cavanaugh wsunął go w rękojęść sigy. Jeden pocisk umieścił w komorze. - Ten pistolet wyrzuca puste łuski po wystrzeleniu pocisku. Nie chcę zostawiać śladów.

- Sposób na niewidzialność?

- Gdybym był rycerzem, moje zawołanie brzmiałoby: "Bądź niewi dzialny".

- To, co pan mówił o uzależnieniu - powiedział Prescott - że to sła bość, to nie zawsze prawda. Nie wszystko można opanować.

- Wierzę w siłę woli.

- Czasami to nie wystarcza. Na przykład substancja, którą odkryłem, jest silniejsza niż ludzka wola.

74

- Nie chcę słyszeć narzekań. Jedyny kawałek polędwicy bez kości, jaki znalazłem, był zamrożony i musiałem go odmrozić w mikrofalówce - zastrzegł się Chad.

Wszyscy oprócz Trący, która została w pomieszczeniu kontrolnym, zasiedli do długiego stołu w nowoczesnej kuchni. Na talerzach leżały centymetrowej grubości paski mięsa i zielony makaron polany sosem z grzybami i cebulą. Obok każdego nakrycia stała miseczka sałatki, a na środku stołu przykryty serwetką koszyk z chlebem.

- I nie życzę sobie uwag, że makaron nie jest domowej roboty.

- Trudno mi sobie wyobrazić, żeby ktoś marudził - powiedział Pre scott. - To wygląda i pachnie cudownie.

- Z takim podejściem mogę dla pana gotować codziennie.

- Jesteśmy na służbie - powiedział Duncan - i nie możemy pić wina, ale ten zakaz nie dotyczy pana. Mogę panu zaproponować znakomite ponoć Chianti Classico.

Prescott pokiwał głową.

Roberto założył serwetkę za kołnierz koszuli.

- Rany, od wieków nie jadłem gulaszu.

- To nie gulasz. To bef Strogonow - poprawił go Chad. - Wymyślił go francuski kucharz, który pracował dla rosyjskiego arystokraty, hrabie go Pawła Strogonowa. Jak zwykle facet przy władzy zgarnął wszystko. Nikt nie pamięta nazwiska kucharza, który wymyślił danie.

- Myślałeś kiedyś, żeby znaleźć sobie uczciwą pracę i otworzyć re staurację? - spytał Cavanaugh.

- Cały czas o tym myślę - odparł Chad. - Brakowałoby mi zapachu oliwy do broni.

- Doskonale. - Prescott jadł z imponującym entuzjazmem. - Dodał pan tu czegoś, czego nie mogę określić. Musztarda i kwaśna śmietana, oczywiście. Ale...

Chad patrzył z zaciekawieniem, jak Prescott wkłada kęsy do ust.

- Sos ostrygowy? To czuję?

- Dwie łyżki. Zna się pan najedzeniu.

- Proszę, pańskie wino. - Duncan podał Prescottowi butelkę i posta wił przed nim kieliszek.

Prescott upił łyk. Przytrzymał wino w ustach, oceniając je.

- Zadzwońłem do znajomych w DEA, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o metodach działania Escobara, ale jest niedziela wieczór i nikogo nie złapałem - powiedział Duncan. - Spróbuję jeszcze raz jutro. Tymczasem

75

powinniśmy omówić kilka spraw. - Spojrzał na Cavanaugha, który odłożył widelec i rozpoczął.

- Musi pan wiedzieć, że pańskie zniknięcie będzie miało cztery eta py. Najpierw nowa tożsamość i dokumenty, zwłaszcza świadectwo uro

dzenia i numer ubezpieczenia. Potrzebny jest taki numer, którego nie zakwestionują urzędnicy. Można na przykład przyjąć tożsamość kogoś, kto od dłuższego czasu nie żyje, kogoś, kto nie ma bliskich krewnych. Wystarczy poszukać w prasie informacji o rodzinach, które zginęły w pożarze czy innej katastrofie. Potem trzeba zdobyć numer ubezpieczenia społecznego dziecka, które byłoby w pana wieku, gdyby żyło. W niektórych stanach dołączają ten numer do aktu zgonu. Łatwo je zdobyć, bo są jawne.

- Oczywiście przywłaszczanie sobie czyjegoś numeru ubezpieczenia jest nielegalne - wtrącił Duncan. - Dlatego my tego nie robimy. Instrukujemy tylko klientów, jak mają sobie z tym poradzić.

- Rozumiem - pokiwał głową Prescott.

Cavanaugh kontynuował:

- Przy średnim stopniu zagrożenia to dość bezpieczny sposób.

- Ale nie głupcodoporny. - Roberto otarł usta serwetką i włączył się do rozmowy. - Czasami urzędy zaczynają interesować się numerem, którego nie używano przez lata, aż nagle wypłynął w zeznaniach podatkowych. To oznacza, że oprócz tych, którzy na pana polują, będzie miał pan na głowie rząd ścigający pana za przestępstwo federalne.

- Otóż to - zgodził się Cavanaugh. - Zagrożenie ze strony Escobara jest zbyt poważne, żeby ryzykować, że się pan zdradzi.

- Mamy zamiar zaproponować panu inne rozwiązanie - podjął Duncan. - Drogie. To oznacza, że musiałby pan wyłożyć więcej niż sto tysięcy dolarów, które uzgodniliśmy przez telefon.

- Chcecie podnieść cenę? - Prescott odłożył sztućce.

- Biorąc pod uwagę to, co się dzisiaj stało, nie mamy wyboru.

- Ile?

- Dodatkowe czterysta tysięcy.

Prescott nawet nie mrugnął.

- Sprawdził mnie pan?

- Tak.

- Wie pan, że dzięki moim patentom jestem multimilionerem?

- Wiem.

- Dzięki Protective Services nie jestem w rękach Escobara. Biorąc pod uwagę to, co dla mnie zrobiliście, nie wspominając już o tym - jestem wskazał otoczenie - pół miliona dolarów to niezła cena. Jutro rano załatwię elektroniczny przelew na wasze konto.

76

- Część tej sumy, sto tysięcy - powiedział Duncan - nie może się znaleźć nawet w pobliżu naszego konta. Kiedy pokażemy panu, jak zacierać ślady, przeleje je pan na inne konto. - Przesunął w stronę Prescottta kartkę z numerem konta i nazwą banku.

- To dla specjalisty, który załatwi panu nowiotki numer- powiedział Cavanaugh.

- To nie będzie problem? - spytał Prescott. - Nowe numery nadaje się dzieciom. Czy urzędy nie zakwestionują go, jeśli nagle zacznie się pojawiać na zeznaniach podatkowych?

- Nowe numery dostają także imigranci z zieloną kartą - wyjaśnił

Duncan.

Prescott spojrział na niego z podziwem.

- Sprytne.

- Nasza specjalistka wymyśli panu historię, że pochodzi pan z Kanady, Wielkiej Brytanii, RPA, Australii albo Nowej Zelandii. Z jakiegoś kraju, który pasowałby do pana anglosaskich rysów - wytłumaczył Duncan.

- Specjalistka?

- Karen jest też bardzo ładna. Przygotuje panu szczegółową historię, gdzie się pan wychował, gdzie chodził do szkoły i tak dalej. Będzie się pan musiał tego nauczyć na pamięć, aż sam pan w to uwierzy. Da panu również zdjęcia i informacje, które powinien znać każdy, kto stamtąd pochodzi. Dostanie pan też oczywiście nowe nazwisko, do którego będzie się pan musiał przyzwyczaić. Nowe prawo jazdy ze zdjęciem. Paszport. Karty kredytowe. Może kartę biblioteczną. Wszystko idealne. Bardzo drogie - zakończył Duncan.

Prescott patrzył na niego zafascynowany.

- Ale jak ona to zrobi?

- Gdybym ją spytał, odmówiłaby odpowiedzi albo skłamała.

Duncan sam kłamał, Cavanaugh wiedział o tym. Karen pracowała kiedyś w oddziale Departamentu Stanu, który dostarczał tajnym agentom fałszywe dokumenty.

- Ważne, że robi to świetnie - ciągnął Duncan. - Już szykuje papier. Musi pan tylko zrobić zdjęcie, żeby można je było wkleić do dokumentów. Jutro pojedziemy do Albany, żeby zakończyć sprawę. Przed zachodem słońca będzie pan nowym człowiekiem.

- Powiedział pan, że znikanie ma cztery etapy - powiedział Prescott.

- Jakie są trzy pozostałe?

Duncan spojrział na Cavanaugha i skinieniem głowy oddał mu głos.

- Będzie pan musiał zmienić wygląd. Część da się zrobić łatwo. Przebarbuje pan włosy na czarno. Zapuści pan wąsy albo brodę. Kupi pan

77

sobie okulary. To wszystko jest proste i wystarczyłoby w sytuacji umiarkowanego zagrożenia, ale w pana wypadku mądrze byłoby zdecydować się na operację plastyczną. Zabierzemy pana do naszego chirurga. Kiedy skończy z pańskim nosem i podbródkiem, rodzona matka pana nie pozna.

- Moja matka nie żyje - powiedział Prescott.

- Przykro mi, choć z drugiej strony częściowo rozwiązuje to największy problem.

- To znaczy?

- Wrócę do tego za chwilę. Najpierw trzeci etap, czyli kwestia pieniędzy. Zwykle osoba znikająca musi rzucić pracę, a to znaczy, że pieniądze stają się poważnym problemem.

- Na szczęście nie w pana wypadku, bo jest pan bogaty. - Duncan podał Prescottowi kolejną kartkę. - Jutro, kiedy ustalimy ostatecznie szczegóły pańskiej nowej tożsamości, przeleje pan pieniądze na to konto. Założyliśmy je dla pana na Bahamach. Widzi pan hasło? "Feniks". Nie mogłem się oprzeć, żeby nie wykorzystać symbolu odrodzenia. Kiedy tylko aktywuje pan konto, proszę zmienić numer i hasło, żeby miał pan pewność, że pieniądze są bezpieczne.

- Będzie pan musiał otworzyć jeszcze jedno konto, zwyczajne, na swoje nowe nazwisko w nowym miejscu zamieszkania - powiedział Cavanaugh. - Raz na jakiś czas będzie pan przelewał na nie pieniądze, najlepiej nie więcej niż dziesięć tysięcy dolarów. Większe sumy trzeba zgła

sząć władzom. Lepiej też, żeby nie było to dziesięć tysięcy, bo DEA wyłapuje w ten sposób handlarzy narkotyków. Siedem-osiem tysięcy po winno wystarczyć. Taka kwota nie zwróci niczyjej uwagi.

- Będzie pan musiał wymyślić jakąś historyjkę dla banku - dodał Duncan. - Może dostaje pan regularne wpłaty z funduszu powierniczego. Może przeszedł pan na wcześniejszą emeryturę po sprzedaży firmy i żeby zaoszczędzić na podatkach, wybrał pan ratalne spłaty. Niech pan wymyśli cokolwiek, co będzie panu pasowało.

Prescott napił się wina.

- A czwarty etap? Ten najtrudniejszy?

Cavanaugh spojrzął po kolegach. Wszyscy spuścili wzrok.

- Początkowo nowe życie wydaje się kuszące - powiedział. - Ucieczka przed wrogami. Nowy początek. Szansa naprawienia błędów i rozpoczęcia wszystkiego od nowa. Problem w tym, że najpierw trzeba całkowicie zerwać z przeszłością. Ma pan rodzinę, panie Prescott?

-Nie.

- Byłą żonę? Dzieci w college'u?

- Nie. Moja praca przeszkodziła mi w założeniu rodziny.

78

- Przyjaciółka?

-Nie.

-Chłopak?

- Nie jestem gejem - zirytował się Prescott.

- To niesamowite. Pierwszy raz spotykam kogoś, kto nie ma żadnych powiązań społecznych. Pańska matka nie żyje, a co z ojcem?

- Też nie żyje.

- Innymi słowy, nikt nie będzie za panem tęsknił, jeśli zniknie pan z powierzchni ziemi?

- Mniej więcej. - Prescott spuścił wzrok. - Tak.

- To ułatwia sprawę - stwierdził Cavanaugh - Zerwanie z przeszłością oznacza, że nie mógłby pan już nigdy skontaktować się z rodzicami, gdyby żyli, ani z krewnymi czy przyjaciółmi. Gdyby pan sobie tego życzył, mógłby pan rozpocząć nowe życie z żoną i dziećmi, ale oni tęskniliby pewnie za swoimi przyjaciółmi i rodzinami. W końcu pan albo ktoś z rodziny uległby pokusie i odezwałby się do bliskich. Zwykle jeśli wróg kogoś odnajduje, to właśnie dzięki obserwacji przyjaciół i krewnych, kontroli ich poczty, pod słuchiwaniu telefonów i uważnemu przyglądaniu się zmianom w trybie życia. Na szczęście w tym wypadku to nie wchodzi w grę.

- Ma pan jakieś wymarzone miejsce, gdzie zawsze chciał pan mieszkać? - spytał Duncan. - Kiedy zdecydował się pan zniknąć, miał pan jakieś konkretne miejsce na myśli?

-Nie. - Prescott wyglądał jeszcze bardziej samotnie. Patrzył w kieliszek.

- To dobrze - powiedział Duncan. - Bo gdyby pan miał, pewnie komuś by pan o tym wspomniał. Współpracownikami albo partnerowi w interesach.

- W zwykłej rozmowie - dodał Chad. - "Rany, ale fajnie byłoby mieszkać w Aspen i jeździć na nartach, kiedy tylko człowiek ma ochotę". Więc znika pan i przenosi się pan do Aspen, a chwilę później do drzwi pukają ludzie Escobara.

- Prenumeruje pan jakieś pisma naukowe? - spytał Cavanaugh.
- Kilka.
- Już nie - powiedział Duncan. - Escobar to sprawdzi i zdobędzie listę prenumeratorów. Wyszuka wszystkich, którzy dopiero zmienili miejsce zamieszkania albo zaczęli prenumeratę po tym, jak pan zniknął.
- A chwilę później - Roberto powtórzył słowa Chada - do pańskich drzwi pukają ludzie Escobara.
- Lubi pan grać w golfa? - spytał Cavanaugh.
- Tak. To jedna z niewielu form ruchu, które...

79

- Już nie. Już nigdy więcej nie wolno się panu zbliżyć do pola golfowego. Escobar pozna wszystkie pańskie nawyki. Jeśli uda mu się dowiedzieć, gdzie się pan przeniósł, każe obserwować pola golfowe, czekając, aż się pan pokaże. Rozumie pan, co próbujemy powiedzieć? Prescott dopił resztkę wina i znów nappełnił kieliszek.
- Kiedy powiedzieliście "nowe życie", to nie była przenośnia. Muszę się całkowicie odciąć od przeszłości.
- Żadnych wyjątków - podkreślił Cavanaugh. - Ubrania, jakie pan lubi. Muzyka, jedzenie. Będzie pan musiał zmienić wszystko. Ulubione książki. W magazynie miał pan ze sobą wiersze Robinsona Jeffersa i kilka książek o nim. Odtąd nikt nie może przyłapać pana na czytaniu Jeffersa.
- To brzmi... - Prescottowi załamał się głos - przygnębiająco.
- I dla wielu ludzi takie właśnie jest, kiedy w końcu zdają sobie sprawę z wszystkich następstw zniknięcia - powiedział Duncan. - Musi się pan przygotować i stawić temu czoło już teraz. Jak bardzo boi się pan Escobara? Jest pan gotów zrobić wszystko, byle przed nim uciec? Prescott pociągnął długi łyk wina.
- Mam już dość życia w strachu. Tak. - Twarz mu się ściągnęła. - Jestem gotów zrobić wszystko, co będzie trzeba.
- Dobrze - powiedział Duncan. - Jutro zabierzemy pana do Albany, do Karen. Zrobimy panu zdjęcie i odbierzemy nowe dokumenty. Do pokoju weszła Trący.
- Może nie.
- Dlaczego? - zmarszczył czoło Duncan.
- W naszą stronę lecą trzy śmigłowce.

8

- Śmigłowce?
- Duncan i Cavanaugh zerwali się na równe nogi. Razem z Chadem i Robertem wybiegli za Trący do pomieszczenia kontrolnego. Monitory na ścianie pokazywały zielono-czarny obraz z kamer noktowizyjnych, rozmieszczonych wokół śmigłowca i bunkra. Wszyscy jednak skupili się na ekranie radaru. Pokazywał poruszające się szybko w ich kierunku trzy punkty. Roberto przyjrzał się im uważnie.
- Tak, prędkość i tor lotu pasują do śmigłowców.
 - Co się dzieje? - Usłyszeli za plecami głos Prescottta.
 - Jeszcze nie wiadomo - odparł Cavanaugh. - Może nie mamy się czym przejmować.

80

- Kiedy tylko pojawiły się na radarze - odezwała się Trący - było jasne, że trzymają się planu lotu, który podaliśmy w Teterboro.
- Zbieg okoliczności? - spytał Duncan.

- Może - odparł Chad. - Nad Hudsonem jest sporo małych lotnisk, nie wspominając o dużym w Albany. Mogą wylądować na którymś. Chociaż, może to politycy w drodze do stolicy stanu.

- Może - powiedziała Trący. - A może nie.

- Co robimy? - spytał Prescott.

Nikt się nie odwrócił.

- Jeśli to ludzie Escobara - powiedział Roberto - nie trafią tu na podstawie informacji z Teterboro. W okolicy jest dużo gór i dolin. Nawet w dzień mogliby szukać w nieskończoność i nic by nie znaleźli.

- Patrzcie. - Trący wskazała na ekran. Plamki rozdzieliły się, skręcając na zachód od rzeki.

- Lecą w góry - zauważył Chad.

- Rozdzielają się - stwierdził Cavanaugh. - Nie marnują czasu. Przechesują doliny pojedynczo.

- Ale nawet przez noktowizor nie zobaczą nic, co by nas zdradziło - zauważył Roberto. - Jak dla nich, to wylądowaliśmy na farmie i schowaliśmy helikopter w stodole. Przeszukanie wszystkich farm w okolicy zajmie im kilka tygodni.

- Poza tym jeśli lecą z Teterboro, za jakąś godzinę będą musieli za tankować - zauważył Cavanaugh.

- Patrzcie. - Trący znów wskazała na ekran.

Trzy plamki na radarze latały w tę i z powrotem, każda nad swoim obszarem.

- Są systematyczni - powiedział Duncan.

- Ale robią to bardzo szybko - zauważył Cavanaugh. - Nawet z noktowizorem musieliby lecieć wolniej, żeby mieć pewność, że nic nie przeoczyli. Trzy plamki przeskakiwały z obszaru w obszar.

- Rany... Tak szybko nie da się sprawdzić całej doliny nawet w dzień

- powiedziała Trący.

- Chyba, że nie używają noktowizorów - zasepił się Chad.

- To znaczy?

- Szukają w inny sposób.

Nagle zrozumieli. Obejrżeli się na Prescott. Jego ciemne szeroko otwarte oczy kontrastowały z bladą twarzą. Cavanaugh znów spojrział na ekran.

81

- Czujniki podczerwieni? Sensory termiczne?

Punkty przesunęły się jeszcze dalej.

6 - Siła strachu

- Dios - powiedział Roberto. - To wszystko wyjaśnia. Szukają wzorca cieplnego helikoptera. Silnik ostygł, ale na skanerze termicznym metal wygląda inaczej niż drzewo czy ziemia. Dostrzegą kształt śmigłowca na tle lasu.

- Poza tym - dodała Trący - lądowisko jest ciągle nagrzane od słońca.

- A ciepło okolicznych domów ich nie zmyli? - spytał Prescott.

- Nie - odparł Duncan. - Dom czy samochody mają zupełnie inne wzorce ciepłe niż helikopter. W dodatku ta dolina jest na tyle nieprzystępna, że nie ma tu żadnych farm. Lądowisko będzie wyraźnie widoczne na tle lasu.

Prescott przepchnął się do radaru. - Kiedy tu będą?

- Przy odpowiedniej wysokości są w stanie przeszukać teren bardzo szybko. W tym tempie będą tu za dziesięć minut - powiedziała Trący.

- To niemożliwe - stwierdził Duncan.

- Jak to niemożliwe? - W głosie Prescott pojawiła się panika. - To się dzieje na waszych oczach!

- Nawet ktoś tak bogaty jak Escobar nie dałby rady tak szybko zdo-
być trzech śmigłowców z sensorami termicznymi - zauważył Duncan. -
To sprzęt do zadań specjalnych. Żeby go mieć, trzeba przygotować plan,
a Escobar nie miał powodu spodziewać się pościgu helikopterami.
- Więc skąd, do cholery, wziął sensory termiczne? - spytał Chad. -
To bez sensu. Chyba że...
- Co takiego? - spytał Roberto.
- To nie są ludzie Escobara. - Duncan odwrócił się do Prescottta. -
Obawia się pan jeszcze kogoś? Jeszcze ktoś mógłby pana ścigać?
- Nikt. Jeśli te helikoptery nie należą do Escobara, to nie mam poję-
cia, do kogo.
Punkty na ekranie radaru przesunęły się dalej. Były coraz bliżej.
- Kimkolwiek są, mają dobry sprzęt - powiedział Duncan. - Co jesz-
cze mają w tych helikopterach?
- Może czas zacząć się martwić o rakiety, o których wspominaliśmy
- zasugerował Chad.
- Chwila prawdy - powiedziała Trący. - Trzeba podjąć decyzję.
- O czym ona mówi? - spytał Prescottt.
- Zostajemy czy uciekamy - wyjaśniła Trący. - Jeśli zostaniemy, nie
wiemy, czy nie uda im się dostać do środka. Ale jeśli będziemy uciekać...
- Nie możemy uciec helikopterem - powiedział Roberto. - Jeżeli
mają sensory termiczne, musimy założyć, że mają też radary. Zauważą
nas zaraz po starcie.
- A jeżeli pana Prescottta nie będzie w środku? - zasugerował Dun-
can. - Jeżeli wystartujesz jako przynęta?

82

- Mogą mnie zestrzelić.
- Nie - powiedział Cavanaugh. - Nie będą strzelać. Nie, jeśli będą
myśleć, że Prescottt jest na pokładzie. Chcą go żywego. Kiedy gonili mnie
autostradą, mogli mnie zastrzelić, ale tego nie zrobili. Nie chcieli, żeby
Prescottt zginął. Możesz ich bezpiecznie odciągnąć.
- Reszta uciekłaby dziupem. - Chad miał na myśli jeden z dwóch
wozów w podziemnym garażu.
- Obydwoma - sprostowała Trący. - Jeden mógłby być tylko kolej-
nym wabikiem. Przynajmniej jeden helikopter będzie szukać wzorców
cieplnych i polecą za nami. Będą się musieli rozdzielić. Jeśli uda nam się
dotrzeć do autostrady - autostrada stanowa biegła trzydzieści kilome-
trów na wschód od bunkra - nie będą wiedzieli, który samochód mają
gonić.
Punkty na radarze przesunęły się wciąż w kierunku centrum. Spojrzeli na Duncana.
- Jeśli uciekniemy, nie będą do nas strzelać, bo chcą dostać pana
Prescottta żywego. Jeśli zostaniemy, będą go mieli w pułapce. To chyba
przesądza sprawę? - spytał.
Czekali w milczeniu.
- Ruszamy - zdecydował Duncan.
Nie musieli ustalać, co robić. Chociaż mieli przy sobie pistolety, zdjęli kamizelki kuloodporne.
Teraz szybko przenieśli się do składu broni obok centrum kontroli. Tam na stole leżały kamizelki.
- Przyda się panu. - Cavanaugh włożył jedną Prescotttowi. - Na wy-
padek gdyby jakaś złąkana kula trafiła na pana.
Wzięli ze sobą karabinki szturmowe AR-15. Teoretycznie AR-15, cywilna wersja wojskowego

M-16, mógł strzelać tylko w trybie półautomatycznym -jeden pocisk za jednym pociągnięciem spustu. Tak stanowiło prawo federalne. Te jednak karabiny zostały zmodyfikowane, tak że mogły strzelać seriami. Na wszelki wypadek tryb automatyczny można było wyłączyć za pomocą małej dźwigni z boku. Broń wyglądała wtedy jak legalna. Nikt nie poznałby, że ją zmodyfikowano. Prescott z twarzą szarą jak popiół też sięgnął po karabin.

- Nie - powiedział Chad. - Fajerwerki proszę zostawić nam. Mógł by się pan postrzelić w stopę.

- Albo trafić kogoś z nas - dodała Trący.

83

- A jeśli będę musiał się bronić? Powinienem przynajmniej wiedzieć, jak się tym posługiwać.

- Jeśli to będzie konieczne, to niech Bóg ma nas w swojej opiece - powiedział Roberto. - Niech pan nie dotyka karabinka, dopóki nie padniemy i nie będzie pan miał innego wyjścia. Opiera pan kolbę o ramię, kieruje lufę na cel. Wystarczy nacisnąć spust. Jeśli pocisk się zatnie, pociągnie pan za tę dźwignię z boku, żeby wyrzucić go z komory.

- AR-15 często kopie - dodał Cavanaugh. - Jeśli się nie uważa, po dziurawi niebo. Niech pan przyciska lufę w dół, w stronę celu. Będzie pan pamiętał?

- Mam nadzieję, że nie będę musiał.

Chad pobiegł do kuchni, żeby sprawdzić, czy kuchenka i piekarnik są wyłączone. Narzucili na siebie wiatróvky, chcąc ukryć kamizelki kuloodporne. Duncan otworzył drzwi. Gdy wybiegli z bunkra w zimną noc, Cavanaugh usłyszał warkot zbliżających się helikopterów.

- Powodzenia, Roberto. - Jasne włosy Trący załśniły w świetle pa dającym przez zamykające się drzwi.

- Paliwa wystarczy im na godzinę, a ja mam pełny zbiornik. Ucieknę. - Roberto zniknął w mroku. -Adios.

- Chodź, Prescott. - Cavanaugh ruszył w prawo, w stronę ukrytego w zboczu wejścia do podziemnego garażu. - Trzymaj się blisko mnie. Dobiegł do drzwi garażu i obejrzał się za siebie.

- Prescott?

Unosząc broń, Duncan, Chad i Trący też się odwrócili. Warkot helikopterów był coraz bliżej.

- Co się stało? - spytał Chad. - Gdzie on się podział?

- Ostatni raz widziałem go... - Duncan spojrzał na wejście do bunkra. - Nie mówcie, że został w środku:

- Pójdę po dzipy - powiedziała Trący.

- Prescott! - zawołał Cavanaugh.

Tunel zasłonił przed wzrokiem pilotów słabe światelko, które włączyło się, kiedy Duncan podbiegł do klawiatury przy drzwiach.

- Prescott! - Cavanaugh przeszukiwał wzrokiem okoliczne zarośla.

Za sobą usłyszał stłumiony warkot drzwi do garażu.

Na końcu korytarza pojawiło się światło. Duncan wpadł do bunkra.

- Może jest w krzakach - powiedział Chad. - Strasznie się zdenerwował, kiedy zobaczył ten radar. Może mu się zbuntował żołądek.

-1 gdzieś rzyga - dodał Cavanaugh. Przeszukiwał zarośla, ciągle nawołując.

- Prescott!

84

Za nim Trący wyprowadziła na rampę pierwszego dzipa.

Helikoptery były już bardzo blisko. Cavanaugh uświadomił sobie nagle, że nie słyszał startu Roberta. Szybciej, Roberto! Jeśli się nie pospieszysz, to im nie uciekniesz.

- Prescott! - Odgarniając gałęzie, Chad przeszukiwał krzaki. Trący wyskoczyła z dżipa i wróciła do garażu. Cavanaugh przyzwyczaił się już do ciemności. W świetle gwiazd widział i mógł omijać przeszkody. Minał wejście do bunkra. Zaczął przedzierać się przez jodły w stronę lądowiska.

- Prescott!

Siatka maskująca wciąż była na swoim miejscu, tak jak i przypominający czarną ważkę śmigłowiec. Silnik Bella milczał, łopaty nie ruszały się.

Cavanaugh zmarszczył nos. W nozdrza uderzył go ostry zapach paliwa lotniczego. Nocne powietrze było nim przesiąknięte.

Nie zauważył zwalonej kłody i upadł. Żeby nie zabrudzić lufy karabinka, przekręcił się, tak że uderzył o ziemię plecami i barkiem. Wykorzystując siłę odśrodkową odbił się i stanął na ugiętych nogach. To, co wziął za kłodę, wcale nią nie było.

Roberto leżał bez ruchu. Księżyc dawał dość światła, żeby Cavanaugh zobaczył otwarte oczy i czarną kałużę krwi wokół rozbitej głowy.

Noc rozbłysła raniącym oczy blaskiem, kiedy zapaliły się opary paliwa. Płomienie odbiły się od węża pompy, który leżał na ziemi, wypluwając ciecz w las. Między drzewa pomknęła ściana ognia. Siła podmuchu odrzuciła Cavanaugha do tyłu.

Nim uciekł, zobaczył, jak pożar obejmuje helikopter. Siatka maskująca zniknęła w jednym rozbłysku. Blask był tak jasny, że Cavanaugh widział igły na gałęziach jodeł i chropowatą korę na pniach. Biegając w stronę bunkra, usłyszał chrzęst suchego igliwia pod stopami i ryk goniących go przez las płomieni.

- Prescott!

Chociaż huk ognia zagłuszył krzyk Cavanaugha, nie był dość głośny, by stłumić odgłos zbliżających się szybko śmigłowców. Cavanaugh przyspieszył i zobaczył oba dżipy, które Trący wyprowadziła z garażu. Ona i Chad stali przy samochodach z karabinkami w ręku. Osłupiali patrzyli na rozprzestrzeniające się w zawrotnym tempie płomienie.

W następnej chwili już ich nie było. Pocisk wystrzelony z helikoptera trafił w dżipy. Eksplozja rozrzuciła wokół kawałki metalu i strzępy ciał.

Szok i fala uderzeniowa prawie przewróciły Cavanaugha. Nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Z bunkra wybiegł Duncan. Na jego widok uwarunkowanie przejęło kontrolę nad Cavanaughem. Zaciskając dłonie

85

na karabinku, rzucił się w stronę szefa. Oszołomiony Duncan patrzył na ogarniający drzewa pożar.

- Prescottta nie ma w środku! - Duncan odwrócił się i spojrzał na krater w miejscu, gdzie przed chwilą stały dżipy. - Chad i Trący...

- Oberwali!

- Sukinsyn! - Gniew na twarzy Duncana zamienił się w niepokój. Usłyszał wizg pocisku wystrzelonego z helikoptera i mknącego w stronę płomieni.

10

Zanurkowali w otwarte drzwi bunkra na ułamek sekundy przed tym, jak przed wejściem wybuchł drugi pocisk. Miejsce, gdzie stali przed chwilą, pokrył grad odłamków i płonących gałęzi.

Duncan zatrzasnął drzwi.

- Myślałem, że Escobar chce Prescottta żywego! - Bunkier zatrząsł się od następnego wybuchu. - Jak może mieć pewność, że nie zabije go razem z nami?

- Roberto też nie żyje! - Cavanaugh podniósł się z ziemi i ruszył do centrum kontrolnego.

- Co takiego?! - Ściskając karabinek w dłoni, Duncan pobiegł za nim.

- Ma roztrzaskaną czaszkę!

- Chryste, co tu się dzieje?!

Wbiegli do pomieszczenia i spojrzeli na monitory. Chociaż Trący zostawiła wszystko włączone, na

niektórych ekranach było pusto. Ogień zniszczył kamery. Kilka innych zgasło na oczach Cavanaugha. Wciąż jednak działało dość kamer, żeby zobaczyć, że pożar objął już jedną trzecią terenu wokół bunkra.

Jedna z kamer pokazywała nadlatujące śmigłowce.

Cavanaugh poczuł, że coś drapie go w nos.

- Czujesz dym?

- To z wentylacji. - Duncan przekręcił przełącznik. - Już. Wyłączyłem go. Powietrze z zewnątrz już się tu nie przedostanie. Tlenu wystarczy nam na kilka dni.

Cavanaugh kiwnął głową.

- Nie będziemy musieli zostać tu tak długo. Helikoptery w końcu będą musiały zatankować. Już nie wrócą. Pożar i wybuchy ściągną policję i ekipy ratunkowe.

-Nie mogli liczyć, że nikt tego nie zauważy. Nie rozumiem, dlaczego Escobar działa tak desperacko.

86

- Może miałeś rację. - Cavanaugh patrzył na monitory. Niektóre kamery miały problem z przystosowaniem obiektywów do rażącego blasku ognia.

Kilka pokazywało tylko lśniące zielone plamy. - Może to nie Escobar.

- Więc kto?

Dym w pomieszczeniu zaczął drapać Cavanaugha w gardło.

- Myślałem, że wyłączyłeś wentylację.

- Sam widziałeś.

- W takim razie skąd ten dym?

Z kratki wywietrznika w suficie buchnął gęsty kłęb.

- Czuję...

- Paliwo lotnicze. - Cavanaugh wypchnął Duncana na korytarz przed centrum kontrolnym. W tej samej chwili z wywietrznika buchnęły płomienie, rozpełzając się po suficie.

Poczuł na plecach uderzenie gorąca. W kratce nad nimi też pokazał się ogień.

Duncan zakaszłał.

- Ogień musiał przedostać się do wentylacji, zanim ją odciąłem.

-Nie! Spójrz tam, w centrum kontrolnym! Górny monitor po lewej!

Mimo dymu i ognia na suficie Duncan dostrzegł ekran. Pokazywał szczyt bunkra. Pożar jeszcze tam nie dotarł, a mimo to z szybu wentylacyjnego buchał dym.

- Jak, do cholery, paliwo dostało się do szybu? - spytał Cavanaugh.

Kłęby przesłoniły już sufit.

-Nie możemy wyjść od frontu! - Kaszłąc, Duncan wskazał na monitory.

Ekran na samej górze pokazywał obraz z kamery zamontowanej w korytarzu i skierowanej na las. Teraz widać było na nim tylko płomienie.

Za to monitor tuż obok pokazywał tylne wejście. Drzewa i krzaki wokół były nietknięte przez płomienie. - Pożar jeszcze tam nie dotarł.

Zgięty wpół Cavanaugh przebiegł przez zadymioną kuchnię i salon. Dopadli z Duncanem korytarza i ruszyli na prawo, do tylnego wyjścia.

Duncan przekręcił dźwignię i otworzył drzwi. Z bronią gotową do strzału Cavanaugh ruszył za nim do lasu. Wiatr pożaru smagał już gałęzie drzew, a leśne cienie rozpraszał blask trzaskających po prawej płomieni. Wtem Duncan runął do tyłu na Cavanaugha. Upadli obaj. Tunel wypełnił się hukiem wystrzałów. Ogień wylotowy z lufy migotał jak stroboskop, pociski rykoszetowały od ścian. Duncan krzyknął.

Ogień umilkł tak samo nagle, jak się rozpoczął. Wszędzie wokół unosił się smród kordytu.

Przygnieciony ciałem Duncana Cavanaugh jęknął, czując ból w lewym barku. Spomiędzy drzew dobiegł go zgrzyt metalu.

87

Ktoś próbował wyrzucić z komory karabinka nabój, który się zaciął. Pożar oświetlił las i Cavanaugh zobaczył przykucniętego w krzakach Pre-scotta. Zerkając w panice na płomienie, trzymał w rękach AR-15 -prawdopodobnie zabrał go Robertowi - i mocował się wściekle z zamkiem.

- Duncan - wykrztusił Cavanaugh,

Cisza. Ból w ramieniu wzmagął się. Cavanaugh wyczołgał się spod Duncana. Poczł mdlący zapach krwi.

- Duncan, rusz się!

Miał rozpaczliwą nadzieję, że Duncan nie jest poważnie ranny. Gdy jednak spojrzł na zmasakrowaną twarz, nie miał wątpliwości.

- Duncan! - Rzucił karabinek i odciągnął przyjaciela z powrotem do bunkra. Chciał zdążyć, zanim Prescott odblokuje zamek. Im bliżej był drzwi, tym większe gorąco czuł na plecach.

Zgrzytanie ustało.

-Nie! - Z rozpaczliwym wysiłkiem Cavanaugh przeciągnął Duncana przez drzwi. Seria z karabinka przeszła powietrze nad jego głową. Kule uderzyły w sufit i w podłogę. Zatrzasnęła drzwi, zanim Prescott zapanował nad bronią, tak jak go tego nauczył. Pociski uderzyły w drzwi.

- Duncan. - Lewe ramię bolało go coraz bardziej. Ignorując kaszel, zajął się na Duncanem. Szukał pulsu, choć wiedział, że go nie znajdzie.

-Duncan!

11

Gniew walczył w nim z zalem. Był zbyt wściekły, żeby bać się o własne życie. Chciał tylko tłuc w twarz Prescottta, aż stanie się tak samo nie-rozpoznawalna jak Duncana. Wziął się w garść. Po raz ostatni spojrzł na przyjaciela i skulony pobiegł do salonu. Nie mógł wyjść tylnym wyjściem. Korytarz był jak strzelnica - skupiał pociski na celu. Dopóki Prescott pamiętał, żeby celować w dół, nie miał szans. Żył tylko dlatego, że Duncan wziął na siebie całą serię.

Cavanaugh z trudem powstrzymywał kaszel. Kula trafiła go w bark, między paskiem kamizelki a szyją. Wpadając do kuchni, dotknął mięśnia nad obojczykiem i spojrzł na dłoń. Była umazana krwią.

Padł na kolana i zachłysnął się stosunkowo czystym powietrzem przy podłodze. Zerwał się na równe nogi i pobiegł do arsenału. Musi wyjść od frontu. Kamery jednak pokazywały tam ścianę ognia. W podłodze arsenału było wejście do tunelu wychodzącego przy lądowisku, ale ponieważ tam paliło się najbardziej, Cavanaugh nie wiedział, czy da się tamtędy uciec.

88

W dymie i gorącu odepchnął stół z kamizelkami kuloodpornymi. Odsunął nogą dywanik i otworzył klapę. Z otworu buchnęły kłęby dymu. Gdyby chciał się schować w tunelu, ogień wysałby całe powietrze i udusił go przed spaleniem.

Bark zeszywniał mu z bólu. Zakręciło mu się w głowie.

Trzeba zatamować krew. I to szybko. Zatoczył się do półki, na której leżało kilka zestawów pierwszej pomocy Pro Med. Zawierały między innymi kłębki gazy wielkości pięści, nazywane stoperami, bo potrafiły wchłonąć do pół litra krwi. Ogień jednak tak się nasilił, że Cavanaugh nie miał czasu porządnie opatrzyć rany.

Zdażył tylko zakleić ją, i to nie opatrunkiem. Złapał rolkę srebrnej taśmy klejącej leżącą obok zestawu pierwszej pomocy. Taśma twoim przyjacielem. Nie wiedział nawet, ile już razy widział zaklejone nią rany. Rozerwał kołnierz. Prawym rękawem wytarł krew wokół rany. Urwał dwa kawałki taśmy i zakleił nią na krzyż dziurę po kuli. Przycisnął opatrunek, krzywiąc się z bólu. Poczł, że klej przylgął do skóry.

Zgięty w pół wybiegł z arsenału i pognął do zadymionej łazienki. Wszedł do wanny i odkręcił prysznic, mocząc włosy i ubranie. Namoczony ręcznik owinał sobie wokół głowy. Ociekając wodą, przedostał się do kuchni. Spod zlewu wyciągnął gaśnicę. Światła zamigotały i zgasły, kiedy zabierał drugą z gabinetu Duncana.

Zataczając się, przeszedł przed salon oświetlony już tylko przez płomień. W korytarzu znalazł trzecią gaśnicę.

Podobnie jak tylne, również frontowe drzwi miały od środka klamkę i zasuwę. Cavanaugh odsunął ją, dotknął klamki i cofnął szybko rękę. Klamka parzyła. Ściągnął rękaw kurtki na dłoń i spróbował jeszcze raz. Wciąż czuł żar, ale już go to nie obchodziło - desperacko chciał uciec z bunkra.

Otworzył drzwi i aż zatoczył się. Przed nim szalało piekło.

12

Rykowi blokujących przejście płomieni dorównywało wycie wiatru. Żar był taki, że groził wyssaniem całego tlenu z bunkra. Pęd powietrza zatrzymał cofającego się Cavanaugha i pchnął go do przodu.

Teraz!

W Oklahomie, kiedy był mały, Cavanaugh widział raz pożar szybu naftowego, przy którym pracował jego ojciec. Nigdy nie zapomniał, jak wysoko sięgały płomienie i jak potworny bił od nich żar. Ogień wybuchł o zachodzie słońca i trwał całą noc. Wszystko wokół było widać jak na

89

dłoni. Pożar nic sobie nie robił ze strug wody z pięciu węży. W końcu ojciec Cavanaugha w kombinezonie przeciwogniowym podjechał buldożerem na skraj pożaru. Uniósł wysoko pług, żeby osłonić się od ognia. Do buldożera przymocowano długi metalowy pręt, na którym zawieszono pęk materiałów wybuchowych podłączonych do detonatora azbesto-wanymi kablami. Ojciec zrzucił je w pobliżu centrum pożaru i wycofał szybko maszynę. Schował się za nią, kiedy któryś z robotników zdetonował ładunki. Fala uderzeniowa eksplozji prawie przewróciła małego Cavanaugha, mimo że stał w dużej odległości. Od huku dzwoniło mu w uszach przez kilka godzin, chociaż zakrył je dłońmi. Ale najbardziej niesamowite było to, że wybuch zgasił pożar.

- Stworzył próżnię, wyssał z ognia całe powietrze - wyjaśnił mu ojciec.

13

Cavanaugh cisnął pierwszą gaśnicę w płomień za wylot korytarza. Zaraz potem drugą, znacznie dalej. Nie miał pojęcia, ile czasu potrwa, zanim płomień naruszą zbiorniki, ale nie mógł czekać. Starał się nie myśleć, czując, jak od ognia za plecami zaczyna się na nim gotować mokre ubranie. Złapał trzecią gaśnicę i rzucił się w piekło szalejących płomieni.

Pierwszy wybuch był jak cios pięścią. Nie zatrzymując się, Cavanaugh rzucił trzecią gaśnicę przed siebie. Następny wybuch go ogłuszył i prawie powalił na ziemię. Nie mógł się jednak zatrzymać, nie mógł poczekać. Wbiegł w ryczące płomienie, a raczej w miejsce, gdzie przed sekundą szalały, bo wybuchy i proszek gaśniczy stłumiły ogień w promieniu kilku metrów. Wreszcie wybuchła trzecia gaśnica i Cavanaugh znalazł się w tunelu pośrodku morza ognia. Wpadł w nietknięte jeszcze pożarem zarośla, potknął się i potoczył, gasząc jęczyczki ognia na kurtce i spodniach. Wyrwa w ścianie płomieni za nim zamknęła się z hukiem.

Czuł pulsujący ból w rękach, nogach i plecach. Pewnie poobijał się przy upadku. Nie dbał o to. Ból oznacza życie. Ból gnał go przed siebie głębokim parowem, tak że zgubił mokry ręcznik, którym owinał głowę. I tak nie miał znaczenia - ogień szybko go wysuszył. Pospiesznie zgasił tłące się włosy rękami.

Znów stracił równowagę i potoczył się po ziemi. Wstał szybko i brnął dalej w ciemność. Słyszał trzask ognia za plecami i łoskot śmigieł helikopterów. Zbliżały się do bunkra od strony, gdzie pożar jeszcze nie dotarł.

Cavanaugh spojrzał w górę i w blasku płomieni zobaczył, jak trzy nieoznakowane śmigłowce zniżają się nad szczyty drzew i spuszczaają

90

liny. Zaczęli się po nich opuszczać mężczyźni w czarnych mundurach, po pięciu z każdego helikoptera. Sprawnie i szybko zjechali na ziemię. Na głowach mieli hełmy ze słuchawkami i mikrofonami, a przez plecy przerzucone krótkie pistolety maszynowe.

Zniknęli między drzewami. Cavanaugh ruszył dalej przed siebie parowem. Zobaczył dość, by dojść do wniosku, że żaden boss narkotykowy - nawet Escobar - nie mógł przysłać tak szybko oddziału równie świetnie wyszkolonych ludzi. Takie umiejętności zdobywało się tylko w wojsku, i to nie w każdej formacji. Komandosi, których widział, byli żołnierzami oddziałów specjalnych, tak jak Cavanaugh.

Z bijącym wściekłym sercem spojrzał w górę. Zobaczył, że śmigłowce wznoszą się i rozdzielają, otaczając pożar ze wszystkich stron. Zrozumiał, że jeszcze nie jest bezpieczny. Myśliwi w helikopterach za pomocą sensorów termicznych szukali teraz kogoś, kto mógł uciec z pożaru. Cavanaugh nie ośmielił się biec. Gdyby tylko wykryły go czujniki, dowodzący akcją wysłałby za nim ludzi, a oni otoczyliby wskazany obszar.

Uświadomił sobie, że chcąc ocalić życie, musi się cofnąć jak najbliżej ognia, żeby ukryć swój wzorec cieplny. Odwrócił się i potykając, ruszył w górę parowu, w stronę wybuchających płomieniami drzew. Odgłosy płonących gałęzi przypominały wystrzały. Cavanaugh miał nadzieję, że eksplozje gaśnic mogły uchodzić za naturalne dźwięki pożaru. Poczul gorące powietrze. Próbował dodać sobie otuchy, przekonując się, że jest teraz niewidzialny dla sensorów śmigłowców.

Żar jednak był tak straszny, że nie przeżyłby, gdyby podszedł bliżej. Ściana ognia przesuwiała się coraz szybciej. Cavanaugh zawrócił i zaczął przed nią uciekać. Trzymał się pożaru, cały czas na krawędzi śmierci. Przed oczami zaczęły mu latać czarne plamy. Odslonięte partie skóry miał wyschnięte i poparzone. Nigdy w życiu nie był tak spragniony. Nie wolno mu było jednak o tym myśleć. Musiał trzymać się w stałej odległości od ognia i obserwować ściany parowu, wypatrując komandosów. Pewnie rozdzielili się i otoczyli pożar, usuwając mu się z drogi, tak jak Cavanaugh. Polowali na kogoś, kogo mogły nie wykryć sensory helikopterów.

Ścigany językami ognia, Cavanaugh zaczął się potykać. Podłoże było nierówne. Z trudem prostował kolana. Oddychał szybko, wciągając do płuc resztki powietrza. Nogi znów odmówiły mu posłuszeństwa. Tym razem stracił równowagę i upadł. Stoczył się na dno parowu i uderzył bokiem o gałąź. Krzywiąc się z bólu, chciał wstać i zamarł. Spomiędzy drzew po prawej wyłonił się komandos z pistoletem maszynowym w rękach.

Słyszając trzask, mężczyzna odwrócił się gwałtownie. W tej samej chwili Cavanaugh zanurkował w szczelinę między piaszczystą skarpą i gałęzią,

91

0 który uderzył. Przywarł do ziemi, rozpaczliwie starając się rozplynać.

Miał nadzieję, że pokryty sadzą będzie wyglądał z daleka jak zwykły gałąz albo zmurszały pień.

Kiedy się chowasz, nigdy nie patrz na człowieka, który cię szuka. Tego nauczyli go w Delta Force. Myśliwy może zobaczyć błysk oczu albo po prostu wyczuć spojrzenie. Patrz obok niego. Obserwuj go kątem oka.

Tak zrobił też teraz. Wbił wzrok w przeciwległą ścianę parowu, żeby niewyraźna sylwetka schodzącego komandosa uttrzymała się na skraju pola widzenia. Mężczyzna zatrzymał się, jakby obserwował ogień. Cavanaugh gotów był strzelić, gdyby zainteresował się gałęzią, za którym się ukrywał. Komandos stał jeszcze przez chwilę. Za długo. Cavanaugh już miał pociągnąć za spust, kiedy tamten odwrócił się, wspiął na zbocze

1 ruszył wzdłuż ściany pożaru.

Płomienie były coraz bliżej. Przyduszony falą gorąca, Cavanaugh poczołgał się do przodu, przemykając od gałęzi do gałęzi. Uciekał przed ogniem, ale nie mógł przyspieszyć. Komandos w każdej chwili mógł się obejrzeć i zauważyć ruch. Żar był już taki, że oddychając, Cavanaugh parzył sobie język i gardło.

Śmigłowce wciąż wisiły nad drzewami, wypatrując śladu uciekającego człowieka. Cavanaugh poczołgał się szybciej, czując gorąco rozgrzanych podeszew butów. Był za nisko, żeby widzieć, czy na skraju parowu zaczęli się inni komandos. W tej chwili najważniejsze było nie zginąć w płomieniach.

Wczołgał się pod nawis wymyty przez wodę. Wtem pomiędzy spajających go korzeni na Cavanaugha posypał się piach. Zesztywniał i wyobraził sobie stojącego nad nim komandosa z bronią w ręku. Przestraszył się, że nawis może nie wytrzymać jego ciężaru i komandos na niego spadnie. Żołnierz przestąpił z nogi na nogę, a na głowę Cavanaugha posypało się jeszcze więcej ziemi.

Z całych sił starając się nie kaszleć, Cavanaugh przygotował się do strzału. Dym stał się jednak tak gęsty, że musiał wstrzymać oddech. Komandos też musiał to zrobić. Pytanie, kto ruszy się pierwszy - on czy Cavanaugh. Podczas szkolenia Cavanaughowi udało się raz wstrzymać oddech na cztery minuty w pomieszczeniu wypełnionym gazem łzawiącym. To było jednak wiele lat temu i nieważne, jak bardzo był zdesperowany, wątpił, czy teraz uda mu się powtórzyć tamten wyczyn. Poza tym nie wiedział, czy mężczyzna nad nim nie nosi maski gazowej.

Płomienie były coraz bliżej. Cavanaugh zrozumiał, że za kilka sekund będzie musiał wyturlać się spod nawisu i zastrzelić komandosa, żeby móc oddychać.

92

A potem co? Reszta usłyszy strzały? Nawet gdyby nie usłyszeli, mężczyzna prawdopodobnie utrzymywał stały kontakt radiowy. Gdyby nie odezwał się o czasie, inni nabraliby podejrzeń i ruszyli na poszukiwania.

To samo zrobiłyby śmigłowce. Przed oczami Cavanaugha zaczęły wirować kolorowe plamki. Miał wrażenie, że helikoptery już lecą w jego stronę. Ich łoskot stał się nagle głośniejszy. Zniżały się nad lasem.

Mężczyzna stojący na nawisie powiedział coś nagłym tonem. Najwyraźniej mówił do radia. Chwilę potem Cavanaugh usłyszał tupot ciężkich butów. Spadło na niego jeszcze kilka garści piachu. Huk śmigłowców się wzmógł.

Cavanaugh nie mógł już dłużej wstrzymać oddechu. Prawie oślepiły od wirujących przed oczami plam wyskoczył ze swojej kryjówki. Uciekając przed dymem, minął kilka głązów. Wreszcie wybiegł na czyste powietrze i odetchnął. Powietrze, mimo że wciąż gorące, miało już niższą temperaturę. Cavanaugh zobaczył pomarańczowe błyski płomieni w kłębach dymu w miejscu, skąd uciekł. Skoncentrował się na ścianach parowu. Celował to w jedną, to w drugą stronę z pistoletu, gotów strzelić, gdyby go ktoś zobaczył.

Nie było nikogo. Słyszając dobiegający z prawej ryk silników, wyrzwał ostrożnie nad krawędź zbocza. W świetle ognia dostrzegł śmigłowce unoszące się sto metrów dalej nad wierzchołkami drzew. Komandosi wyglądali, jakby unosili się w powietrzu. W rzeczywistości jednak wciągały ich automatyczne wciągarki. Była to najsprawniejsza ewakuacja, jaką Cavanaugh kiedykolwiek widział. Śmigłowce błyskawicznie zabrały na pokład wszystkich ludzi i zanim jeszcze zamknięto właz, obróciły się i odleciały na wschód, w góry. W końcu zniknęły w ciemności, tak że słysząc już było tylko ryk pożaru. Cavanaugh mógł wreszcie przed nim uciec.

Brnąc przed siebie, oddychał łapczywie chłodnym powietrzem. Za sobą usłyszał serię wybuchów. Ogień musiał dotrzeć do składu broni.

Cavanaugh przedzierał się przez głązy, zwalone drzewa, gęste zarośla i gąszcz jodeł. Upływ krwi go osłabił. Kusiło go, żeby odpocząć, ale wiedział, że musi iść dalej. Mobilizując wszystkie siły, zwiększał dystans dzielący go od ognia. Nagle usłyszał nowy dźwięk. W oddali zawyła syrena. Nie, poprawił się w myślach, kilka syren. Pewnie policja i ekipy ratunkowe. Jadą wąską asfaltówką z oddalonego o dwanaście kilometrów miasteczka. Zaraz skręcą w ledwie widoczną między drzewami przecinkę prowadzącą do bunkra. Pewnie o niej słyszeli. Teraz jednak znajdując bez trudu. Myśl, by skierować się w tam i zaczekać przy drodze na światła samochodów, była kusząca. Odpocząłby. Opatrzono by mu rany. Mógłby ugasić pragnienie. Nie złamał żadnych przepisów. Spokojnie mógł poszukać pomocy u policji.

Zaraz jednak wyobraził sobie pytania, na które musiałby odpowiedzieć. Zatrzymaliby go, żeby uzyskać wyjaśnienia, a to oznaczałoby zero ochrony. Zawieźliby go do szpitala, a potem na posterunek albo w jakieś bezpieczne ich zdaniem miejsce. Prawdopodobnie podejrzewaliby go o udział w masakrze. Trochę czasu by trwało, zanim dowiódłby, że jest niewinny, a niebezpieczeństwo rosłoby z każdą godziną. Prescott chciał go zabić. Sukinsyn. Dopóki nie będzie miał chwili, żeby się zastanowić (Kim byli ludzie w helikopterach? Wojsko, tak jak podejrzewał? Co ich łączyło z Prescottem?), najlepiej, żeby wszyscy myśleli, że nie żyje. Inaczej mogliby próbować dokończyć dzieła.

Cavanaugh nie wiedział, dlaczego chcieli go zabić. Duncan, Chad, Trący, Roberto. Lista zabitych przyjaciół sprawiała, że chciał krzyczeć. Serce biło mu jak oszalałe, za dużo pytań pozostało bez odpowiedzi. Wiedział tylko to, że dopóki nie zrozumie, co się dzieje, musi uchodzić za martwego. Jestem trupem. Chodzącym trupem.

Poprawka: nie chodzącym. Zataczającym się. Każdy kolejny krok wymagał ogromnego wysiłku woli i dyscypliny. Zaklejona taśmą rana pulsowała. Skóra na dłoniach, twarzy i głowie piekła od oparzeń. Mimo to Cavanaugh zmusił się, by iść prosto.

Musi udawać, że jest w obozie szkoleniowym. Albo lepiej niech to będzie pierwszy dzień szkolenia w Delta Force. Kiedy przypomniał sobie Fort Braggi ogarnęła go nostalgia. Instruktor powinien być ze mnie dumny, pomyślał i ruszył pewniejszym krokiem.

Syreny były coraz bliżej. Starając się trzymać z dala, Cavanaugh przedzierał się przez las.

Potrzebuję pomocy, pomyślał. Wyglądam jak ofiara wojny. Jak ktoś mnie zobaczy, wezwie policję. Kto mi pomoże?

Pomyślał o Eddiem, człowieku, który pierwotnie wchodził w skład zespołu. Eddie zabrał pontiaca. Miał go zostawić z dala od lotniska. Cavanaugh kilka razy z nim pracował. Kiedy tylko Eddie dowie się, co się stało, rzuci wszystko i ruszy mu na pomoc.

Ale coś nie dawało mu spokoju. A jeśli Prescott i/albo ludzie ze śmigłowców mają informatora w Protective Services? Jeśli wiedzą, że Eddie był członkiem zespołu? Żeby upewnić się, że cała grupa nie żyje, będą obserwować Eddiego. Gdyby przyjechał do miasteczka niedaleko bunkra, znaczyłoby to, że nie wszyscy zginęli.

Nie mogę ryzykować. Muszę być niewidzialny.

Więc kogo, na litość boską, mogę poprosić o pomoc?

Choćby nie wiadomo, ile razy zaczynał od nowa, dochodził do tego samego wniosku. Pozostawała tylko jedna osoba, z którą mógł się teraz skontaktować, choć właśnie z nianie powinien.

Część trzecia

IDENTYFIKACJA ZAGROŻENIA

H

otel Warwick. - Recepcjonista, który odebrał telefon, miał zaspany głos.

- Z pokojem pięćset cztery poproszę. - Cavanaugh dzwonił po ciemku z komórki. Mówił ściszym głosem. Siedział skulony za kępą drzew pół kilometra od miasta, do którego szedł czteiy godziny i które minął.

Zwlekał tak długo, ponieważ istniało ryzyko, że wokół pożaru prowadzony jest nasłuch połączeń komórkowych (wojsko dysponowało sprzętem, który miał zasięg kilku kilometrów). W pobliżu miasta jednak ktoś dzwoniący z komórki nawet o tej porze nie byłby niczym niezwykłym. Co więcej, ekipy ratunkowe też pewnie wciąż dzwoniły. Skaner mógłby wyłapać pojedynczą rozmowę, tylko gdyby pojawiły się w niej słowa klucze, takie jak "zabici", "atak", "Global Protective Services" albo Cavanaugh. Cavanaugh starał się więc mówić samymi ogólnikami.

- Proszę mówić głośniej. Ledwie pana słyszę.

- Z pokojem pięćset cztery.
- Jest bardzo późno, proszę pana. Jest pan pewien, że chce pan bu-
dzić...

- Żona czeka na mój telefon.
Recepcjonista westchnął ze znużeniem.

- Już łączę.
Cavanaugh usłyszał sygnał wybierania.
- Hmm... Halo? - Jamie mówiła niewyraźnie, jeszcze na wpół śpiąca.
- To ja. - Cavanaugh głębiej wcisnął się między drzewa. Telefon
ziębił go w dłoń.

7 - Siła strachu

97

- Halo? Nie słyszę...
- To ja. - To był sygnał, że Jamie może mu wierzyć i że nikt nie
trzyma mu pistoletu przy głowie. Nauczył ją, żeby nigdy nie podawała
żadnych nazwisk w rozmowie telefonicznej. Miał nadzieję, że o tym pa-
mięta.
- Ja też. - Tak brzmiał odzew. - Dlaczego... Która godzina?
To, że Jamie nie zapomniała, czego jej nauczył, trochę go uspokoiło.
- Późna.
- Boże, jest prawie czwarta rano.
Cavanaugh wyobraził sobie, jak Jamie odgarnia włosy z twarzy i mruży oczy, patrząc na zegarek.
Chciał jej od razu powiedzieć, o co chodzi, musiał jednak zachować ostrożność.
- Tak, wiem, ale wylatujesz rano, a ja chciałem cię złapać, zanim się
wymeldujesz. Nie mogłem zasnąć. Ta kłótnia...
- Kłótnia?
Cavanaugh wyobraził sobie, jak Jamie marszczy czoło.
- W sobotę po południu w barze. Przykro mi, że się wkurzyłaś, kiedy
powiedziałem ci, że wracam do pracy. Masz rację. Powinniśmy spędzać
razem więcej czasu. - Wyobraził sobie jej zdziwienie. - Pamiętasz, po-
wiedziałaś, że masz więcej pieniędzy niż ja i chcesz się mną zaopieko-
wać. Wciąż masz taki zamiar?
Jamie milczała chwilę, najwyraźniej próbując zrozumieć, o czym Cavanaugh mówi.
- Jasne.
- To świetnie. Rano wymelduj się z hotelu, tak jak planowałaś, ale
zamiast samotnie lecieć do domu, może pojedziesz ze mną samochodem?
Pozwiedzamy okolicę, odpoczniemy.
- Brzmi wspaniale. - Jamie z trudem ukrywała zmieszanie. - Skąd
mam wziąć samochód? Wynająć?
- Jedź na West Side i kup. I tak przyda nam się nowy. Nie lubię
starego.
- Ja też nie. Czas go zmienić. Jaki mam kupić?
- Lubię fordys taurusy. Tylko nic jaskrawego. Może granatowy albo
ciemnozielony?
- To moje ulubione kolory. - W głosie Jamie wciąż było słychać
napięcie. Cavanaugh żałował, że nie może jej objąć.
- Kup najwyższy model. - Miały silniki o mocy dwustu koni me-
chanicznych, o pięćdziesiąt silniejsze niż standardowe. Dodatkowa moc

nie pozwalała bić rekordów szybkości, ale zdecydowanie poprawiała osiągi. Poza tym biorąc pod uwagę liczbę taurusów na drogach, taki

98

samochód łatwo wtopi się w tło. Dla Cavanaugha najważniejsza była anonimowość.

- Skoro to będzie dłuższa podróż, przydałoby mi się trochę nowych ubrań - ciągnął. Walizka z jego rzeczami wyleciała w powietrze wraz z taurusem Global Protective Services. - Spodnie, sportowa kurtka, buty. Dżinsy, bluza, para adidasów. Pamiętasz mój rozmiar?

- Jak mogłabym zapomnieć?

- Nic krzykliwego.

- Boże broń. Coś jeszcze?

- Bielizna.

- Uwielbiam, kiedy robisz dwuznaczne uwagi.

- Skarpety. Maszynka do golenia. Szczoteczka do zębów. Apteczka.

Nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć.

- Ostrożności nigdy za wiele.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo - powiedział Cavanaugh. - Weź jakieś kanapki. I wodę. Dużo wody w butelkach.

W słuchawce zapadła cisza. Jamie próbowała zrozumieć, o co mu chodzi.

- To trochę potrwa.

- Domyślam się. Dlatego musisz wcześniej wstać.

- Gdzie się spotkamy?

- Jeszcze nie wiem. Zadzwoń do ciebie koło południa.

- Strasznie się za tobą stęskniłam.

- Ja też. Przepraszam, że cię obudziłem.

- Możesz mnie budzić, kiedy chcesz. Ale wolałabym, żebyś był wte dy obok mnie.

Cavanaugh rozłączył się. Wyłączył telefon, żeby oszczędzić baterię i żeby nie zadzwonił w nieodpowiedniej chwili. Schował go do kieszeni. Obejrzał się na miasteczko. Wszędzie były syreny. Pożar był tak blisko, że policja rozpoczęła ewakuację mieszkańców. Samochody kursowały tak często, że Cavanaugh z trudem przemknął przez drogę. Widział ciężarówki, z których wysypywali się mężczyźni ze szpadlami i piłami łańcuchowymi. Chcieli zatrzymać pożar na linii drogi. Inne, większe pojazdy przywiozły spychacze.

Cavanaugh odruchowo skulił się, kiedy usłyszał nad głową warkot śmigłowca. Jednostka straży pożarnej. Stamtąd kierują działaniami na

99

ziemi. Cavanaugh dobrze o tym wiedział, mimo to nie mógł pozbyć się irracjonalnego lęku, że helikopter ma na pokładzie czujnik podczerwieni. Czasami trzeba mieć po prostu wiarę, powiedział sobie.

Nasłuchując samochodów, ruszył przez las w dół. Pięć minut później usłyszał nadlatujący helikopter i przypadł do ziemi. Musiał się długo przekonywać, że napastnicy nie byłiby tak głupi, żeby wracać w miejsce, które zniszczyli. To na pewno śmigłowiec straży pożarnej. Może chce zrzucić wodę na pożar albo gaszące chemikalia. Mimo to czuł się nagi.

Księżyc świecił na tyle jasno, że Cavanaugh widział drogę między pniami drzew. Skierował się do następnego miasta, około ośmiu kilometrów na wschód. Szosa prowadząca z północy na południe krzyżowała się tam z inną, prowadzącą do nowojorskiej autostrady stanowej. Ta druga szosa biegła na zachód, do miasteczka, które Cavanaugh właśnie minał. Strażacy jeździli tamtędy do pożaru. Policja z pewnością postawiła blokadę przy wjeździe do miasta, do którego szedł. Będą zatrzymywać samochody jadące w kierunku pożaru. Jamie do niego nie dotrze. Muszą się spotkać za blokadą.

Dniało. Szare światło poranka pozwoliło Cavanaughowi przyspieszyć marszrutę. Przesłonięte dymem słońce stało już od kilku godzin na niebie, kiedy między drzewami dostrzegł szary drewniany dom. Natychmiast padł na ziemię. Wyrzwał ostrożnie zza krzaków. Zobaczył ogródek warzywny, szopę i mały garaż. Jego uwagę przykuł jednak kran na podwórku i przymocowany do niego gumowy wąż. Gdyby tylko udało mu się tam podkraść i napić...

Wyobraził sobie, jak chłodna i słodka byłaby woda zwilżająca mu usta i spływająca do wyschniętego gardła.

Niewiele brakowało, a złamałby się i wyszedł z krzaków. Dobrze, że tego nie zrobił. Chwilę później na podwórko wyszła młoda kobieta w roboczych butach, dżinsach, sportowej bluzie i rękawicach.

Na pewno by go zobaczyła, przestraszyła się na widok zaschniętej krwi i zawiadomiła policję. Zamiast tego spojrzała na niebo, skrzywiła się i podniosła wąż.

- Hej, Pete! - zawołała w kierunku domu. - Nie wiem, czy ten pożar, o którym mówili, tu się zbliża, ale skoro postanowiłeś bronić swojego domu, może odstaw to piwo, weź drugi wąż i pomóż mi zmoczyć dach.

Zbyt odwodniony, by się pocić, Cavanaugh odczołgał się z powrotem w las. W bezpiecznej odległości ominął dom i kilka następnych gospodarstw. Dotarł w końcu do drogi północ-południe i wczołgał się do biegnącej pod nią rury. Przepływał nią okresowo wysychający strumień. Teraz była sucha, chłodna i zapiaszczona. Wyszedł z drugiej strony i znów

100

zaszył się w las. Świadomość, że niedługo będzie mógł się zatrzymać i odpocząć, dodawała mu sił. Skręcił w stronę szosy wschód-zachód. W pobliżu skrzyżowania zobaczył policyjną blokadę. Stała nie na samej krzyżówce, tylko w głębi miasteczka.

To dobrze.

Wrócił do rury. Spojrzał na zegarek i z zaskoczeniem stwierdził, że jest dziesięć po dwunastej.

Włączył telefon i wystukał numer.

Aparat Jamie zadzwonił tylko raz.

- Tak? - powiedziała z niepokojem w głosie.

- To ja. - Cavanaugh zniżył głos.

- Nie zadzwoniłeś o dwunastej i myślałam...

- Wszystko w porządku.

- Na pewno?

- Będzie lepiej, kiedy mnie stąd zabierzesz. - W tle usłyszał czyjeś głosy. - Gdzie jesteś?

- Kupuję samochód. Wydawałoby się, że skoro się nie targuję i płacę gotówką, szybko to załatwię, ale wypisywanie papierów ciągnęło się w nie skończoność. Za chwilę mam dostać kluczyki.

Ścisnął mocniej telefon.

- Skoro mowa o gotówce...

- Ile potrzebujemy?

- Przynajmniej dwa tysiące w dwudziestkach.

- Przywiozę trzy.

- Powiedz w banku, że jedziesz do Atlantic City. Jak już wszystko załatwisz, pojedź nowojorską stanową. Jakies siedemdziesiąt kilometrów za zjazdem na Kingston jest skręt do Baskerville.

Nie miał wyboru, musiał wymienić nazwę miasteczka. Doszedł do wniosku, że i tak powtarza się w rozmowach służb ratowniczych, więc nie sprowadzi sobie na głowę pogoni.

- Jedź na zachód - ciągnął. - Po jakichś piętnastu kilometrach do trzesz do Baskerville. Zatrzymaj się na krzyżówce i skręć w prawo. Sto metrów za miastem zobaczysz koryto wyschniętego strumienia przecho-
dzące pod drogą. Zatrzymaj się i wysiądź, jakbyś chciała sprawdzić, czy nie złapałaś gumi.

- Skrzyżowanie. Skręcić w prawo. Rura. Jasne. Będziesz tam?
- Będę. - Spojrzał w górę. Nad lasem przeleciał z łoskotem następny śmigłowiec z wielkim zbiornikiem na wodę. - Chyba, że pożar lasu się zwiększy.
- Pożar lasu? - spytała Jamie. Kiedy nie odpowiedział, dodała: - Ty to umiesz się zabawić. Przyjadę najszybciej, jak będę mogła.

101

- Zadzwoń, kiedy będziesz blisko. Zostawię włączony telefon.
 - Na pewno wszystko w porządku?
 - Będzie w porządku. Dzięki za pomoc.
 - Dzięki, że o nią poprosiłeś. Nie spodziewałam się tego po tobie.
- Cavanaugh schował telefon do kurtki. Nareszcie zrobił wszystko, co musiał. Rozejrzał się dookoła. Znalazł zagłębienie między drzewami, przykrył je suchymi gałęziami i zadowolony, że kryjówka wygląda naturalnie, wpełzł pod nie. Oparł się o ścianę wykrotu. Wokół pachniało ziemią. Teraz zostało mu już tylko poczekać na Jamie.

Dzień był ciepły, więc pomimo cienia Cavanaughowi zrobiło się gorąco. Zdjął niewygodną kamizelkę kuloodporną i dopiero teraz zobaczył tkwiące w niej odłamki: szczątki gaśnicy. Patrzył na nie prawie minutę. Sprawdził taśmę klejącą na ramieniu. Grube srebrne paski wciąż tamowały krew. Bark spuchł tak, że Cavanaugh z trudem odwracał głowę. Wyprostował nogi. Albo raczej chciał to zrobić - natychmiast znów się zgięły. Zaczyna się, znacznie wcześniej, niż przypuszczał. Dopóki był w ruchu, uciekał przed pożarem, umawiał się z Jamie i szukał kryjówki, adrenalina była jego przyjacielem. Napędzała zmęczone ciało, gnała go do przodu.

Teraz jednak, kiedy nie miał nic do roboty przez następnych kilka godzin, była wrogiem. Cavanaugh zaczął dygotać. Nie tylko zginały mu się kolana, czuł też nieprzewartą chęć skrzyżować ręce na piersi. Chciało mu się ziewać, częściowo z braku snu, ale głównie dlatego, że napięte mięśnie musiały się rozluźnić. Chcesz akcji, musisz za to zapłacić.

Objął się ramionami i zadrżał. Czekał, aż ciało się uspokoi, przyjął pozycję embrionalną. Pasowało mu to. Mówił sobie, że adrenalinowe zejście to przygotowanie do ponownych narodzin, a te nie mogą obyć się bez bólu.

Powieki zaczęły mu ciążyć. Czując, że zasypia, włączył alarm wibracyjny w telefonie. Schował aparat pod kurtkę, wyciągnął pistolet i ścisnął go w skrzyżowanych dłoniach. Zaraz potem zasnął.

102

Drżenie telefonu natychmiast go obudziło. Lata dyscypliny nauczyły go błyskawicznie otrząsać się z resztek snu. Poczul, że telefon znów wibruje, kiedy wypełzał z wykrotu. Chwilę nasłuchiwał, a potem ostrożnie wyjrzał spod gałęzi. Telefon zadrżał po raz trzeci. Cavanaugh poczuł w powietrzu zapach dymu. Nie widział go jednak, więc uznał, że na razie jest bezpieczny.

Z powrotem zsunął się na dno jamy. Schował pistolet i odebrał.

- Taco Bell. - To był kolejny umówiony sygnał.
 - To ja. Kiedy nie odebrałeś od razu...
 - Spałem. - Z telefonem przyciśniętym do ucha zerknął na zegarek.
- Była już prawie wpół do piątej. - Gdzie jesteś?
- Dojeżdżam do miasta. Widzę skrzyżowanie. Nie żartowałeś z tym pożarem. Góry pokrywa chmura dymu. Jest blokada na drodze.
 - W mieście? - Cavanaugh miał nadzieję, że jej nie przesunięto.
 - Tak, w mieście. Policjant zawraca jakieś samochody przede mną.

- Możesz skręcić na skrzyżowaniu?
- Tak.
- Będę czekał.

Rozłączył się. Schował telefon do kurtki i włożył kamizelkę kuloodporną. Znów wyjrzał spod gałęzi. Wyczołgał się na brzeg wykrotu i ruszył przez las. Kiedy dotarł na jego skraj, przycupnął w krzakach i przyjrzał się drodze. Tak jak mówiła Jamie, góry spowijał dym. Ogień najwyraźniej przesunął się na zachód, a nie w kierunku miasteczka. Nad pożarem przeleciał helikopter, zrzucając w szalejące płomienie ładunek wody.

Cavanaugh usłyszał syrenę. Przypadł do ziemi, czekając, aż minie go furgonetka z wyłączonymi światłami. Wyjrzał na drogę. Nie zobaczył nic niepokojącego, więc zsunął się do zarośniętego rowu. Wpełzł do rury i zaczął nasłuchiwać odgłosu zatrzymującego się samochodu.

Usłyszał go minutę później.

Trzasnęły drzwiczki. Cavanaugh usłyszał kroki na asfalcie. Potem na poboczu. Ktoś okrążył samochód, jakby sprawdzając opony.

- Gdzie jesteś? - spytała cicho Jamie.

Cavanaugh przesunął się do wylotu rury.

- Rozejrzyj się. Ktoś nas widzi?

- Ani żywej duszy.

- Wsiądź do samochodu. Poczekaj, aż wczolgam się na tylny fotel.

Potem ruszaj.

103

Słyszał, jak żona wraca do wozu. Serce zabiło mu szybciej. Usłyszał, że otwiera drzwi, wyskoczył więc z rury i wypelzł z rowu. Otworzył tylne drzwi i wrzucając do środka kamizelkę, wślizgnął się szybko na tylny fotel.

Jamie miała na sobie jasny lniany zakiet. Jej ciemne włosy błyszczały na tle przedniej szyby.

Wrzuciła bieg i obejrzała się. Otworzyła szeroko zielone oczy na widok zaschniętej krwi, podartego ubrania, sadzy, przypalonych włosów i taśmy klejącej na ramieniu.

- Chryste Panie - szepnęła.

Był z niej dumny. Szybko zapanowała nad szokiem. Odwróciła się i ruszyła z rozsądną prędkością.

- Bardzo źle? - Spięta patrzyła na drogę.

- Wygląda gorzej, niż jest. - Z trudem wypowiadał słowa.

Na podłodze zobaczył zgrzewkę wody. Czując suchość w ustach, zaczął ją rozrywać.

- Jesteś... - Jamie wzięła głęboki oddech - ..postrzelony?

- Tak. - Złapał butelkę i odkręcił.

- W takim razie jak mogłoby być gorzej?

-Nie trafili mnie w nic żywego. Tylko w ramię. -Nie wychylając się, Cavanaugh przechylił butelkę do ust. Oblał kurtkę i fotel. Jego język wchłaniał wodę jak gąbka.

W głosie Jamie pojawiło się zdenerwowanie.

- To tak jakbyś mówił, że to tylko draśnięcie? Co to? Taśma klejąca?

- Nie wychodź bez niej z domu.

- Załatałeś ramię jak ciekącą rurę? Na litość boską, może się wdać zakażenie. Zabieram cię do lekarza.

- Nie - powiedział szybko Cavanaugh. - Żadnych lekarzy.

-Ale...

- Lekarz musiałby zgłosić ranę postrzałową na policję. Nie chcę mieścić w to glin. Nie chcę, żeby władze wiedziały, że żyję.

- A Protective Services nie ma lekarzy?

-Ma.

-Noto...

- Tam też nikt nie może wiedzieć, że żyję.

- Co się, do cholery, dzieje?

Cavanaugh napił się jeszcze wody. Był tak odwodniony, że czuł, jak zimna ciecz spływa mu przelękciem do żołądka. Obok zgrzewki stała mała, styropianowa lodówka. Zdjął pokrywkę i znalazł...

- Kanapki z pastrami - powiedziała Jamie. - Sałatka ziemniaczana i coleslaw. I trochę ogórków konserwowych.

104

Cavanaugh wgrzył się w kanapkę. Po pierwszym kęsie jednak zrobiło mu się niedobrze. Położył się, patrząc w sufit, który zdawał się drżeć w rytm wibracji samochodu.

- Mówisz serio? Nie chcesz iść do lekarza? - spytała Jamie.

- Żadnych lekarzy.

- Gdzie mam cię zabrać?

- Wróć na autostradę. Jedź na północ. Do Albany jest stąd jakaś godzina drogi. Zatrzymamy się w motelu. Takim, gdzie można zostawić samochód przed pokojem.

- Niech zgadnę, nic wystawnego?

- Wręcz przeciwnie. Coś, gdzie nikogo nie dziwi, że płacisz gotówką, a ludzie nie lubią dzwonić na policję.

- Coś czuję, że będzie uroczo.

- Masz apteczkę?

- Prosiłeś o nią takim tonem, że wzięłam dużą. Leży na podłodze, przy torbach z ubraniami.

Cavanaugh przetrząsnął pakunki i znalazł plastikową apteczkę wielkości dużej książki telefonicznej. Rana dokuczwała mu coraz bardziej. Otworzył pudełko. Między bandażami, plastrami i parą nożyczek znalazł kilka opakowań tylenolu. Rozdarł parę i połknął zawartość, popijając wodą. Powoli, bo zrobi ci się niedobrze - zamruczał do siebie.

- Byłam cierpliwa - powiedziała Jamie. - Spytałam tylko raz.

- Chcesz wiedzieć, co się dzieje.

- Jak na to wpadłeś?

-Nigdy ci nie mówiłem o pracy.

- Zgadza się. - Jamie cały czas patrzyła na drogę. - Ale tym razem powiesz.

- Tak - powiedział Cavanaugh. - Skoro masz ryzykować życie, po winnaś wiedzieć, w co się ładujesz. Tym razem wszystko ci powiem.

Day's End Inn, motel w Albany, znajdował się pięć przecznic od autostrady, w niecieszącej się dobrą sławą dzielnicy, z dala od Holiday Innów i Best Westernów. Obok były dwa bary, warsztat samochodowy i buda z hamburgerami. Nie wyróżniały się niczym spośród setek innych.

Zachodzące słońce rzucało długie cienie. Warsztat był już zamknięty. Kilku mężczyzn wysiadło ze swoich pikapów i weszło do jednego z barów. Poza tym ulica była pusta.

105

Po drodze Cavanaugh zmył krew i sadzę z twarzy. Przebrał się w sportową kurtkę, dzinsy i pulower, ukrywając ranę na ramieniu. Czapka bejs-bolowa skryła spalone włosy. Mógł teraz siedzieć prosto, nie zwracając na siebie uwagi. Obserwował ponurą ulicę. Jamie weszła do recepcji, żeby wynająć pokój.

Wróciła do samochodu z kluczem przymocowanym do dużego złotego sześcianu.

- Zapłaciłaś gotówką? - spytał Cavanaugh.

- Tak. Powiedziała, że ukradli nam kartę kredytową.

- Bardzo dobrze.

- Pewnie przyzwyczył się już do par płacących gotówką. Może myśli, że mamy romans. - Jamie skierowała się na tyły motelu. - Rozumiem, dlaczego nie chcesz, żebym płaciła kartą. W ten sposób nie zostawiamy po sobie śladów. Ale teoretycznie nikt o mnie nie wie, prawda?

- Teoretycznie - przytaknął Cavanaugh. - Nie mówiłem nikomu w Protective Services. Nawet Duncanowi. - Stała mu przed oczami

jego zmasakrowana twarz. Poczul narastajacą wścieklosc i zal.

Jamie zaparkowala przy kontenerze na smieci obok przedostatniego segmentu.

- W takim razie czy to nie jest nadmierna ostroznosc? - Pokrecila glowa. - Wiem, co teraz powiesz. Nie ma czego takiego jak nadmierna ostroznosc.

Mimo ze zle sie czul, Cavanaugh usmiechnal sie.

Jamie podeszla do drzwi i otworzyla je.

Cavanaugh wyjal z samochodu kilka pakunkow, zeby odwrócic uwage kogos, kto patrzylyby w jego strone (ludzie uwielbiaja przygladac sie pakunkom) i, najspokojniej jak umial, wszedl do pokoju. Oba lozka przykrywaly splowiale narzuty. Stolik byl odrapany. Do sciany przymocowano mary telewizor. Na podlodze lezal cienki dywanik, a lustro nad biurkiem bylo pekniete w rogu.

- Powiedziales, ze nie chcesz nic wystawnego - zauwazyła Jamie.

W pokoju unosil sie slaby zapach papierosow.

- Nie mieli pokojow dla niepalacych.

- Nie szkodzi.

- Cavanaugh zostawil paczki na stole. Polozyl sie na lozku i zamknal oczy. Mial nadzieje, ze w ten sposob zapanuje nad zawrotami glowy.

- To dobra kryjowka. Swietnie sie spisalas.

- Przyniose wode i reszte rzeczy.

Jamie wrócila po chwili i zamknela za soba drzwi na klucz. Cavanaugh poczul, ze zona przyglada mu sie z niepokojem.

106

- Mam zostawic zgaszone swiatlo? - spytala.

-Tak.

- Co moge zrobic?

- Przynies mi wody. Daj mi jeszcze tylenolu.

- Masz goraczke? Rana jest zainfekowana?

Cavanaugh polknal tabletki i popil je woda.

- Chyba... - Udaló mu sie podnieśc. - Lepiej to sprawdzic.

Stal pod goracym prysznicem. Podniosl glowe, zeby zmoczyć twarz i pierś. Czul sie tak slaby, ze musial usiasc.

Zaslona byla odsunieta. Jamie siedziala na sedesie, opierajac lokcie na kolanach. Swiatlo nad lustra oswietlalo jej postać.

Chociaz razilo Cavanaugha, pozwolilo dostrzec znikajaca w odplywie krew, ziemie i sadze. Kiedy namydlil glowe, po plecach splynely mu kawalki spalonych wlosow.

- Masz siniaki na nogach i piersi - powiedziala Jamie.

W czasie jazdy opowiedzial jej w skrocie, co sie stalo. Znów dal mu powód do dumy. - Sluchala uwaznie, skrywala uczucia i zadawala tylko potrzebne pytania.

- Pewnie od turlania sie w dol parowu - stwierdzil. - Moglabys byc agentem, wiesz? Szybko sie uczysz. Nie wiem skad, ale masz potrzebny instynkt.

Piekna twarz nieco szpecil wyraz powagi.

- Nauczylam sie od ciebie. - Zawinela rekawy i zaczela namydlać mu plecy. - Dlaczego Prescott chcial was pozabiac?

- I kim byli ludzie w helikopterach? Zachowywali sie jak koman dosi.

- A ci w magazynie?

- Mieli sprzet, ale taktyka byla konwencjonalna. Nie byli tak zdyscy plinowani jak ci z helikopterow. Kiedy wspinali sie do Prescottta, zawa

hali się, jakby się czegoś przestraszyli.

Zakręcił wodę. Przez chwilę oboje siedzieli w bezruchu.

- Chyba już czas - powiedział. - Wiesz, co masz zrobić?

- Wyjaśniłeś to bardzo dokładnie.

- Dobrze. - Cavanaugh wziął głęboki oddech, sięgnął ręką do ramienia i chwycił za taśmę. Wypuścił powietrze, znów wziął oddech i zaczął ją oddzierać. Klej powoli odchodził od skóry. Cavanaugh nie mógł zrobić

107

tego szybko, żeby nie naruszyć rany. Każdy ruch przedłużał ból. Gdy już zerwał całą taśmę, z rany znów pociekła krew, ale nie tyle co poprzednio.

Jamie przycisnęła do rany namydloną myjkę. Szybko i delikatnie oczyściła ją z brudu i ropy.

Cavanaugh się skrzywił.

- Już - powiedziała.

Pochylił się i odkręcił kran, spłukując ramię.

- Nie mogę odwrócić głowy. Nic nie widzę.

- Masz bruzdę w barku. Dobra wiadomość: na moje oko pocisk przeszedł na wylot.

- Tak mi się zdawało. A zła?

- Bruzda ma pięć centymetrów długości.

Cavanaugh skinął głową. Kiedy krew zawirowała w odpływie, zakręcił kran i przygotował się na to, co miała zrobić Jamie.

Zanim dotarli do motelu, wstąpili do apteki. Kupili butelkę wody utlenionej.

Jamie otworzyła ją i poląła ranę.

Płyn zabulgotał i zapienił się. Ból przypominał jednocześnie krajanie i przypiekanie żywym ogniem. Cavanaugh zacisnął zęby. Złapał się krawędzi wanny.

- Spłucz - poleciła Jamie.

Ledwie widząc na oczy, odkręcił kran. Potok krwi i spienionej wody utlenionej spłynął do odpływu.

Jamie jeszcze raz poląła ranę. Bruzda znów się zapieniła.

-... Wszzechmogący - wymamrotał Cavanaugh i nachylił się pod strumień wody. Zakręcił kran i osunął się na krawędź wanny. Jamie osuszyła mu ranę ręcznikiem.

Zacisnął zęby.

- Skóra jest zaczerwieniona - powiedziała Jamie.

- Pewnie podrażniła ją taśma.

- Nie. To nie od tego. Wygląda na zakażenie.

Jamie wycisnęła z rany jeszcze trochę krwi. Szybko, póki bruzda była sucha, otworzyła tubkę antybiotyku i wycisnęła maść na ranę. Przykryła ją tamponem z gazy, a całość przymocowała kilkoma plastrami.

Cavanaugh wziął głęboki oddech.

- Dasz radę wstać? - spytała Jamie.

Poślizgnął się. Jamie przytrzymała go, żeby nie upadł. Bluzka przykleiła jej się do piersi.

Posadziła Cavanaugha na sedesie i ostatnim dużym ręcznikiem wytarła mu ciało, starając się ominąć okolice rany. Opatrunek już się zaróżowił.

- Pomogę ci wstać - powiedziała.

Cavanaugh zachwiał się. Jamie szybko wytarła mu nogi. Wszystko oprócz bólu zdawało się docierać do niego z oddali, jakby jego ciało nie należało do niego.

- Trzymaj się. - Jamie zarzuciła sobie jego ramię na szyję i zaprowadziła do zaciemnionej sypialni. Położyła go na łóżku. - Jesteś rozpalony.

Myślisz, że masz gorączkę?

Zanim zdążył odpowiedzieć, zaczął się trząść. Dygotał coraz gwałtowniej. Jamie szybko zdjęła spodnie, wsunęła się pod kołdrę i przytuliła go. -Potrzebny ci...

- Nie - wymamrotał, wstrząsany drgawkami.
Powieki mu ciążyły. W pokoju zrobiło się ciemniej.
Jamie przytuliła go mocniej.
Obudziło go pociągnięcie za ramię. Mrugając gwałtownie, z trudem powstrzymał jęk bólu, kiedy Jamie zdjęła mu opatrunek. Zmrużyła oczy, przyglądając się ranie.
-I jak.
- Czerwona tak jak wczoraj - powiedziała.
Poczuł skurcz w żołądku.
- Ale przynajmniej nie jesteś już taki rozpalony.
- To dobrze, prawda?
- Rana się zasklepiła.
- Widzisz? Będzie dobrze.
Jamie nałożyła na bruzdę antybiotyki, przykryła ją świeżym tamponem z gazy i dokładnie przymocowała opatrunek.
- Która godzina? - Cavanaugh odruchowo spojrzął na budzik. Zmarszczył czoło. Zegarek pokazywał czwartą dwadzieścia dwa. Wskazał zasłony. - Jak to możliwe, że tak rano jest już tak jasno?
- Jest po południu.
- Słucham?
- Przespałeś całą noc i większość dnia. Nie pamiętasz, jak cię karmiłam kanapkami i sałatką?
-Nie.
- Dzisiaj rano.
-Nie.

108

109

- Kilka razy prowadziłam cię do łazienki.
Patrzył na nią nierozumiejącym wzrokiem.
- Kiedy pokojówka przyszła posprzątać pokój, wyszłam na zewnątrz, żeby z nią porozmawiać. Powiedziałam jej, że się pochorowałeś od nieświeżego jedzenia i że nie chcę cię zostawiać samego. Poprosiłam, żeby zaniosiła pieniądze za następną dobę. Zadzwoiłam, przekazała. Receptjonista powiedział, że nie ma problemu.
- Tak, zdecydowanie masz instynkt agenta.
- Musisz coś zjeść.
- Nie jestem głodny.
- To nie ma znaczenia. Nie wyzdrowiejesz, jeśli nie będziesz jadł.
-Nie mogę znieść nawet myśli o kanapkach z pastrami i sałatce ziemniaczanej.
-I tak pewnie już się zepsuły. Co chcesz? Pizzę? Możemy zamówić. Zaprotestował. Zorientowała się dlaczego.
- Cofam to. Żadnych zamówień. To niebezpieczne, tak?
-Tak.
- W takim razie będę musiała wyjść i coś kupić. Nie mamy wyboru. Powiedz, czego byś chciał. Smażonego kurczaka? Masz ochotę na koktajl mleczny?
Cavanaugh musiał przekonać żonę, że ma apetyt. Inaczej wciąż nalegałaby, żeby wezwać lekarza.

- Kurczaka. Pomóż mi dojść do łazienki.

Podawała mu piankę do golenia i maszynkę. Zeskrobał z twarzy trzydniowy zarost i od razu poczuł się czystszy.

Jednak kiedy wrócił do łóżka, był wyczerpany.

- Dasz sobie radę beze mnie? - spytała Jamie.

- Gdyby wiedzieli, gdzie jesteśmy, dawno by już tu byli. - Przykryty prześcieradłem i kocem Cavanaugh usiadł, opierając się o poduszkę. -

Założ na kłamekę tabliczkę "Nie przeszkadzać" i daj mi pistolet.

- Nie chciałbyś mieć pod ręką broni, gdybyś nie uważał, że coś nam grozi.

- Siła przyzwyczajenia.

- Jasne. - Spojrzała z powątpiewaniem.

- Już nie mogę się doczekać kurczaka.

- Jasne - powtórzyła jeszcze bardziej sceptycznie i wyszła.

Usłyszał, jak sprawdza, czy zamknęła drzwi na klucz, i spojrzał na

zegarek przy łóżku. Czwarta pięćdziesiąt osiem. Musi się czegoś dowiedzieć. Sięgnął niezgrabnie po pilota i włączył telewizor, szukając miejscowej stacji.

110

Na szóstce zaczynały się właśnie wiadomości. Zgodnie z przewidywaniami głównym tematem był pożar. Starał się skupić na słowach reportera, oglądając migawki z akcji gaśniczej - zmęczonych strażaków przy pracy. Bronili pierwszego miasteczka, które Cavanaugh minął zeszłej nocy. Ledwie widoczny w chmurze dymu helikopter zrzucił na las ładunek gaśniczych chemikaliów.

- Po południu pożar opanowano w dziewięćdziesięciu procentach -

zapewniła widzów spikerka w studiu i przeszła do wiadomości o politycznym skandalu w Albany. Tamtejszy senator został aresztowany za jazdę po pijaku, po tym jak potrafił nastoletnią rowerzystkę i połamał jej nogi.

Cavanaugh patrzył jeszcze przez chwilę zdumiony. Przeskoczył kilka kanałów i zatrzymał się na dziesiątym. Właśnie kończyły się tu wiadomości z pożaru. Osłupiały słuchał reportera, który mówił, że późnym popołudniem ogień opanowano w całości. Wrócił na szóstkę. Był tak zaniepokojony, że prawie nie zwracał uwagi na obraz. O wpół do szóstej było kolejne wydanie lokalnych wiadomości. Tym razem głównym tematem był jeżdżący po pijaku senator. "Całkowicie opanowanemu" pożarowi poświęcono zaledwie pół minuty. Cavanaugh przeskoczył znów na dziesiątkę, gdzie wzmianka o pożarze pojawiła się tuż przed prognozą pogody.

Zmarszczył czoło.

O szóstej, kiedy zaczęło się kolejne wydanie wiadomości, usłyszał stukanie do drzwi. Trzy krótkie puknięcia i odgłos przekreścanego w zamku klucza. Na wypadek, gdyby Jamie przyprowadziła ze sobą niechciane towarzystwo, Cavanaugh schował pod koc pistolet i wycelował go w drzwi.

Jamie przyniosła papierowe torby z symbolem KFC.

Cavanaugh odłożył broń.

- Coś się stało? - spytała Jamie.

- Oglądałem telewizję.

Zamknęła drzwi na klucz i wyjęła z toreb kartonowe pudełka. - I co takiego zobaczyłeś?

- Chodzi o to, czego nie zobaczyłem.

Potrząsnęła głową.

- No popatrz - powiedział.

Usiadła obok i spojrzała w telewizor.

Polityczny skandal był wciąż tematem numer jeden. Zaraz wyemitowano materiał o serii napadów na stacje benzynowe. Podobnie jak na kanale dziesiątym, wzmianka o pożarze pojawiła się tuż przed prognozą pogody. Opatrzono ją kilkoma zdjęciami strażaków.

111

- Rozumiesz teraz? - spytał Cavanaugh.
- Nic nie rozumiem. Gdybym akurat mrugnęła, przegapiłabym tę wiadomość. - Jamie wyłączyła telewizor i spojrzała na niego. - Czwooro zabitych? Sekretny bunkier? Helikoptery z raketami? A telewizja pokaże tylko strażaków z siekierkami i usmolonymi twarzami?
- Wcześniej mówili o pożarze trochę więcej, ale zasadniczo w tym samym duchu - powiedział Cavanaugh.
- Może strażacy nie mogli się dostać tam, gdzie wybuchł pożar, więc nie znaleźli ciał.
- Może. Ale tam ogień zgasł najszybciej z braku paliwa. Ze śmiółowca widać było zniszczony helikopter i dwa dziopy. Chada i Trący zerwało na kawałki. - Głos mu zachrył z gniewu. - Ale ciało Roberto było nietknięte. Nawet spalone wyglądałoby jak zwłoki. Poza tym na pewno ktoś w mieście słyszał helikoptery i wybuchy.
- Kupiłam "Times Union". - Jamie podeszła do biurka. - To poranne wydanie, więc nie ma w nim najświeższych wiadomości. Może się czegoś dowiemy.

Wzięła gazetę i wróciła na łóżko.

Artykuł o pożarze znajdował się na dole pierwszej strony. Opatrzono go zdjęciem usmolonego strażaka, na wpół spowitego dymem. Dalszy ciąg był na stronie ósmej, też na dole.

- Tutaj, patrz. - Jamie wskazała akapit na końcu. - Ktoś słyszał wybuchy.

- Zbiorników z propanem? - Cavanaugh nie mógł w to uwierzyć. Jamie przeczytała ustęp.

- "Policja uważa, że pożar zdetonował zbiorniki z propanem, kiedy dotarł do domków wypoczynkowych w dolinie".

- W pobliżu bunkra nie ma żadnych domków.

- Więc po prostu zgadują - stwierdziła Jamie.

- Albo ktoś kłamie. Widziałaś, że wspomnieli o specjalistach, którzy przyjechali sprawdzić, czy pożar nie był wynikiem podpalenia?

- Myślisz, że to przykrywka?

- To całkiem możliwe - zasępił się Cavanaugh. - Ktoś wpływowo naciska na miejscowe władze i każe im trzymać strażaków z dala od źródła ognia, dopóki nie sprawdzi go specjalna ekipa. Bunkier znajdował się na odludziu, więc łatwo można go było oczyścić. Nikt nie zauważyłby helikopterów przewożących zwłoki i szczątki.

- Ktoś wpływowo? Masz na myśli rząd?

- Nie wiem, kto jeszcze byłby na tyle potężny, żeby nie dopuścić nikogo na miejsce.

- Ale co Prescott miał wspólnego z rządem.

Cavanaugh wzruszył ramionami i natychmiast tego pożałował. Ruch wywołał falę bólu.

- Jego laboratorium pracowało dla DEA nad mechanizmami uzależnień.

- To nie wyjaśnia, dlaczego do akcji wkroczył oddział specjalny - stwierdziła Jamie - ani dlaczego ktoś chciał się was pozbyć. Ludzie w magazynie chcieli dostać Prescottta żywego?

- Na to wygląda. Mogli zabić nas obu, ale tego nie zrobili. Próbowali nas złapać.

- A w bunkrze nagle przestali próbować.

Cavanaugh skinął głową.

- Dlaczego zmienili zdanie? A może chodziło o nas, o nasz zespół?

Może Prescott był tylko przynętą?

- Dlaczego ktoś miałby chcieć was zabić? Masz jakiś pomysł? Ostatnie zadanie?

- O ile wiem, nigdy nie widziałem ani nie słyszałem nic na tyle poważnego, żeby klient mógł poczuć się zagrożony - stwierdził Cavanaugh.

- Poza tym Chad, Trący i Roberto nie pracowali razem ze mną i Duncanem przez ostatnie pół roku. No i nikt nie mógł wiedzieć, kto weźmie to zlecenie. Duncan zdecydował w ostatniej chwili.

- To tylko pomysł, ale... - Jamie zawahała się.

Cavanaugh spojrział na nią wyczekująco.

- Kiedy spałeś, trochę o tym myślałam. A jeśli oba oddziały nie były ze sobą powiązane?

- Mów dalej.

- Powiedzmy, że pierwsza grupa chciała złapać Prescottta, na co wskazywałyby ich taktyka. Natomiast druga...

- Chciała go zabić, tak?

- Tak. Ty i reszta Global Protective byliście celem drugorzędnym.

Po prostu stanęliście na drodze.

- Ale to nie wyjaśnia, dlaczego Prescott chciał nas wszystkich poza bijać. Jego zachowanie nie ma sensu, jeśli założymy, że działał w pojedynkę.

- Mówisz, że tamci wyglądali na komandosów. I że widziałeś, jak wciągali ich do śmigłowców.

- Tak.

- Wszystkich?

- Tak. Musiałem się upewnić, że wszyscy odlecieli.

- Był z nimi Prescott?

-

-

112

g - Sita strachu

113

-Nie.

- To byłoby dziwne, gdyby był jednym z nich.

- Może zginął w pożarze.

- I nie zabrali ciała?

- Nie, jeśli nie mogli się do niego dostać. To byłaby pierwsza rzecz, jaką ci specjaliści, o których piszą w gazecie, chcieliby dostać.

Jamie spojrziała na wytarty dywan.

- A może prawda wygląda tak, jak się wydaje. Pierwsza grupa chciała dostać Prescottta żywego. Druga chciała go zabić. On bał się śmiertelnie obu. A wy wiedzieliście coś, co bezwzględnie musiało pozostać tajemnicą. Cavanaughowi zrobiło się nagle zimno. Pomyślał, że Jamie może mieć rację.

- Jezu.

- Coś, co sprawiało, że byliście niebezpieczni.

- Plan zniknięcia Prescottta. - Cavanaugh usiadł prosto zdenerwowany i skrzywił się z bólu. - To sukinsyn.

Uświadomił sobie jasno, że Prescott dobrze wiedział, kim są ludzie w śmigłowcach. Wiedział też,

że ta grupa, w przeciwieństwie do pierwszej, chce go zabić. Zdawał sobie sprawę, że komandosi zniszczą każdy pojazd, który będzie próbował uciec z bunkra, i że dysponują wystarczającymi środkami, by włamać się do środka i pokonać obrońców. W obliczu pewnej śmierci spanikował. Doszedł do wniosku, że jedynym sposobem ucieczki będzie dywersja. Wywołał więc pożar w nadziei, że dzięki temu uda mu się uciec. Bał się jednak, że ktoś z Global Protective zostanie złapany.

- Myślę, że Prescott od samego początku chciał nas zabić - powiedział Cavanaugh. - Musiał mieć gwarancję, że nikt się nie dowie, jak zaaranżowali jego zniknięcie. W ten sposób mógł mieć pewność, że jego tajemnica pozostanie tajemnicą. Nie bałby się potem zasnąć i nie rozmyślałby co noc, że jego wrogowie torturami wyciągnęli z nas informacje.

- Ale jak chciał uciec przed pożarem?

- Jest wyrachowany do przesady. Zadaje pytania. Obserwuje. Uczy się. Ja uciekłem przed komandosami, trzymając się blisko ognia, żeby nie wykryły mnie czujniki podczerwieni. Skoro ja na to wpadłem, on także mógł to zrobić.

- Jest pewna różnica. Ty mogłeś poprosić mnie o pomoc. A ktoś tak zdesperowany jak on nie mógłby zaufać nikomu. Powiedziałeś, że ma nadwagę. Nie zaszedłby daleko. Jak chciał uciec z lasu?

- Może do kogoś zadzwonił - powiedział Cavanaugh. - Gdy tylko znalazł się w bezpiecznym miejscu, zabił go, żeby go nie wydał.

114

Oczy Jamie pociemniały.

- A może dotarł do najbliższego miasta i zmusił kogoś, żeby go podwiózł. Albo... - Cavanaugh nagle coś sobie uświadomił. - Nikt nie może się dowiedzieć, jak chce zniknąć.

Ze zdenerwowania zakręciło mu się w głowie. Z trudem wstał.

- Gdzie moje ubranie?

Jamie spojrzała na niego z niepokojem.

- Zaraz się przewrócisz. Co chcesz...

- Właśnie sobie uświadomiłem, gdzie pojechał Prescott. - Cavanaugh złapał telefon i wystukał numer.

Usłyszał pierwszy sygnał.

- Szybko, pomóż mi się ubrać. Będzie mi potrzebna kamizelka.

Drugi sygnał.

- Odbierz, odbierz - błagał Cavanaugh.

Trzeci sygnał.

- Musimy do niej jechać.

- Do niej?

Czwarty.

- Zostaw nazwisko, numer i wiadomość - odezwał się nagrany na sekretarkę damski głos. - Oddzwonię najszybciej, jak to będzie możliwe.

Cavanaugh rozłączył się.

- Szybko. W Albany mieszka kobieta, którą Prescott chce zabić.

8

Jamie prowadziła samochód przez skąpane w blasku zachodzącego słońca ulice Albany. Cavanaugh musiał bardzo się zmobilizować, żeby wyjaśnić jej, o co chodzi.

- Daliśmy Prescottowi numer telefonu do banku i numer konta. Miał przelać sto tysięcy dolarów na konto fałszerza dokumentów, kobiety, która mieszka w Albany.

Jamie jechała zgodnie ze wskazówkami Cavanaugha. Z maksymalną dozwoloną prędkością wzięła

zakręt i wjechała do parku. Cavanaughowi coraz bardziej kręciło się w głowie, ale nie dawał nic po sobie poznać. Bał się, że Jamie zwolni. Nie liczyło się dla niego nic, oprócz tego, żeby jak najszybciej dotrzeć do celu.

- Miała dla niego gotowy numer ubezpieczenia, paszport, prawo jazdy, świadectwo urodzenia, karty kredytowe, całą historię życia i nowe nazwisko. - Cavanaugh wziął głęboki oddech. - Prescott musiał się tylko
115

zastanowić, jak chce wyglądać - ufarbować włosy czy ogolić głowę, nosić sztuczne wąsy, dopóki nie zapanuje prawdziwych. Wszystko jedno. Ucharakteryzowałby się, a ona zrobiłaby mu zdjęcie do paszportu i prawa jazdy. Mógłby wtedy zacząć nowe życie. Chcieliśmy zabrać go do niej jutro rano. -Kto...

- Karen Atherton. Próbowałem sobie przypomnieć, czy ktoś zdradził jej imię Prescottowi. Chyba Duncan. Imię plus numer telefonu do banku i numer jej konta wystarczą, żeby Prescott ją znalazł. Zwalniając odrobinę, Jamie minęła stojący na poboczu radiowóz i wjechała z parku.

- Jak może ją znaleźć po numerze konta?

- Kryjówka Prescottta w magazynie była naszpikowana elektroniką. Przypuszczam, że zna się na komputerach tak jak ja na broni. Wystarczy, że wie, o jaki bank chodzi i zna numer konta... - załamał mu się głos.

- Wszystko w porządku?

- Nabieram sił. - Cavanaugh zmusił się, żeby mówić dalej. - Znajac numer konta, haker szybko znalazłby nazwisko i adres Karen w bankowym serwerze. Ale jest też inny sposób.

Jamie wjechała do dzielnicy rezydencji. Odnowione dziewiętnastowieczne wille stały w otoczeniu wysokich drzew. -Jaki?

- Prescott świetnie umie wyciągać od ludzi informacje.

Jamie wiedziała, co to znaczy.

- Wyobraź sobie, że pracujesz w dziale informacji banku - zaproponował Cavanaugh. - Ja będę Prescottem. - Zaczął mówić zniecierpliwionym tonem. - Chodzi o konto numer pięć pięć siedem sześć trzy. Moja żona i ja jesteśmy małżeństwem od trzech miesięcy. Dzwoniła do państwa, żeby podać nowe nazwisko i adres. Od tamtej pory nie dostaliśmy żadnych wyciągów. Dzwoniłem do was już kilka razy. Cholera jasna, czy wy w ogóle umiecie coś załatwić? Konto powinno być na nazwisko Karen Washburn.

Jamie zastanowiła się chwilę, co powiedziałby przestraszony urzędnik.

- Nie, proszę pana, Karen Atherton.

- To jej panięskie nazwisko. Podaję adres: Crestview Lane 444.

-Nie, proszę pana. Morgan Avenue 256.

- Tam mieszkała przed ślubem. To dlatego nie dostajemy wyciągów.

Proszę dopilnować, żeby to się zmieniło. - Cavanaugh przerwał. - Wiesz, jakie to proste?

- Prescott jest tak cwany?

116

- Cholera, udało mu się ze mną. Głupio mi, zwłaszcza że go w pewnym sensie polubiłem. W magazynie był śmiertelnie przerażony, ale nie stracił panowania nad sobą. Robił wszystko, co mu kazałem. W bunkrze nie wywołałby pożaru, gdyby nie to, że czuł się osaczony. Aż trudno sobie wyobrazić, ile potrzebował odwagi, żeby spróbować nas zabić.

- Odwagi? - Jamie spojrzała na niego ze zdziwieniem. - Mówisz tak, jakbyś go prawie podziwiał.

- Podziwiał? Nienawidzę go bardziej niż kogokolwiek na świecie. Gniew w tonie głosu Cavanaugh sprawił, że Jamie zamilkła.

- Dom jest zaraz za rogiem - powiedział.

Jamie skręciła w następną ulicę wielkich drzew i majestatycznych starych domów. Gdzieś warczała kosiarka.

- Tutaj - powiedział Cavanaugh. - Ten wiktoriański.

Dom miał dwa piętra plus poddasze zwieńczone kopułkami i wykuszami. Od frontu kuśił biały ganek.

- Zaparkuj kawałek dalej. - Cavanaugh zsunął się niżej, żeby nie było go widać z zewnątrz. - Na tyle daleko, żeby Prescott nie widział samochodu, jeśli jest w środku.

- Dlaczego koło schodków na ganek jest rampa? - Jamie minęła dom.

- Karen jeździ na wózku. Miała wypadek samochodowy.

-1 mieszka w dwupiętrowym wiktoriańskim domu?

- Tak jej wygodnie. W domu jest winda jeszcze z lat dwudziestych, więc bez problemu porusza się między piętrami. Sama korzysta z toalety i wanny, dlatego zaniepokoiła mnie automatyczna sekretarka. Normalnie Karen odebrałaby telefon.

- Chyba, że nie ma jej w domu.

- Możliwe. Ale jeżeli jest?

- Zadzwoń na policję. Powiedz, że twój sąsiad może być w niebezpieczeństwie.

- Policja ma nowoczesny system identyfikacji. Zlokalizowaliby twoją komórkę, chociaż masz zastrzeżony numer. Jeśli tam się coś stało, będziesz pierwszą podejrzaną.

- Więc zadzwoń z budki.

- Nie potraktowaliby tego poważnie - powiedział Cavanaugh. -

Mogliby uznać, że to jakiś dowcip. Pospieszyliby się czy może poczekałi, aż dotrze tu patrol? Czy gdyby nikt nie otwierał drzwi, włamałoby się do środka, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku? A gdyby było w porządku, czy nie zainteresowałby ich nowoczesny sprzęt drukarski Karen i blankiety dokumentów. Nie. Karen może być w niebezpieczeństwie w tej chwili. Nie mamy czasu na rozmowy z policją. Muszę się tym zająć sam.

117

- Mówisz tak, jakby była dla ciebie kimś ważnym.

- To siostra przyjaciela z Delta Force.

Jamie spojrzała na niego nieprzekonana.

- Miał na imię Ben - powiedział Cavanaugh. - Wykrwawił się na moich rękach, kiedy wracaliśmy z akcji.

Jamie przyjrzała mu się uważnie.

- Karen to jego jedyna rodzina. Obiecałem mu, że będę się nią opiekował.

- W takim razie lepiej dopilnujmy, żebyś dotrzymał słowa. - Zawróciła na następnym skrzyżowaniu i zaparkowała na chodniku, przodem w kierunku domu.

Wysiedli z samochodu.

- Nie możesz iść ze mną.

- Kevlarowa kamizelka ciążyła Cavanaughowi pod koszulą i sporto

wą kurtką.

-Ale...

- Jeśli w środku jest Prescott, może się zrobić niewesoło.

- Mogę pomóc.

- Gdybym miał dla ciebie pistolet - Cavanaugh nauczył Jamie, jak posługiwać się bronią- może byś mogła. Ale nie wolno ryzykować życia, jak się nie ma czym bronić. Ja będę tak zajęty, że nie będę mógł cię chronić. Zostań w samochodzie przy telefonie. Jeśli zadzwonię i będę potrzebował pomocy...

- Wcisnę gaz do dechy i podjadę pod dom. Jeśli będę musiała, wjadę na ganek.

- Dobrze. - Cavanaugh uśmiechnął się i objął ją, uważając na zranione ramię.

- Przed chwilą mówiłeś coś o odwadze. Nie rozumiem, jak... Nie boisz się tam iść?

- Boję się o Karen. Tylko o niej myślę.

Zachodzące słońce wydłużało cienie. Cavanaughowi dom Karen wydawał się większy niż pozostałe. Z tyłu nie było żadnej uliczki tylko podwórka sąsiednich domów, nie mógł się więc tam zakraść, nie wzbudzając podejrzeń. Pozostało mu podejść od frontu, jakby był zwykłym gościem. Zauważył, że mimo zapadającego zmroku w domu nie palą się światła. Mógł to być zły znak, choć oczywiście równie dobrze mogło znaczyć,

118

że Karen wyszła, że jakiś znajomy zabrał ją na przykład do kina. To wyjaśniałoby, dlaczego nie odebrała telefonu.

Ale z drugiej strony, czy nie zostawiłaby włączonych kilku lamp albo czy nie nastawiłaby zegara, tak żeby po zmroku zapaliło się światło?

Wszedł na chodnik prowadzący przez równo przystrzyżony trawnik do schodków na ganek. Był gotów wyciągnąć broń i rzucić się na ziemię, gdyby tylko w którymś oknie zobaczył jakiś podejrzany ruch.

Wchodząc po stopniach, czuł się zupełnie odsłonięty. Zmusił się jednak, by iść dalej. Nie mógłby żyć ze świadomością, że nie dotrzymał słowa danego zmarłemu przyjacielowi. Wsunął rękę pod kurtkę, oparł dłoń na kolbie i zajrzał przez szybę w drzwiach do środka domu.

Zobaczył tylko ciemny korytarz. Pod wpływem impulsu nacisnął klamkę i pchnął. Ku jego zaskoczeniu drzwi się otworzyły. Czy kobieta na wózku zostawiłaby frontowe drzwi otwarte?

Wyciągnął pistolet i wszedł do środka. Poczuł ból w barku, kiedy wyprostował ręce, mierząc w przestrzeń. Sprawdził pograżony w półmroku korytarz, schody i pokoje po obu stronach.

Starając się nie hałasować, zamknął za sobą drzwi. Wstrzymał oddech i zaczął nasłuchiwać, ale wszędzie panowała cisza. Dom wydawał się pusty, to jednak nic nie znaczyło.

Od czego zacząć? Cavanaugh zastanawiał się tylko chwilę. Ruszył powoli korytarzem. Stawiał małe kroczki, żeby nie stracić równowagi. Skoncentrował się na muszce. Od strony patrzącego namalowana była na niej farbą fluorescencyjną plamka niewidoczna z przodu. Pozwalało to celować w ciemności, nie rażąc w oczy.

Cavanaugh minął zamknięte drzwi po prawej (wejście do windy, o której mówił Jamie) i dotarł do końca korytarza. Sprawdził kuchnię z ceglanym kominkiem i piekarnikiem imitującym stary model z żelaza. Zbliżył się do drzwi po lewej i ustawił poza linią strzału. Nacisnął klamkę, krzywiąc się, gdy metal zachrobotał, i pociągnął.

Dom znów utonął w ciszy.

Cavanaugh odetchnął głęboko (raz, dwa, trzy), przytrzymał powietrze w płucach (raz, dwa, trzy) i wypuścił je (raz, dwa, trzy). Próbował opanować bicie serca i przyspieszony oddech. Przypadł do drzwi i wymierzył pistolet w dół schodów prowadzących do piwnicy. Cienie na dole były ciemniejsze niż w kuchni, ale równie nieruchome.

Wiedział, że w szufladzie w korytarzu Karen trzyma latarkę. Wyjął ją cicho. Przykucnął i wyciągnął latarkę wysoko nad głowę. Gdyby ktoś był w piwnicy, strzeliłby, widząc światło. Celowałby w jego źródło, zakładając,

119

że ktoś trzyma je przed sobą. Widząc błysk strzału, Cavanaugh mógłby odpowiedzieć ogniem. Nikt jednak nie strzelił.

Znów zaczął nasłuchiwać. W domu panowała cisza.

Ruszył schodami w dół. Wtem jeden stopień zaskrzypiał mu pod stopami. Cavanaugh zdrętwiał.

Wdech (raz, dwa, trzy). Przytrzymaj (raz, dwa, trzy). Wydech (raz, dwa, trzy).

Ruszył dalej.

Nieoczekiwanie zaczęły drżeć mu kolana. Poczł skurcz żołądka. To tylko odruchy, organizm szykuje się do działania. Po prostu serce pompuje więcej krwi.

Poczł słaby, gryzący zapach. Tętno skoczyło mu jeszcze bardziej. Woń była znajoma, ale nie mógł sobie uświadomić, skąd ją zna. Musiał się skoncentrować, skupić na tym, co może czyhać w ciemnościach piwnicy, poza zasięgiem światła latarki.

Adrenalina to moja przyjaciółka. Nogi mi się trzęsą, bo są gotowe do wysiłku. Serce się tłucze, żeby mięśnie miały dużo krwi. Czuję gorąco w brzuchu, bo moja wątroba produkuje glukozę i kwasy tłuszczowe, żebym miał rezerwy energii. Oddycham tak gwałtownie, bo płuca gromadzą tlen.

Wiedział, że to, co czuje, to tak zwana reakcja "uciekaj albo walcz". Ucieczka jednak oznaczała panikę. Nigdy w życiu, zwłaszcza kiedy brał udział w walce, Cavanaugh nie czuł chęci, by uciekać. Teraz zdarzyło mu się to pierwszy raz.

Co się ze mną dzieje? Dotarł do końca schodów. Ostry zapach szczypał go w nozdrza, a coś wewnątrz krzyczało, żeby uciekał. Żeby uciekł z domu, zanim...

Zanim co?

Wdech (raz, dwa, trzy). Przytrzymać (raz, dwa, trzy). Wydech (raz, dwa, trzy).

Nie mógł jednak utrzymać rytmu. Nieważne, jak bardzo się starał, oddychał tak szybko, że był już na skraju paniki. Zakręciło mu się w głowie. Drżącymi dłońmi skierował latarkę i pistolet przed siebie. Oświetlił ciemny korytarz, podobny do tego na górze. Wiedział, że po lewej stronie jest włącznik światła, ale nie nacisnął go. Chciał oślepić latarką każdego, kogo mógłby spotkać w ciemności. Rana dokuczała mu coraz bardziej. Rękę z latarką wyciągnął w bok, żeby kula nie trafiła go w korpus. Ponieważ stał teraz twarzą w przeciwną stronę, drzwi windy miał po lewej. Za nimi były jeszcze jedne drzwi i dwoje na przeciwległej ścianie.

Nieprzyjemny zapach z każdym krokiem był coraz silniejszy. Cavanaugh miał tak skurczony żołądek, że bał się, że wymiotuje. Nogi się

pod nim uginały. Człł, że jego ciało chce się osunąć na podłogę i skulić pod ścianą.

Przerażony tym, co się z nim działo, przeklął w myślach. W ubraniu mokrym od potu starał się przypomnieć sobie wszystkie obelgi, którymi obrzucali go instruktorzy. Wszystkie rozkazy, każdą boleśnie opanowaną lekcję.

Do diabła, adrenalina to mój przyjaciel!

Zmuszając umysł, żeby skoncentrował się na Karen, Cavanaugh robił kolejny krok. Wtem przypomniał sobie, skąd zna ten zapach. Magazyn. Tam też człł coś takiego, tylko że zapach nie był aż tak intensywny. Pamiętał, że omal nie cofnął się do samochodu, kiedy szedł do Prescottta. Tamten strach jednak był niczym w porównaniu z przerażeniem, z którym zmagal się teraz. Gdyby nie wyszkolenie i silna wola, nie wszedłby po schodach tam, w magazynie.

Prescott!

Ten drań tu był!

Cavanaugh poczul coś jeszcze. Szukając źródła drugiego zapachu, skierował światło latarki na podłogę przed sobą. Najdalsze drzwi po lewej prowadziły do składziku. Najdalsze po prawej do łazienki. Trzecie po prawej do pracowni Karen. Tam trzymała swoje cyfrowe aparaty, komputery i

drukarki.

Cavanaugh skierował latarkę na dół. Zrobiło mu się słabo, kiedy zobaczył wydostający się szparą dym i delikatne, pomarańczowe migotanie. Dotknął klamki i poczuł, że jest ciepła. Jakaś część jego umysłu krzyczała "Uciekaj!", inna jednak powtarzała "Karen!" Otworzył drzwi.

Ogień prawie go oślepił, ale Cavanaugh na niego nie patrzył. Przed nim siedziała Karen w otoczeniu płomieni. Siedziała skulona nieruchomo w swoim wózku, przyciskając ręce do piersi.

Była tak blada, że piegi na jej twarzy wydawały się niemal szkarłatne. Dziewczęcą buzię wykrzywiła, tak że wyglądała na staruszkę.

Cavanaugh wcisnął latarkę do kieszeni i skoczył w jej stronę, ale płomienie były szybsze. Zresztą nawet gdyby zdążył, nic by to nie dało. Kobieta siedziała bez ruchu, nie reagując na ogień.

Była martwa.

Jak to się stało? Cavanaugh cofnął się przed płomieniami. Nie dostrzegł żadnych śladów, żadnych obrażeń twarzy, krwi, siniaków i opuchlizny na szyi. Przyciskała tylko ręce do piersi, jakby miała atak serca.

Ogień strzelił wyżej. Cavanaugh wybiegł na korytarz. Centrum pożaru było w kącie za stołem ze sprzętem fotograficznym. Tak jakby spięcie instalacji wywołało ogień, który przedostał się aż do pracowni.

120

121

Prescott musiał zrobić coś z gniazdkiem, żeby wyglądało to na nieszczęśliwy wypadek. Cavanaugh nie poczuł dymu zaraz po wejściu do domu, płomienie nie od razu wydostały się ze ściany. Zdaje się, że Prescott lubi ogień.

Cavanaugh wpadł na schody. Nagle poczuł, że musi się zatrzymać. Przerazenie zaatakowało ze zdwojoną siłą. Nigdy wcześniej tak wściekle nie biło mu serce. Dyszał tak, że prawie pękały mu płuca.

Walcz albo uciekaj. Cavanaugh chciał po prostu umknąć przed pożarem, ale stojąc na schodach, prawie sparaliżowany strachem, spojrzał w górę i zrozumiał, dlaczego instynkt kazał mu się zatrzymać. Drzwi na górze zostawił otwarte. Teraz były zamknięte.

Prescott zaczął czekać, żeby się upewnić, czy pożar się rozprzestrzeni. Cavanaugh był tego pewien.

Podobnie jak tego, że drzwi są zamknięte na klucz. Zakaszła od dymu. Na plecach poczuł ciepło. Musi wejść na górę i je wyważyć.

A jeśli Prescott zaczeka do ostatniej chwili? Jeśli wciąż ma karabin Roberta? Chce, żeby to wyglądało na wypadek, ale strzeli, jeśli będzie musiał.

Cavanaugh zbiegł na dół. Ogień z pracowni Karen wydostał się już na korytarz. Otworzył drzwi windy i z ulgą odkrył, że za nimi stoi wyłożona dębową boazerią kabina. Jak każdy, kto ma zdrowe nogi i się spieszy, Prescott pobiegł schodami.

Cavanaugh wyjął z kieszeni latarkę i pospiesznie obejrzał sufit kabiny. Na widok wjazdu poczuł przypływ nadziei. W przeciwieństwie do wind w biurowcach ta była niewielka i Cavanaugh bez trudu dosięgał sufitu.

Modlił się, żeby huk płomieni zagłuszył szcęk klapy. Ogień był coraz bliżej. Cavanaugh zamknął drzwi i zaciągnął kratę. Chociaż starał się to zrobić delikatnie, nie udało mu się zachować absolutnej ciszy. Miał nadzieję, że pożar zagłuszył również ten dźwięk.

W ciasnej kabinie przyspieszony oddech Cavanaugha wydawał się dudnić. Pot zalewał mu oczy. Nienawidził wind. Nigdy nie wiadomo, kiedy coś się zepsuje albo co czeka za drzwiami.

Do kabiny zaczął przedostawać się dym. Czując coś na kształt paniki, Cavanaugh nacisnął dwójkę. Jeśli pożar wysadził bezpieczniki, jeśli silnik windy nie działa...

Chciał krzyknąć. Głos uwiązł mu w gardle, kiedy kabina z szarpnięciem ruszyła do góry. Poruszała

się bardzo powoli. Cały dygocząc, Cavanaugh schował pistolet do kabury. Przełożył latarkę za krawędź włazu, złapał się go obiema dłońmi i podciągnął w górę.

122

Lewe ramię eksplodowało bólem. Cavanaugh usłyszał odgłos darcia i poczuł, że opatrunek odkleił mu się od skóry. Coś ciepłego spłynęło mu po ramieniu, kiedy rana znów się otworzyła.

Nie dbał jednak o krew i ból. Musiał wydostać się z windy. W kabinie było coraz więcej dymu.

Robiło się coraz goręcej. Krew spływała, Cavanaughowi po piersi. Poczul nagły przypływ histerycznej siły. Nigdy przedtem, nawet podczas najtrudniejszych akcji nic podobnego mu się nie zdarzyło. Ból i słabość zniknęły. Cavanaugh wciągnął się na dach kabiny, w chwili gdy zaczęła się tlić.

Oddychając z wysiłkiem, spojrział w dół. Usłyszał stłumiony huk i trzask pękającego drewna. W drzwiach pojawiły się dziury po kulach. Winda powoli przesuwiała się wyżej. Cavanaugh usłyszał kolejną serię. Pociski dziurawiły drzwi, sypiąc drzazgami.

Strzały były na tyle ciche, że nie było ich słyszeć na zewnątrz. A więc Prescott używał tłumika.

Tylko że tłumika nie można legalnie kupić. Skąd go wziął?

A skąd ja bym wziął?

Odpowiedź przyszła natychmiast. Gdyby musiał, zatknąłby na lufę pustą plastikową butelkę.

Cavanaugh jednak przeszedł odpowiednie szkolenie. Jak Prescott na to wpadł?

To jasne. Miał dość czasu, żeby się nad tym zastanowić. Fizyka to jego zawód.

I jeszcze jedno: może ma talent do takich rzeczy.

Winda minęła parter i strzały ucichły. Cavanaugh wyobraził sobie, jak Prescott nasłuchuje przy drzwiach, a potem biegnie schodami na piętro. Wyobraził sobie ciężki tupot stóp. Nawet z nadwagą Prescott mógł wbiec na górę szybciej niż winda.

Nad sobą Cavanaugh słyszał skrzypienie kół i warkot silnika. Podłoga zapłonęła żywym ogniem. W tej samej chwili rozległa się następna seria i pociski znów podziurawiły drzwi. Jeśli Prescott używał jako tłumika butelki, kule rozniosły ją na strzępy. Musiał zamienić ją na coś innego, może owinął lufę kurtką. Ale materiał też długo nie wytrzyma. Cavanaugh doszedł do wniosku, że odtąd strzały Prescottta dadzą się słyszeć na zewnątrz.

Koła przestały skrzypieć, silnik ucichł. Winda zadrżała i zatrzymała się. Słyszeć było jedynie trzask płomieni trawiących podłogę. Bijący z włazu żar stał się nie do zniesienia, tak że Cavanaugh musiał się odsunąć.

Wtedy usłyszał coś jeszcze, a może tylko sobie wyobraził: delikatne poruszenie klamki i cichy zgrzyt zawiasów.

Wyłączył latarkę. Drzwi windy otworzyły się powoli. Prescott na pewno stał z boku. Cavanaugh był o tym przekonany. Nie wystawi się na

123

cel. Z boku przez uchylone drzwi zobaczy płomień. Zajrzy czy też może uzna, że kule wraz z ogniem dokonały dzieła?

Serce Cavanaugha tłukło się jak oszalałe. Spojrział w górę, na drzwi prowadzące na strych. Winda nie dojeżdżała tak wysoko. Te drzwi były o połowę mniejsze od pozostałych i zostały przeznaczone dla konserwatora.

Raptem drzwi na dole otworzyły się na całą szerokość. Prescott z pewnością zobaczył, że na płonącej podłodze nie ma trupa Cavanaugha. Ponieważ nie można było wysłać windy na górę, jeśli człowiek nie wszedł do kabiny i nie zamknął drzwi i kraty, Prescott nie potrzebował dużo czasu, żeby się zorientować, że Cavanaugh musiał wyjść przez klapę w suficie. Wystarczyło, żeby wycelował karabin w górę...

Cavanaugh schował latarkę do kurtki. Czując ból w zranionym barku, złapał linę i podciągnął się w górę. Gdy znalazł się na wysokości drzwi, lewą ręką chwycił za klamkę. Zdesperowany szarpnął ją. Otworzył drzwi, złapał się futryny i prawie krzycząc z bólu, wciągnął się na strych.

Latarka wysunęła mu się z kieszeni i spadła. Sekundę po tym, jak uderzyła o dach windy, seria z

karabinu podziurawiła sufit. Cavanaugh przeturlał się po podłodze i uderzył o coś, co w ciemności przypominało skrzynię. Pospiesznie popchnął ją do drzwi i zepchnął w dół szybu. Łomot mógł zmylić Prescottta. Mógł dojść do wniosku, że Cavanaugh został trafiony i spadł.

Ostatniej serii nic już nie tłumilo. Sąsiedzi musieli słyszeć strzały i na pewno zadzwonili po policję. To pierwszy błąd Prescottta. Nawet gdyby w domu nie szalał pożar, nie mógł dłużej w nim zostać. Musi natychmiast uciekać albo wpadnie w pułapkę. Sąsiedzi prawdopodobnie zauważyli dym i wezwali straż pożarną. Cavanaughowi wydawało się, że słyszy w oddali wycie syren. Kolejny powód do ucieczki.

Leżąc na zakurzonej podłodze, Cavanaugh łapczywie wciągał do płuc czyste powietrze. Ten odpoczynek nie mógł trwać długo. Żeby odsunąć chwilę ucieczki, zamknął drzwi, odcinając się od płomieni. Nie był przygotowany na niemal absolutną ciemność, która zapadła. Szare światło zmierzchu wpadało przez dwa małe okienka - zbyt małe, żeby się przez nie przecisnąć.

Jedynym wyjściem były drzwi na pierwsze piętro. A jeśli Prescott tam czeka? Syreny były coraz bliżej. Trzeba stąd uciekać. Za chwilę ogień odetnie drogę.

Wzrok przyzwyczaił mu się do ciemności na tyle, że zaczął rozróżniać kształty. Postać przypominająca człowieka okazała się krawieckim mane-

124

kinem. Cavanaugh wiedział, że na strych wchodzi się przez klapę na szczycie schodów. Rozejrzał się. Ze szpar w ścianie szybu sączył się dym. Cavanaugh ominął go na czworakach i macając przed sobą w kurzu, trafił na złożone na klapie drewniane schody. Wystarczy tylko ją pchnąć i...

A Prescott? Jeśli tam na mnie czeka?

Spociał się jak mysz. Za plecami czuł żar. Odwrócił się i zobaczył, że przez szpary w deskach przedostają się już płomienie. Usłyszał zbliżające się syreny.

Prescottta tam nie ma! Nie może tam być!

Pchnął klapę.

Nic się nie stało.

Pchnął mocniej. Bez skutku.

Pewnie pcham ze złej strony. Z tej strony są zawiasy.

Przezołgał się na drugi koniec i popchnął mocno.

Kłapa wciąż była zamknięta.

Przyjrzał się jej, pokaszując od kurzu. Ogień był już tak blisko, że na strychu zrobiło się jasno.

Zawiasy były po tej stronie, którą właśnie pchał. W panice przezołgał się na drugą stronę włazu i pchnął jeszcze raz z całej siły. Kłapa nawet nie drgnęła. Musiała mieć zasuwkę od zewnątrz.

Nad klapą przepłyneło pasmo dymu.

Cavanaugh skoczył na nią, próbując wybić obcasem dziurę, ale twarde drewno nie pękło.

Obrócił się gwałtownie. Powiódł wzrokiem po sprzętach, szukając czegoś, co mogłoby mu pomóc. Może odkręcić zawiasy? Ale jak? Skąd wziąć śrubokręt albo cokolwiek, czym...

Zaczęły mu łzawić oczy. Dym przesłonił płomienie w szybie. Mogę się tak miotać aż do śmierci.

Już kręciło mu się w głowie z braku tlenu. Mimo całej siły, którą obdarzyła go panika, jego ciało było u kresu wytrzymałości. Jeśli wciągnie do płuc jeszcze trochę dymu...

Więc nie oddychaj, powiedział sobie.

Wstrzymał oddech i czując klucie w piersi, wyciągnął pistolet. Wycelował w drewno tuż przy zawiasie. Trzymał lufę piętnaście centymetrów nad klapą, pod takim kątem, żeby kula uszkodziła śruby.

Odwrócił głowę, żeby drzazgi nie poraniły mu twarzy, i nacisnął spust. Huk wystrzału niemal rozsądził mu uszy. Wciąż wstrzymując oddech, wycelował raz jeszcze, pod innym kątem. Znow się odwrócił, pociągając za spust. Odrzut poderwał jego niepewne ręce. W uszach mu dzwoniło.

Osiem naboju w magazynku i jeden w komorze. Bojąc się, że straci przytomność, Cavanaugh strzelał raz za razem. Wymienił magazynek

125

i wystrzelił kolejne osiem kul, tym razem w drewno dookoła drugiego zawiasu. Podobnie opróżnił trzeci.

Zostawił sobie jedną kulę, na wypadek gdyby Prescott czekał na dole. Schował pistolet i skoczył na klapę. Usłyszał trzask. Skoczył jeszcze raz. Zawiasy puściły z jękiem. Skoczył po raz trzeci i runął w dół, razem z klapą, na półpiętro.

W locie złapał się krawędzi otworu i zawisł. Zobaczył płomień buchające z drzwi windy na piętrze. Puścił się, spadł na zadymione półpiętro i przetoczył się, żeby zamortyzować upadek. Chciał się dostać do sypialni na szczycie schodów, ale pełznąc w kłębach dymu, wymacał pustkę i zrozumiał, że posuwał się w złym kierunku. Niewiele brakowało, a spadłby w płomień blokujące przejście do frontowych drzwi. Przed oczami latały mu kolorowe plamy. Zawrócił i chciał ruszyć na czworakach do sypialni.

Ręce jednak odmówiły mu posłuszeństwa. Kolana nie chciały poruszać się do przodu. Sparaliżował go brak tlenu. Poczul się, jakby ktoś okrywał go kocem. Nagle złapały go czyjeś ręce. Ktoś powlókł go w ciemność, z dala od ognia buchającego z drzwi windy. Trzasnęły zamykane drzwi. Znow ktoś go złapał i przeciągnął obok niewyraźnego kształtu, prawdopodobnie łóżka, w stronę otwartych drzwi na balkon.

Chociaż było już prawie ciemno w blasku ognia odbijającego się w oknach parteru zobaczył zastygłą w napięciu twarz Jamie. Płomień migotały w jej zielonych oczach, kiedy przeciągnęła Cavanaugha w stronę opuszczanej platformy. Tędy Karen zjeżdżała wózkami na podwórko. Słyszał ciężki oddech Jamie. Słyszał warkot silnika. Słyszał zbliżające się syreny.

Platforma zatrzymała się z szarpnięciem. Ogień musiał przepalić przewody. Cavanaugh wychylił się przez barierkę i półtora metra niżej zobaczył trawnik.

Jamie otworzyła furtkę, zeskoczyła i wyciągnęła ręce do Cavanaugha. Złapała go, kiedy się osunął i oboje przewrócili się na trawę.

Ogień dotarł już do okien z tyłu domu.

Syreny zatrzymały się od frontu.

Jamie postawiła Cavanaugha na nogi i poprowadziła go wzdłuż ściany.

- Nie - wymamrotał. - Tył.

- Słucham?

- Podwórko. Furtka.

Czyste powietrze rozjaśniło mu umysł. Potykając się, zawrócił i ruszył przez podwórze. Jamie trzymała go pod ramię.

Na ulicy krzyczeli strażacy, ryczały silniki, hałasował sprzęt gaśniczy.

Podwórko było ogromne. Dwa potężne drzewa rzucały gęsty cień. Blask płomieni niedługo dotrze i tu, ale na razie Cavanaugh i Jamie mogli się w nim ukryć. Pod osłoną drzewa dotarli do wysokiej białej furtki.

- Karen kazała ją tu wstawić... - Cavanaugh odetchnął. - ...żeby dzieciak z sąsiedztwa... - Znow odetchnął. - ..mógł przeciągnąć do niej kosiarkę i skosić trawnik.

- A jeśli jest zamknięta na klucz?

- Spróbujemy przejść górą.

Wtem furtka się otworzyła. Podbiegli do nich mężczyzna, kobieta i nastolatek.

- Co się stało? Nic państwu nie jest?

- Byliśmy u Karen - wykrztusił Cavanaugh. - Zaczęło się za ścianą.

Szybko się zajęło. Ledwie uciekliśmy.

- Co z Karen?!

- W piwnicy. - Cavanaugh brnął przed siebie przez podwórko sąsiedów. Spod kurtki nie było widać jego pistoletu. - Nie mogliśmy...

- Słyszeliśmy strzały.

- Wybuchły puszki z farbą. Powiedzcie strażakom, żeby wyciągnęli Karen.

Mężczyzna i nastolatek pobiegli w stronę płonącego domu. Kobieta została.

- Niech pani ratuje dom - powiedziała Jamie.

- Co takiego?

- Musi pani polać wodą dach, żeby się nie zajął od iskier.

Kobieta zbladła. Odwróciła się i pobiegła po gumowy wąż podłączony do kranu przed domem.

Kiedy zaczęła polewać dach, na podwórzu zebrali się sąsiedzi. Przepychali się, żeby jak najlepiej widzieć pożar. Zupełnie zignorowali Cava-naughta i Jamie.

10

Cavanaugh starał się trzymać prosto i nie wyglądać na rannego. Szedł ciemną ulicą dwie przecznice dalej.

Zza rogu wyjechał samochód. W obawie, że to radiowóz, Cavanaugh skręcił w krzaki.

Zamiast wozu z kogutem na dachu zobaczył zwykłego taurusa. Jechał powoli. Cavanaugh wrócił na chodnik.

126

127

Kiedy Jamie się zatrzymała, wsiadł i osunął się na siedzenie. Ruszyła równie wolno.

- Jakież problemy z samochodem? - spytał Cavanaugh.

- Wręcz przeciwnie. Policjanci byli zadowoleni, że go zabieram.

Potrzebne było miejsce dla wozu strażackiego. W jakim jesteś stanie?

- Otworzyła mi się rana.

Oboje milczeli przez chwilę.

- Mogłaś zginąć, próbując mnie ratować - odezwał się w końcu Cavanaugh.

- Nie myślałam o tym.

- Nie bałaś się?

- Tylko o ciebie.

Spojrzał na swoje drżące dłonie.

- Ja się dzisiaj bałem.

Jamie zerknęła na niego.

- Musiałeś odreagować.

- To coś więcej. Coś się ze mną stało w piwnicy. - Cavanaugh za drżał. - Po raz pierwszy zrozumiałem, co znaczy strach. - Poczuję, że z rany sączy mu się krew. - Miałem nadzieję, że nie będziemy musieli tego robić. Po drodze z motelu minęliśmy Wal-Mart.

- Wal-Mart? - spytała zaskoczona Jamie.

- Potrzebujemy kilku rzeczy. Worków na śmieci. Mikrofalówki. Miska. I...

Część czwarta

KONFRONTACJA

M

ikrofalówka szumiała. Przez kłęby pary buchające z łazienki Cava-naught widział ją na szafce przed lustrem. Za zaparowaną szybką można było dostrzec zarys miski. W misce była woda, zakrzywiona

igła i żyłka wędkarska.

Cavanaugh siedział w wannie, pozwalając wodzie spłukać smród dymu i brud.

- Masz nowe sińce - powiedziała Jamie. - Rano nie będziesz mógł chodzić.

- Nie będę musiał. Cały dzień będziemy jutro jechać.

- Może wyruszymy już dziś?

Cavanaugh spojrzał na nią.

- Uczysz się równie Szybko, jak Prescott.

- Tylko, że ja wszystkiego nie podpalam. Nie możemy tu długo zo stać, prawda?

- Tak. Zawsze jest gdzieś w pobliżu jakiś wścibski sąsiad, który zwraca uwagę na nieznane samochody. Na pewno doniesie o tym policji. Któryś policjant przypomni sobie atrakcyjną kobietę, która zabrała samochód z pobliża pożaru. Tymczasem sąsiedzi Karen poinformują policję o rannym mężczyźnie i pięknej kobiecie, którzy wybiegli z jej domu i zniknęli. Policja nie od razu połączy fakty, ale przed północą zaczną szukać pary w granatowym taurusie. Czas jechać.

Mikrofalówka przestała buczeć. Zadzwoił dzwonek.

- Myślisz, że się zdezynfekowało? - zapytała Jamie.

- Dziesięć minut. Jeśli zarazki nie zdechły do tej pory...

131

- Zakręć wodę. - Jamie osuszyła ranę gazą i posmarowała ją betadyną- środkiem bakteriobójczym, który kupiła w Wal-Marcie. Bruzda wyglądała na tyle czysto, że nie trzeba było jej polewać znów wodą utlenioną. Jamie szybko naniosiła na nią antybiotyk. Otworzyła mikrofalówkę i wyjałowionymi w alkoholu szczypczykami wyjęła z miski igłę z żyłką. Położyła to wszystko obok zdezynfekowanych nożyczek na jałowej gazie przy wannie.

- Powinnaś była zostać pielęgniarką- stwierdził Cavanaugh.

- Jasne. Od dziecka marzę o zszywaniu ran postrzałowych. Jesteś pewien, że to konieczne?

- Rana musi być zamknięta. Opatrunek nie zdał egzaminu.

- Zawsze możemy użyć drutu kolczastego albo zszywacza.

- Bardzo śmieszne.

- Śmieję się, śmieję. - Jamie uklękła przy wannie. - Choćbym nie wiem jak się starała, będzie bolało.

Cavanaugh mięśnie twarzy miał napięte prawie tak samo, jak nerwy.

- Już mi to ktoś kiedyś robił.

- Wyobrażam sobie.

- Ale nie był tak przystojny jak ty.

-Nie ma to jak pochlebstwo. Powiedz mi jeszcze coś miłego. -Twarda jesteś.

- Ty też. - Jamie wbiła igłę.

Obudziło go kołysanie samochodu. W światłach mijającego ich auta zobaczył, że leży na tylnym siedzeniu na kocu, który Jamie kupiła w Wal--Marcie. Zauważył, że wszystkie fotele miały nowe pokrowce, żeby ukryć plamy krwi. Samochód był nowy, a już trzeba było go zniszczyć. Cavanaugh uznał, że to nawet zabawne.

- Gdzie jesteśmy? - wymamrotał.

- Tak mi się zdawało, że się poruszyłeś. Na południe od Poughkeepsie. Dobrze spałeś?

- Tak. - Usiadł powoli. Światła samochodów raziły go w oczy.

- Jak ramię?

- Sztymne. Zemdlałem?

- Zemdlałeś.

- A mówiłaś, że jestem twardy.

- Chce ci się pić? Na podłodze z tyłu są butelki z wodą.

132

Cavanaugh zerknął w dół i otworzył jedną.

- Głodny? - spytała Jamie.

- Jak na kobietę, która dba o linię, sporo myślisz o jedzeniu.

- Nie dostaniesz za to paczków.

- Paczków?

- Z polewą czekoladową. Trudno, żebym jechała całą noc bez czegoś, co może mnie rozbudzić.

- Która godzina?

- Około pierwszej.

- Miałas jakieś problemy w motelu?

- Nie. Zrobiłam, co mi kazałeś. Zakrwawione ręczniki i ubrania zapakowałam w plastikowe worki z Wal-Martu i wrzuciłam do kontenera na budowie. Na ręcznikach nie ma nazwy motelu, więc nikt nas z nimi nie powiąże.

- Odciski palców?

- Wytarłam cały pokój. Napiwek zostawiłam razem z kluczami. Tak jak kazałeś.

Cavanaugh patrzył na drogę.

- Zmęczona?

- Trochę.

- Zjedź na pobocze, to się zamienimy. Poprowadzę przez chwilę.

- Dasz radę?

- Mogę kierować prawą ręką. W New Jersey znajdziemy następny motel.

- A potem?

- Jak tylko się zorganizuję, zacznę szukać Prescottta.

- Dobry Boże, co mu się stało? - spytał właściciel zakładu lakierni czego.

Pytanie było retoryczne. Cały taurus był wymazany czerwonym i zielonym fluorescencyjnym sprayem.

- Cholerne dzieciaki - zagrzmiał Cavanaugh, choć sam pomazał samochód. - Zostawiłem go na godzinę i proszę, co znalazłem po powrocie.

- Trzeba go przemalować.

- Wiem, ale diler powiedział, że gwarancja nie obejmuje aktów wandalizmu. Chciał za przemalowanie fortunę.

133

Lakiernika to zainteresowało. -Ile?

Cavanaugh podał taką sumę, że właściciel zakładu obłowiłby się nawet, gdyby dał zniżkę.

- Co pan powie na sto pięćdziesiąt mniej? - spytał.

- No cóż, to lepsza cena. Ale zależy mi na czasie.

- Jasne, jasne. Jaki kolor pan chce? Granatowy?
- Moja żona nie znosiła go od początku. Woli szary.

W środku były dwie szare koperty i niebieska flanelowa sakiewka Cavanaugh włożył wszystko do teczki kupionej w sklepie obok.

Jamie otworzyła drzwi. Trzymając teczkę w lewej ręce tak, żeby nikt nie zauważył, że jest ranny, Cavanaugh oddał kasetkę urzędnikowi. Ten włożył ją na miejsce, zamknął drzwiczki i oddał Cavanaughowi klucz.

- Dziękuję - powiedział Cavanaugh.

- Sam Murdock - powiedział Cavanaugh pracownikowi banku w Filadelfii.

- Proszę tu podpisać, panie Murdock.

Cavanaugh podpisał.

Urzędnik porównał podpis z wzorem w papierach i wpisał datę.

- Dawno pan u nas nie był.

- Już rok. Szkoda. Zawsze to powtarzam: kiedy musisz iść do skrytki depozytowej, masz kłopoty.

Urzędnik spojrzał na niego ze współczuciem, najwyraźniej kojarząc zadrapania na twarzy Cavanaugha z kłopotami, o których wspomniał.

- Mogę prosić pański kluczyk?

Cavanaugh miał na sobie garnitur. Obciął włosy tak krótko, żeby nie było widać śladów spalenizny. Podał urzędnikowi klucz.

- Będzie pan potrzebował boksu?

-Tak.

Urzędnik zaprowadził Cavanaugha i Jamie marmurowymi schodami na dół. Otworzył kluczem zakratowane drzwi. Za nimi w jasno oświetlonym sejfie stały w szeregach skrytki. Urzędnik spojrzał na numer kluczyka i podszedł do ściany po prawej. Włożył oba kluczyki do zamka niedużych drzwiczek na dole i przekręcił je jednocześnie.

Otworzył drzwiczki, wyciągnął kasetkę depozytową i podał ją Cavanaughowi.

- Boksy są na zewnątrz.

- Dziękuję.

Cavanaugh wybrał drugi boks po prawej i wszedł do niego razem z Jamie. Ukradkiem sprawdził, czy na ścianach i suficie nie ma ukrytych kamer. Przyzwyczajenie. Postawił kasetkę na blacie i nachylił się nad nią. Jamie zrobiła to samo. Ciałami zasłaniali zawartość pudełka.

134

W motelu Cavanaugh zaczekał, aż Jamie zasunie zasłony. Wysypał zawartość teczki na łóżko. W pierwszej kopercie było pięć tysięcy dolarów w dwudziestkach.

- Widzę, że oszczędzałeś na czarnej godzinie - zażartowała Jamie.

W drugiej znajdowało się świadectwo urodzenia, karta kredytowa, paszport i pensylwańskie prawo jazdy na nazwisko Samuela Murdocka. Na obu dokumentach widniały zdjęcia Cavanaugha.

- Prezent od Karen. - Zamilkł pod wpływem wspomnień. - Zawsze mi powtarzała, że nie wiadomo, kiedy człowiekowi może się przydać druga tożsamość. Często przyjeżdżam na wschodnie wybrzeże, więc bez problemu raz w roku mogę się pojawić w Filadelfii. Wyjmuję kartę kredytową ze skrytki i kupuję kilka rzeczy, żeby nie zamknęli mi konta. Od nawiam też prawo jazdy.

- Dlaczego Filadelfia?

- Dogodne położenie. W połowie drogi między Nowym Jorkiem i Waszyngtonem.

- Gdzie wysyłają rachunki z karty?

- Do firmy wynajmującej skrytki pocztowe tutaj, w Filadelfii.

- A ona przesyła je do skrzynki, którą wynajęłaś w Jackson Hole na nazwisko Sama Murdocka, nic mi nie mówiąc - stwierdziła Jamie.

Ze względu na bark Cavanaugh powstrzymał się od wzruszenia ramionami.

- To taki mój mały sekret.

- Uwielbiam dowiadywać się o tobie nowych rzeczy. Global Protective wie o tej tożsamości?

- Nikt nie wie.

- Co jest w woreczku?

- Prezent dla ciebie.

- Super.

Cavanaugh otworzył sakiewkę.

135

Jamie wzięła do ręki to, co w niej było.

- Jaki komplement mężczyźni najbardziej lubią słyszeć do kobiety? "Och, skarbie, uwielbiam, kiedy grzebiez w silniku i przynosisz do domu sprzęt elektroniczny, narzędzia i broń".

Jamie trzymała w ręku dziewięćmilimetrowego sig sauera, takiego samego jak Cavanaugha. Ten egzemplarz też został zmodyfikowany. Fabryczny celownik został zastąpiony szeroką szczerbinką i muszką z fluorescencyjną plamką. Wszystkie ruchome części wewnątrz zostały oszlifowane i pokryte na stałe substancją redukującą tarcie. Na zewnątrz też go wygładzono, żeby pistolet o nic się nie zaczepiał. Całość pomalowano czarną farbą epoksydową, która nie odbijała światła. Cavanaugh przyglądał się Jamie. Sprawdzał, czy pamiętała lekcje. Ponieważ sig nie miał bezpiecznika, trzeba było ostrożnie się z nim obchodzić. Jamie trzymała go, opierając palec wskazujący na osłonie spustu. Lufę skierowała w stronę łóżka. Odsunęła zamek i sprawdziła, czy w komorze jest nabój. Był. Nacisnęła przycisk z lewej strony i złapała wypadający magazynek.

- Świetnie - pochwalił Cavanaugh.

Odłożyła pistolet i sprawdziła, ile nabojów jest w magazynku.

- Wygląda na pełny, ale nigdy nie wiadomo, dopóki się nie sprawdzi, tak?

- Tak - przytaknął Cavanaugh. - Kiepsko na tym wyjdiesz, jeśli założysz, że nieznana broń ma pełny magazynek, bo potem w najważniejszym momencie może skończyć ci się amunicja.

Jamie policzyła naboje.

- Osiem - powiedziała. Magazynek rzeczywiście był pełny.

- Uważaj, żeby nie złamać paznokcia.

Jamie spojrzała kwaśno na męża i włożyła naboje z powrotem. Sprawdziła, jak działa sprężyna. Podniosła pistolet i odsunęła zamek, żeby wyrzucić pocisk z komory. Sprawdziła, czy mechanizm przesuwa się bez trudu.

- Przydałoby się mu trochę breakfree. - Miała na myśli specjalny środek do czyszczenia i smarowania broni.

- Nic dziwnego - powiedział Cavanaugh. - Leżał w skrytce pięć lat.

- Wspólne czyszczenie broni najlepiej cementuje rodzinę.

Wsunęła magazynek na miejsce i zarepetowała broń. W magazynku było teraz siedem nabojów. Dołożyła nabój wyjęty z komory.

Przez chwilę wydawało się, że już skończyła. Cavanaugh się zaniepokoił. Zaraz jednak wyjęła z woreczka zapasowy magazynek i przeliczyła w nim naboje.

- Zauważ, że nie tylko nie złamałam paznokcia, ale zrobiłam wszystko szybko i sprawnie. Czy muszę dodać, że powinniśmy kupić nowe ma gazynki? Po tylu latach sprężyny są na pewno zużyte.
- Zdałaś celująco - powiedział Cavanaugh.

- Chodźmy na zakupy.
- Świetny pomysł - powiedziała Jamie.
- Ty prowadzisz. - Ramię Cavanaugha ciągle było sztywne.
- Dokąd jedziemy?

Pokazała jej adresy i mapkę z książki telefonicznej.

- Sklep przemysłowy, sklep z częściami samochodowymi, sklep z bronią.

- Wspaniale.

W pierwszym sklepie kupili taśmę klejącą, młotek, śrubokręt, kabel, włącznik światła, rękawice, kombinezony robocze, kawałek rury z PCV, zestaw śrub i klamer.

- Po co nam to wszystko?

- Budujemy ulepszoną pułapkę na myszy - powiedział Cavanaugh.

W sklepie z częściami kupili filtr powietrza, dwa reflektory przeciwmgielne i cztery irchowe szmatki. Jamie zastanowiła się chwilę.

- Będziemy myć samochód? Nie, pewnie nie. Im brudniejszy, tym mniej rzuca się w oczy.

W sklepie z bronią Cavanaugh zaprowadził ją do wieszaka z paskami.

- Musi wyglądać jak zwykły pasek, ale wytrzymać ciężar pistoletu.

Najmocniejsze są zszyte z kawałków skóry ułożonych przeciwległe. Pasek powinien być na tyle długi, żeby zapinał się na drugą dziurkę. Który ci się podoba?

Jamie wybrała miękki czarny pas z posrebrzaną sprzączką.

- Ten. Pasuje do moich kolczyków z perłami.

- Teraz kabura. - Cavanaugh odwrócił się do brodatego sprzedawcy.

- Ma pan kabury z kydeksu? - Chodziło mu o wytrzymały plastik. Z takiego plastiku była także jego kabura. Lubił kydeks, ponieważ był wodoodporny i na tyle cienki, że łatwo go było ukryć.

- Do jakiego pistoletu?

Cavanaugh powiedział.

Ii

136

137

- Nieźle. - Sprzedawca sięgnął pod oszkloną ladę. - Proszę, to nowy model Fist Inc.

Matowoczarna kabura, trochę krótsza od dłoni Jamie, była otwarta. Łatwiej było wyjąć z niej broń.

Z boku miała regulowaną śrubę zaciskową, zabezpieczającą pistolet przed wypadnięciem. - Nazywa się Dave Spaulding.

Cavanaugh rozpoznał nazwisko jednego z najlepszych instruktorów strzeleckich w kraju.

-Coś jeszcze?

- Dwa magazynki do siga - powiedziała Jamie - i zestaw do czysz

czenia.

-1 sto dwadzieścia sztuk magsafe'ów dziewięć milimetrów - dodał Cavanaugh. Chodziło mu o amunicję z pociskiem z żywicy epoksydowej, w której zatopione były śruciny. Kiedy kula trafiała w cel, żywica pękała i uwalniała śrut. Siła niszcząca takiego pocisku była znacznie większa niż zwykle. No i nie było ryzyka, że kula przebije cel i trafi kogoś innego. Jak w każdym dobrym sklepie z bronią sprzedawca nie zapytał, po co jego klientom tyle ostrej amunicji.

Cavanaugh zauważył sprzęt wędkarski w głębi sklepu.

-1 jeszcze tuzin ołowianych ciężarków.

Jamie włożyła kurtkę. Obejrzał ją dokładnie.

- Bardzo dobrze. Nie widać, że masz tam pistolet.

- Po co przesywałeś kurtkę?

- Pamiętasz, jak ci pokazywałem, jak wyciągać broń?

- Pamiętam. Musiałam to ćwiczyć w nieskończoność.

- W takim razie załóżę się, że sama na to wpadniesz.

Westchnęła.

- Dobrze, że nie widzą mnie teraz koleżanki z klubu. - Odrzuciła połę kurtki i wyciągnęła pistolet. Złapała go obiema rękami, nakrywając jeden kciuk drugim wzdłuż lufy. Ugięła lekko kolana, pochyliła się do przodu i wymierzyła w drugi kraniec pokoju.

- Podoba mi się twój styl. - Cavanaugh uśmiechnął się.

- Ciężarki sprawiają, że poła kurtki zostaje z tyłu, kiedy ją odrzucasz. Dzięki irchowej szmatce kurtka nie zaczepia o kaburę.

- Znów celując. - Cavanaugh zabrał się do wiatrówki Jamie.

- Mogę zrobić to sama.

-Nie. Ja mam zranione ramię, więc to zajęcie w sam raz dla mnie. Ty masz co innego do roboty. Jamie popatrzyła na niego podejrzliwie.

- O co ci chodzi?

W motelu rozpakowali zakupy.

- Oprócz osprzętu do pistoletu cała reszta jest dla mnie tajemnicą - stwierdziła Jamie, patrząc na rozłożone na łóżku rzeczy.

- Gdzie schowałeś nożyczki, igłę i żyłkę? - spytał Cavanaugh.

- W apteczce. Nie mów, że ci się szwy poluzowały.

W odpowiedzi Cavanaugh zdjął z wieszaka kurtkę Jamie. Ze zdziwieniem patrzyła, jak wywracają ją na lewą stronę i bada szwy.

- Hej! - zaprotestowała, kiedy nożyczkami przeciął szew łączący podszewkę z wierzchem.

Cavanaugh wszył pod podszewkę trzy ołowiane ciężarki i na wysokości pasa przyszył do niej jedną z irchowych szmatek.

- Nierówno?

- Mógłbyś być krawcem.

- Jeszcze nieraz cię zaskoczę.

Jamie założyła pas i kaburę. Cavanaugh wyjął z pistoletu magazynek, wyrzucił pocisk z komory, żeby uniknąć wypadku, i wcisnął broń do kabury.

8

Jamie siedziała za taurusem w rękawicach i kombinezonie. Montowała z tyłu reflektory przeciwmgielne.

- Gdybym mógł się tam wcisnąć i zrobić to bez nadwężania szwów, z przyjemnością bym się z tobą zamienił - powiedział Cavanaugh.
- Jakoś mnie to nie przekonuje. Światła przeciwmgielne powinny być z przodu. Dlaczego zakładam je z tyłu?
- To nie są zwykłe światła przeciwmgielne. To stuwatowe kwarcowe halogeny. Mają światłość czterystu osiemdziesięciu tysięcy kandel. Po prowadzimy przewód do włącznika na desce rozdzielczej. Ustawimy światła na poziomie oczu i będziemy mogli oślepić każdego kierowcę, który by nas ścigał.
Otworzył klapę silnika i wyjął fabryczny filtr powietrza.
- Standardowy filtr jest w porządku, ale ten K&N poprawia osiągi. Przy użyciu rury z PCV i zacisków przerobił doprowadzenie powietrza do silnika.

138

139

- Dzięki temu wzrośnie moc. Dzwoniłem do specjalistycznego sklepu w Daytona Beach i zamówiłem szybki chip komputerowy. Włożymy go na miejsce tego, który mamy.
- Co jeszcze zrobimy?
- Założymy lepsze amortyzatory. Przerobimy zapłon, tak żeby można było łatwo odpalić samochód bez kluczyka. Ale najpierw musisz wejść do bagażnika - powiedział Cavanaugh.
- Słucham?
- To nie jest niemoralna propozycja. Musimy zmierzyć kilka rzeczy.
- Szczerze mówiąc, seks w bagażniku to brzmi intrygująco.
- Nie z moim ramieniem.
- Nie chciałam tego robić z twoim ramieniem. Co chcemy zmierzyć?
- Chcemy zamocować płytę z blachy stalowej, żeby pociski przez bagażnik nie wpadały do środka.
- Nie ruszaj się.
- Masz zimne ręce - powiedział Cavanaugh.
- Przestań narzekać i rozluźnij się. Zanim się spostrzeżesz, będzie po wszystkim.
- Czegoś takiego jeszcze od ciebie nie słyszałem. Przypomina mi to nastolatkę na lekcji wychowania seksualnego.
-•Wychowania seksualnego?
- Tak. Nauczyciel mówi: "Nie rujnujcie sobie życia dla piętnastu minut przyjemności", a ona spytała "Piętnastu minut? Jak pan to robi, że trwa to tyle czasu?"
- Przestań się ruszać - powiedziała Jamie. - Już. Jak było?
- Nic nie czułem.
- Widzisz? Jestem coraz lepsza. - Wyjałowionymi nożyczkami Jamie przecięła kolejny szew i wyciągnęła go. - Wygląda czysto. Nie ma śladu zakażenia. - Usunęła jeszcze jeden. - Powiększy ci się kolekcja blizn.
- Dodają mi uroku.
Na koniec Jamie przyjrzała się swojemu dziełu.
- Dobra jestem. Rana jeszcze się goi. Proszę, oto bandaż, żebyś pa

miętał, że masz uważać.

- Och, będę uważał.

Od pożaru w bunkrze minęło dziesięć dni. Cavanaugh miał do zrobienia w tym czasie wiele rzeczy, ale przede wszystkim musiał odpo-

140

cząć i wyzdrowieć. Z trudem już znosił bezczynność. Mimo że przekomarzał się z Jamie (uważał, że był jej to winien), nastrój miał podły. W snach - a często i na jawie - widział rozbitą głowę Roberta, wylatujących w powietrze Chada i Trący, zmasakrowaną pociskami twarz Dun-cana. Pamiętał zastygłą w przerażeniu Karen i jej zaciśnięte na piersi ręce. Wciąż nie wiedział, co się stało. Jedno było pewne - winny był Prescott.

- Lepiej się już nie przygotowujemy. Czas wrócić między żywych.

10

Mocno zbudowany ciemnoskóry mężczyzna skręcił i przyspieszył na ścieżce w parku na przedmieściach Waszyngtonu. Nie był sam. Wpół do siódmej rano w parku było wielu amatorów joggingu. Dzień był chłodny, mężczyzna miał więc na sobie granatowy dres. Nieznajomy, który się z nim zrównał, nosił podobny, tyle że szary.

Minęli kilka kęp drzew, zarośla i staw z pływającymi kaczkami. Kiedy stało się jasne, że mężczyzna w szarym dresie postanowił mu towarzyszyć, John Rutherford - czarnoskóry biegacz - obejrzał się i prawie zgubił rytm.

- Czy to objawienie? - spytał. Był baptystą. - Mam widzenie? Obcuje ze zmarłymi?

- Zobaczyć to uwierzyć - powiedział Cavanaugh.

- Tak, a mimo to Tomasz wciąż wątpił. Musiał włożyć dłoń w bok Chrystusa.

- Nie chciałbym cię rozczarować, ale za mało się znamy, żeby się aż tak spoufalać. Zresztą nie mam rany na boku.

Prawie zagojone ramię bolało od biegu po betonie. Cavanaugh starał się wciąż je oszczędzać.

- Słyszałem, że zaginałeś - powiedział Rutherford. - Prawdopodobnie nie żyjesz.

- Ach, te plotki. Kto ci to mówił? - Cavanaugh z trudem dotrzymał mu kroku. Na czole perlił mu się pot.

- Zastępca dyrektora Protective Services. Mieliśmy zlecenie dla waszej firmy.

Cavanaugh skinął głową. Rząd dysponował kilkoma świetnymi agencjami ochrony - Secret Service, U.S. Marshals Service i Diplomatic Security Service - ale czasami z powodu braków kadrowych musiał zatrudniać firmy z zewnątrz.

141

- Zdaje się, że ty, Duncan i trzech innych agentów zniknęliście z powierzchni ziemi razem z klientem - powiedział Rutherford. - Wasza kryjówka została zniszczona.

- Zastępca powiedział ci, co to za klient i która kryjówka?

- No co ty. - Robili następne okrążenie. Rutherford oddychał z wysiłkiem. - Gdyby powiedział mi aż tyle, przestałbym ufać waszej firmie. Myślę, że miał nadzieję, że się czegoś ode mnie dowie.

- I dowiedział się? - Na bluzie Cavanaugha pojawiły się ciemne plamy potu.

- Nic nie wiem.

Znów minęli staw z kaczkami.

- Więc o co chodzi? - spytał Rutherford.

- Potrafisz dochować tajemnicy?

- Gdybym nie potrafił, już dawno wyrzuciliby mnie z pracy.

Pytanie było retoryczne, a odpowiedź oczywista. Cavanaugh nie ryzykowałby spotkania z Rutherfordem, gdyby nie wiedział, że można mu ufać.

- Jeżeli to nie jest nielegalne i nie zrujnuje mi kariery, dochowam każdej tajemnicy.

- Plotki są prawdziwe. Ja nie żyję - powiedział Cavanaugh. - Nigdy mnie nie widziałeś. Nigdy nie rozmawialiśmy.

Rutherford milczał przez chwilę. Kiedy dobiegli do prostej, z podbródka kapał mu pot.

- Co z Duncanem i resztą?

- Jeżeli ich zobaczysz, to naprawdę będą to odwiedziny z zaświatów.

- Zabici?

- Aż za dokładnie.

-Kto?

- Chad, Trący i Roberto.

- Niech Bóg ma ich w swojej opiece - powiedział Rutherford. - Pracowałem ze wszystkimi. Powierzyłbym im swoje życie. A co z klientem?

- W tym problem. - Cavanaugh zacisnął zęby. - To przez niego wszyscy nie żyją.

- Był nieostrożny? Zmusił was, żebyście się niepotrzebnie narażali?

- Zwrócił się przeciwko nam.

Rutherford zwolnił, zbiegł ze ścieżki i zatrzymał się między krzakami. Zaczekał, aż Cavanaugh zrobi to samo. Stanęli naprzeciwko siebie.

- Człowiek, którego ochraniałicie...

- Rozmyślnie ściągnął nam na kark złych. Potem rozwalił głowę Robertowi i zastrzelił Duncana. Kiedy Chad i Trący wylecieli w powietrze, zostawił mnie na pewną śmierć w płonącym budynku.

142

Piersz Rutherforda unosiła się i opadała. Oddychał ciężko, próbując zrozumieć niepojęte.

- Pracował dla złych?

- Nie. Uciekał przed nimi.

-Więc po co...

- Bo powiedzieliśmy mu, jak zdobyć nową tożsamość i zniknąć.

Doszedł do wniosku, że bez nas będzie bezpieczniejszy. Jedna szansa mniej, że źli go znajdą.

- W piekle jest specjalne miejsce dla takich ludzi. Jak się nazywa?

- Daniel Prescott.

- Nigdy o nim nie słyszałem.

- Właściciel D.P. Bio Lab.

- O tym też nie.

- Pracował dla DEA. Badał mechanizmy uzależnień. Odkrył łatwą w produkcji substancję wywołującą uzależnienie.

Rutherford spojrzał na Cavanaugha nierozumiejącym wzrokiem.

- Współpracuję blisko z DEA, wiedziałbym o czymś takim.

- Jesus Escobar dowiedział się, co odkrył Prescott, i próbował go porwać. Kiedy ochrona DEA się nie sprawdziła, Prescott przyszedł do nas.

Rutherford zrobił jeszcze bardziej zdziwioną minę.

- To niemożliwe. Escobar został zabity dwa miesiące temu. Jego kartel jest w rozsypce. Nie byłoby w stanie ścigać kogokolwiek.

Cavanaugh poczuł, że ziemia usuwa mu się spod stóp.

- W takim razie na Prescottta musiał polować inny kartel - powie dział, sam w to nie wierząc. Kręciło mu się w głowie.

- Wiedziałbym coś o tym - stwierdził Rutherford.

- Prescottta chciała też dopaść inna grupa. Wyglądali jak oddziały specjalne.

- Wojsko? Co miałyby z tym wspólnego wojsko?

- Myślałem, że pomożesz mi się tego dowiedzieć.

11

Jamie wrzuciła jałowy bieg. Cavanaugh wystukał numer w aparacie na parkingu przed centrum handlowym. Zachodzące słońce rzucało długie cienie.

Po drugiej stronie telefon zadzwonił trzy razy.

- Halo? - odezwał się Rutherford niskim głosem.

143

'li

- Tu restauracja Won Ton. Chciałem potwierdzić zamówienie na kwotę w wysokości dwudziestu sześciu dolarów - powiedział Cavanaugh.

- Od glutaminianu sodu, który pakujecie w żarcie, boli mnie głowa.

- Rutherford mówił, jakby naprawdę tak się czuł.

- Mnie puchnie wątroba - odparł Cavanaugh, kończąc wymianę zdań, która oznaczała, że wszystko jest w porządku.

- Nic absolutnie nie wskazuje na to, że Prescott i jego laboratorium mieli coś wspólnego z badaniami dla DEA. Ich nie interesuje mechanizm uzależnień. To działka Państwowego Instytutu Zdrowia.

Na parkingu było głośno. Cavanaugh przycisnął słuchawkę mocniej do ucha.

- Myślisz, że powinienem się do nich zwrócić?

- Nie. Idź do źródła.

- Jeśli chodzi ci o laboratorium Prescottta, to siedziałem cały dzień w bibliotece Uniwersytetu Waszyngtona. Nic nie znalazłem.

- Ja znalazłem. Nie było informacji, czym się zajmuje, ale...

Obok telefonu przejechała ciężarówka z zepsutym tłumikiem.

- Co takiego? Nie usłyszałem.

- Powiedziałem, że laboratorium jest w Bailey's Ridge w Wirginii.

-Gdzie to jest?

Rutherford podał mu wskazówki.

- Przykro mi, że nie mogłem nic więcej zrobić - dodał.

-I tak bardzo pomogłeś. Dzięki. Przyślę ci tę chińszczyznę.

- Nie trzeba. Nie żartowałem z tym glutaminianem.

-Zadzwoń jutro. Będę miał więcej pytań.

- Dobra.

- Ten sam numer, ta sama pora. - Cavanaugh odwiesił słuchawkę.

Starł z niej odciski palców i wsiadł do taurusa.

- Dowiedziałeś się czegoś? - spytała Jamie.

- Tak, ktoś trzyma go na muszce. Uciekajmy stąd, zanim tu dotrą.

12

- Mielśmy ustalony sygnał. Żeby wiedzieć, czy wszystko jest w porządku - powiedział Cavanaugh. Obejrzał się. Ze zdenerwowania na brzmiały mu żyły.

Jamie słuchała go w napięciu.

- Zart o chińszczyźnie i glutaminianie sodu. Na początku obaj po wiedzieliśmy to, co mieliśmy powiedzieć. Ale na końcu, kiedy powie-
144

działem Johnowi, że przyślę mu jedzenie, miał odpowiedzieć "Nie, dziękuję, mam już plany na kolację". Zamiast tego znów poskarżył się na glutaminian.

- Podał ci informacje? - Jamie spojrzała we wsteczne lustro.

- Tak. Powiedział, gdzie znajdę laboratorium Prescottta. Musimy założyć, że to pułapka.

- Ktoś go do tego zmusił.

- Bez dwóch zdań. - Cavanaughowi pociły się dłonie. - Ale John mnie ostrzegł.

- Czy ci ludzie...

- Zabiją go? - Oddech mu przyspieszył. - Skoro pułapka zastawio-
na, nie jest już im potrzebny. Ale udało mi się zyskać na czasie.

- Jak?

- Powiedziałem, że zadzwonię do niego jutro. O tej samej porze. Że będę miał więcej pytań. Potrzymają go teraz trochę dłużej. Na wypadek, gdyby pułapka nie zadziałała. Żeby nie stracić mnie z oczu. Słuchaj, musimy porozmawiać. - Cavanaugh spojrzał na swoje dłonie. Z trudem po wstrzymywał ich drżenie.

- Zawsze rozmawiamy.

- Nie o wszystkim.

- Oho, zaczyna się. Powiesz mi teraz, że to wszystko robi się zbyt niebezpieczne i powinnam wrócić do Wyoming. Nie trudź się. To ty otwo-
rzyłaś mi drzwi. Wpuściłaś mnie do środka, a ja nie mam zamiaru wycho-
dzić. Udowodniłam ci już, że potrafię pomóc, że można na mnie polegać. Mam instynkt i się nie załamuję. Jeśli chcesz, żebyśmy byli razem, musisz zapłacić tę cenę. Żadnych tajemnic. Żadnych rozstań. Dwa lata temu zginęłabym, gdyby nie ty. Jestem ci coś winna i zamierzam spłacić ten dług.

- Zgoda.

- Słucham?

- Nie jesteś mi nic winna, ale nie będę się z tobą spierał. Nie chcę, żebyś mnie zostawiała.

- Więc?

- Muszę cię o czymś uprzedzić.

- Uprzedzić?

- Powiedziałem ci, że coś się ze mną stało. W piwnicy Karen. W po-
żarze.

Zmieszana Jamie czekała, co powie dalej.

- Straciłem nad sobą panowanie.

- Każdy by stracił. Miałaś się o co martwić.

145

10-Siła strachu

- Nie - powiedział Cavanaugh. - Stres zawsze był moją drugą natu-
rą. Dzięki niemu czułem, że żyję. Z wyjątkiem... - Zaszło mu w ustach.

- Może teraz już tak nie jest.

Jamie przyjrzała mu się uważniej.

- Przez pięć lat w Delta Force i przez następnych pięć lat w Protective

Services żyłem tylko akcją- powiedział Cavanaugh. - To, co większość ludzi uznaliby za przerażające, mnie sprawiało po prostu przyjemność. Nie mogłem się doczekać następnej dawki adrenaliny. Kochałem tę go rączkę.

Starał się zapanować nad oddechem.

- Raz ochraniałem członka rady nadzorczej Fortune Five Hundred.

Był uzależniony od nikotyny i kofeiny. Palił dwie paczki papierosów bez filtra i pił czternaście mocnych kaw dziennie. Nazywał to paliwem rakiem towym. Mówił, że dzięki temu lepiej, jaśniej i szybciej myśli. Uwielbiał haj, który mu dawały. Pewnego dnia w Brukseli, kiedy stałem na straży przed jego pokojem, usłyszałem hałas, jakby coś spadło na ziemię i rozbiło się. Był ze mną partner, więc kiedy wzywał wsparcie przez radio, ja wbiegłem do środka. Znalazłem naszego klienta na podłodze. Obok leżał przewrócony wózek ze śniadaniem.

- Był martwy?

Cavanaugh miał upiorne wrażenie, że z każdym zdaniem mówi szybciej.

- W pierwszej chwili myślałem, że tak. Ale zobaczyłem, że mruga oczami. Miał ogromne źrenice. Rzuciłem się do telefonu i wezwałem lekarza. Nie przypuszczałem, żeby klient został otruty. Obawiał się porwania, nie zabójstwa. Ale i tak musiałem go spytać. "Otruto pana?" Pokręcił przecząco głową. "Ma pan atak serca?" Znow pokręcił głową. "Udar - powiedział. - Kręci mi się w głowie. Pokój wiruje. Podłoga się kołysze". Sprawdziłem mu tętno. Sto pięćdziesiąt. Zorientowałem się, co mu jest, chociaż zczekałem na diagnozę lekarza.

-1 co mu było?

Cavanaugh poczuł pulsowanie w skroniach.

- Potężne przedawkowanie nikotyny i kofeiny. Szprycował się przez tyle lat, że w końcu jego organizm doszedł do kresu wytrzymałości. Lekarz musiał mu dać środki uspokajające i zapisał go na detoks.

-1 detoks podziałał?

- Prawdopodobnie ocalił mu życie. Ale zmiany były nieodwracalne. Jego organizm ustalił swoją granicę stresu. Od tamtej pory, jeśli tylko znalazł się w pomieszczeniu, gdzie ktoś palił, i wciągnął do płuc choćby trochę dymu, prawie dostawał zapaści. Kiedy napił się choć łyk czyjejś

146

kawy - nawet bezkofeinowej, bo i ta ma odrobinę kofeiny - serce zaczynało mu walić jak młotem. Jamie zmarszczyła czoło.

- Do czego zmierzasz?

- Adrenalina. - Cavanaughowi zaczęły drżeć kolana. - W tej chwili czuję jej przyływ. Wcześniej bym się z tego ucieszył, ale teraz... - W ustach zaschło mu do tego stopnia, że miał problemy z mówieniem. - Chcę ci powiedzieć, ostrzec cię... Cokolwiek stało się ze mną w piwnicy Karen... - Nie potrafił tego powiedzieć, nigdy nie przypuszczał, że to powie. - Może już nie mogę tego więcej robić.

Jamie przez chwilę nie reagowała.

- Chcesz wrócić do Wyoming?

- Nie, ja... Tak - powiedział Cavanaugh. - Chcę wrócić do Wyoming.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Jestem taki zagubiony... - Użył słowa, które go zaskoczyło. - Tak się boję tego, co się we mnie zmienia, że chcę wrócić do Jackson Hole

i nigdy się stamtąd nie ruszyć. Ale jeśli się poddam i ucieknę, nikt nigdy nie będzie miał już ze mnie pożytku. Jak mogę udawać, że jestem czyimś przyjacielem, jeśli pozwolę Johnowi umrzeć? Nie miałby kłopotów, gdy by nie ja. Jeśli zginie...

- Nie dopuścimy do tego.

- Tak, na Boga. Ale nie wiem, jak się będziesz czuła z kimś, kto się boi.

- Bo jest człowiekiem, to chciałeś powiedzieć?

- Postaram się, żebyś ufała mi tak, jak ja tobie. - Cavanaugh ode tchnął głęboko. - Ktoś nas śledzi?

Jamie spojrzała w lusterko.

- Droga wygląda normalnie.

- Jedź do tego parku, gdzie spotkałem się z Johnem.

-Co tam...

- Dzwoniłem do niego do domu. Jego żona zmarła w zeszłym roku.

Mieszka sam. Tam go trzymają. To logiczne.

13

Zostawili taurusa w podziemnym garażu i ocienioną ścieżką przeszli na drugi kraniec parku. Ukryci między drzewami wyjrżeli na ruchliwą ulicę, przy której stał jasno oświetlony blok.

147

i

- Piąte piętro - powiedział Cavanaugh. - Po prawej. Czwarte mieszkanie od końca.

Jamie odszukała je wzrokiem.

- Światła w jednym oknie.

- To salon. John kocha widok na park.

-Nie dzisiaj. Zasłony są zaciągnięte.

- Okno obok to sypialnia.

- Tam też zasłony są zaciągnięte, ale nie pali się światło. Jeszcze jakieś sypialnie?

-Nie. - Cavanaugh marzył, żeby wsiąść do samochodu i odjechać. -Kiedy zmarła mu żona, John sprzedał dom i przeprowadził się tutaj. Powiedział, że chce prostszego życia. Stał się w pewnym sensie pustelnikiem. Czyta swoją Biblię, kiedy nie ściga złych.

- Jak wygląda rozkład pokoiów?

- Za drzwiami jest korytarz, który prowadzi do salonu. - Wysięk umysłowy pozwolił Cavanaughowi zapomnieć, co czuje. - Po lewej jest przejście do małej kuchni. Drzwi naprzeciwko też prowadzą do salonu.

Obok jest wejście do sypialni.

- Łazienka?

- W sypialni. Po lewej.

Cavanaugh dostrzegł cień za zasłoną w salonie.

- Jak myślisz, ilu ludzi go pilnuje? - spytała Jamie.

- Przynajmniej dwóch, żeby jeden mógł spać. - Szczegóły wciąż pomagały mu zapomnieć o uczuciach. - John jest przywiązany do krzesła w salonie. W ten sposób sypialnię mają dla siebie i mogą spać na zmianę.

- Ale jak go wydostaniemy?

Do jasno oświetlonego holu weszli mężczyzna i kobieta. Przez panoramiczne szyby widać było stanowisko ochrony. Strażnik zamienił z parą kilka słów, powiedział coś do słuchawki, skinął głową i nacisnął przycisk. Po prawej otworzyła się bramka, pozwalając parze przejść dalej, do wind.

- I skoro już o tym mowa - dodała Jamie - to jak wejdziemy do

budynku?

- Powinno być jeszcze wyjście awaryjne. Zawsze możemy je znaleźć i włamać się do środka.
- Nie nauczyłeś mnie, jak to się robi.
- To błąd, ale teraz nie mamy czasu, żeby go naprawić. Zresztą to dość ruchliwa okolica. Ktoś mógłby nas zauważyć. Nie pomożemy Johnowi, jeśli nas zamkną. Lepiej chodźmy do sklepu po papierosy.
- Papierosy? Przecież nie palisz.

148

- Palilem, kiedy zacząłem pracować w Protective Services. Duncan kazał mi rzucić. "Jak możesz kogoś chronić, skoro cały czas szukasz w kieszeni zapalniczki?"

- I teraz zamierzasz znów zacząć?

14

Wejście do budynku było cofnięte od ulicy o jakieś dziesięć metrów. Wzdłuż prowadzącego do niego chodnika rosły niskie krzewy. Obok stało sześć kamiennych ławek.

Cavanaugh wybrał tę najbliższą ulicę. Gestem kazał Jamie usiąść obok i otworzył paczkę papierosów.

- Zapalisz? - spytał.

- Co w ciebie wstąpiło?

- Spróbuj. Nie wstydź się. To pomaga zabić czas. - Poczęstował ją papierosem i przypalił go. Udało mu się powstrzymać drżenie ręki.

- Nie mam pojęcia, jak się to trzyma - powiedziała Jamie.

- To bez znaczenia. - Cavanaugh przypalił swojego.

Jamie zakaszła.

- Hej, nie powiedziałem, żebyś się zaciągała. Popykaj tylko i wydychaj dym. Nie tak szybko.

- Smakuje paskudnie.

- Prawda? Zastanawiam się, co mi się w tym podobało.

Dwie mijające ich kobiety z dezaprobatą odwróciły wzrok.

- W dzisiejszych czasach nie wolno palić w tylu miejscach, że niko go nie dziwi dwoje ludzi skulonych przed wejściem - powiedział Cavanaugh. - Wyglądamy, jakbyśmy przyjechali do kogoś w gości i zeszli na dół, żeby nie zasmrodzić salonu.

Mężczyzna i kobieta pokręcili z politowaniem głowami. Następna para spojrzała na Cavanaugha i Jamie ze współczuciem.

- W porządku, więc mamy już pretekst, żeby tu siedzieć - powie działa Jamie. - Co teraz?

- Rób to co Prescott. Słuchaj i zapamiętuj.

Przechodzący obok nich ludzie, rozmawiając o szefach tyranach, odkrytych w restauracjach, tanich biletach na Bahamy i kobietach, które powinny przestać flirtować z cudzymi mężczyznami.

Minęło pięć minut.

- Nie do wiary, jak szybko skończyliśmy. Zapalmy jeszcze - powiedział Cavanaugh.

149

- Jeśli zrobią mi się żółte plamy na palcach...

Cavanaugh poczęstował Jamie następnym papierosem i udawał, że nie zwraca uwagi na dwie taksówki, które zatrzymały się przy krawężniku. Wsiadły z nich dwie grupy elegancko ubranych osób. Spojrzał w niebo, nie patrząc na mijających go pośpiesznie ludzi.

- Która godzina? - spytała jedna z kobiet. - Prawie dziesiąta? Dzięki Bogu, zdążyliśmy. Sandy powiedziała, że wrócą z Tedem z kina piętnaście po dziesiątej.

- Jak ona chce to zrobić? - spytał mężczyzna.
- Będzie udawała, że źle się poczuła. Sprytnie, prawda? Wpuści nas jej siostra. Wyobraź sobie minę Teda, kiedy wrzaśniemy "Niespodzianka!"

Stłoczyli się w holu i wszyscy naraz zaczęli mówić do strażnika. Ten zadzwonił, kiwnął głową i wpuścił ich do środka.

- Biedny Ted - mruknęła Jamie, wydmuchując dym.

Przez szyby Cavanaugh widział wyświetlacz nad windą. Pokazywał numery mijanych pięter. Z tej odległości nie było widać cyfr, ale Cavanaugh liczył rozbłyśnięcia wyświetlacza. Szesnaście. Na siedemnastym miganie ustało. Jeszcze parter. Są na osiemnastym.

Strzepując popiół z papierosa, zauważył na podjeździe przed blokiem samochód ze znaczkiem Domino's Pizza. Wsiadł z niego chudy chłopak w okularach z naręczem pudełek.

- Zobaczymy, dla kogo ta pizza - powiedział Cavanaugh do Jamie.

Kiedy chłopak podszedł bliżej, wstał i uśmiechnął się do niego.

- Cześć. Zeszliśmy na dół zapalić i pomyśleliśmy, że odbierzemy zamówienie. Numer dwadzieścia osiem, piąte piętro. - To był adres Johna.

- Przykro mi. To zamówienie dla kogoś innego.

- Wszystko? - Cavanaugh popatrzył na stos pudeł. - Pewnie na przyjęcie na szóstym. Strasznie hałasują.

- Nie. Te są dla... - Dostawca spojrział na kartkę z adresem przyklejoną do pudełka. - ... osiemnaście-jedenaście.

- Szczęściarze - powiedziała Jamie. - No to jeszcze poczekamy i zapalimy po jednym.

- Państwa pizza zaraz pewnie tu będzie.

- Przepraszamy za kłopot - powiedział Cavanaugh.

- Nie ma sprawy. - Dostawca podszedł do drzwi. Ktoś akurat wychodził i przytrzymał mu je.

Jamie zgasiła papierosa.

- Naprawdę myślałeś, że to do mieszkania Johna?

150

- Może nie zaraz, ale w końcu prawdopodobnie ktoś przywiezie tu pizzę, chińszczyznę albo jakieś inne jedzenie na wynos.

- Skąd ta pewność?

- Wiele razy widziałem, jak strażnicy popełniają ten błąd. Pilnowa nie kogoś przez okrągłą dobę jest męczące. Jeśli ochrona nie jest zdyscyplinowana, będzie myśleć o jedzeniu. Mogliby przeszukać szafki i sami coś ugotować, ale większość tego nie potrafi. - Z wyjątkiem Chada, który potrafił zrobić coś pysznego z niczego. Cavanaugh poczuł, że żal ścisnął mu serce. - Zaczną myśleć o pizzy, kanapkach albo kurczaku chów mein. Jeśli to ci sami faceci, którzy próbowali dorwać Prescottta w magazynie, myślę, że się złamią i zamówią coś do jedzenia.

- Możemy tak czekać godzinami.

- Jeśli to zrobią, to już niedługo. Dzwoniłem do Johna niecałą godzinę temu. Przedtem byli zbyt zaferowani, żeby myśleć o jedzeniu. Ale teraz górę weźmie rutyna.

- Strażnik się nami nie zainteresuje, jak będziemy tu tak siedzieć?

- Nie widzi nas.

- Co takiego?

- Kiedy byłem tu ostatnio, zauważyłem, że hol jest bardziej oświetlony.

tlony niż chodnik. Światło odbija się w szybach. Strażnik nie widzi, co się dzieje przed blokiem.

- A kamera nad drzwiami?

- Zauważyłaś ją? Jest skierowana na chodnik przed wejściem, nie na ulicę. Kiedy już wydostaniemy Johna, powiem mu, żeby się przeprowadził w bezpieczniejsze miejsce.

- Stosujesz tę sztuczkę na klientach?

- Sztuczkę?

- "Kiedy już wydostaniemy Johna". Powiedziałeś to tak, żebym uwierzyła, że wszystko dobrze się skończy. To dodaje otuchy.

Przed budynkiem znów zatrzymał się samochód ze znaczkiem Domino^ Pizza.

- Teraz moja kolej. - Jamie wyglądała na zadowoloną, że może coś zrobić i zapomnieć o zdenerwowaniu.

Podeszła do kierowcy, zacierając z niecierpliwością ręce.

- Dobry wieczór. Zeszliśmy na dół zapalić i oszczędzić panu kłopotu. Numer pięć-dwadzieścia osiem. Umieramy z głodu.

Pyszczaty nastolatek wyglądał na wyposzczonego. Prawie upuścił pudełko na widok zbliżającej się atrakcyjnej kobiety.

- Eee - wymamrotał. - Chwileczkę. - Spojrzał na kartkę. - Tak, pięć-dwadzieścia osiem.

151

- Cudownie.

- Dwie średnie? Pepperoni z czarnymi oliwkami i deluxe?

- Właśnie. Wspaniale pachną. Ile płacę?

Jamie dołożyła napiwek i wzięła pudełko.

- Do zobaczenia.

- Tak, proszę pani. - Chłopak się zaczerwienił. - Dziękuję pani. - Wsiadł do samochodu i odjechał.

- Dwie średnie pizze. Wystarczy dla dwóch strażników - powiedziała Jamie.

- Też tak myślę - odparł Cavanaugh. - Chyba, że jest tylko jeden i w dodatku troszczy się o więźnia. Ale w to wątpię.

- Skoro zamówili jedzenie, to znaczy, że czują się pewnie, tak?

- Tak. Myślą, że nikt nie wie, że mają Johna.

- Co teraz? - spytała Jamie.

- Wrócimy do parku, znajdziemy kogoś śpiącego w krzakach i damy mu pizzę. Potrzebne nam tylko pudełko.

Jamie spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Muszę odedrzeć górę z jednego i spód drugiego, żeby włożyć do środka kamizelkę kuloodporną - powiedział Cavanaugh.

15

Strażnik podniósł głowę, kiedy Jamie przytrzymała drzwi i wpuściła Cavanaugha z pudełkami do holu. Dopiero po chwili ich oczy przyzwyczaiły się do światła.

- Dobry wieczór. My na przyjęcie-niespodziankę do Teda. Osiemnaście-jedenaście - powiedział Cavanaugh.

Strażnik popatrzył na niego surowo.

- Dostali już pizzę dwadzieścia minut temu.

- Mówiłam ci, że trzeba było wziąć zeberka, frytki i sałatkę - powiedziała Jamie.

- Dużo myślisz o jedzeniu. - Cavanaugh poczuł ucisk w piersi.
- Proszę im powiedzieć, żeby nie hałasowali - rzekł strażnik. - Nie chcemy skarg od sąsiadów.
- Nie ma sprawy.

Nacisnął przycisk. Siegająca do pasa bramka po prawej zahuczała i otworzyła się.

- Dzięki. - Jamie i Cavanaugh podeszli do windy. Sekundy ciągnęły się w nieskończoność. Wreszcie drzwi zadzwoniły głośno i rozsunęły się.

152

Cavanaugh wszedł niechętnie.

- Stop - mruknął, kiedy Jamie chciała wcisnąć piąte.
- O co chodzi?
- Strażnik będzie patrzył na cyfry na wyświetlaczu, żeby się upewnić, że pojechaliliśmy na osiemnaste.
- Ups. - Jamie wcisnęła właściwy przycisk.

Drzwi się zamknęły.

Cavanaugh poczuł się cięższy. Patrzył, jak na wyświetlaczu powoli zmieniają się cyfry. Po drodze na osiemnaste powtórzył Jamie instrukcje.

- Jesteś pewien, że otworzą drzwi? - spytała.
- Gdyby zobaczyli jakiegoś przyszczatego dzieciaka, nie zdjęliby łańcucha. Podaliby mu pieniądze przez szparę i kazali wsunąć pizzę bokiem. Ale kiedy zobaczą ciebie, wierz mi, na pewno otworzą drzwi. Rozepnij bluzkę.
- Słucham?
- Trzy guziki.
- Za kogo ty mnie masz? - Jamie rozpięła bluzkę.

Dobrze, żartuj. Dzięki temu wiem, że nad sobą panujesz.

A ja? Panuję nad sobą?

Dzyń. Drzwi się otworzyły. Z bijącym sercem Cavanaugh wyszedł z windy. Korytarz był świeżo odnowiony. W jasnym świetle lamp Cavanaugh nie zobaczył nikogo.

Szybko znaleźli drzwi z napisem SCHODY. Weszli na wilgotną betonową klatkę schodową. Tu było jeszcze jaśniej niż na korytarzu. Cavanaugh rozejrzał się w poszukiwaniu kamer, ale nie zobaczył żadnej. Nie było też słychać żadnych podejrzanych odgłosów. Zbiegli po cichu na piąte piętro. Ich kroki echem odbijały się od ścian.

Przed drzwiami stanęli.

- Dasz radę? - szepnął Cavanaugh. - Będę obok. Zrób tylko dokładnie tak, jak zaplanowaliśmy.

Jamie zawahała się.

- Jeszcze nie jest za późno, żeby się wycofać - powiedział Cavanaugh.
- Oczywiście, że jest - odparła. - Nie dam rady drugi raz dojść tak daleko.
- Może w ogóle nie powinnaś.

- Uratujesz Johna beze mnie?

Cavanaugh nie odpowiedział.

- Więc dawaj pudełko.

Żrenice Jamie były powiększone ze strachu.

153

Cavanaugh patrzył, jak ugina się pod ciężarem pudeł. Ułożyła je przed sobą tak, by lekko podnosiły jej piersi i rozchyłały rozpiętą bluzkę.

- Pomyślą, że trafili do nieba- stwierdził Cavanaugh. -Zanim zapu-
kasz, zamknij na chwilę oczy. Zwązą ci się źrenice i nie będziesz wyglą-
dała na spiętą. Pamiętaj, jeśli usłyszysz telewizor, to znaczy, że są nie-
ostrożni. Dobry strażnik nie hałasuje, żeby słyszeć, co się dzieje na
zewnątrz.

Jamie wzięła głęboki oddech i pokazała głową drzwi.

- Otwieraj.

16

Korytarz na piątym piętrze też był odnowiony. Na podłodze leżała taka sama wykładzina.

Cavanaugh ruszył za Jamie. Tak jak się spodziewał, o tej porze nie było tu nikogo.

Jeszcze nie jest za późno, żeby się wycofać.

Oczywiście, że jest. Jeśli się wycofam, następna szansa, żeby ocalić Johna, może się nie trafić.

Mieszkanie numer dwadzieścia osiem było po prawej. Cavanaugh przywarł do ściany obok drzwi i
usłyszał stłumiony odgłos wybuchu, strzały, syreny i pulsującą muzykę. Ktoś oglądał film
sensacyjny. Spojrzał na Jamie, chcąc jej dodać otuchy, i wyciągnął pistolet.

Jamie stanęła przed wizjerem i zamknęła oczy. Gdy je otworzyła, miała już normalne źrenice. Nie
wyglądała na spiętą.

Za to Cavanaugh wyglądał. Nagle doszedł do wniosku, że nie powinien być jej w to mieszać.

Pokazał gestem, żeby uciekała.

Jamie zignorowała go i zapukała do drzwi.

Cavanaugh machnął raz jeszcze.

Jamie znów zapukała. Odgłosy telewizora umilkły.

Już za późno. Cavanaugh nie mógł wyjść z podziwu na widok znużonego wyrazu twarzy Jamie.

Z głośnym zgrzytem ktoś otworzył zamek. Cavanaugh mocniej przywarł do ściany. Trzymał się na
tyle daleko, żeby nie można go było zauważyć.

Tak jak się spodziewał, drzwi otworzyły się tylko na szerokość łańcucha.

- Zamawialiście państwo dwie średnie pizze? - Jamie spojrzała na kartkę przyklejoną do pudełka. -
Pepperoni z czarnymi oliwkami i de-luxe?

154

-Normalnie przynosi je jakiś dzieciak. - Mężczyzna miał europejski akcent.

- Co pan powie - prychnęła Jamie. - Prowadzę pizzerię z mężem.

Trzech gówniarzy nie przyszło dzisiaj do pracy. Więc oto jestem.

Mężczyzna zaśmiał się cicho. -Ile?

Jamie podniosła pudełka wyżej, opierając o nie piersi i nachylając się nad kartką z ceną.

- Chwileczkę. - Mężczyzna zamknął drzwi.

Cavanaugh oderwał się od ściany, podbiegł i przykucnął pod wizjerem, osłaniając Jamie. Usłyszał
zgrzyt łańcucha.

Gdy tylko drzwi się otworzyły, rzucił się na zaskoczonego mężczyznę. Zgodnie z planem, Jamie
zasłoniła się pudełkami z kamizelką. Strażnikiem okazał się ten sam skinhead, któremu Cavanaugh
zabrał pontiaca. Rozdziawił usta i sięgnął po pistolet. Cavanaugh wyrznął go lufą w łysą czaszkę.
Ogłuszony skinhead upadł, przygniatając rękę z bronią. Cavanaugh przeskoczył nad nim i wbiegł
do salonu, celując w lewo, w stronę telewizora.

Na krześle jak skamieniały siedział wąsaty mężczyzna koło czterdziestki. Nie wiedział, na co
patrzeć - na pistolet w rękach Cavanaugha czy na Jamie mierzącą do niego z drzwi do kuchni. Jego
broń leżała na stoliku obok.

Rutherford siedział związany i zakneblowany na krześle w kącie salonu. Na jego czarnej skórze
widać było krew. Wytrzeszczył oczy, ale Cavanaugh nie mógł się nim teraz zająć. Uderzył wąsacza
w ciemność pistoletem i przywarł do ściany obok wejścia do ciemnej sypialni. Wycelował i zaraz
przeskoczył na drugą stronę drzwi. Sprawdził resztę pomieszczenia. Nie widząc nic podejrzanego,
wskoczył do środka. Zastawił szybko biurkiem szafę, zajrzał pod łóżko i upewnił się, że nikt nie
czai się w łazience.

Kiedy wrócił do salonu, wąsacz leżał na podłodze i jęczał. Cavanaugh podbiegł do drzwi, zamknął je na klucz i wycelował w ogłuszonego skinheada. Przeszukał go, zabrał pistolet i związał mu ręce za plecami. To samo zrobił z wąsaczem. Zajrzał do szafy w przedpokoju i dopiero wtedy podbiegł do Rutherforda. Wyciągnął mu z ust knebel.

- Mamy wszystkich?

-Tak.

Rozwiązał go.

- Bardzo oberwałeś? - Przyjrzał się sińcom i zadrapaniom na twarzy

Rutherforda.

155

- Straciłem ząb. - Wskazał na opuchnięty policzek. - Mogli mi złać kilka żeber. - Skrzywił się, biorąc wdech.

Na stoliku pod ścianą stało pudełko chusteczek. Wyjął kilka i dał je Rutherfordowi.

- Odkaszlnij i spluń.

Rutherford usłuchał.

- Boże Wszechmogący, ale boli.

Cavanaugh przyjrzał się plwocinie.

- Nie ma krwi. Połóż się. - Zaprowadził Rutherforda na kanapę i zaczął mu lekko uciskać klatkę piersiową i brzuch. -Nie czuję opuchlizny.

Coś cię boli wewnątrz?

- Minęło sporo czasu. Gdyby coś mi pękło, pewnie już bym stracił przytomność. - Rutherford masował nadgarstki, do których powracało krążenie.

- Gdzie masz apteczkę?

- Pod umywalką w łazience.

Cavanaugh wrócił z apteczką i namydloną ściereczką. Rutherford z wysiłkiem usiadł.

- Nie przedstawiłeś mnie swojej przyjaciółce.

- Poznaj Jennifer. Jennifer, to John.

Jamie nawet nie mrugnęła, słysząc swoje nowe imię.

- Miło mi panią poznać. Bardzo się cieszę, że dożyłem tej przyjemności. - Rutherford uśmiechnął się.

Cavanaugh otworzył apteczkę i zawahał się, kiedy wśród lekarstw i bandażu znalazł trzy strzykawki. Wziął je do ręki i nagle zrozumiał, skąd się wzięły.

- To twojej żony?

Żona Rutherforda była diabetyczką. Codziennie musiała robić sobie zastrzyk z insuliny. Jak na ironię zabił ją samochód.

- Większość ubrań Deb oddałem do kościoła. Jeszcze więcej wyrzuciłem - stare buty i rzeczy, które lubiła, chociaż wiedziała, że nie warto tego trzymać. Zostawiłem tylko kilka jej ulubionych sukienek. Reszty pozbyłem się bez problemu. Ale te strzykawki wciąż mi ją przypominają. Nie mogłem się zmusić, żeby je wyrzucić.

Cavanaugh z powrotem włożył je do apteczki. Wyjął wodę utlenioną i przemył Rutherfordowi twarz.

- Zrozumiałeś moje ostrzeżenie, tę drugą uwagę o glutaminianie? - spytał Rutherford.

- Ładnie to wymyśliłeś.

- Pędziej dałbym się zabić, niż pozwolić, żebyś wpadł w zasadzkę.

156

- Wiem - powiedział Cavanaugh.
- Ludzie, których pytałem o Prescottta, twierdzili, że nigdy o nim nie słyszeli. - Kilka godzin z kneblem w ustach wystarczyło, żeby Rutherford nabawił się chrypki.
- Przyniosę panu wody - zaoferowała Jamie.
Rutherford napił się. Z ust zaczęła mu kapać krew.
- Potem przeszukałem komputerową bazę danych. - Kolejny łyk. - Nic nie znalazłem.
-Więc jak...
- Musieli mieć w FBI informatora. Albo włamali się do naszego systemu, szukając kogoś, kto z kolei szukałby Prescottta. Kiedy wyszedłem z pracy, czekali przy moim samochodzie na parkingu. - Rutherford, krzywiąc się, pomacał opuchnięty policzek. - Ktoś coś do mnie krzyknął. Odwróciłem się. Wtem obok pojawiła się furgonetka. Zasłoniła mnie. Trzech facetów złapało mnie z tyłu i wciągnęło do środka.
- Jeden krzyczał, trzech cię łapało. Kierowca. Razem pięciu? - spytał Cavanaugh.
- Nie. - Rutherford napił się jeszcze wody. - Jest jeszcze szósty, który wszystkim kieruje. Nazywa się Kline.

- Rozpoznałem twoich strażników. Chcieli porwać Prescottta.
Rutherford zmarszczył czoło.
- Jennifer, pani zbladła.
Cavanaugh odwrócił się.
- Słabo wyglądasz. Lepiej usiądź.
- Wolałabym uklęknąć. - Poszła do łazienki.
Chwilę później Cavanaugh usłyszał, jak wymiotuje.
- Pierwsza akcja? - spytał Rutherford.
- Tak.
- Dobrze się spisala.
Cavanaugh kiwnął głową.
Kiedy Jamie wróciła, przytulił ją.
- Nie zawiodłam cię - powiedziała.
- Nie zawiodłaś mnie. - A ja nie zawiodłem ciebie, dodał w myślach.
Wąsacz zajęczał. Jamie przeszła nad nim i usiadła na krześle naprzeciwko Rutherforda.
- Proszę nie zwracać na mnie uwagi. Niech pan sobie nie przeszkadza. Muszę się upewnić, że jeszcze żyję.
Dopóki trzeba było coś zrobić, ręce Cavanaugha nie drżały. Teraz jednak musiał się bardzo starać, żeby się nie trzęsły.

157

- Tak, co było potem?
- Pracowali nade mną, żebym wiedział, że nie żartują. Przyłożyli mi pistolet do głowy i dali wybór - albo powiem im, po co szukam Prescottta, albo mnie zabiją. - Rutherford przyłożył ściereczkę do policzka. - Powiedziałem im, że to nie ja go szukam, tylko mój znajomy. Znów mogłem wybierać - albo powiem im, kim jest ten znajomy, albo mnie zabiją. Nie podałem twojego nazwiska. Powiedziałem tylko, że chodzi o czło-wieka, który należał do ochrony Prescottta.
Cavanaugh pokiwał głową.

- To ich bardzo zainteresowało - powiedział Rutherford. - Nie mogli się doczekać, żeby dostać cię w swoje ręce.
- Jasne. Myśleli, że wiem, gdzie jest Prescott.
- Powiedziałem im, że też go szukasz i że nie wiesz więcej niż oni.
- Ale nie kupili tego? - spytał Cavanaugh.
- Nie. Przyłożyli mi spluwę do głowy i kazali ci powiedzieć, że laboratorium Prescottta jest w Bailey's Ridge w Wirginii.
- A teraz czterech czeka tam na mnie?
- Wyjechali, jak tylko skończyliśmy rozmawiać - powiedział Rutherford.

Jamie nachyliła się do przodu.

- Kiedy nikt nie przyjedzie, zaczną się zastanawiać, co się stało. Wrócą tutaj i będą mieli nadzieję, że się odezwiesz, tak jak obiecałeś.
- Tak - zgodził się Cavanaugh. - Będą chcieli zastawić następną pułapkę.

Rutherford sięgnął po telefon.

- Co robisz? - spytał Cavanaugh.
- Sprowadzę pomoc.
- Nie.
- Ale FBI może...
- Nie wiemy, kto jeszcze jest w to zamieszany - powiedział Cavanaugh.

Rutherford się zawahał.

- Mówiłeś, że Kline może mieć tam informatora - dodał. - Jeżeli dowie się, że na niego czekamy, nigdy tu nie przyjdzie.

17

Kiedy zadzwonił domofon, Cavanaugh odczekał kilka sekund i nacisnął przycisk.

158

-Tak?

Głos strażnika brzmiał piskliwie.

- Pan Kline i jeszcze jeden pan do pana.
- Proszę ich wpuścić. - Cavanaugh wrócił do salonu.
- Dwóch - powiedział Rutherford. - Dwóch pewnie zostało w Bailey's Ridge na wypadek, gdybyś się pojawił.

Jamie zerknęła na zegarek.

- Wpół do pierwszej. Wcześniej, niż się spodziewałeś.
- Po całej nocy w krzakach Kline musi być wściekły. Chce sobie uciąć pogawędkę z Johnem. Jesteśmy gotowi na gości? - Cavanaugh skierował to pytanie do skinheada i wąsacza, przywiązanych do krzesła. Odzyskanie przytomności zajęło im godzinę. Przesłuchanie wykażało, że byli najemnikami i nie wiedzieli, dlaczego Prescott jest tak ważny.

Dwa razy zadzwoniła komórka skinheada. Dzwonił Kline. Cavanaugh poinstruował dokładnie obu więźniów, co mają robić. Trzymając pistolet przy głowie skinheada, Cavanaugh patrzył mu w oczy. Gdyby zobaczył choć ślad nieposłuszeństwa, byłby bardzo niezadowolony. Skinhead miał teraz na głowie czapkę bejsbolową, żeby nie widać było rany.

- Pytałem - Cavanaugh popukał w czapkę - czy jesteśmy gotowi na gości?

Skinhead skrzywił się i kiwnął głową.

- Do zobaczenia za kilka minut. - Zgodnie z planem, Jamie wyszła z mieszkania. Rutherford zamknął drzwi na klucz.

Cavanaugh z niepokojem wyobrażał sobie, jak jego żona idzie korytarzem i chowa się za drzwiami klatki schodowej. Kiedy usłyszy dzwonek windy, ma policzyć do dwudziestu. Tyle trwało przejście z windy do drzwi Rutherforda. Potem ma wyjść na korytarz i udawać, że szuka w torebce kluczy do mieszkania. Mężczyźni pewnie ją zauważą, ale nie powinni nic podejrzewać. W końcu to oni zastawiali pułapkę.

Jamie wyglądała na spokojną, kiedy wychodziła. Czas do przyjazdu Kline'a spędziła na ćwiczeniu technik wizualizacyjnych, których nauczył ją Cavanaugh. Wyobrażała sobie możliwe warianty scenariusza i odgrywała je w głowie, żeby nie dać się zaskoczyć. Dla otuchy miała na sobie kamizelkę kuloodporną.

- W porządku - powiedział Cavanaugh do skinheada, trzymając go na muszce. - Bądź miły dla gości.

Rutherford już wcześniej rozwiązał mu ręce i nogi. Teraz pozwolił mu wstać z krzesła.

159

I I

- Pamiętaj - przypomniał Cavanaugh tysemu. - Będziesz pierwszy na linii ognia.

Gestem kazał mu podejść do drzwi. Ruszył za nim i patrzył, jak zatrzymuje się w przedpokoju.

- Teraz tylko postaraj się nie dać nam powodu, żebyśmy cię zastrzelili - powiedział.

Rutherford stanął w kuchni z pistoletem w ręku.

Cavanaugh czuł, jak po bokach cieknie mu pot.

Piętnaście sekund. Trzydzieści. Pięćdziesiąt. Przypomniał sobie, jak wolno jechała winda. To, że wciąż nie słuchać pukania, nie oznacza wcale, że coś jest nie tak. Cierpliwości. Wszystko będzie do...

Puk, puk. Przerwa. Puk, puk. John słyszał, że na taki sygnał umówili się ludzie Kline'a. Oznaczał, że można bezpiecznie otworzyć drzwi.

Cavanaugh ze skurczonym żołądkiem dał skinheadowi znak, że ma ich wpuścić. Sam cofnął się do salonu. Skinhead dobrze wiedział, że Rutherford trzyma go na muszce. Miał otworzyć drzwi, powiedzieć "nie zadzwonił" i wrócić do salonu, ustawiając się na linii ognia Cavanaugha.

Rutherford w tym czasie miał się ukryć za lodówką i wyjść dopiero, kiedy goście wejdą. Chodziło o to, żeby w tej samej chwili, gdy pierwszy zobaczy Cavanaugha, drugi zobaczył Rutherforda.

Jednocześnie za nimi miała się pojawić Jamie, mówiąc - tak jak w tej chwili:

- Do salonu!

Zaskoczeni z trzech stron mężczyźni nie mieli wyboru.

- Na podłogę - powiedział Rutherford. - Ręce za głowę.

- Już! - krzyknął Cavanaugh.

Skinhead posłusznie położył się twarzą w dół na dywanie. Pozostali dwaj po krótkim wahaniu poszli w jego ślady.

Jamie weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi.

- Był ktoś jeszcze? - spytał Cavanaugh. - Widzieli twój pistolet?

- Jak wchodziłam, z windy wyszło dwoje ludzi. Pistolet miałam przy torebce. Nikt nic nie widział.

Cavanaugh poczuł ulgę. John mówił, że sąsiedzi z reguły pracują do późna i zwykle nie wracają przed wieczorem. Mimo to jednak nigdy nie można przewidzieć, czy ktoś nie pojawi się w najmniej odpowiedniej chwili.

- Urocze. - Jeden z mężczyzn na dywanie zerknął w górę. Był średniego wzrostu, żyłasty, miał pociągłą twarz i krótko ostrzyżone włosy.

Cavanaugh poznał jego szorstki głos.

- Rozmawialiśmy już. Przez jego telefon. - Ruchem głowy wskazał skinheada. - Jak zabrałem mu samochód.

160

- Domyśliłeś się, że ma transmiter. - Podobnie jak skinhead mężczyzna też miał europejski akcent. - Jechaliśmy za nim kilka godzin, zanim się zorientowaliśmy, że wrzuciłeś go na ciężarówkę.

- Nie znacie się na żartach. - Uderzyła go nagła myśl. - Jechaliście za ciężarówką? Po co, skoro wiedzieliście, że odlecieliśmy helikopterem?

- Helikopterem? O czym ty mówisz?

Jego zdziwienie było przekonujące. Cavanaugh był już niemal pewien, że ludzie z magazynu nie mieli nic wspólnego z komandosami.

Razem z Jamie celowali do leżących na podłodze, a Rutherford wiązał im ręce i nogi.

Spod swetra drugiego mężczyzny Cavanaugh wyciągnął dziewięcio-milimetrową berettę. Pierwszy miał browninga hi-power. Znalazł też przy nim składany nóż przypięty do kieszeni spodni. Na zewnątrz wystawała tylko zapinka. Wystarczyło za nią pociągnąć. Karbowana część ostrza pozwalała otworzyć go kciukiem jednej ręki. Po rozłożeniu nóż miał dwadzieścia centymetrów długości.

Kiedyś noże uważano za broń gorszego gatunku ("Głupi, przyszedłeś z nożem na strzelaninę"), ale film instruktażowy wyprodukowany w latach dziewięćdziesiątych {Jak przeżyć atak bronią tnącą} dowiódł, że napastnik z nożem mógł przebyć dystans siedmiu metrów i zadać śmiertelny cios, zanim zaskoczona ofiara zdążyła wyciągnąć broń. Od tamtej pory niektórzy agenci uważali nóż za niezbędne uzupełnienie pistoletu i nosili przy sobie nawet po trzy. Nóż, który Cavanaugh trzymał w ręku, był czarny i nie odbijał światła. Zaprojektował go jeden z najlepszych instruktorów, Ernest Emerson. Ten model nosił nazwę CQC-1 od słów close quarter combat, czyli walka wręcz. Jego ząbkowane ostrze mogło przebić nawet drzwi samochodu.

- Urocze - powiedział Cavanaugh. Zamknął nóż i przypiął go sobie do kieszeni spodni. Usiadł na podłodze po turecku i spojrzał mężczyźnie w oczy. - To ty używasz imienia Kline?

- Dobrze jak każde inne.

- Opowiedz mi o Prescottcie.

Kline milczał.

- Powiem ci, co ja o nim wiem - powiedział Cavanaugh. - Możesz mi przerwać, jak będziesz chciał.

161

Opowiedział Kline'owi, co się stało, gdy zgubili pościg. Opowiedział mu o przybyciu do bunkra, o tym, że poinstruowali Prescottta, jak zniknąć, powiedział mu o pożarze, ataku i drugim pożarze w domu Ka-ren.

11 - Siła strachu

- Widzisz więc, że chcę go dopaść tak samo jak ty. Pewnie nawet bardziej. Byłoby nam o łatwiej, gdybyśmy współpracowali.

- Ale nasze cele się wykluczają.

- Jestem pewien, że udałoby się nam dogadać. - Cavanaugh spojrział na niego uważnie. - Zdaje się, że zaczynają boleć cię ręce. Może ci ulżyć?

Kline zmarszczył czoło, zdziwiony. Cavanaugh przyniósł z kuchni krzesło. Zdziwił się jeszcze bardziej, kiedy został postawiony na nogi. Zobaczył, że Cavanaugh otwiera emersona.

- Przetnę ci więzy na rękach - powiedział Cavanaugh. - Jeśli ruszysz się w moją stronę, mój przyjaciel - wskazał Rutherforda - który bardzo cierpi i ogólnie jest w parszywym nastroju z powodu lania, jakie sprawili mu wczoraj twoi ludzie, zastrzeli cię.

Rutherford przyniósł sobie z kuchni plastikową butelkę. Zatknął ją na lufie.

- Chcę dostać z powrotem mój ząb.

Przećwiczyli z Cavanaughem tę taktykę. Wywarła zamierzony efekt, zwłaszcza zaimprovizowany tłumik. Kline zmrużył oczy na jego widok.

- Ale po co sprawiać kłopoty? - spytał Cavanaugh. - Po prostu rozmawiamy. Chcemy ze sobą współpracować. - Stał za Kline'em i przeciął mu więzy na rękach. - Siadaj.

Kline usłuchał.

Cavanaugh przywiązał mu ręce do oparcia.

- Wygodnie? - spytał. - Dobrze. Naprawdę uważam, że mielibyśmy większe szanse, żeby znaleźć Prescottta, gdybyśmy działali razem. Teraz twoja kolej. Powiedz, co wiesz.

Kline odwrócił wzrok.

- Na początek - powiedział Cavanaugh - dlaczego tak ci na nim zależy? Mnie wcisnął historyjkę o badaniu mechanizmu uzależnienia dla DEA. Miał znaleźć sposób, żeby ludzie przestali wpadać w nałóg. Tym czasem odkrył łatwą w produkcji substancję, która wywołuje uzależnienie. Powiedział, że dowiedział się o tym Escobar i próbował go porwać, żeby zdobyć formułę. Twierdził, że to wy pracujecie dla Escobara. Ale okazuje się, że to bujda. DEA nigdy nie słyszało o Prescottcie, a Escobar zginął dwa miesiące temu. Dla kogo naprawdę pracujecie?

Kline w końcu spojrzał na Cavanaugha. Jego akcent stał się silniejszy ze zdenerwowania: słowiański, może rosyjski.

- Wiesz, że nie mogę ci powiedzieć.

- Zrobię ci kawy.

- Kawy? - Kline przekrzywił głowę.

162

- Tak, nie ma to jak pogawędka przy kawie. John, gdzie masz kawę?

- Nad lodówką. - Rutherford i Jamie wyglądali na równie zdziwionych co Kline. - Obok jest młynek. Dzbanek do parzenia stoi przy tosterze na blacie.

- Dzbanek do parzenia? Chodziło mi o rozpuszczalną - powiedział Cavanaugh.

- Eee, w szafce na prawo od kuchenki.

Cavanaugh obrócił krzesło Kline'a tak, żeby mógł widzieć, co robi. Poszedł do kuchni i znalazł małe pudełko z różnymi rodzajami kawy.

-Zobaczmy. Orzechowa, waniliowa, czekoladowa. Którą chcesz? -spytał Kline'a.

Cisza.

- John, musisz przestać pić tyle słodkiej kawy - zauważył. - Przytyjesz tak, że nie pomoże ci nawet bieganie. Nie masz nic mocniejszego? Chwileczkę. Co to? Mocha Java? To brzmi jak kawa dla prawdziwego mężczyzny.

Otworzył dwie paczki i wsypał do szklanki. Nalał do czajnika wody i postawił na kuchence.

- Jeszcze chwila - powiedział do Kline'a. - Nic tak nie rozwiązuje języka jak gorąca, mocna kawa z kofeiną. Jesteś pewien, że nic nie po wiesz już teraz? Dlaczego szukacie Prescottta? Kto jeszcze może znaleźć go znaleźć?

Kline patrzył na niego, uparcie milcząc.

- No cóż. Szanuję twoje zasady. Na pewno nie jesteś plotkarzem.

Czajnik zagwizdał.

Cavanaugh zalał kawę odrobiną wody. Zamieszał, pokazując Kli-ne'owi, jaka jest ciemna i gęsta.

- Kawa dla twardzieli. Będziesz miał od niej ogień w oczach i wyrosną ci włosy na kłacie.

Kline był coraz bardziej zdziwiony.

- Myślisz, że to wypiję? W ten sposób zmusisz mnie do mówienia?

Raczej się porzygam.

- Wypić? Nawet mi przez myśl to nie przeszło. I wierz mi, nie będziesz rzygał.

Otworzył apteczkę i wyjął strzykawkę. Kline wytrzeszczył oczy.

Cavanaugh włożył strzykawkę do kawy i napełnił ją ciemną, gęstą cieczą. Wycisnął powietrze.

Zaczął nucić Fly Me to the Moon.

- Zaczekaj - powiedział Kline. - Nie chcesz chyba poważnie...

163

Cavanaugh rozerwał mu koszulę i odsłonił szyję. Teraz nucił Black Coffee, mierząc igłą w tętnicę szyjną.

- Chryste Panie, przestań! - Kline odchylił się, prawie wywracając krzesło.

- Uważaj, co mówisz - odezwał się Rutherford.

- Dobrze, dobrze, tylko przestań! - krzyczał Kline. - Nie sądzisz chyba, że uwierzę, że jesteś wystarczająco szalony...

- Otwórz umysł, a wraz z nim arterie i inne żywotne organy - powiedział Cavanaugh. - Mam zamiar przyspieszyć ci puls i rozwalić mózg od środka. Kiedy tętno skoczy ci do stu osiemdziesięciu, możesz nawet zacząć lewitować, tyle że będziesz przywiązany do krzesła. Teraz, gdybyś mógł się nie ruszać...

Ścisnął mocno ramię Kline'a i dobrze wycelował igłę.

- Nie! - Kline odchylił się tak bardzo, że krzesło przewróciło się na podłogę. Z głuchym łoskotem wylądował na dywanie.

- Uważaj, pomyśl o sąsiadach - powiedział Cavanaugh.

- To mnie zabije! - krzyknął Kline.

- Zabije? Tak ci przyspieszy przemianę materii, że się spalisz.

Cavanaugh przycisnął głowę Klirie'a do dywanu i przytknął igłę do żyły.

- Jeśli mnie zabijesz, niczego ci nie powiem - wyszeptał Kline, stając się nie ruszać mięśniami szyi.

- Wiesz co? Jakaś część mnie ma to gdzieś. Spotkaliśmy się dwa razy. O dwa za dużo. Jestem wkurwiony, że moi przyjaciele nie żyją. Jestem wkurwiony, że Prescott próbował mnie zabić. Jestem wkurwiony na to, co zrobiliście Johnowi. Chcę wyrównać z kimś rachunki i jeśli nie będziesz ze mną współpracował, tak jak ja współpracowałem z tobą, przy najmniej będę miał satysfakcję.

Nakłuł żyłę na szyi Kline'a. Pocięła krew.

Kline skrzywił się. Z całych sił próbował powstrzymać drżenie, ale nie udało mu się. Mimowolny ruch sprawił, że z żyły pocięło jeszcze więcej krwi.

- Badania nad uzależnieniem to przykrywką. Prescott pracował dla wojska.

- Szczegóły.

- Dział opracowywania broni specjalnych. - Kline oblizał spierzchnięte wargi. - Muszę odkaszląć.

- Lepiej nie. Igła wbije się na całą długość.

- Podsekcja podsekcji. - Kline ściszył głos, starając się nie poruszyć

szyją. -To były takie badania, o których nie mówi się sekretarzowi obrony.

164

- Albo takie, o których nie wie nawet Pentagon? Jak eksperymenty z LSD w latach pięćdziesiątych albo z gazem paraliżującym w siedemdziesiątych?

Kline znów oblizał wargi. -Tak.

- Na to idą nasze podatki. Więc o co chodziło w tym eksperymencie?

- O strach.

18

To słowo zawisło w powietrzu. Było tak nieoczekiwane, że Cavanaugh nie od razu zareagował. Myślał, że źle usłyszał.

- Strach?

Poczuł, że naprężająmu się mięśnie i wilgotnieją dłonie. Jakby przeczuwał, co Kline powie.

- Strach - wyszeptał Kline ochryple. - Prescott kierował badaniami nad bronią, która miała wzbudzić strach w każdym przeciwniku, z jakim mogliby walczyć amerykańscy żołnierze. Moja szyja. - Zesztywniał. - Naciskasz coraz mocniej.

- Prescott. Mów o Prescottcie.

Czoło Kline'a zrosił pot.

- Stworzył syntetyczny hormon uwalniający adrenalinę w tak potężnych ilościach, że natychmiast powoduje panikę.

Cavanaugh uświadomił sobie, że kłamstwo Prescottta częściowo było oparte na prawdzie.

Wystarczyło zmienić słowo "uzależnienie" na "strach". Przypomniał sobie schody w magazynie i ostry zapach, który czuł, idąc na spotkanie z Prescotttem. Z każdym krokiem robił się wtedy coraz bardziej niespokojny, coraz bardziej spięty.

- Wojskowi kontrolerzy Prescottta byli zachwyceni. - Kline zezował w bok, na strzykawkę. Z jego twarzy kapał pot. - Gdyby hormon dało się zamienić w gaz i zrzucić go z samolotów w pojemnikach albo wystrzelić wać raketami, wróg byłby bezradny.

- Politycy robią się trochę nerwowi, kiedy słyszą o broni chemicznej, ale dlaczego taki drobiazg miałby stanąć na drodze realizacji tak genialnego pomysłu? - powiedział Cavanaugh, z trudem powstrzymując gniew.

Przypomniał sobie, jak ludzie Kline'a spanikowali, szturmując klatkę schodową w magazynie.

Ostrzeliwali się, mimo że nie było wroga. Prescott musiał ukryć na klatce pojemniki z gazem.

Nieszczelne pojemniki - to dlatego Cavanaugh czuł się tam nieswojo.

165

Przypomniał sobie coś jeszcze -jak Prescott majstrował coś przy konsolce, kiedy ludzie Kline'a weszli na schody. Ich reakcja musiała mu się wydać niedostateczna, bo Prescott mruczał coś niezadowolony pod nosem. Może gazu uciekło już tyle, że nie starczyło go dla ludzi Kline'a?

- Prescott eksperymentował na zwierzętach - powiedział Kline. -

Szczury wpadały w amok. Koty i psy bały się siebie nawzajem do tego stopnia, że kuliły się w kątach. Raz stado kóz wpadło w taką panikę, że dotąd waliły w ściany boksu, aż się pozabijały.

Cavanaugh pomyślał o piwnicy Karen. Gryzący zapach sprawił, że po raz pierwszy w życiu się bał.

Jego efekty wciąż się utrzymywały. Pomyślał o panice, przez którą niemal zginął w pożarze.

Pomyślał o Karen siedzącej bezwładnie na wózku, z rękami przyciśniętymi do piersi i twarzą wykrzywioną w grymasie przerażenia. Teraz rozumiał, co ją zabiło. Prescott użył hormonu, żeby przerazić ją na śmierć. Siła strachu rozsadziła jej serce.

- Strzykawka. Znowu trzęsie ci się ręka - powiedział Kline.

- Mów wszystko, co wiesz.

- W końcu pokusa stała się zbyt wielka. Prescott zaczął eksperymentować na ludziach. Gangi uliczne uciekały w panice, kiedy samotna ofiara wchodziła na ich teren i rzucała mały, syczący pojemnik.

- Musi być antidotum - powiedział Cavanaugh. - Inaczej człowiek rozpylający gaz sam byłby przerażony.

- Tak. - Kline skulił się, czując nacisk igły.

Prescott musiał zastosować antidotum sobie, kiedy był u Karen. Inaczej hormon by go obezwładnił.

- Bez antidotum nie udałoby się im to, co zrobili w czasie zamieszek w St. Louis - powiedział Kline.

Cavanaugh pamiętał tylko tyle, że po trzech dniach chaosu siły porządkowe opanowały w końcu demonstrantów i zepchnęły ich do Missisipi.

- Gaz łzawiący?

- Zawierał hormon strachu. - Kline zamknął oczy, próbując się uspokoić. - Maski gazowe dostarczone przez wojsko miały w filtrach antidotum. Eksperyment się udał.

- Tylko kilku oficerów i Prescott wiedzieli, co się naprawdę stało - domyślił się Cavanaugh.

- I kilku potężnych cywilów, którzy mają własną wizję silnej armii. Postanowili przeprowadzić jeszcze jeden test na ludziach, tym razem na grupie wyszkolonych komandosów. Wybór padł na rangersów ćwiczących na bagnach Florydy.

Cavanaugh przypomniał sobie, że zaniepokoiła go wiadomość o piętnastu rangersach, którzy się utopili.

166

- Albo hormon miał źle wyliczoną moc - Kline pocił się i nie otwierał oczu - albo też ludzie szkoleni w posługiwaniu się bronią używającą, kiedy spanikują. Żołnierze zaczęli strzelać na oślep. Wystrzelali się na wzajem.

Cavanaugha zemdliło. Odchylił się odruchowo, odsuwając igłę od szyi Kline'a.

Zapadła cisza. Słyszał tylko ciężki oddech mężczyzny. Dopiero po chwili Kline uświadomił sobie, że nic nie kłuje go w szyję. Powoli, niechętnie otworzył oczy. Najwyraźniej nie mógł uwierzyć, że Cavanaugh siedzi naprzeciwko, a strzykawka leży obok na dywanie.

- Mów dalej - powiedział Cavanaugh.

- Zdarzyły się dwie rzeczy. - Kline próbował podnieść głowę, żeby spojrzeć mu w oczy. - Po pierwsze, mój pracodawca dowiedział się o tych eksperymentach.

-Jak?

- Mieliśmy informatora w zespole Prescottta.

- A druga rzecz?

- Informator nieostrożnie wydawał pieniądze. Kontrolerzy Prescottta nabrali podejrzeń, przesłuchali go i odkryli, że badania nie są już tajemnicą i obce państwo chce dostać nową broń. To plus śmierć rangersów przyczyniło się do tego, że wojskowi postanowili zamknąć sprawę. Ryzyko było zbyt duże. Zanim rząd dowiedział się o badaniach, przzerwali prace.

Kline zamilkł, żeby do Cavanaugha dotarło znaczenie jego słów.

- Chcesz powiedzieć, że kontrolerzy Prescottta bali się go? Nie wie dzieli, czy mogą mu ufać? - spytał Cavanaugh.

- Nasz informator znał działanie hormonu, ale nie potrafił go wytwarzać. Tylko Prescott znał szczegóły. Żeby go zamknąć...

- Prescottta trzeba było wyeliminować - dokończył Cavanaugh.

- Zwłaszcza że kontrolerzy wiedzieli, że chcemy dostać go w swoje

ręce. Prescott domyślał się, co mu grozi. Uciekł. My i jego kontrolerzy zaczęliśmy go ścigać. Jedna grupa chciała go porwać, druga zabić. Udało się nam wysledzić go w magazynie. Wtedy na scenę wkroczyłeś ty. Resz tę już wiesz.

- Jak kontrolerzy Prescottta dowiedzieli się, gdzie go zabieramy? - spytał Cavanaugh. Nagle odpowiedź wydała mu się oczywista. - Musieli was śledzić.

- Byliśmy ostrożni.

- Może ktoś od was zdradził.

- W takim razie dlaczego tyle czasu czekali? - spytał Kline. - Wykonali swój ruch dopiero, kiedy ty się w to wmieszałeś.

167

i

Cavanaugh poczuł, że blednie.

- Ja byłem śledzony? Ktoś z Protective Services powiedział im, że pomagamy Prescottowi?

- Wasza firma ochrania bogatych i wpływowych ludzi. To logiczne, że różne agencje wywiadowcze mają oko na to, co robicie.

Cavanaughowi świat znów zaczął się walić. Nie wiedział, co ma myśleć, na czym może polegać. Spojrzał na Jamie, która przyglądała mu się zmartwiona, i zrozumiał, co jest pewne.

- Do diabła z tym. - Podniósł Kline'a z podłogi i wyciągnął nóż Emersona.

- Co robisz? - spytał Kline, jakby cały czas spodziewał się, że Cavanaugh go zabije.

- John zadzwoni do Departamentu Sprawiedliwości i ściągnie ludzi, którzy zabiorą twoich kolegów na rozmowę w cztery oczy.

Kline patrzył na nóż.

- A co ze mną?

- Pojedziemy na wycieczkę.

- Co takiego?

- Mała przejażdżka za miasto.

- Z tobą? - Kline spojrzał błagalnie na Rutherforda. - Nie widzisz, że to wariat? Zabierze mnie do lasu. Bóg jeden wie, co ze mną zrobi. Nikt nigdy nie znajdzie mojego trupa.

Rutherford popatrzył na Cavanaugha.

- Możemy porozmawiać?

- Celuj w Kline'a - powiedział Cavanaugh do Jamie. Wyszedł za Rutherfordem do sypialni.

19

Rutherford zamknął drzwi.

- Mówisz poważnie?

- Musi mi pokazać laboratorium Prescottta. Tylko to przychodzi mi do głowy.

- Nie mogę na to pozwolić - powiedział Rutherford. - Kline jest od teraz więźniem FBI.

- Nie słyszałem, żebyś odczytał mu jego prawa.

- Usłyszysz za jakieś trzydzieści sekund.

- Co powiesz na kilka godzin?

- Co ty próbujesz...

- Kiedy Kline zostanie oficjalnie aresztowany przez FBI i Biuro zamknie go w rządowej placówce, przestanie na niego działać presja. Nie będzie się czuł zagrożony. Nic więcej wam nie powie.

- Za porwanie agenta federalnego grozi dożywocie - przypomniał Rutherford. - Powie nam wszystko, co zechcemy, w zamian za ugodę.

- To potrwa - odparł Cavanaugh. - Trop Prescottta jest coraz zimniejszy. Muszę się dowiedzieć, co Kline wie już teraz.

- Nie da rady - powtórzył Rutherford. - Jeśli FBI się dowie, że wypuściłem więźnia, stracę pracę.

- Nie wypuścisz go - powiedział Cavanaugh.

- To po co ta rozmowa?

-Jago zabieram.

-Co takiego?

- Zaczekaj dwie godziny i zadzwoń do Biura. Powiedz, że był jeszcze jeden więzień, ale zabrałem go, zanim opanowałeś sytuację. Powiedz, że pojechaliśmy do laboratorium Prescottta. Wyślij tam ludzi. Ja tymczasem dowiem się od Kline'a wszystkiego, czego potrzebuję.

- Wariat z ciebie.

- Powiedzmy, że dzieje się coś, nad czym chcę zapanować.

Rutherford spojrział na niego zdumiony.

Cavanaugh podniósł drżącą dłoń.

- Prescottt zaaplikował mi dawkę hormonu strachu.

Rutherford milczał przez chwilę.

- Boże.

- Kline powiedział, że istnieje antidotum. Prescottt je ma. Muszę je zdobyć. - Cavanaugh otworzył drzwi i wszedł do salonu. Kline spojrział na niego z obawą.

- Idziemy.

- Nie - powiedział Rutherford.

Cavanaugh otworzył kciukiem emersona i uwolnił Kline'a z krzesła. Związał mu ręce z przodu, a potem owinał jego własną kurtką.

- Pójdziemy schodami i wyjdziemy wyjściem przeciwpożarowym.

Jennifer, idź po samochód. Spotkamy się za blokiem.

- Nie mogę na to pozwolić - powiedział Rutherford.

- Dwie godziny, John.

- Nie zmuszaj mnie, żebym cię powstrzymał.

- Co zrobisz? Zastrzelisz mnie?

Rutherford tylko na niego patrzył.

168

169

Część piąta
ESKALACJA

J

amie prowadziła, Kline siedział obok niej. Cavanaugh zaś z tyłu. Pistolet trzymał pod gazetą na kolanach, gotów strzelić przez fotel, gdyby Kline wykonał jakiś nieostrożny gest. Sto pięćdziesiąt kilometrów na zachód od Waszyngtonu było cicho i spokojnie. Mijali coraz mniej miast, za to coraz więcej pól i lasów. Przy dwupasmowej drodze biegnącej w szpalerze drzew widać było farmy, kamienne murki na polach i stawy. Największe wrażenie robiły jednak wielkie posiadłości i konie.

Była czwarta po południu i ruch na drodze był niewielki. Taurus to wspinał się na wzniesienie, to znów opadał w dół.

- Daleko jeszcze? - spytał Cavanaugh.

- Jakies pięć minut.

- Jesteś pewien, że twoi ludzie się stamtąd zabrali?

- Słyszałeś, jak do nich dzwoniłem i kazałem im to zrobić. Postawi łem sprawę jasno - zastrzelisz mnie, jeśli choćby migną w krzakach. Za pewniam cię ich tam nie ma. Nie ostrzegłem ich.

Jamie minęła tablicę z napisem BAILEY'S RIDGE.

- Gdzie jest miasteczko? Nie widzę żadnych domów.

- To nie jest miasteczko - powiedział Kline.

- Tylko co?

- Miejsce bitwy z czasów wojny secesyjnej.

Za tabliczką stała większa z mapą i opisem.

Jamie zatrzymała się przy niej.

173

Plastyczna mapa pokazywała kontury okolicznych wzgórz. Strzałkami zaznaczono ruchy wojsk Unii i Konfederacji. Podczas bitwy zniszczono farmę irlandzkiego imigranta, Samuela Baileya, zabijając jego żonę i córkę. Po bitwie Bailey włożył kurtkę poległego żołnierza Unii, chwycił karabin i poprowadził kompanię żołnierzy Północy grzbietem wzgórz na tyły wroga. Dostał za to awans na kapitana. Walczył w wielu bitwach i w końcu umarł na dyfteryt. Nigdy już nie zobaczył swojej farmy ani grobów żony i córki.

- No, to zepsuło mi cały dzień - powiedział Cavanaugh.

- Ja już miałem zły - stwierdził Kline. Pod skórzaną kurtką miał wciąż związane ręce. - Jeszcze dwa wzniesienia i będzie zjazd w prawo.

Jamie minęła pierwszą górkę.

- Skręć tutaj - powiedział Cavanaugh.

- Nie, to nie ta - zaprotestował Kline. - Powiedziałem "dwa wzniesienia".

- Wiem, co powiedziałaś. Skręcimy tutaj.

Jamie zjechała w gruntową drogę. Po obu stronach rosły wysokie drzewa. Zarośnięte chwastami koleiny kończyły się przy drewnianej bramie pomalowanej na biało. Cavanaugh zauważył, że chwasty na drodze były pogniecione, jakby niedawno przejechał tędy jakiś samochód.

- Nie widzę kłódki - powiedziała Jamie. Rozejrzała się ostrożnie.

Wysiadła z samochodu i zdjęła z bramy zardzewiały łańcuch. Przejechała i zamknęła bramę za sobą.

- Jest mocno zniszczona - powiedziała, wsiadając do samochodu. -

W razie czego można ją staranować.

- Zaparkuj tak, żeby osłaniały nas krzaki. Pójdziemy na piechotę - powiedział Cavanaugh.

Ostrzegł Kline'a, żeby był cicho, i puścił go przodem drogą wijącą się między drzewami i zaroślami. W rękę trzymał pistolet. Szedł za Kline'em w bezpiecznej odległości.

Gałęzie przysłaniały słońce. Wreszcie przerzedziły się. Wyszli na polanę zarośniętą wysoką do kolan trawą. Stało tu kilka drewnianych, poszarzałych ze starości ławek. Można z nich było podziwiać szeroką na kilometr dolinę. Cały teren w dole zajmowały pastwiska. Nigdzie nie było

drzew. Dziwne, jeśli miały się tam paść konie, pomyślał Cavanaugh. Wyraźnie wycięto drzewa, żeby nic nie stało na linii ognia i żeby nie było się gdzie ukryć.

Na przybitej do słupa tablicy widniał złoty napis WITAMY W BAILEY'S RIDGE. Litery mogły być kiedyś pomarańczowe.

- Wygląda na to, że jakiś miejscowy chciał zarobić na turystach - stwierdził Cavanaugh.

Spojrzał na ślady w wysokiej trawie. Niedawno parkował tu samochód. Kazał Kline'owi iść w kierunku ławek. Wokół jednej trawa była zdeptana, widać też było mnóstwo niedopałków.

- Tutaj na mnie czekali, tak? - spytał. Spojrzał w dół, na asfaltową drogę biegnącą przez pastwiska. - Widzieli stąd prawie wszystko. Dla czego myślałeś, że pojedę drugą drogą?

- Tylko tam wycięto drzewa. Jeszcze miesiąc temu był tam łańcuch. Potem zdjęli go i wyrwali słupki. Próbowali wyrównać drogę i zasadzić krzewy, ale widać wyraźnie, że okolica się zmieniła. Wszystkie inne drogi wyglądają, jakby prowadziły donikąd. Tylko tamta wygląda na uczęszczaną. Za drzewami przechodzi w asfalt.

- Jak zleceniodawcom Prescottta udało się zdobyć pozwolenie na zajęcie zabytku? - spytał Cavanaugh.

- Nie potrzebowali pozwolenia. To historyczne miejsce, ale ziemia jest własnością Prescottta.

- Można bezpiecznie zejść na dół?

- Nikogo tu nie ma. Laboratorium zlikwidowano, gdy tylko zamknięto projekt.

- Ale gdzie ono jest?

Kline wskazał na dolinę.

- Widzę tylko ruiny farmy - powiedział Cavanaugh.

- Farma Bailey'a została zniszczona po raz pierwszy w tysiąc osiem set sześćdziesiątym czwartym - wyjaśnił Kline, kiedy jechali drogą przez pastwiska w stronę spalonego domu. - Po wojnie secesyjnej nowy właściciel - przemysłowiec, który dorobił się na handlu bronią - kupił większą część ziemi w okolicy i wybudował posiadłość w miejscu, gdzie stał dom Bailey'a. Wykorzystano fundamenty i budulec.

- Powinieneś być historykiem.

- Mój ojciec był. - W głosie Kline'a słychać było żal.

Dotarli do ruin i wysiedli.

Mimo zniszczeń Cavanaugh potrafił sobie wyobrazić, jak wspaniała musiała być posiadłość w dniach swojej świetności. Kolumny, balkon nad gankiem. Wszędzie pełno ludzi i powozów.

- Szkoda, że kontrolerzy Prescottta to zniszczyli.

174

175

- To nie oni - powiedział Kline. - Prescott to zrobił.

Cavanaugh i Jamie spojrzeli na niego.

- Po zamknięciu projektu kontrolerzy uwięzili Prescottta w posiadłości - wyjaśnił Kline. - Człowiek nie poświęca się badaniom nad strachem, jeśli sam go nie rozumie. Jeśli jest paranoikiem, jego choroba pogłębia się, gdy dostrzeże, że wszyscy uważają go za niebezpieczną przeszkodę.

- Strach to pierwotne uczucie - zgodził się Cavanaugh. I teraz także ja go czuję, dodał w myślach.

- Żeby się ratować, Prescott zrobił coś, czego nikt by się po nim nie spodziewał. Był bardzo dumny ze swojej posiadłości - powiedział Kline.

- Którejś nocy przekonany, że mają go zabić, spalił dom. Wyglądał na gościa bez formy, więc pilnowało go tylko kilka osób. Reszta strzegła posiadłości. Prescott wymknął się w zamieszaniu wywołanym pożarem. Ogień jednak nie załatwiał sprawy. Dodatkowo rozpylił w powietrzu hormon. Strażnicy spanikowali i zaczęli strzelać do cieni, które brali za wrogów. Kilku zginęło od własnego ognia-jeszcze jedna rzecz, którą trzeba było zatuszować. Strzały ściągnęły do rezydencji strażników, którzy pilnowali terenu. W tym czasie Prescott ukradł samochód i staranował ogrodzenie. Zostawił wóz w pobliskim mieście, gdzie trzymał własny w garażu wynajętym na inne nazwisko.

- Wygląda na to, że paranoja to czynnik zwiększający szansę przeżycia - zauważyła Jamie.

- Gdzie jest laboratorium Prescottta? - spytał Cavanaugh.

-Z tyłu.

Okружиłi pogorzeliisko i podeszli do czegoś, co wyglądało na resztki stodoły.

- Pożar nie dotarł tak daleko - powiedział Kline. - Kilka dni później jego kontrolerzy podpalili stodołę. W ramach zacierania śladów. Szybki sposób, żeby załatwić sprawę.

- Laboratorium jest pod ziemią?

- Pod stodołą. - Kline wskazał miejsce, gdzie z betonowej podłogi usunięto poczerńiały gruz. Pośrodku widać było płytę włazu. - To wejście. .

- Wyście to uprzętnęli? Nie baliście się, że ktoś was nakryje?

- Kto? Mówiłem wam, że posiadłość jest opuszczona. Nie ma powodu jej pilnować. Nie ma tu nic interesującego.

Kline jęknął. Cavanaugh wytrzeszczył oczy, a Jamie krzyknęła: z czoła" Kline'a trysnęła krew. Usłyszeli dalekie echo wystrzału. Kline upadł twarzą na ziemię.

Stało się to tak nagle, że w pierwszej chwili Cavanaugha sparaliżowało. Do tej pory panował nad nerwami. To miało być rozpoznanie, a nie konfrontacja. Teraz znów ogarnął go paniczny strach. Ale obawa o Jamie była silniejsza. Mięśnie Cavanaugha zadziały jak nagle zwolnione sprężyny - rzucił się na żonę i przewrócił ją na ziemię.

Pocisk wzbil chmurę kurzu tuż przy ich głowach. Tym razem wystrzał był głośny i bliski.

Drugi wyrwał kępę trawy przy ich stopach. Cavanaugh poczuł, jak zadrżała ziemia.

W ruinach spalonej rezydencji zazgrzytały odrzucane deski. Poczerniałe kamienie zaczęły się osuwać. Wydawało się, że gruzy nagle ożyły. Jedna po drugiej z rumowiska podnosiły się ubrane na czarno postacie. Twarze miały przyczerńione węglem. Mierzyły w nich z pistoletów maszynowych. Jeden z mężczyzn wystrzelił serię w ziemię obok Jamie. Wzbiła się chmura kurzu. Przez chwilę huk wystrzałów był ogłuszający.

W zapadłej nagle ciszy Cavanaugh słyszał tylko dzwonięcie w uszach. Udało mu się opanować drżenie rąk i podniósł je do góry w geście poddania. Poblada Jamie zrobiła to samo.

Powoli, niepewnie wstali.

- Gdyby chcieli nas zabić - Cavanaugh starał się pocieszyć żonę, chociaż zaschło mu w ustach, a słowa brzmiały jak bełkot -już by to zrobili.

Miał nadzieję, że zabrzmiało to przekonująco. W żołądku czuł wirującą kulę żaru.

Wyłaniające się ze zgliszcz zamaskowane postacie wciąż trzymały ich na muszce. Cavanaugh rozpoznał broń - MP-5. Tak samo jak komandosi, którzy zaatakowali bunkier, ci ludzie też przeszli specjalne przeszkolenie. Jeden z nich spoglądał za Cavanaugha, co kazało mu się obejrzeć z obawą.

Z lasu na skraju doliny wyjechał samochód. Zbliżał się szybko, wzbijając gęste tumany kurzu. Gdy dotarł do asfaltu, silnik zaryczał głośniejsz. Duży, terenowy ford explorer z napędem na cztery koła. W środku siedziało dwoje ludzi: barczysty kierowca i wysoka blondynka koło trzydziestki. Miała owalną twarz i wystające kości policzkowe. Mogłaby być ładna, gdyby nie miała najzimniejszych oczu, jakie Cavanaugh widział w życiu.

Explorer zatrzymał się z piskiem opon. Kobieta wysiadła. Miała około metra osiemdziesięciu, tak samo jak Jamie. Jej twarz była opalona jak u sportowca. Ani śladu makijażu. Włosy miała dość krótkie, a oczy błękitne

i!

176

12-Sita strachu

177

jak lodowiec. Nosila traperki, spodnie khaki, kurtkę i beżową koszulę. Wyglądała jak wojskowy. Zakamuflowane postacie podeszły bliżej z bronią w pogotowiu.

- Przeszukaj ich - rozkazała kobieta kierowcy.

Zrobił to z przyjemnością, poszturchując Cavanaugha bardziej, niż było trzeba, a potem obmacując Jamie.

Zaplącisz za to, pomyślał Cavanaugh, próbując pokryć strach wściekłością.

Kierowca znalazł broń i pokiwał z podziwem, widząc matowoczarne lakier. Sposób, w jaki schował zdobycz do kieszeni, świadczył, że zamierza ją zatrzymać dla siebie. Zabrał też zapasowe magazynki i komórkę Cavanaugha. Z kieszeni wyciągnął mu emersona, spojrzął z uznaniem i przypiął do własnej. Wziął też kluczyki do samochodu Jamie.

- Nazwiska - powiedziała kobieta.

- Sam Murdock.

- Jennifer. - Dowód tożsamości Jamie zostawiła w torebce na przednim siedzeniu taurusa.

- Sam Murdock? - Kobieta obejrzała portfel, który rzucił jej kierowca. - Może tak tu jest napisane, ale słyszałam, że nazywają cię Cavanaugh.

- Nie wiem, o czym...

- Pracujesz w Global Protective Services. To ty przyjechałeś po Prescottta do magazynu.

A więc Kline miał rację. Ktoś w GPS mnie zdradził. Śledzili mnie w drodze do Prescottta.

- Po Prescottta? - zmarszczył czoło. - Nie rozumiem.

Kobieta skinęła głową. Kierowca rąbnął Cavanaugha pięścią w żołądek.

Cavanaugh osunął się na kolana, próbując złapać oddech. Cios tak go osłabił, że na chwilę przestał widzieć kolory.

- Przyjechaliście obejrzyć laboratorium - powiedziała kobieta. -

Dobrze. Pokażę je wam.

Odpięła od paska coś, co wyglądało jak pager, i nacisnęła przycisk.

Za Cavanaughem zawarczał silnik. Odwrócił się i zobaczył, że hydrauliczne wysięgniki podniosły do góry betonową płytę, odsłaniając ginące w mroku schody.

- Ktoś na pewno słyszał strzały - wykrztusił Cavanaugh.

- Nie tutaj. Ziemia wokół należy do Prescottta. Miejscowi wiedzą, że lubi strzelać do celu. A teraz złączcie do laboratorium albo Edgar was tam

wrzuci - powiedziała blondynka.

178

- Dzięki. Wolę pierwsze wyjście.

Cavanaugh wstał z trudem. Skinął głową pobladłej Jamie, która szukała pociechy w jego oczach. Zeszli na dół.

- Wyczyściliśmy wszystko do zera - powiedziała kobieta. Jej głos odbijał się echem. - Dokładnie wypatroszyliśmy.

Uzbrojeni mężczyźni zaświecili latarki. Nieco dłuższe i grubsze niż palec boksera czarne walce dawały zdumiewająco dużo światła. Z ciemności wyłonił się długi betonowy korytarz, który rozgałęział się na wszystkie strony. Powietrze cuchnęło stęchlizną.

- Zniszczyliśmy całe wyposażenie, komputery i akta - powiedziała kobieta. - Wywieźliśmy meble. Rozebraliśmy ogrzewanie i klimatyzację. Zdjęliśmy nawet oświetlenie, umywalki, sedesy, wykładziny, podwieszane sufity, drzwi i panele. - Kobieta wzięła latarkę i skierowała ją na sufit. Izolowane kable zwisały z otworów, gdzie wcześniej prawdopodobnie umocowane były świetlówki. Potem oświetliła przewody pozostające w ścianie po włącznikach i gniazdkach.

- Nie da się oczyścić niczego dokładniej. Nikt się nie domyśli, do czego służyły te pomieszczenia. Gdyby stodoła jeszcze stała, można by tu trzymać siano albo zwierzęta.

- W takim razie dlaczego tak pilnujecie tego miejsca? - Głos Cavanaugha brzmiał, jakby dochodził ze studni. - Skoro nie ma tu nic, co mogłoby kogoś zainteresować i ściągnąć na was kłopoty.

- Otóż to. Nie ma tu nic, tylko gołe ściany. Nie wiem, czy dobrze rozumiesz - powiedziała kobieta.

Uzbrojeni mężczyźni podeszli bliżej. Świecąc latarkami w oczy więźniów, wepchnęli ich do jednego z pomieszczeń.

- Nie jesteśmy tu, żeby czegoś strzec. Moi ludzie leżeli tu bez ruchu nie po to, żeby zademonstrować swoje umiejętności. Czekaliśmy.

Cavanaugh nie zareagował.

-1 to na konkretną osobę.

Dalej milczał.

- Na ciebie.

Cavanaugh zareagował, ale nie tak jak spodziewała się tego kobieta. Ufał swojemu doświadczeniu.

- Jak masz na imię?

- Słucham?

179

i

1;

- Jeśli mamy dojść do porozumienia, będzie mi łatwiej, jeśli dowiem się, jak masz na imię. Chodzi o to, żeby zbudować zaufanie.

- Niesamowite - odparła.

- W takim razie sam zgadnę: Grace*.

Kobieta zamilkła na chwilę. Kiedy znów się odezwała, w jej głosie słychać było zniecierpliwienie.

- Tak, słyszałam, że umiesz manipulować ludźmi za pomocą słów.

Tego właśnie od ciebie oczekuję. Mów. I to dużo.

-O?

- O Prescottcie.

- Skąd wiedzieliście, że przyjedziemy?

- Naucz go nie zmieniać tematu, Edgar.

Oślepiiony światłem latarki Cavanaugh nie widział, gdzie spadnie cios. Spodziewał się kolejnego uderzenia w brzuch i napiął mięśnie, ale dostał w twarz. Upadł na podłogę. Oszołomiony splunął krwią. Znow wściekłość pomogła mu pokonać strach.

- Myśleliśmy, że Prescott nie żyje, ale nie znaleźliśmy jego ciała w górach - powiedziała Grace.

Ukarałaś mnie, ale to ja wygrałem. Odpowiadasz na moje pytanie.

- Postanowiliśmy więc wziąć pod lupę naszych rywali - powiedziała. - Wciąż go szukali i byli bardzo ciekawi, kto jeszcze się nim interesuje. Wczoraj widzieliśmy, jak porwali agenta FBI. Potem czterech, łącznie z tym zabitym, zaczęło się na wzgórzu nieopodal. Najwyraźniej na kogoś czekali. Mieliśmy nadzieję, że to będzie Prescott, chociaż nie miał powodu, żeby tu wracać. Potem dwóch zniknęło. Kiedy pozostali dwaj zaczęli się zbierać dziś po południu, przesłuchaliśmy ich i dowiedzieliśmy się o tobie. Postanowiliśmy poczekać, aż się zjawisz.

- Dlaczego zabiliście Kline'a?

- Tak się nazywał? - Grace wzruszyła ramionami. - Gdyby coś wiedział, nie zależałoby mu tak na tobie. Nie był nam potrzebny.

- Ale mnie potrzebujesz, więc mnie nie zabijesz - stwierdził Cavanaugh.

- Jesteś ciekaw, jak cię zmusimy do mówienia? Może Edgar porozmawia z twoją przyjaciółką? To by cię chyba przekonało.

Groźba zadziałała jak cios. Wciąż oszołomiony uderzeniem starał się szybko myśleć. Chciał odciągnąć uwagę Grace do Jamie.

- Mój zespół i ja powiedzieliśmy Prescottowi, jak zniknąć. Zabił wszystkich oprócz mnie - skłamał. Celowo nie wspominał o tym, jak * Grace (ang.) - łaska, gracia (przyp. tłum.).

180

zginęli Chad i Trący. Nie chciał zdradzić, że nienawidzi jej prawie tak jak Prescottta. -

Rzykowałem życie dla tego sukinsyna. Zabił ludzi, którzy obiecali go chronić. Moich przyjaciół. Próbował zabić mnie... Chcę go dopaść tak samo jak wy.

- Więc powiedz, gdzie go znaleźć.

Cavanaugh podniósł rękę, próbując osłonić oczy przed światłem latarek. Z ust kapłała mu krew.

- Myślisz, że gdybym wiedział, gdzie go znaleźć, przyjeżdżałbym tutaj?

- Sam powiedziałaś, że pokazaliście Prescottowi, jak zniknąć! - Głos odbijał się echem od ścian.

- Ale nie poznaliśmy jego nowej tożsamości. - Spuchnięte usta utrudniały Cavanaughowi mówienie. - Zorganizowaliśmy mu spotkanie z kobietą, która miała mu dostarczyć nowe dokumenty. Prescott dotarł do niej przede mną, zabrał papiery i ją zabił. Nie ma sposobu, żeby się dowiedzieć, jakie nazwisko i historię dla niego przygotowała.

- Gdzie Prescott chciał zamieszkać?

- Nie mam pojęcia. Nie zdążyliśmy tego ustalić.

- Edgar - powiedziała Grace.

Tym razem jęk bólu wywołał kopniak w bok. Próbując wytracić energię ciosu, Cavanaugh przeturlał się po podłodze, ale niedaleko. Zatrzymał się w narożniku.

Kiedy ucichło echo wstrząsu, usłyszał urywany oddech Jamie.

- Kazaliśmy mu wybrać miejsce, w którym nigdy nie był, gdzie nikt by się go nie spodziewał, miejsce, o którym nigdy nikomu nie wspo

minał.

- Nie starasz się - stwierdziła Grace. - Dlaczego mam pozwolić ci żyć, skoro nie możesz mi pomóc?

- Ja go rozumiem.

- Ty go rozumiesz. - Zakpiła. - Pracował dla nas przez dziesięć lat i nikt go tu nie rozumiał.

- No tak, wiedzieliście tylko, że ma paranoję - powiedział Cavanaugh. - I że jest arogancki.

- To nic nowego. Zdaje się, że Edgar będzie musiał porozmawiać z twoją przyjaciółką. Może wtedy rozwiąże ci się język.

Cavanaugh usłyszał, że Jamie wstrzymała oddech.

- Grace, to najważniejsze, co musisz o nim wiedzieć...

- Przestań nazywać mnie Grace! Jeżeli próbujesz udawać, że mają czysz, to ci się...

- Prescott uważa, że jest sprytniejszy od wszystkich.

181

L

-I co z tego?

- Założę się, że uważa, że lepiej niż ja wie, jak zniknąć. Założę się, że myśli, że może łamać zasady i ujdzie mu to na sucho.

Pomysł, na który raptem wpadł Cavanaugh, przestał być tylko grana zwłokę.

- Konkrety, proszę.

Cavanaugh zmrużył oczy, oślepiiony światłem latarek, i spojrzał tam, skąd dobiegał głos Grace.

-Pytaliśmy Prescottta, czy jest jakieś miejsce, gdzie chciałby rozpocząć nowe życie. Powiedział, że nie, a myśmy to pochwalili... - Cavanaugh otarł krew z ust. - ...bo ludzie, którzy marzą o jakimś miejscu, często mimochodem o nim wspominają. - Odetchnął, krzywiąc się z bólu. - Ktoś kiedyś może przypomnieć sobie taką wzmiankę i powiedzieć o tym niewłaściwym ludziom.

Czuł, jak przenika go chłód betonu.

- Próbowałem sobie przypomnieć, czy Prescott wspominał o czymś takim.

-I wspominał?

- Lubił wino.

- To o niczym nie świadczy.

- Lubił dobrą kuchnię. Znał się na tym. - Cavanaugh przypomniał sobie, jak Prescott chwalił bief Strogonow Chada, i poczuł narastającą wściekłość. Wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby nie atak ludzi Grace i pożar wywołany przez Prescottta. Nienawidził Grace, ale starał się z tym nie zdradzić. Skoncentrował się na bólu, jaki zadał mu Edgar. - Powiedział, że jedyny sport, jaki lubi, to golf.

- Więc pojechał do Napa Valley albo do nowojorskiego okręgu wi niarskiego, albo w okolice Bordeaux, gdzie jada jak smakosz w przerwach między partyjkami golfa. - To są te twoje rewelacje? - spytała Grace. - Jeśli zaraz nie przejdiesz do konkretów, Edgar zabawi się z twoją przyjaciółką. A ja podroczę się z tobą.

- Daj mi skończyć.-Cavanaugh mówił z coraz większym trudem. - Kiedy spotkałem się z nim w magazynie, miał na półce kilka książek i kaset wideo. Niewiele. Ale siedział tam przez trzy tygodnie. Na logikę to, co zabrał ze sobą, musiało mieć dla niego znaczenie. Musiało sprawić, że się nie będzie nudził przez tak długi czas. - Cavanaugh przerwał w nadziei, że ryba połknie haczyk. - Albo zaspokajając jego fantazje.

- Fantazje?
- O idealnym życiu, które planował. O miejscu, które zobaczy po wszystkim.

182

- Jakie książki? Jakie filmy?
- W tym problem. Próbowałem sobie przypomnieć, ale nie pamiętam tytułów. -Nie mówił całej prawdy. Dobrze pamiętał fascynację Pre scotta poezją Robinsona Jeffersa. Mówił Grace tylko tyle, ile musiał, żeby podtrzymać jej zainteresowanie i zyskać na czasie. - Miał jakąś książkę pornograficzną. Coś z geologii. Dziwny zbiór filmów. Sensację z Clintem Eastwoodem. Romans dla nastolatków z Troyem Donahue.

- Tytuły - powiedziała Grace.

-Nie pamiętam.

- Przypomnij sobie.

Grace pstryknęła palcami. Komandosi wycofali się. Przytrzymując się ściany, Cavanaugh poczuł, że Jamie pomaga mu wstać. Wykuśtykał z pomieszczenia i zobaczył, że cała grupa biegnie schodami w górę. Światło dnia raziło go w oczy.

Na górze Grace przyłożyła do ucha komórkę.

-Niech ktoś ściągnie tu doktora Rattigana... Nie obchodzi mnie, co robi. Dawać go tu natychmiast. Grupa zniknęła.

Betonowa kłapa zamykała się przy wtórze siłowników, przesłaniając światło dnia. Jeszcze metr. Pół metra. Cavanaugh sycił się ostatnimi promieniami słońca. Z głuchym łomotem kłapa się zamknęła. Ogarnęła ich absolutna ciemność.

Ciemność była tak głęboka, że powietrze wydawało gęstsze i bardziej zatechłe. Cavanaugh słyszał obok siebie oddech Jamie.

- Kim jest doktor Rattigan? - Łamał się jej głos. W ciemności echo wydawało się głośniejsze.

Cavanaugh z trudem utrzymywał równowagę.

- To pewnie ktoś z torbą pełną strzykawek i chemikaliów, które mają mi odświeżyć pamięć.

- Mocno cię uderzył?

- Mój uśmiech nie jest już taki uroczy jak dawniej. - Żart był kiepski, ale miał podnieść Jamie na duchu. - A ty? Jak się czujesz?

- Muszę... Przepraszam, ale muszę...

Cavanaugh usłyszał, jak Jamie maca drogę. Szybko rozpięła pasek i spuściła spodnie. Dobiegł go syk moczu na podłodze.

- Przepraszam - powiedziała. - Przepraszam.

183

- Jeśli ci to poprawi nastrój... - Gdyby nie był zdecydowany podnieść ją na duchu, za nic nie przyznałby się, że sam zmoczył spodnie. - Kiedy Edgar mnie kopnął, puściły mi zwieracze.

I za to też zapłaca.

Szeleszcząc materiałem, Jamie poprawiła ubranie.

-Nie wiem, czy ci mówiłam. Kiedy byłam mała, kilkoro przyjaciół -o ile można ich tak nazwać - zamknęło mnie w schowku. Nie lubię ciemności.

- Ja też za nianie przepadam.

- Panikuję.

- Może uda się coś na to poradzić. Cavanaugh sięgnął do kieszeni

kurtki.

Trzask.

Zapłonęła zapalka.

W migoczącym świetle ukazała się zdziwiona twarz Jamie.

- Skąd wzięłeś...

- Paliliśmy pod blokiem Johna.

- To jedna z niewielu korzyści, jakie niesie ze sobą palenie.

- Edgar wcale nie jest tak dobry, jak mu się zdaje. Zostawił nam paski.

- A na co nam...

- Bolec sprzączki może być bronią.

Zapalka zaczęła parzyć mu palce. Ogień migotał w drżącej dłoni. W końcu musiał ją rzucić.

- Podejdź bliżej - powiedział do Jamie. - Przytrzymaj mi kurtkę.

Rozległ się dźwięk dartego materiału.

- Co robisz? - spytała Jamie.

- Odrywam rękawy koszuli.

- Po co?

- Żeby zrobić pochodnie. - Materiał okazał się mocniejszy, niż przy puszczał. W końcu udało mu się oderwać oba rękawy. Poczul chłód pod ziemi. Szybko włożył kurtkę z powrotem.

- Moja kolej - powiedziała Jamie. Miała bluzkę z delikatniejszego materiału, więc odrywanie rękawów poszło szybciej. Jamie schowała je do kieszeni.

- Przez jakiś czas będziemy widzieć - powiedziała - ale wciąż nie będziemy się mogli stąd wydostać.

- Wyobraź sobie, że jesteś Prescottem. - Cavanaugh zdjął pasek i wbił bolec klamry w rękaw. - Jest niewiarygodnie podejrzliwy i nie znosi zamknięcia tak jak my. Te betonowe drzwi się opuszczają...

184

- Hydraulika mogłaby zawieść - powiedziała Jamie. - Wszyscy mogliby się tu podusić. Prescottowi na pewno by się to nie podobało.

- Właśnie. - Cavanaugh zapalił kolejną zapalkę i przyłożył ją do rękawa. Podobnie jak wiele materiałów, również ten był nasączony środkiem ogniotrwałym. Tkanina i tak się zajęła, ale paliła się o wiele wolniej. I o to chodziło.

Cavanaugh położył rękaw na podłodze, ciągnąc go za pasek, żeby nie poparzyć sobie dłoni. Klamra zadzwoniła o beton. W migoczącym świetle twarz Jamie przestała być taka spięta.

- Tunel do posiadłości - powiedziała.

- Właśnie.

Podeszli do schodów. Po prawej zobaczyli korytarz. Skręcili w niego i stanęli przed drzwiami.

Były zamknięte na klucz.

Cavanaugh złożył kołnierz kurtki i wyjął swoje wytrychy. Położył pasek na ziemi, zapanował nad drżeniem rąk i zabrał się do pracy.

- Masz dość światła? - spytała Jamie.

- To i tak robi się na wycucie. - Cavanaugh tłumaczył, co robi w na dziei, że odciągnie trochę uwagę Jamie od ich położenia. Jeden wytrych służył za dźwignię, drugim zaczął odsuwać zapadki. Zamek był solidny i miał ich sześć.

Piętnaście sekund później udało się go otworzyć. Za drzwiami jednak znaleźli barykadę z kamieni

zwęglonych belek. Jamie jęknęła.

- Usunięcie tego zabrałoby kilka godzin, o ile w ogóle by się to udało - powiedział Cavanaugh.

Płomień przygasł.

- Nie mówiąc o tym, że hałas zaalarmowałby kogoś na górze. Wyszlibyśmy prosto na lufy pistoletów maszynowych.

Płomień zgasł.

- To co robimy? - spytała Jamie.

Cavanaugh nie odpowiedział. Przymocował do paska następny rękaw i podpalił go. Wrócili tą samą drogą.

- Co mówiła Grace? Co stąd wywieźli?

- Klimatyzację i ogrzewanie. Może uciekniemy kanałami wentyla cyjnymi - powiedziała szybko Jamie. - Może któryś prowadzi na powierzchnię.

Doszli do głównego korytarza. U podnóża schodów Cavanaugh spojrzął na sufit i wypatrzył otwór wentryznika, trzydzieści na pięćdziesiąt centymetrów.

185

li

i

I

Przykucnął i splótł dłonie. Kiedy Jamie postawiła na nich stopę, wyprostował się i podsadził ją. Była wystarczająco wysoka, żeby bez problemu dosięgnąć sufitu. Włożyła głowę w otwór.

- Widzisz coś? - spytał Cavanaugh.

- Nie przecisnę się tędy, więc ty na pewno też nie. Cholera, w filmach w kanałach wentylacyjnych można niemal biegać.

Rękaw zaczął przygasać i dymić.

- Co jeszcze powiedziała Grace? Co jeszcze zabrali?

- Kanalizację, rury. Światło.

Cavanaugh spojrzął na wystające ze ścian kable.

- Wiemy, że jest tu prąd. Inaczej nie działałby mechanizm podnoszący klapę.

- Który przełącznik otwierałby ją od środka? - Jamie podeszła do przewodów przy schodach. Końcówki zabezpieczono plastikowymi nasadkami.

Cavanaugh ściągnął je i przyjrzał się gołym kablom.

- Ten przełącznik był najbliżej schodów. Jeśli połączę te przewody, to zamknę obwód i otworzę klapę?

Jamie spojrziała na niego z nadzieją, szybko jednak posmutniała.

- Na zewnątrz będą strażnicy. Zobaczą, że kłapa się porusza.

- Może nie. Jeśli zetknę przewody tylko na chwilę, może nikt tego nie zauważy. Przynajmniej będziemy wiedzieli, że te kable otwierają klapę.

- I co nam to da? Wciąż będziemy uwięzieni.

- Może się nam przydać później - powiedział Cavanaugh. - Może trafi się lepsza okazja. Wtedy otworzymy klapę na całą szerokość.

- To będzie przed tym, jak doktor Rattigan nafaszeruje cię chemikaliami, czy może potem?

Cavanaugh nie wiedział, co odpowiedzieć. Trzeba coś zrobić.

Zbliżył do siebie końcówki przewodów, a kłapa poruszyła się jakby z własnej woli. Zahuczały silowniki.

W świetle dnia ukazały się sylwetki Grace, Edgara i sześciu uzbrojonych mężczyzn.

Cavanaugh zdeptał palący się rękaw, złapał pasek i pociągnął Jamie do ciemnego pomieszczenia obok. Nie wiedział, co chce przez to osiągnąć, ale wszystko było lepsze niż stanie na widoku. Wyjął zapalki, oddał kilka z opakowania razem z paskiem draski i schował do innej kieszeni. Tekturkę zgniótł w dłoni.

Stukot ciężkich butów świadczył o tym, że pierwsi zeszli na dół komandosi.

186

Grace i Edgar szli za nimi.

- Pokażcie się - powiedziała Grace. - Jeśli tego nie zrobicie, wrzucimy do każdego pomieszczenia granat hukowy.

Groźba popękanych bębenków wystarczyła, żeby Cavanaugh wyszedł na korytarz. Jamie trzymała się za nim.

- Czuję dym. - Grace spojrzała na popiół na podłodze.

- Żeby coś widzieć - wyjaśnił Cavanaugh.

- Jak podpaliliście ubranie?

- Zapalkami.

Grace spojrzała na Edgara z obrzydzeniem.

Cavanaugh zauważył, że komandosi nie noszą kamizelek kuloodpornych. Mieli tylko uprząże bojowe z krótkofalówkami, berettami, dodatkową amunicją i granatami hukowymi.

Cavanaugh spojrzał na luźne spodnie Edgara. Coś ciężkiego obciążało mu prawą nogawkę, prawdopodobnie jeden z zabranych pistoletów. Z drugiej kieszeni wystawała zapinka emersona.

- Rzuć zapalki - powiedziała Grace.

Cavanaugh usłuchał.

- Jeździłeś po nich walcem? - Grace z obrzydzeniem podniosła tekturkę. Była tak podarta, że brak kawałka draski nie rzucał się w oczy. - Mam w samochodzie komputer z dostępem do Internetu. - Pokazała kilka wydruków. - Zanim przyjedzie pan doktor, może to pomoże ci odświeżyć sobie pamięć. Troy Donahue. - W świetle wpadającym przez klapę Grace bez trudu mogła czytać wydruk. - Wysoki blondyn, niebieskookie bożyszczę nastolatka. Bardzo kiepski aktor. Szczyt popularności - przełom lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Najważniejsze filmy: Susan Slade, A Summer Place, Parrish, Rome Adventure, Palm Springs Weekend. Coś ci to mówi?

- Widziałem tylko pudełko kasety - powiedział Cavanaugh. - Nie wiem, o czym był film. Na pudełku było nazwisko jego partnerki. Rzuć kilka nazwisk.

Grace spojrzała w papiery.

- Connie Stevens. Sandra Dee. Suzanne Pleshette. Stefanie Powers.

- Sandra Dee. - Cavanaugh musiał rzucić coś Grace, żeby nie straciła cierpliwości. - To ten z Sandra Dee.

-A Summer Place. - Grace przeczytała streszczenie fabuły. - Miłość w kurorcie w Maine. Może Prescott chciał pojechać do Maine. Spojrzała na następny wydruk.

- Filmy z Clintem Eastwoodem. Powiedziałeś "sensacyjny"?

- Na pewno nie wojenny ani nie western.

187

-Brudny Harry. -Nie.

- Siła magnum. Egzekutor. Pula śmierci.

-Nie.

- Akcja na Eigerze. Zagraj dla mnie, Misty. Piorun i Lekka Stopa.

Lina.

- Nie. - Cavanaugh nagle przypomniał sobie tytuł filmu. Udało mu

się z tym nie zdradzić.

- Zaczynasz mnie irytować. Wyzwanie. Żółtodziób. Na linii ognia.

-Nie.

- Doskonały świat. Władza absolutna. Prawdziwa zbrodnia. Krwa
wa profesja.

-Nie.

- Zdecydowanie mnie irytujesz. Koniec listy. Koniec dyskusji. Dok
tor będzie tu za pół godziny. Z przyjemnością popatrzę, jak bierze cię do
galopu.

Grace odwróciła się ze złością i wyszła. Reszta towarzystwa ruszyła za nią. Betonowa kłapa
opuściła się na miejsce. Znowu spowiła ich głęboka ciemność.

Tym razem była tak namacalna, że wydawała się ich dusić. Jamie dyszała, jakby miała problem z
oddychaniem. Pod Cavanaughem ugięły się nogi. Z trudem powstrzymywał się, żeby nie oprzeć się
o ścianę i nie osunąć na podłogę.

- Punkt dla nas.

- Dlaczego?

- Wciąż mamy paski. - Wymacał drogę do pomieszczenia, w którym
się schowali. Szurał stopami po ziemi, aż w końcu znalazł porzucony
pasek. - Daj mi rękawy swojej bluzki.

- A co to da? Grace zabrała ci zapalki. Nie mamy jak ich podpalić.

- Drugi punkt dla nas. - Cavanaugh miał nadzieję, że w jego głosie
słychać pewność. - Nie dałem jej wszystkich.

Wyjął jedną z kieszeni kurtki i potarł o draszkę.

Nic się nie stało.

Przestraszył się, że oddał za mało. Z bijącym sercem spróbował jeszcze raz. Tym razem zapalka
zapłonęła. Cavanaugh zobaczył, że Jamie bliska jest paniki. Płomyk zapalki uspokoił ją tylko
trochę.

188

Wyjęła z kieszeni oddarte rękawy. Cavanaugh przymocował jeden do sprzączki i przytknął zapalkę.
Materiał zapłonął. Patrzyli na niego, jakby to był płomień ich życia.

- Pić mi się chce - powiedziała Jamie.

- Mnie też. To wina adrenaliny.

- Zaschło mi w ustach... Gdybym tylko mogła napić się wody. Szko
da, że wymontowali całą armaturę.

Mimo wątlęgo światła Cavanaugh dostrzegł w oczach Jamie intrygujący błysk.

- Co takiego? - spytał.

- Gdzie byłaby łazienka? - Ruszyła ostrożnie korytarzem.

Klamra zgrzytała o podłogę. Echo tylko podkreślało ciasnotę ich
więzienia.

- Co wymyśliłaś?

Powiedziała mu.

- Może - zastanowił się. - Mogłoby się udać.

- Ale wszystko zależy od wody.

Zdesperowani zaczęli przeszukiwać pomieszczenia. W przedostatnim znaleźli wystające ze ścian
rury i ślady po umywalkach.

- Cholera, zaczopowane - zakleła Jamie. - Miałam nadzieję, że da
się odkręcić zawory. Mogło się udać.

- Ciągle jeszcze może. - W przygasającym świetle płonącego rękawa
Cavanaugh przyjrzał się większej rurze. Nakręcony na nią czop był
w przekroju kwadratowy.

- Nie mamy klucza, żeby to odkręcić!

- Zdejmij pasek.

- Co chcesz... - Jamie odpięła pasek i dała go Cavanaughowi.

Wdzięczny, że może się czymś zająć, Cavanaugh podpalił drugi rękaw i przyjrzał się dwóm warstwom paska.

- Zobaczmy, czy jest mocny.

Przełożył końcówkę przez klamrę i zrobił pętlę. Założył ją na kwadratowy czop, zacisnął i pociągnął. Pasek wrzynał mu się w dłoń. Cavanaugh napiął mięśnie. Stopy ślizgały mu się po podłodze.

Czop ani drgnął.

Jamie złapała pasek. Pociągnęli razem. Czop zazgrzytał piskliwie i się poruszył. Zaparli się mocno stopami, szarpnęli i nagle polecili do tyłu. Metalowa nakrętka puściła.

Cavanaugh pospiesznie zdjął pasek i odkręcił ją do końca palcami. Miał nadzieję, że z rury popłynie woda, ale nic takiego się nie stało.

189

i

L

- Musi tu gdzieś być główny zawór - powiedziała Jamie. - Przy głównym odpływie.

Ciągnąc za sobą płonący rękaw, Cavanaugh poszedł za nią do ostatniego pomieszczenia po prawej.

- Jest!

Musiało to być pomieszczenie gospodarcze. Płomień wydobył z mroku grubą rurę wychodzącą z podłogi. Odchodził od niej mniejsze i ginęły w ścianie. Na głównej rurze był zawór. Jamie odkręciła go do oporu, ale nie usłyszeli odgłosu wody. Nie było też słychać chlupotu w sąsiednim pomieszczeniu.

- Wodę wyłączyli gdzieś indziej. - Cavanaugh obrócił się gwałtownie. Pokrywa ze skrzynki z bezpiecznikami została zdjęta. Wymontowa no też wszystkie wyłączniki z wyjątkiem jednego w górnym prawym rogu. Prawdopodobnie odpowiadał za zasilanie klapy. Ze skrzynki zwisały różnokolorowe kable.

- Pewnie jest tu gdzieś studnia- powiedział Cavanaugh. - A do studni potrzebna jest pompa. Woda nie płynie, bo pompa nie ma zasilania.

Obejrzelisi przewody, żeby dojść, który za co odpowiada. Cavanaugh zdecydował, że przewody tworzą z grubsza pary. Złapał dwa za gumową izolację i zetknął końcówkami. Nic się nie stało. Złączył dwa następne. Znowu nic.

Jamie zaczęła robić to samo.

- Ile mamy czasu?

- Mniej niż piętnaście minut.

Ogień przygasał. Robiło się coraz ciemniej.

Cavanaugh połączył dwa kolejne przewody i zobaczył iskrę. Ale przepływ prądu nie dał żadnego widocznego efektu. Rozłączył je więc i odgiął tak, żeby znaleźć je bez problemu.

- Szybciej - ponagliła go Jamie. Jej oddech odbijał się echem od ścian.

Cavanaugh ledwie już widział kable. Zdjął kurtkę i podarł koszulę wzdłuż szwów, drżąc z zimna. Podpalił kawałek materiału i wrócił do skrzynki, gdy wtem usłyszał buczenie pod podłogą i chlupot płynącej rurami wody.

- Udało mi się - powiedziała Jamie. - Znalazłam odpowiednią parę.

Z korytarza dobiegł ich odgłos wody lecącej z rury w sąsiednim pomieszczeniu.

Cavanaugh z trudem panował nad emocjami. Na podłodze zobaczył ślad po piecu. Dwa haki obok skrzynki z bezpiecznikami musiały kiedyś podtrzymywać rury grzejnicze.

190

Świadom upływu czasu wrócił do kabli w skrzynce.

- Muszą być dłuższe.

Jamie wyciągnęła przewody na całą długość. Zaczęli je wyginać, żeby przerwać miedziany drut.

Pompa wciąż pracowała. Woda zalewała sąsiednie pomieszczenie.

Kiedy Cavanaugh zdierał zębami izolację, koszula zaczęła przygasać. Jamie zaczepiła na pasku następny kawałek i wyciągnęła pochodnię na korytarz.

- Nie widzę wody na podłodze - powiedziała z niepokojem.

Pobiegli do pomieszczenia obok. Woda zebrała się tylko na środku.

- Boże, tam jest odpływ - zauważyła Jamie. Ściągnęła kurtkę i wepchnęła ją w otwór, próbując go zatkać.

Cavanaugh zostawił płonąca koszulę na korytarzu i podbiegł do żony. Wepchnął do odpływu swoją kurtkę.

Z napięciem patrzyli, jak poziom wody się podnosi. Cavanaughowi zakręciło się w głowie.

Zorientował się, że wstrzymuje oddech.

Zadziałało. Woda zaczęła zalewać pomieszczenie. Kiedy dotarła do drzwi na korytarz, Cavanaugh zaciągnął pochodnię z powrotem do pomieszczenia gospodarczego.

Usłyszał wściekły chłopot i domyślił się, że Jamie rozchlapuje wodę. Chciała zmoczyć jak największy obszar. W skrzynce znalazł dwa kable, które zaiskrzyły. Wyciągnął je na maksymalną długość i skręcił z przewodami, które wyrwali z Jamie.

Ich końce sięgały podłogi.

Gołe ramiona Jamie błysnęły w drzwiach.

- Woda się rozlewa.

- Musimy ściągnąć ją tutaj.

- Wybiegł na korytarz. W gasnącym świetle zobaczył, że podłogę pokrywa cienka warstwa wody. Zaczął ją nagarniać w stronę pomieszczenia gospodarczego.

Szybko wrócił i zabrał z podłogi przewody. Zawiesił je na hakach obok skrzynki.

Woda przedostała się do pomieszczenia gospodarczego.

- Jamie, weź swój pasek.

Cavanaugh odczepił płonący materiał od swojego paska i zanurzył sprzączkę w wodzie, żeby ostygła. Zrobił pętlę. Jamie poszła za jego przykładem. Zaczepili pętle na hakach.

Woda dotarła do leżącego na podłodze kawałka płonącej koszuli. Czekali w napięciu, aż zgasi ogień. Zanim szmata zasyczała, Cavanaugh rozłączył przewody kontrolujące pompę.

191

Buczenie pod podłogą umilkło. Chłopot też. Ogień zgasł.

Pogrążeni w ciemności czekali.

Oprócz chłodu dokuczała im teraz wilgoć. Cavanaugh drżał coraz mocniej - miał zupełnie nagi tors.

Nasłuchiwał urwanego oddechu Jamie. Próbował ją pocieszyć.

- Kiedy to wszystko się skończy, będę musiał cię nauczyć programowania neurolingwistycznego.

- Co to takiego?

- Metoda językowej kontroli tego, co myślisz i czujesz.

- Kiedy to się skończy? Znów to robisz. Każesz mi wierzyć, że wszystko będzie dobrze.

- Bo będzie. - Cavanaugh miał nadzieję, że brzmi to przekonująco. -

Wyobraź sobie to, co ma się stać i co musisz zrobić. Nie daj się zaskoczyć czemuś, czego sobie nie wyobraziłaś.

- Wyobrażam sobie słońce.
- Już niedługo je zobaczysz.
- Czas przyszły to wspaniała rzecz.
- Prawda?

Usłyszeli głucho dudnienie. Ktoś otworzył klapę. Chwilę później rozległ się odgłos kroków na schodach. Błysnęły latarki. Na szczęście tak wysoko, że w ich świetle nie było widać wody na podłodze.

- Przyprowadziłam wam lekarza - powiedziała Grace.

Cavanaugh i Jamie nie poruszyli się. Milczeli.

- Gdzie jesteście?

Cisza.

- Gdzie jesteście?! Wyłazić, do cholery! Ostrzegałam was, co się stanie, jeżeli będziecie się chować!

Cisza.

- Sami tego chcieliście - powiedziała Grace.

Zaszeleścił materiał. Cavanaugh domyślił się, że komandosi zakładają ochraniacze na uszy.

Wymacał w ciemności dłonie Jamie i przycisnął do jej uszu. Szybko zakrył swoje. To wystarczy, póki granaty będą wybuchają gdzieś dalej. Gdyby jednak wrzucono je do pomieszczenia gospodarczego, ręce na uszach nic by nie dały.

Cavanaugh wyobraził sobie stukot turlających się po podłodze granatów.

Słumiony huk zagaścił powietrze. Odbity echem od betonowych ścian łoskot był bardziej odczuwalny niż słyszalny.

Następny.

I jeszcze jeden, tym razem bliżej.

192

Cavanaugh przycisnął mocniej ręce do uszu. Po następnej eksplozji Jamie przytuliła się do niego.

Drżała. Granaty wybuchają tak blisko, że Cavanaugh widział już błyski eksplozji odbite od ścian.

Huk był coraz bliżej. W świetle latarek na ścianach widać było cienie komandosów z pistoletami w dłoni. Cavanaugh i Jamie słyszeli, że żołnierze weszli w wodę. Zatyczki w uszach komandosów nie pozwoliły im usłyszeć chlupotu butów, ale w każdej chwili mogli spojrzeć w dół.

Już. Ponieważ granat nie wybuchł, Cavanaugh odkrył uszy.

- Skąd ta woda? - spytała z rozdrażnieniem Grace.

Cavanaugh stuknął w ramię Jamie. Przełożyła rękę przez pętlę zawieszoną na haku paska i zawisła, wyciągając buty z wody.

- Sprawdźcie ostatnie dwa pomieszczenia - rozkazała Grace.

Cavanaugh pospiesznie wepchnął rękę w pętlę paska i zgiął nogi.

Równocześnie zdjął z haka przewody i upuścił je na podłogę.

Jeśli się nie uda...

Spodziewał się zobaczyć iskry, kiedy kable wpadną do wody, ale nic takiego się nie stało.

Zrozumiał, że są zgubieni. Przepraszam, Jamie. Zmarszczył czoło, słysząc upiorne wycie.

-Aaaaayyyyy! Głos dobiegał z korytarza. Niski. Drżący. Gardłowy. Dołączyło do niego kilka innych.

- Aaaaayyyyyyyyy!

Cavanaugh zrozumiał, że słyszy jęk rażonych prądem komandosów. Coś stuknęło, trzaśło, zagrzecotało. Na ziemię posypała się broń. Upuszczone latarki oświetliły ściany - były wodoodporne.

- Aaaaaayyy yyy!

Groteskowe cienie mężczyzn na ścianach zaczęły tańczyć i osuwać się na podłogę. Powietrze przecięła seria z pistoletu maszynowego. Ca-vanaugh nie mógł osłonić uszu, musiał trzymać się paska. Pociski rykoszetowały od ścian korytarza. Ktoś wrzasnął. Cavanaugh nie wiedział, czy żołnierz strzelał w wymagany cel, czy w konwulsjach zacisnął palec na spuście. Łuski

wpadały z pluskiem do kałuży, niektóre dzwoniąc zderzały się w locie. Wreszcie usłyszał trzask iglicy. Głośny grzechot oznajmił, że broń upadła na podłogę.

-Aaayyy!

Cienie w korytarzu powoli zamierały w bezruchu.

- Aaa...

Zapadła pełna napięcia cisza. Trzymając się jedną ręką haka, Cavanaugh wyciągnął przewody z kałuży. Okręcił je na haku, przerywając obwód.

193

- Już - powiedział do Jamie.

13 -Siłą strachu

Zeskoczyli do wody. Kiedy wybiegli na korytarz, w świetle latarek zobaczyli dziesięć ciał. Cavanaugh złapał najbliższy pistolet maszynowy. Był gotów strzelać, gdyby odkrył, że ktoś tylko udaje. Zobaczył poskręcane zwłoki człowieka w garniturze i leżącą obok niego lekarską torbę. Kawałek dalej twarzą w wodzie leżał Edgar. Sięgnął do jego kieszeni i wyciągnął emersona, a potem sig sauera. Podał pistolet Jamie i schował nóż.

Grace. Cholera jasna, gdzie jest Grace?

Usłyszał tupot oddalających się kroków i spojrzał na koniec korytarza. Obramowana światłem dnia sylwetka biegła po schodach do wyjścia.

Cavanaugh strzelił.

Pociski zabębniły o stopnie, ale Grace zdążyła zniknąć w otworze i odskoczyć w bok. Najwyraźniej włączyła pilota przy pasku. Betonowa kłapa zaczęła się opuszczać.

Cavanaugh popędził w stronę schodów. Zastanawiał się, jakim cudem Grace przeżyła. Musiała stać na suchej podłodze. Może miała buty na gumowej podeszwie.

Betonowa kłapa była coraz niżej. Cavanaugh słyszał, że Jamie biegnie za nim, ale teraz myślał tylko o tym, żeby dopaść schodów.

Szpara miała już tylko metr szerokości. Cavanaugh zanurkował w nią i przetoczył się po ziemi.

Obtarł sobie przy tym nagie plecy i ramiona. Precisnął się przez otwór w ostatniej chwili.

W rażącym blasku słońca kątem oka zauważył czterech zaskoczonych mężczyzn. Przewrócił się na plecy i nacisnął spust. Tap. Tap. Tap. Trzy i cztery pociski w serii.

Pierwszy komandos runął na plecy, zanim zdążył się poruszyć. Z klatki piersiowej tryskała mu krew. Drugi podniósł broń, ale dostał serię w twarz. Runął do tyłu, strzelając w niebo.

Dwaj pozostali skoczyli w ruiny spalonej stodoły.

Cavanaugh popędził w rumowisko rezydencji.

Zanurkował za ogryzek kamiennej ściany na ułamek sekundy przed tym, jak komandosi otworzyli ogień. Zranił się w klatkę piersiową, ale nie zwracał na to uwagi. Musi przeżyć, zabić każdego, kto stanie mu na drodze, i uwolnić Jamie.

Ale żeby otworzyć kłapę, potrzebny był pilot z paska Grace. Gdzie ona jest? Zniknęła na lewo od wyjścia, czyli na prawo od miejsca, gdzie Cavanaugh był teraz. Tam stał jej samochód. Schowała się za nim?

194

Przed exploerem stało zielone kombi. Prawdopodobnie należało do lekarza. Grace może skradać się między samochodami. Chce go zająć od tyłu. Nie mógł zajrzeć pod koła i sprawdzić, gdzie jest widok zasłaniały mu kamienie.

Dzwoniło mu w uszach, więc mógł nie usłyszeć niepokojących odgłosów. Serce zabiło mu mocniej, kiedy spostrzegł, że leży w zagłębieniu, które zrobił sobie któryś komandos. Po lewej widać było jeszcze jedno. Cavanaugh przeczołgał się przez nie, pełznąc wzdłuż resztek muru. Starając się robić jak najmniej hałasu, wyszukał szparę, przez którą mógł widzieć ruiny stodoły i samochody po prawej.

Obejrzał broń. W magazynku mieściło się trzydzieści pocisków kaliber dziewięć milimetrów.

Cavanaugh próbował oliczyć, ile jeszcze zostało. Wystrzelił trzy serie. Nauczono go, żeby w serii

było około czterech pocisków. Możliwe jednak, że wystrzelił więcej. Jeśli zużył - założmy - szesnaście pocisków, w magazynku pozostało czternaście (o ile był pełny) plus ewentualnie jeden w komorze.

Lepiej przygotować się na najgorsze. Założmy, że jest tylko dwanaście pocisków.

Przełączył tryb ognia na pojedynczy i wysunął kolbę, żeby móc celować jak z karabinu. Wyjrzał przez szparę i zobaczył ruch w ruinach stodoły po obu stronach kłapy. Zanim zdążył strzelić, pociski zabębniły o kamienie tuż obok jego głowy. Zaszczypało go czoło. Dotknął go i na palcach zobaczył krew. Odlamek kamienia rozciął mu skórę.

Podniósł zwęglony kawałek deski i rzucił w miejsce, gdzie ukrył się za pierwszym razem. Miał nadzieję, że komandos pomyśla, że tam wrócił. Wyglądając ukradkiem przez szparę, zobaczył, że ten po prawej wychyla się zza osłony i celuje.

Cavanaugh strzelił, trafiając mężczyznę w bark. Komandos upadł i natychmiast przywarł do ziemi. Seria wystrzelona ze stodoły zasypała kamienie nad jego głową. Zagwizdały odlamki, wbił się kurz. Cavanaugh był zawiedziony. Nie wyeliminował napastnika. Mężczyzna wciąż był groźny. Jamie na dole pewnie odchodzi od zmysłów. Może ktoś przeżył. Może będzie musiała walczyć. Przestań myśleć!

Przeczołgał się pod ścianą na skraj ruin. Zorientował się, że komandos w stodole nie będą go widzieć, jeśli przeczołga się za róg i popełźnie wzdłuż prostopadłego muru. Gdyby udało mu się dotrzeć do frontowej ściany i przedostać na drugą stronę, mógłby zaskoczyć myśliwych i Grace, jeśli chowa się za samochodami.

195

Dotarł do frontu i znalazł taurusa tam, gdzie go zostawili. Nic mu to jednak nie dawało. Nie miał kluczyków, więc nie mógł odpalić silnika na tyle sprawnie i cicho, żeby wykorzystać samochód jako element zaskoczenia. Ruiny frontowej ściany były na tyle wysokie, że mógł biec skulony. Z zadrapań na piersi sączyła mu się krew. Słońce paliło w plecy. Język wydawał się opuchnięty. Cavanaugh zajrzał za róg i samochody stojące obok ruin stodoły. Z tego miejsca mógł zajrzeć im pod podwozie.

Z przodu explorera zobaczył buty Grace. Schowała się za silnikiem -jedynym miejscem, którego nie mógł przebić pocisk. Za przednią szybą błysnęły blond włosy. Grace wyjrzała ostrożnie w kierunku zawalonej ściany rezydencji. Patrzyła pod takim kątem, że nie mogła zauważyć Cavanaugha.

MP-5 miał zasięg dwustu dwudziestu metrów. Explorer stał w odległości około siedemdziesięciu pięciu, ale warunki były niesprzyjające. Cavanaugh nie wiedział, czy trafi w tak mały cel. Po wszystkim, co przeszedł, drżały mu ręce. Gdyby spudłował, zdradziłby swoją kryjówkę. Grace i komandos rozdzieliliby się i wzięli go w dwa ognie.

Zmienił zdanie i położył się. W tej pozycji łatwiej mu było trzymać broń nieruchomo. Wycelował w nogi Grace. Chociaż rozstawiła szeroko stopy, żeby utrzymać równowagę, pod tym kątem stały prawie w jednej linii. To był znacznie lepszy cel niż jej głowa. Cavanaugh wstrzymał oddech i nacisnął spust.

Trzask wystrzału był tak głośny, że nie usłyszał odgłosu trafiającego w cel pocisku. Usłyszał za to okrzyk bólu. Zajrzał pod samochód i zobaczył, że Grace upadła na ziemię. Wykrzywiona bólem twarz znajdowała się blisko przednich kół. Żeby dobrze wycelować, Cavanaugh musiał się bardziej wychylić. Grace zauważyła ruch i wycelowała w jego stronę. Odturlał się w tył na ułamek sekundy przed tym, jak pocisk uderzył w miejsce, gdzie przez chwilę leżał.

- Ten drań jest po tej stronie! - krzyknęła Grace. - Od frontu!

Cavanaugh wstał i skulony przebiegł wzdłuż frontowej ściany tą samą drogą, którą przyszedł.

Panikę wywołaną działaniem hormonu zwyciężyło wyszkolenie i lata doświadczenia. Zebrał całą odwagę i wypadł za róg. Zaskoczony komandos zamarł. Zareagował na krzyk Grace i wybiegł ze stodoły. Był w połowie drogi, kiedy Cavanaugh rozerwał mu pierś dwiema krótkimi seriami.

Nie zatrzymał się. Dopadł ciała, upewnił się, że mężczyzna nie żyje i zabrał mu broń. Nie wiedział, ile nabożów jest jeszcze w magazynku, ale przynajmniej miał ich więcej niż na początku. Z

dłoniach dotarł do narożnika rezydencji. Wiedział, że ranny komandos nie wyjdzie z ukrycia bez dobrego powodu. Grace też była ranna. Mogła poruszać się, tylko kuśtykając lub pełznąć. Nie wystawi nosa zza explo-rera, dopóki nie będzie wiedziała, co się dzieje. Żadne z nich nie wie, co oznaczały strzały, które słyszeli. Komandos powinien był ich zawołać, gdyby wygrał, ale jeśli spudłował, to może zaczął się gdzieś na Cava-naughta. Brak okrzyku wcale nie musiał oznaczać, że mężczyzna nie żyje.

Cavanaugh postanowił zaczekać. Niech się jeszcze trochę wykrwawia.

Wtem, mimo dzwonięcia w uszach usłyszał dudnienie silnika. Zmarszczył czoło. To niemożliwe. Taki dźwięk wydawać mogła tylko betonowa kłapa.

Dudnienie nie ustawało. Jezu, czyżby Grace otworzyła kłapę pilotem? Chciała wywabić Jamie na zewnątrz albo wziąć ją jako zakładniczkę.

Cavanaugh doszedł do wniosku, że ostatnim miejscem, gdzie by się go spodziewali, jest podnóże ściany. Padł na ziemię i wyrzwał ostrożnie za róg. Mrużąc oczy, spojrzał w kierunku stodoły i zobaczył, że kłapa rzeczywiście się podnosi.

Obejrzał się za siebie niepewnie. Może Grace chce odwrócić jego uwagę? Czyżby zamierzała pokuśtykać dookoła ruin i zająć go od tyłu?

Obejrzał się szybko jeszcze raz i znów wyrzwał zza zwalonej ściany. Kłapa była otwarta na całą szerokość. W ciemności otworu coś się poruszyło.

- Jamie, nie wychodź!

Natychmiast schował się za róg. Grad pocisków rozłupał nad nim kilka kamieni. Zasypały go odłamki i pył. Część strzałów pochodziła z serii pistoletu maszynowego, ale pozostałe były pojedyncze. Grace wciąż chowała się za explo-rem.

- Słyszysz mnie, Jamie? Nie wychodź!

Tym razem wołanie nie ściągnęło strzałów. Komandos i Grace wyraźnie oszczędzali amunicję.

- Słyszę cię! - Głos Jamie był przytłumiony. - Nigdzie się nie ruszam!

- Jeśli się pokażesz, zastrzelą cię albo wezmą jako zakładnika! To dlatego Grace otworzyła kłapę!

- To nie ona, to ja! Co takiego?

- Te kable, które chciałeś połączyć! Myślałeś, że otwierają kłapę!

Miałeś rację! Otwierają!

197

- Nie wychylaj się!

- Ilu ich jest?

- Grace i mężczyzna! - krzyknął Cavanaugh.

- Gdzie są?

- Grace po lewej! Za explo-rem! Widziałaś, gdzie zaparkowała! Facet siedzi w gruzach za wejściem do laboratorium! Na miłość boską, nie wychodź!

- Mam go po lewej czy po prawej?

- Był po lewej, ale mógł się przenieść! Mówię ci, nie próbuj wychodzić!

- Nie próbuję! - odkrzyknęła Jamie. - Ale mam pomysł! Kiedy ci powiem, strzelaj!

- Cokolwiek chcesz zrobić, zabraniam! To niebezpieczne!

- Daj mi dwadzieścia sekund!

Co ona chce, do cholery, zrobić?!

Ostrożnie przełożył pasek pistoletu przez ramię. Ścisnął mocno drugi, który zabrał zastrzelonemu komandosowi. Doszedł do wniosku, że mężczyzna nie ryzykowałby opuszczenia kryjówki, gdyby

nie miał odpowiedniej ilości amunicji. Nie miał jednak czasu wyjąć magazynka i sprawdzić. Wycofał się spod narożnika. Stamtąd dobiegały jego krzyki. Grace i komandos spodziewali się, że tam właśnie się pokaże. Przekonany, że serce zaraz wyrwie mu się z piersi, cofnął się kilka metrów. Mur był w tym miejscu na tyle niski, że mógł znad niego strzelać, gdyby wstał. Jeszcze raz obejrzał się za siebie. Jeśli Grace postanowiła zająć go od tyłu, ile czasu zajęłoby jej obejście ruin rezydencji?

- Uważaj! - krzyknęła Jamie z otworu.

Cokolwiek planuje, lepiej, żeby się udało.

- Licz do pięciu! - zawołała. - Już!

Zmieszany Cavanaugh zrobił, co kazała.

Jeden. Dwa.

Ustawił tryb ognia na półautomatyczny.

Trzy. Cztery.

Przestraszyły go dwa jednoczesne wybuchy od strony stodoły. Chryste, rzucają granaty w otwór.

Rozwścieczony poderwał się i strzelił w ruiny po obu stronach wejścia. Znów coś wybuchło.

Przeszywającym uszy eksplozjom towarzyszyły oślepiające błyski. To nie granaty, uświadomił sobie Cavanaugh. To Jamie rzuca nad klapą petardy hukowe!

Zgliszczami wstrząsnęły dwie kolejne detonacje. Nad gruzami pokazał się dym. Ranny komandos zerwał się i zaczął uciekać, zakrywając rękami uszy.

198

Cavanaugh wycelował i strzelił trzy razy. Wszystkie pociski wymierzone były w środek sylwetki uciekającego, ale tylko pierwszy trafił go w plecy. Drugi zboczył i trafił komandosa w kark. Trzeci poszedł w bok, ale to nie miało znaczenia. Z karku mężczyzny trysnęło tyle krwi, że musiał się wykrwawić na śmierć w ciągu kilku sekund.

- Załatwiłem go! - krzyknął Cavanaugh do Jamie.

Bang!

Bang!

Jaskrawe, potwornie głośne eksplozje po drugiej stronie stodoły powiedziały mu, że Jamie rzuca petardy w stronę explorera.

Bang!

Cavanaugh popędził przed rezydencją. Próbując zapanować nad oszalałym biciem serca, wyrztał pstrożnie za róg. Przebiegł wzdłuż ruin domu i zatrzymał się przy prawym narożniku. Znów wyrzwał.

Bang!

Nawet z odległości siedemdziesięciu pięciu metrów błyski petard raziły go w oczy. Grace musiała być ogłuszona. Zaryzykował i wybiegł na otwarty teren, okrążając ruiny szerokim łukiem.

Drzwi od strony kierowcy były otwarte. Zobaczył, że Grace wślizguje się do środka. Jej lewa noga krwawiła. Strzelił w drzwi, ale usłyszał tylko łomot kul odbijających się od pancerza. Grace zatrasnęła drzwi. Przez przednią szybę widać było wyraźnie jej jasne włosy. Wcisnęła kluczyk do stacyjki i odpaliła silnik.

Cavanaugh strzelił w szybę, ale tylko ją zarysował. Szkło było kuloodporne. Strzelił jeszcze raz.

Grace wdepnęła gaz, wyjechała zza zielonego kombi i ruszyła w jego kierunku.

Strzelił po raz trzeci. Większość kuloodpornych szyb może wytrzymać maksymalnie pięć strzałów na powierzchni o średnicy dwudziestu centymetrów. Potem rozsypują się w drobny mak.

Cavanaugh nie uciekał więc, tylko strzelił po raz czwarty. Grace była już tak blisko, że jej niebieskie oczy wydawały się nienaturalnie wielkie.

Kiedy pociągnął za spust po raz piąty, usłyszał suchy trzask iglicy. Zaklął, rzucił pistoletem maszynowym w szybę explorera i w ostatniej chwili odskoczył w bok. Samochód przemknął z rykiem tuż obok, wzbijając tumany kurzu. Cavanaugh przetoczył się po ziemi. Pistolet na plecach wbił mu się boleśnie w ciało.

Zamiast pomknąć alejką w stronę drogi, którą przyjechał Cavanaugh, Grace skrzyła ostro

kierownicę i zawróciła.

Cavanaugh zerwał się na równe nogi. Ściągnął pistolet z ramienia, ale samochód był już za blisko, żeby strzelić.

199

Rzucił się w lewo.

Grace skreśliła za nim.

Skoczył w prawo.

Grace go ścigała.

W ostatniej chwili Cavanaugh zamarkował skok w lewo. Zanurkował w prawo. Czując podmuch mijającego go samochodu, padł na ziemię. Skrzywił się i zerwał na nogi. Spodziewał się, że Grace zawróci i znów ruszy w jego stronę.

Explorer jednak pomknął w głąb doliny. Kiedy ryk jego silnika przycichł, Cavanaugh usłyszał inny dźwięk. Helikopter. Grace wezwała posiłki przez komórkę. Nie. Gdyby to była pomoc, zostałyaby na miejscu. Chce uciec.

Cavanaugh pobiegł do taurusa, zabierając po drodze kamień. W nowszych autach blokady kierownicy nie da się zerwać, zapierając stopami o kolumnę kierownicy. Cavanaugh otworzył drzwiczki, wyciągnął emersona i wepchnął ostrze w stacyjkę. Uderzył kilka razy kamieniem w nasadę rękojeści i złożył nóż do połowy. W ten sposób uzyskał dźwignię. Ostrze było zrobione z bardzo twardej stali, idealnie więc nadawała się do takiego zadania. Cavanaugh szarpnął nóż i poczuł, że blokada pęka.

Działał coraz szybciej. Sięgnął pod deskę rozdzielczą i wyciągnął stamtąd przełącznik - standardowe zabezpieczenie na wypadek braku kluczyków pod ręką. Przełącznik był podłączony do zapłonu. Cavanaugh nacisnął go i silnik zaskoczył.

Drzwi od strony pasażera otworzyły się gwałtownie. Cavanaugh podniósł emersona, żeby się bronić, ale opuścił go na widok Jamie.

- Jedź! - krzyknęła. - Jedź!

Wcisnął gaz do dechy i z piskiem opon ruszył za explorem. Kiedy Jamie zatrzasnęła drzwi, zobaczył, że samochód Grace znika między drzewami.

- Masz jeszcze pistolet, który zabrałem Edgarowi? - spytał.

- Nie ruszyłabym się bez niego - odparła zdyszana Jamie.

- Opuść szybę. Patrz, czy Grace się gdzieś na nas nie zaczęła.

Taurus wjechał między drzewa.

- Mogła się schować wszędzie - powiedziała Jamie.

Droga prowadziła przez przełęcz i opuszczała się w dolinę. Na dole zakreślała i krzyżowała się ze żwirówką. Unoszący się po prawej stronie pył wskazywał drogę ucieczki Grace.

200

Cavanaugh ostro zakreślił i popędził za nią. Kurz utrudniał widoczność. Cavanaugh jechał najszybciej, jak mógł, licząc się z tym, że będzie musiał gwałtownie zahamować. Lekki wiatr, który właśnie się zerwał, rozpuścił tuman i pozwolił mu przyspieszyć. Dotarli do skrzyżowania z asfaltówką.

Nigdzie nie było tumanu. Grace musiała skreślić na asfalt, ale pełno tu było śladów opon, więc nie wiedzieli, w którą stronę skreśliła.

- Wybierz kierunek - powiedział Cavanaugh do Jamie.

- W lewo.

Cavanaugh sprawdził, czy nic nie jedzie, i skreślił. Docisnął pedał gazu, rozpędzając taurusa do stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Drzewa i pola za oknami zlały się w smugi. Dojeżdżając do szczytu wzgórza, Cavanaugh zwolnił, żeby nie dać się zaskoczyć Grace. U podnóża wzniesienia zatrzymał się na następnym skrzyżowaniu. Tym razem wyasfaltowane były wszystkie cztery odgałęzienia.

- Wybierz kierunek.

- Znów w lewo - powiedziała Jamie.
- Z jakiegoś konkretnego powodu?
- Raczej nie.
- No to jedziemy w lewo.

Przed następnym skrzyżowaniem Cavanaugh zjechał na pobocze. Z trudem oderwał od kierownicy kurczowo zaciśnięte dłonie.

Zlany potem patrzył przed siebie. Jamie drżała tak samo jak on.

- Dobrze się spisałaś - powiedział w końcu.
- Dzięki - odparła ochryplym głosem.
- Byłaś bardzo opanowana. - Zrobiło mu się niedobrze. - Nie spani kowałaś.

- A miałam ochotę.
- Znam to uczucie. - Spocony Cavanaugh wciąż patrzył przed siebie. - Niezły pomysł z tymi granatami.
- Byłam taka wściekła. Powiedziała sobie, że nie dam się tak po prostu zabić.
- Złość to dobra motywacja. - Cavanaugh drżącą dłonią otarł brudne usta. - Zwłaszcza kiedy trzeba poradzić sobie ze strachem.
- Mam dla ciebie prezent - powiedziała Jamie.
- Tak? - Zdziwiony spojrział w dół. Obok sig sauera na fotelu zoba czył uprząż, którą Jamie ściągnęła z trupa na korytarzu; Do uprzęży przy piętach była beretta w kaburze i pełny zapasowy magazynek.
- Sprytnie.
- Oto droga do serca ukochanego. Kto ma drugiego siga? Grace?

201

i:

- Prawdopodobnie - powiedział Cavanaugh. - I kluczyki do samochodu. I moją komórkę. I portfel z dokumentami od Karen.

- Sięgnij pod fotel.

Cavanaugh wyciągnął torebkę Jamie.

- A niech mnie.

Suwak był zasunięty. Jamie zajrzała do środka.

- Wygląda na to, że jeszcze się do niej nie dobrali. Mam portfel i komórkę.

Usłyszeli stłumiony łoskot śmigłowca. Jamie obejrzała się.

- To nie mogą być ludzie Grace. Nie uciekałyby przed nimi.

Cavanaugh skinął głową.

- Założę się, że to John i ludzie z FBI.

Jamie odetchnęła z ulgą.

- W takim razie wracamy. Powiemy im, czego się dowiedzieliśmy.

Cavanaugh się nie poruszył.

- O co chodzi? Jeśli nie wrócimy, będą nas ścigać - powiedziała Jamie. - Zresztą pewnie i tak już chcę nas aresztować. Zabraliśmy Johnowi Kline'a, a Kline nie żyje. I ci wszyscy komandos. I lekarz. Musimy wyjaśnić, co się stało.

- Nie możemy wrócić.

- Słucham?

- Nie możemy zaufać FBI. Ktoś od nich pracował dla Kline'a. Ktoś wystawił Johna. Jeśli powiem im, co wiem, ktoś inny może dopaść Prescottta.

- Ale John znajdzie informatora.
- To może potrwać. A jeśli się nie uda? Potrzebuję antidotum. Zresztą nawet jeśli John znajdzie wtykę i będziemy mogli zaufać FBI, to niczego nie rozwiązuje. Prescott nie zostanie ukarany.

-Nie rozumiem.

- Rząd będzie go chronić. Oczywiście wkurzą się na wieść o nielegalnych badaniach. Kontrolerzy Prescottta zostaną po cichu surowo ukarani. Ale nie on sam. Broń już istnieje i szkód nie da się naprawić. Departament Obrony będzie chciał się wszystkiego dowiedzieć. Na wszelki wypadek. W imię bezpieczeństwa narodowego ukryją Prescottta gdzieś, gdzie będą mieć dostęp do jego informacji. Prescott dostanie nową tożsamość, nowe życie, wszystko, czego chciał.

Jamie tylko na niego patrzyła.

- O co chodzi? - spytał.

- Kiedy to się zaczęło, ty byłeś ścigany - powiedziała. - Oni chcieli zabić ciebie. Myślałam, że jeśli ci pomogę ich znaleźć, będziemy mogli

zakończyć całą sprawę. Wrócimy do Wyoming. Odzyskamy nasze życie.

- Wierz mi, tego właśnie chcę. Marzę o tym, żeby wszystko było po staremu.

- Więc dlaczego tak nie może być?

- Karen. Duncan. Chad. Trący. Roberto. To nie ostatnie ofiary Prescottta. Z jego paranoją będzie zabijał, jeśli tylko ktoś na niego krzywo spojrzy. Trzeba go powstrzymać.

Zapadła cisza. Jedynym dźwiękiem był klekot starej ciężarówki przejeżdżającej przez skrzyżowanie.

- Będzie ci potrzebne dobre alibi - powiedział w końcu Cavanaugh.

- Słucham?

- To nie my zabraliśmy Kline'a. Ja to zrobiłem. Zmusiłem cię, żebyś pojechała ze mną. Tak masz mówić. Odgrywaj ofiarę.

- Myślisz, że ktokolwiek w to uwierzy? - spytała.

- Zrób tak, żeby uwierzyli. Wypłacz się z tego.

- Mówisz, żebym...

- Wracaj.

- Mamy się rozdzielić?

- Omal przeze mnie nie zginęłaś. Nie mogę pozwolić, żebyś dalej narażała życie.

- Jestem tu, bo tego chcę.

- Aleja nie mogę ścigać Prescottta i jednocześnie martwić się o ciebie.

- Jak dotąd bardzo dobrze dawałam sobie radę.

- Tak - powiedział Cavanaugh. - Dawałaś.

- Zostaje.

Cavanaugh spojrzał na drżące dłonie. Przez skrzyżowanie przejechała następna ciężarówka. Kiwnął głową.

- Co to ma znaczyć? To kiwnięcie? Na czym stoimy? - spytała

Jamie.

- Na skrzyżowaniu gdzieś w zachodniej Wirginii.

- To nie jest śmieszne.

- Skończyły mi się dowcipy. - Cavanaugh przyjrzał się jej brudnej twarzy i bluzce. Otworzył bagażnik. Były w nim walizki.

- Lepiej się przebierzmy.
- W twoim wypadku to nie wystarczy.

Popatrzyła na niego wymownie. Cavanaugh przyjrzał się sobie. Od stóp do głów pokryty był sadzą. Spodnie miał całe w strzępach. Jego
203

pierś wyglądała jak szachownica zadrapań. Był brudny, zakrwawiony i spocony.

- Mamy z tyłu jeszcze trochę wody w butelkach. Umyję sobie twarz, włożę czapkę, koszulę i spodnie, żeby ukryć resztę, aż dojedziemy do motelu.
- Śmierdzisz kordytem - powiedziała Jamie.
- Niektórzy uważają, że to sexy.

Część szósta
ODPOWIEDŹ

u.

M

otel na obrzeżach Harrisburga w Pensylwanii znajdował się dwie godziny drogi na północ.

Wystarczająco daleko. Jeśli Rutherford chciał ich szukać, mogło mu się to nie udać, zwłaszcza że nie znał nazwiska Jamie ani modelu samochodu, jakim jechali.

Harrisburg - stolica stanu - miał jeszcze jedną zaletę. W dużym mieście było sporo wypożyczalni wideo. Szybko znaleźli odpowiedni film z Clintem Eastwoodem. Cavanaugh przypomniał sobie tytuł, ale nie wyjawiał go Grace. Inaczej rzecz się miała z romansem, w którym grali Troy Donahue i Sandra Dee. Cavanaugh i Jamie zameldowali się w motelu, a potem odwiedzili prawie wszystkie wypożyczalnie, zanim trafili na A Summer Place.

- "Kochankowie-gwiazdy w wypoczynkowej miejscowości w Maine"

- przeczytała Jamie na pudełku.

Cavanaugh włożył kasetę do wypożyczonego odtwarzacza.

- Prescott nie jest typem romantyka, więc ten film musiał być dla niego ważny z jakiegoś innego powodu.

- Może Grace miała rację. Może chciał się przenieść do Maine - powiedziała Jamie.

Taśma była tak zniszczona, że obraz był niewyraźny. Film był panoramiczny i zabawnie wyglądał na dwudziestocalowym telewizorze.

- Niezła muzyka - powiedziała Jamie.

- Jedyna dobra rzecz w tym filmie.

Dorośli romansowali, Donahue i Dee wiedzieli, że ich miłość jest zakazana. Richard Egan grał prawie tak samo sztucznie jak Donahue. Pompatyczne sceny podkreślały fale bijące o różową plażę.

207

- Ciekawy dom.

Niski modernistyczny budynek stał na skalistym cyplu. Rozbijające się u jego podnóża fale sprawiały, że wyglądał jak dziób statku.

- Przypomina domy Franka Lloyd Wrighta - zauważyła Jamie.

Wreszcie film skończył się przy wtórze rozdierającej muzyki i huku niszczonej dekoracji.

Cavanaugh wybrał przewijanie.

- Maine.

- A oto druga atrakcja wieczoru... - Jamie przeczytała napis na pu

dełku - Zagraj dla mnie, Misty. "Kobieta prześladowuje disc jockeya. Reżyserki debiut Clint Eastwooda, nakręcony w jego rodzinnym Carmel". -
Przyjrzała się zdjęciom. - Jessica Walter z nożem. Dobrze. Lubię filmy o nożownikach.

- Ten akurat jest całkiem niezłe zrobiony. Widziałem go dawno temu. Prawie nic już nie pamiętam, ale przypominam sobie, że Eastwood się postarał. Trzyma w napięciu.

- Nigdy nie mam dość napięcia - stwierdziła Jamie.

- Kalifornia. Maine. Prescott najwyraźniej nie mógł się zdecydować.

-No, dawaj to arcydzieło. Zobaczmy, co mu się tak podobało.

Film rozpoczynało długie ujęcie ze śmigłowca lecącego nad poszarpanym brzegiem morza. Fale rozbijały się o kamienie, poskręcane od wiatru sosny kurczowo czepiały się skał.

Po trzydziestu sekundach Cavanaugh i Jamie pochylił się nagle do telewizora.

- O żesz ty - zaklął Cavanaugh. - A Summer Place rozgrywa się w Maine, ale film nakręcono...

- W Carmel - dokończyła Jamie.

Patrzyli, jak Clint Eastwood jedzie wzdłuż brzegu sportowym samochodem, a potem spaceruje z dziewczyną po plaży.

- To ta sama plaża, co w A Summer Place - zauważyła Jamie. -

Zatoka ma charakterystyczny kształt. Trudno sobie wyobrazić podobną.

- Szukaj domu Franka Lloyda Wrighta - powiedział Cavanaugh.

Dom się nie pojawił, ale to nie miało znaczenia. Oboje mieli już

pewność. Zagraj dla mnie, Misty i A Summer Place nakręcono w tym samym miejscu.

- Co jeszcze zauważyłeś, kiedy się z nim spotkałeś po raz pierwszy?

Wspominałeś, że miał książki - powiedziała Jamie.

- Coś o zdjęciach i seksie. I o geologii. I wiersze Robinsona Jeffersa.

Harrisburska biblioteka miejska mieściła się w nowoczesnym szklanym budynku z przestronną czytelnią i licznymi terminalami komputerowymi. Cavanaugh i Jamie przynosili książki na stolik stojący na uboczu.

- Posłuchaj tego - szepnęła Jamie. - "Zatoka, nad którą leży Carmel-by-the-Sea, bo tak nazywa się to miasto, to czubek olbrzymiej podwodnej rozpadliny, która wielkością dorównuje Wielkiemu Kanionowi. Miejsce to od dawna fascynuje geologów".

- To wyjaśnia pierwszą książkę - powiedział Cavanaugh.

- Miasto słynie też z pisarzy, artystów i fotografików. - Jamie udało

się podkreślić ostatnie słowo bez podnoszenia głosu. - Mieszkał tam Ansel Adams. I Edward Weston.

- Znam Adamsa, ale kim jest...

- Powiedziałaś, że Prescott miał książkę pornograficzną.

- Miała jakiś seksowny tytuł i goliznę na okładce.

- Namiętność?

- Słucham?

- Nosila tytuł Formy namiętności? Spójrz.

Jamie przesunęła książkę w jego stronę. Fotografik nazywał się Edward Weston. Obwolutę zdjęto, ale kiedy Cavanaugh zaczął przerzucać strony, trafił na zdjęcie nagiej kobiety, najpiękniejsze, jakie widział w życiu.

- To było na okładce - powiedział.

Młoda, szczupła kobieta siedziała z opuszczoną głową, opierając czoło na zgiętym kolanie. Była zupełnie naga, ale na zdjęciu nie było widać intymnych części jej ciała. Jej zmysłowa poza przypominała zdjęcie na sąsiedniej stronie. Przedstawiało paprykę, która przypominała parę

kochających się ludzi. Na następnym była fantastyczna muszla o równie erotycznym kształcie.

- Namiętność. - Cavanaugh patrzył na fotografie. - Namiętność do wszystkiego.

Dalej znalazł zdjęcia cypla Lobos, niedaleko Carmel. Strona za stroną fotografie ukazywały przepiękną linię brzegu. Tę samą co w A Summer Place i Zagraj dla mnie, Misty.

- Czy mamy jeszcze jakieś wątpliwości, że Prescott oszalał na punkcie tego miejsca? - spytała Jamie.

Przechodzący obok bibliotekarz wydawał się nie zauważać posiniaczonej twarzy Cavanaugha, ale skarcił Jamie wzrokiem za gadanie. Spojrzała na niego przepraszająco i odwróciła wzrok na książki.

208

14 - Siła strachu

209

- Powiedziałeś, że Prescott lubi golfa - wyszeptowała, kiedy tylko bibliotekarz się oddalił. - Pebble Beach to jedno z najslawniejszych pól golfowych na świecie. - Znajduje się kawałek na północ od Carmel. Po wiedziałeś, że jest smakoszem. Tu piszą, że Carmel to istne zagłębienie restauracji. Żeby mieć stuprocentową pewność, musimy dowiedzieć się, jaką rolę w tym wszystkim odgrywa Robinson Jeffers.

- Już to zrobiłem. - Cavanaugh podał jej notatki. - Jeffers i jego żona Una przyjechali do Carmel w tysiąc dziewięćset czterem i tak im się tam spodobało, że zostali do końca życia. Jeffers kupił ziemię, zwiózł z plaży kawały granitu i przez kilka lat budował dom z trzynastometrową wieżą. Nazwał swoją posiadłość Tor House. Od jakichś skał w Anglii. On i Una tam umarli.

Cavanaugh pokazał Jamie zbiór wierszy Jeffersa, zaznaczając dwa wersy. Zbudowałem dla niej wieżę, kiedy byłem młody, A ona kiedyś umrze.

- Rozmawiałem z Prescottem o tych dwóch wersach, ale nie miałem pojęcia, co oznaczają - powiedział.

- Teraz już wiesz.

- Teraz już wiem.

Pojechali samochodem. Ze względu na wzmożone środki bezpieczeństwa na lotniskach spowodowane zagrożeniem ze strony terrorystów Cavanaugh nie chciał lecieć samolotem. Musiałby pokazać dowód tożsamości ze zdjęciem, a Edgar zabrał mu fałszywe prawo jazdy i karty kredytowe. Poza tym Rutherford i FBI prawdopodobnie rozesłali po kraju rysopisy Cavanaugha i Jamie. Wszystko to plus możliwość podróżowania z bronią przemawiało za jazdą samochodem. Cavanaugh zyskał w ten sposób czas, żeby dojść do siebie.

Taurus wyglądał jak jeszcze jeden zwykły samochód, którym podróżowała zwyczajna para, chociaż ślady na twarzy mężczyzny wskazywały, że miał niedawno wypadek. Wyjaśniały też, dlaczego zapuszczał brodę.

Minęli Ohio, Indianę, Illinois i Iowę.

- Przypomina mi to Oklahomę - powiedział Cavanaugh, patrząc na płaski krajobraz Nebraski.

- Słucham?

- Mieszkałem tam parę lat jako dzieciak.

210

Jamie spojrzała na niego z ciekawością.

- Mój ojciec miał tego pecha, że umiał tylko wydobywać ropę, a boom naftowy już się skończył.

Zawahał się.

- Miałem psa. Nic wielkiego. Kundel. Nieduży.

Jamie patrzyła na niego, czekając, aż powie coś więcej.

- Często się przeprowadzaliśmy. Tato szukał pracy. Czasami dostawał tylko te najbardziej niebezpieczne. Raz, kiedy byłem mały, widziałem, jak gasił pożar szybu. Miał na sobie strój, w którym wyglądał jak kosmonauta. Zgasił ogień buldożerem i dynamitem. Potem się upił. Często to robił. Wrócił późno do domu i zrobił mamie awanturę. Kiedy próbowałem go powstrzymać, żeby jej nie uderzył, sam dostałem. Pies zaczął szczekać, więc tato pokazał wszystkim, kto tu rządzi, i skopał go na śmierć.

Przez chwilę jedynym dźwiękiem było warczenie silnika i szum opon.

- Wtedy mama go zostawiła - powiedział Cavanaugh. - Kosztowało ją to mnóstwo odwagi. Byliśmy jeszcze biedniejsi niż przedtem. Ale ja koś nam się udało. Mama znalazła porządnego faceta. Nawet wysłała mnie do całkiem niezłej szkoły. Myślę, że ona i ojczym chcieli, żebym został prawnikiem albo kimś takim. Ale ja miałem w sobie za dużo gniewu. Chciałem pomścić wszystkie pobite mamy i skopane na śmierć psy na świecie, więc zaciągnąłem się do wojska i skierowano mnie do sił specjalnych. Miałem wiele okazji, żeby dołożyć bandziorem. Ale potem skończyłem trzydzieści lat i trzeba było pomyśleć o przyszłości. Żołnierz sił specjalnych ma niewiele możliwości w cywilu. Może zostać najemnikiem, pracownikiem CIA, może wstąpić do policji albo zająć się ochroną. Kiedy jeden z moich byłych instruktorów z Delta Force zaproponował mi pracę w Global Protective, od razu się zgodziłem. Chyba łatwo zrozumieć dlaczego. Wciąż próbuję pomóc mamie. Ciągle chcę uratować mojego psa.

Jamie w końcu się odezwała.

- Pierwszy raz tyle o sobie powiedziałaś. Właściwie nigdy nie mówiłaś o przeszłości.

- Prescott udawał ofiarę, a okazał się bandziorem. Przez niego się boję. Nie pozwolę, żeby uszło mu to na sucho.

Gdy przejeżdżali przez Wyoming, żadne z nich się nie odezwało. Podobnie kiedy minęli skręt na północ, w góry Grand Teton. Do Jackson Hole. Do domu.

211

Po czterech dniach dotarli do San Francisco. Skręcili na południe Pacific Coast Highway i zatrzymali się w motelu w Carmel. Cavanaugh nie mógł zasnąć z przejęcia.

- Gdzie chcesz zacząć szukać? - spytała go następnego dnia Jamie.

Siedziała przy omlecie z serem i szynką w motelowym barze.

Cavanaugh zamówił tylko kawę.

- Jak możesz tyle jeść i być szczupłą?

- Mam szybką przemianę materii. Poza tym muszę jeść, kiedy się martwię.

- Chwilowo nic nam nie grozi.

- Nie o to chodzi.

- Wybrali stolik w rogu, żeby móc siedzieć plecami do ściany. Stoliki dookoła były puste. Za ladą mruczał cicho telewizor. Mimo to Jamie

ściszyła głos.

-Nie jesteś już ścigany. Nie wykonujesz rozkazów. To nie jest samoobrona. Nie ochraniaś klienta. Stałeś się myśliwym. Jeśli osiągniesz to, co zamierzasz, zastanawiam się, jak cię to zmieni.

- Prescott poruszył podobny temat.

Jamie spojrzała na niego zdziwiona.

- Kiedy wydostałem go z magazynu, prawie wpadliśmy w pułapkę w centrum handlowym. Ludzie Kline'a zostawili przed wejściem sa mochód. Udało mi się do niego podkraść. Krzyknąłem do kierowcy, żeby uciekał. Był tak przestraszony, że nawet nie drgnął. Musiałem prze strzelić dach, żeby się ruszył. Prescott zapytał mnie, dlaczego go po prostu nie zabiłem.

-1 co odpowiedziałeś?

- Że facet nie dał mi powodu, że jestem obrońcą, a nie...

Jamie nie musiała niczego dodawać.

- Zastanawiam się, czy Prescott na to liczy. - Uśmiechnął się gorzko.

- Nie ma pewności, czy zginąłem w domu Karen. Ciekawe, czy ten su kinsyn zakłada, że mam defensywną osobowość i nie będę go ścigał, mimo że zdradził mnie i moich przyjaciół.

Jamie milczała.

- Na pewno zmienił wygląd - mówił dalej Cavanaugh. - Może nosi teraz okulary. Miał dość czasu, żeby zapuścić wąsy albo brodę. Mógł nawet przejść operację plastyczną. Ale trudno mu będzie ukryć tuszę.

Zmartwiona Jamie zajęła się swoim omletem.

212

Cavanaugh zerknął na telewizor za ladą. Reklama środka odchudzającego pokazywała zdjęcia sprzed i po kuracji. - Gruby mężczyzna był teraz zaskakująco szczupły. Cavanaugh odwrócił się do Jamie.

-Na półkach w magazynie Prescott miał najbardziej kaloryczne jedzenie, jakie sobie można wyobrazić. Makaron z serem. Lazanię. Ravioli. Chipsy ziemniaczane. Batoniki. Czekolady. Cole.

- Fakt, od tego się tyje.

- A jeśli przeszedł na ostrą dietę?

Jamie podniosła wzrok znad talerza.

- Ostatni raz widziałem go ponad trzy tygodnie temu - powiedział Cavanaugh. - Jeśli się głodzi, pije hektolitry wody, żeby oczyścić orga nizm...

- Ktoś tak zdeterminowany jak Prescott jest do tego zdolny - przy taknęła Jamie. - To niezdrowe, ale założę się, że mógł zrzucić nawet kilogram dziennie.

- Jezu - przeraził się Cavanaugh. - W tym tempie niedługo będzie nie do poznania.

- A ciebie nawet z brodą łatwo poznać - powiedziała Jamie. - Sam niewidoczny, Prescott może cię zobaczyć.

- Ale nie ciebie.

- Co masz na myśli?

- Nie wie, że jesteś ze mną. Mógłby ci patrzeć prosto w oczy i nie wiedzieć, że na niego polujesz.

- To ty na niego polujesz - poprawiła go Jamie.

Ocean Avenue to jedyna ulica w Carmel, która prowadzi z autostrady prosto nad morze. Stromo opadającą aleję, długą na kilka kwartałów, przedziela pas zieleni. Rosną na nim krzewy i drzewa.

Po obu jej stronach pełno jest sklepów z pamiątkami i zblazowanych turystów. Jamie prowadziła, Cavanaugh zaś przypatrywał się ludziom na chodniku. Może będzie miał szczęście i zauważy Prescottta.

Nic takiego jednak się nie zdarzyło.

Dojechali do malowniczej, długiej na półtora kilometra wygiętej w łuk plaży. Z białego jak śnieg piasku sterczały głazy, fragmenty skały macierzystej. W niebo wystrzelały cyprysy. Dwaj surferzy w kombinezonach ujeżdżali grzywacze. Psy bawiły się na brzegu, a ich właściciele wolno spacerowali. Krzyczały mewy.

213

Cavanaugh próbował dojrzeć twarze ludzi. Nikt nie przypominał Prescottta.

Skręcili w lewo i malowniczą trasą ruszyli wzdłuż plaży. Przytulne domy stały w otoczeniu drzew. Jamie wskazała skały po prawej.

- To ten dom z A Summer Place.

Budynek wciąż kojarzył się Cavanaughowi z dziobem statku; nieustanny przybój nie był dla niego łaskawy.

- Wygląda na opuszczony - zauważył Cavanaugh i wrócił do przyglądania się ludziom.

Zaden z przechodniów nie był Prescotttem.

6

Zatrzymali się w cichej, obsadzonej drzewami uliczce, która nie istniała jeszcze w czasach, kiedy Robinson Jeffers i Una osiedlili się w Carmel. Minęli wyłożony ceglami podjazd, otworzyli drewnianą furtkę i weszli na podwórze.

Cavanaugh tyle czytał o tej posiadłości, o trudnościach, z jakimi borykał się chudy Irlandczyk, żeby ją zbudować, że spodziewał się czegoś porażającego rozmachem. Tymczasem dom był po prostu przytulny. Kolorowe kwiaty i krzewy kojarzyły mu się z angielskim ogrodem. Po lewej wznosiła się trzynastometrowa kamienna konstrukcja z kominem, schodami i blankami, Jeffers nazwał ją Jastrzębią Wieżą. Po prawej stał niski kamienny dom z łagodnie spadzistym dachem.

Chodnik prowadził do drzwi, w których pojawił się starszy dżentelmen. Był pracownikiem fundacji opiekującej się zabytkiem. Czy Jamie i Cavanaugh mają ochotę obejrzeć dom?

- Z przyjemnością.

- Miał pan wypadek? - spytał współczująco siwowłosa mężczyzna na widok śladów na twarzy Cavanaugha.

- Upadłem. Wziąłem urlop, żeby dojść do siebie.

- Carmel świetnie się do tego nadaje.

Pokoje były małe, ale jednocześnie w jakiś sposób przestronne. Wyłożone boazerią ściany emanowały lekkim chłodem. W salonie Cavanaugh obejrzał kamienny kominek i pianino w rogu. Z okien rozciągał się widok na ocean.

Przewodnik pokazał im pokój gościnny, kuchnię, łazienkę na parterze i dwie sypialnie na strychu. W jednej z nich Jeffers miał zwyczaj pisać.

- Robin, jak go nazywaliśmy, celowo zbudował tak mały dom - wyjaśnił starszy pan. - Żeby wytrzymał sztormy. On i Una mieli bliźniaki. Synów. Proszę sobie wyobrazić, jak musieli się kochać, żeby żyć w takiej ciasnocie. Nie chcieli instalować elektryczności. Zrobili to dopiero w ty sięć dziewięćset czterdziestym dziewiątym, kiedy mieszkali tu już trzydzieści lat.

Cavanaugh poczuł dziwny ucisk w gardle.

- Zwróćcie państwo uwagę na wiersz, który Robin wyrył na tej belce

- powiedział przewodnik. - To nie jego słowa. Pochodzą z dzieła jego ulubionego autora, Faerie Queene Spensera.

Sen po wysiłku, port po burzliwym oceanie, Pokój po wojnie, śmierć po życiu dobroci

zmiłowaniem. Cavanaughowi gardło ścisnęło się jeszcze bardziej.

- Zapraszam do Jastrzębiej Wieży - powiedział starszy pan.

Jeffers, który tyle pisał o kruchości człowieka w starciu z siłami natury, wykazał duże poczucie humoru przy budowie wieży. W zamierzeniu miała być ustroniem dla Uny i miejscem zabaw dla synów. Miała lochy i "sekretne" schody wewnątrz. Z platformy na szczycie i kilku wąskich okien zawsze było widać ocean.

- Una zmarła w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym, Robin w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim. Ona na raka, on na wiele chorób - powiedział przewodnik. - Robin miał chore płuca i stwardnienie żył od palenia, ale ponieważ nigdy nie doszedł do siebie po śmierci Uny, zawsze uważałem, że zabiło go złamane serce. Ona miała sześćdziesiąt sześć lat, on siedemdziesiąt pięć. Można powiedzieć, że byli jeszcze za młodzi, żeby umierać. Ale jakie bogate życie mieli za sobą! Nie opowiadam tego dzieciom, ale państwu powiem. Kiedy byli młodzi, wysyłali dzieci do sypialni na górze. A potem... - starszy pan lekko się tylko zawahał - kochali się w pokoju gościnnym na dole. W tym łóżku się kochali i w nim czekali na śmierć. Ich popioły są pogrzebane razem, w narożniku ogrodu. Trzasnęły drzwiczki samochodu. Cavanaugh spojrzął nad klombem i zobaczył wysiadającą z vana rodzinę.

- Proszę, to próbki wierszy Robina. - Przewodnik dał Cavanaughowi i Jamie kilka fotokopii. - Jeśli macie państwo jakieś pytania...

- Faktycznie, mamy. - Cavanaugh zerknął jeszcze raz w stronę no wych gości, żeby upewnić się, że nie ma z nimi Prescottta. - Ale nie o Robinsona Jeffersa.

Przewodnik kiwnął głową.

- Szukam kogoś. Jestem pewien, że niedawno tu był. To fanatyczny wielbiciel Jeffersa.

:

214

215

Przewodnik znów pokiwał głową, jakby uważał, że to objaw zdrowia psychicznego.

- Nazywa się Daniel Prescott. - Cavanaugh wątpił w to, by Prescott używał prawdziwego nazwiska, ale zawsze warto było spróbować.

- Nic mi to nie mówi.

- Po czterdziestce. Przeszło metr osiemdziesiąt wzrostu. Nosi okulary. Ma wąsy, ale wspominał, że chce zapuścić brodę. - Cavanaugh wolał sprawdzić kilka ewentualności.

- Przykro mi, ale nie mogę panu pomóc - odparł przewodnik. - Wiele ludzi tak wygląda. Przychodzi tu tyle osób, że przestają je odróżniać.

- Oczywiście. Ma dużą nadwagę. Lekarz kazał mu zrzucić zbędne kilogramy. Widział pan kogoś po czterdziestce, kto wyglądał, jakby do piero co schudł?

- A po czym miałbym to poznać?

- Luźna skóra na twarzy, zwłaszcza pod brodą.

-Nie przypominam sobie nic takiego. Ale jeśli kogoś takiego zobaczę, mam mu od pana coś przekazać?

- Nie, dziękuję - powiedział Cavanaugh. - Prawda jest taka, że jestem prywatnym detektywem. Szukam go.

Przewodnik zrobił wielkie oczy.

- Ma trzy żony i dwanaścioro dzieci. Ucieka, kiedy zaczyna go nużyć dom. Zmienia nazwisko. Nie płaci alimentów. Prawdziwa łachudra. Mam podstawy przypuszczać, że przeprowadził się w okolice Carmel i chce założyć kolejną rodzinę. Bóg jeden wie, kiedy porzuci następną żonę. Wynajęto mnie, żebym go odnalazł i zmusił do przyjęcia odpowiedzialności za swoje czyny. Problem w tym, że choć to wielbiciel Robinsona Jeffersa, nie ma pojęcia o oddaniu, o którym Jeffers pisał.

Przewodnik wyglądał na zmartwionego faktem, że ktoś niczego się nie nauczył z wierszy Jeffersa.

- Jeśli ten żartowniś się tu pojawi, niech pan zapisze numer rejestracyjny Jeg^o wozu albo spróbuje, wydostać od niego nazwisko - poprosił Cavanaugh. - Tylko ostrożnie, żeby go nie spłoszyć.

- Będę ostrożny, jak tylko potrafię.

- I na Boga, niech mu pan nie mówi, że tu jestem.

- Nawet by mi to nie przyszło do głowy.

- Dopadnę go - powiedział Cavanaugh.

- Mam nadzieję.

Pebble Beach znajdowało się kawałek na północ. Pojechali okrężną drogą przez senne uliczki Carmel, wypatrując kogoś, kto przypominałby Prescottta.

Nikogo takiego nie znaleźli.

Jamie zatrzymała się przy budce i zapłaciła za wjazd na słynną Se-venteen Mile Drive, malowniczą drogę biegnącą skrajem rozległego pola golfowego. Widać z niej było zielone połacie trawy, piaszczyste dolki i ocean w oddali. Po polu przechadzał się jelen. Posesję otaczały cyprysy i sosny. Cavanaugh nie zwracał na nic uwagi, tylko wypatrywał Prescottta.

Jamie wjechała na teren Pebble Beach i zatrzymała się na uboczu w pobliżu ośrodka. Cavanaugh mógł stąd przyglądać się gościom. Sama weszła do budynku i wróciła dziesięć minut później z zakłopotaną miną.

- Co się stało? - spytał Cavanaugh.

- Jeśli Prescott wyobrażał sobie, że będzie mógł grywać w golfa na Pebble Beach, musiał się zdziwić. Jeśli nie masz znajomości, musisz się umawiać na grę z rocznym wyprzedzeniem.

- Roczny?! -

- A jeśli jesteś z grupą, to z dwuletnim. Jeżeli miałaś rację i Prescott planował zniknięcie od dawna, mógł się zapisać na listę.

- Spore ryzyko - stwierdził Cavanaugh. - Poza tym nie wiedział, jak się będzie nazywał. Nie miał karty kredytowej, żeby zrobić rezerwację.

- Więc jeśli nie ma tu wpływowych przyjaciół - a tych trudno zdołać być w dwa tygodnie - możesz wrócić za rok i sprawdzić, czy tu bywa.

- Miałem nadzieję szybciej się z tym uporać.

- W okolicy jest przynajmniej tuzin pól golfowych. Może nie wszędzie lista oczekujących jest tak długa. Co zamierzałeś zrobić? Chodzić od pola do pola? Ukryć się w krzakach i przez lornetkę obserwować golfiarzy?

- Jeśli będzie trzeba.

- To zajmie mnóstwo czasu. Istnieje duża szansa, że go przegapisz.

FBI ma dość ludzi, żeby obserwować wszystkie pola jednocześnie.

- Żadnego FBI - powiedział Cavanaugh.

- Mają też sposoby, żeby sprawdzić gości, którzy tu wcześniej nie grali - kusila Jamie.

-Żadnego FBI.

216

217

8

Cavanaugh siedział w cieniu cyprysu na skraju plaży, nieopodal pól Pebble Beach. Był niewidoczny na tle drzew i krzewów. Powietrze było gorące, słońce odbijało się od powierzchni wody, tak że musiał włożyć okulary przeciwsłoneczne.

- Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu? - spytała Jamie.

- Wszyscy w okolicy prędzej czy później przychodzą na słynną plażę w Carmel. To jedna z największych tutejszych atrakcji. - Cavanaugh przyglądał się długiemu półksiężycowi białego piasku. Na plaży był tłum. Ludzie czytali na leżakach, chlapali się w wodzie, spacerowali, biegali albo rzucali frisbee psom.

- Nie wyobrażam sobie, żeby Prescott tu mieszkał i nie przychodził na plażę. Początkowo bałby się pokazywać. Prawdopodobnie trzymałby się blisko domu. Ale potem by się rozluźnił. Mógłby tu nawet ćwiczyć. Cholera, może kupił sobie psa.

- FBI mogłoby sprawdzić każdego, kto ostatnio kupił tu ziemię albo dom - powiedziała Jamie.

Cavanaugh spoglądał na tłum na plaży.

- To tylko pomysł - stwierdziła.

- Cały czas widzę Roberta z rozłupaną czaszką... Duncana z twarzą podziurawioną kulami... Karen przerażoną na śmierć w swoim wózku.

- Rząd wcale nie musi być dla Prescottta tak pobłażliwy, jak ci się wydaje.

W odpowiedzi Cavanaugh spojrział na mapkę sklepów w miasteczku.

- W Carmen Mali jest duża księgarnia. Moglibyśmy ją obserwować.

Prescott lubi książki, jest szansa, że się w końcu tam pojawi.

- Chyba że zamawia je przez Internet.

- Nie ma to jak prawdziwa księgarnia.

- W takim razie może jeździć na północ, do Monterey - zauważyła Jamie.

Cavanaugh spojrział na nią znacząco.

- Staram się tylko uwzględnić wszystkie możliwości.

- Co sprowadza się do tego, że musimy tu siedzieć i go wypatrywać.

- Mnie to odpowiada. Kupię sobie leżak i książkę. Przyda mi się trochę wypoczynku - powiedziała Jamie.

- Po zmroku zaczniemy obstawiać najlepsze restauracje.

- Miałam nadzieję, że będziemy w nich jeść, a nie się czaić.

- Biorąc pod uwagę to, jak mało pewnie teraz je, będzie chciał, żeby jego dania były wystawne. Będzie chodził tylko do dwóch - trzech najlepszych restauracji w mieście.

218

- Chyba, że je w domu.

Cavanaugh znów na nią spojrział.

Podbiegł do nich biegacz, zawrócił i ruszył w przeciwnym kierunku.

- Zrzuca kilogramy - powiedziała Jamie.

- Wymyśliłaś coś?

- Znienawidzę się za tę uczciwość. Jeśli Prescott chce szybko schudnąć, nie wystarczy mu dieta. Będzie musiał ćwiczyć. Całymi godzinami.

Cavanaugh schronił się w galerii. Jamie tymczasem wypatrzyła przerwę w sznurze aut i przebiegła na drugą stronę ulicy. Według mapki znajdował się tam istny labirynt sklepów. Pierwsze piętro jednego z budynków zajmowała siłownia, którą chcieli sprawdzić. Dochodziło w górę do piątej. Chociaż nie mieli gwarancji, że Prescott chodzi na siłownię, Cavanaugh wolał nie ryzykować. Prescott nie wiedział o istnieniu Jamie, bezpieczniej więc było, żeby to ona się rozejrzała. Gdyby nie zauważyła nikogo podejrzanego, miała powiedzieć instruktorowi, że pisze artykuł o ludziach, którzy dzięki swojej determinacji schudli w krótkim czasie. Może któryś z członków klubu pasuje do tego opisu?

Udając, że ogląda obrazy, Cavanaugh zerkał co chwilę przez szybę. Na ulicy było jeszcze sporo turystów. Cavanaugh spojrzął na zegarek i zainteresował się kolejnym obrazem.

Trzydzieści minut później nadal mu się przyglądał.

Wyszedł na zewnątrz i przeszedł przez jezdnię. Przy wejściu do budynku stały donice z kolorowymi kwiatami. Cavanaugh wszedł do środka, przeciskając się między turystami, i minął korytarz po prawej. Skręcił za róg, minął kolejne donice z kwiatami i dotarł do schodów prowadzących na piętro. Wisiał nad nimi szyld z napisem KLINIKA ZDROWIA.

Na górze rozejrzał się po poczekalni. Zajrzał do długiej, jasno oświetlonej sali ćwiczeń. Jamie nigdzie nie było widać. Uważnie przyjrzał się ćwiczącym na rozmaitych przyrządach ludziom. Nikt nie przypominał Prescottta. W szumie automatycznych bieżni i szczełku ciężarów Cavanaugh podszedł do muskularnego mężczyzny w obcisłych szortach i T-shircie.

- Miałem się tu spotkać z żoną, ale trochę się spóźniłem - powiedział. - Nie wie pan, czy jeszcze gdzieś jest? Wysoka, szczupła, ciemne włosy. Ładna.

instruktor zmarszczył czoło.

- Nazywa się pan Cavanaugh?

219

- Czemu pan pyta? Coś się stało?

- Tak mi przykro.

- Przykro?

- Kiedy pańska żona zemdląca, jej przyjaciółki powiedziały, że ma jakieś problemy z ciśnieniem.

Cavanaugh poczuł, że uginają się pod nim nogi.

- Chciałem wezwać karetkę - ciągnął instruktor - ale stwierdziły, że to się zdarzało już wcześniej. Że to nic groźnego. Niskim poziomem elektrolitów we krwi czy coś w tym stylu.

Cavanaughowi skurczył się żołądek.

-No więc dałem im butelkę gatorade z tamtej maszyny - powiedział mężczyzna. - Dały się napić pańskiej żonie i pomogły jej wstać. Była oszołomiona, ale mogła iść, choć musiał ją ktoś podtrzymywać.

- Przyjaciółki? - Cavanaugh z trudem dobywał słowa.

- Dwie kobiety, które weszły tu za nią. Dobrze, że dwie. Ta o kulach sama nie dałaby rady.

- O kulach? - Świat zawirował mu przed oczami.

- Miała gips na nodze. Powiedziała, że wie, że się pan będzie martwił, więc zostawiła dla pana wiadomość. - Instruktor sięgnął pod ladę i położył na niej kopertę.

Cavanaugh otworzył ją niezdarnie sztywnymi palcami. Na widok odręcznej notatki omal nie

krzyknął. Tor House. Jutro. Ósma rano.

Jedno było pewne - Grace śledziła ich. Wykorzystała okazję i porwała Jamie. Prawdopodobnie też jechała teraz za Cavanaughem. Oddychając gwałtownie, zdał sobie sprawę, że podczas jego nieobecności mogła podrzucić do taurusa lokalizator. Zatrzymał się natychmiast na stacji benzynowej i sprawdził wszystkie oczywiste skrytki w samochodzie. Zadzwoił z budki do informacji i spisał sobie numery wszystkich sklepów ze sprzętem elektronicznym w okolicy. Na północy, w Monterey, był jeden otwarty do dziewiątej. Wypytał o drogę i ruszył Highway One. Jechał tak szybko, jak na to pozwalały przepisy.

W sklepie kupił odbiornik fal ultrakrótkich i obszedł taurusa kilka razy dookoła. Czekał, aż usłyszy popiskiwanie przekaźnika. Powinien być ustawiony na jedną z nieużywanych w okolicy częstotliwości. Jeżeli jednak udało jej się zdobyć coś bardziej skomplikowanego, Cavanaugh nie miał szans wykryć nadajnika.

Gdy po godzinie nie znalazł urządzenia, wsiadł do taurusa i znów zaczął krążyć. Co chwila zerkał w lusterko, wypatrując, czy światła jakiegoś samochodu nie skręcają tam, gdzie on. W końcu dopadło go zmęczenie i frustracja. Wrócił do motelu. Grace mogła wydobyć od Jamie informację, gdzie się zatrzymali, ale chociaż Cavanaugha kusiło, żeby spędzić noc gdzie indziej, nie mógł sobie na to pozwolić. Gdyby Jamie uciekła, zadzwoniłaby albo przyszła do motelu. Nie włączał światła. Zabarykadował drzwi biurkiem i usiadł na podłodze w kącie pod oknem. Przyciągnął kolana do piersi i siedział tak z pistoletem w rękę, nie ośmielając się zasnąć. Gotów był strzelać, gdyby ktoś chciał włamać się do środka.

10

Grace. Cavanaugh z trudem nad sobą panował. Mimo że ręce i nogi odmawiały mu posłuszeństwa, jeździł na oślep po miasteczku. Okręzał kwartały i zawracał. Jechał tak, żeby minąć przecnicę tuż przed czerwonym światłem. Robił wszystko, żeby sprawdzić, czy nikt go nie śledzi. Przeklinając się w myślach, zrozumiał, że Grace domyśliła się związku między A Summer Place i Carmel. Tak jak on przeszukiwała miasteczko. W ciągu dnia musieli się gdzieś spotkać. Może w Tor House. Grace nie wiedziała o fascynacji Prescottta Robinsonem Jefferssem, ale to nie miało znaczenia. Tor House był jedną z miejscowych atrakcji i dlatego należało go sprawdzić. Może Grace pojawiła się tam, kiedy wsiadali właśnie do samochodu. To wyjaśniałoby wybór miejsca spotkania. A może zauważyła ich na Seventeen Mile Drive albo w Pebble Beach? Może wreszcie spostrzegła Cavanaugha przez lornetkę, kiedy obserwowała plażę?

220

11

Mgła sprawiła, że poranek wyglądał jak zmierzch. Cavanaugh przyjechał w umówione miejsce godzinę wcześniej, o siódmej, i zaparkował samochód przecnicę od Tor House. Wyłączył światła, wycieraczki i silnik i wysiadł. Nawiew ciepłego powietrza w samochodzie niewiele mu pomógł. Był zziębnięty. Wilgoć i chłód poranka sprawiły, że zaczął drzeć. Chciał zapiąć kurtkę, ale nie mógł. Musiał mieć dostęp do pistoletu. Zmusił się, żeby ruszyć z miejsca. Mgła gęstniała, spowijając wszystko szarością. Słyszając echo swoich kroków na asfalcie, Cavanaugh zszedł na pobocze.

Był już blisko Tor House, a wciąż nie wiedział, co chciał osiągnąć, przyjeżdżając tak wcześnie. Przez mgłę nie mógł wykryć żadnych zasadzek.

221

Co zrobić, kiedy Grace się pojawi? Strzelać? Zmusić do mówienia? Z Grace nie pójdzie tak łatwo. Jeśli to naprawdę pułapka, to ona może go zastrzelić. Zatrzymał się i wyteżył wzrok. Zrozumiał, że powinien być posłuchać Jamie i nie ścigać Prescottta.

Nikt by jej wtedy nie porwał, a on nie stałby teraz we mgle, trzęsąc się ze strachu.

Nie o siebie.

O Jamie.

Z trudem zmuszał nogi do marszu. Gniew, który przez ostatnie tygodnie pomagał mu zwalczać strach, ustąpił miejsca potrzebie, by chronić żonę. W nocy zastanawiał się, czy nie zrobić tak, jak mu radziła, i nie poprosić o pomoc FBI. Miał zbyt mało czasu. Zebrany naprędce zespół mógłby tylko zaszkodzić.

Mijał niewyraźne we mgle drzewa i widmowe domy. Zmarzył na kość. Żołądek skurczył się do rozmiarów pestki. W Tor House nikt nie mieszkał. Cavanaugh pomyślał, że mógłby ukryć się gdzieś na terenie posiadłości, może w Jastrzębiej Wieży. Może za godzinę mgła się rozwieje i zobaczy nadchodzącą Grace.

Pewnie sama już się tam ukrywa. Może nawet w wieży.

Stuk-stuk.

Cavanaughowi serce podeszło do gardła. Zatrzymał się na środku spowitego mgłą skrzyżowania.

Stuk-stuk.

Bliżej.

Stuk-stuk.

Cavanaugh wyciągnął pistolet.

Stuk-stuk.

Na skraju polu widzenia pojawiła się jakaś sylwetka. Stukanie umilkło.

W oddali huczały fale przyboju.

- Przyjechałeś godzinę wcześniej, co? - zapytała Grace. - Chciałeś zdobyć przewagę. Dlaczego mnie to nie zaskoczyło?

Cavanaugh nie potrafił wydusić z siebie głosu.

- Podchodzę bliżej - powiedziała. - Będę wdzięczna, jeśli mnie nie postrzelisz.

Stuk-stuk.

Z mgły wyłoniła się wysoka, wysportowana sylwetka Grace. Znów miała na sobie coś w rodzaju wojskowego uniformu: spodnie khaki, sweter i kamizelkę z mnóstwem kieszeni i pętelek.

Uderzyły go kule, które trzymała pod pachą. To one tak stukwały. Lewą nogę Grace miała w gipsie.

- Dobrze, że to lewa. Inaczej miałabym problemy z prowadzeniem.

Podpisesz się na gipsie? Krzyżyk w miejscu, gdzie mnie postrzeliłeś?

Cavanaugh milczał.

- Może później - zgodziła się Grace. - Najpierw ważniejsze sprawy.

Pasma mgły przepływały przez jej krótkie jasne włosy. Wyglądało to tak, jakby emanował z niej opar. Mogłaby być ładna, gdyby nie nieprzyjemny wyraz twarzy.

Skrzywiła się, widząc beretę w dłoni Cavanaugha.

Schował ją do kabury.

Gdzieś we mgle trzasnęły drzwi.

- Zejdźmy na plażę, zanim pobudzimy sąsiadów - powiedziała Grace.

Stawiała na zmianę stopy i kule. Jedna uderzała o ziemię zawsze wcześniej niż druga. Stuk-stuk.

- To, że mnie postrzeliłeś, jestem w stanie zrozumieć - powiedziała.

- Ale zmuszanie mnie do oglądania wszystkich filmów z Troyem Donahue było niewybaczalne.

Stuk-stuk.

- Nie wiedziałam, czy nie kłamiesz, kiedy wspomniałeś o Sandrze

Dee, musiałam więc obejrzeć wszystkie największe przeboje Donahue.

Rome Adventure! Zagrożenie ze strony terrorystów jest zbyt duże, żeby ktoś tak bojaźliwy jak Prescott pojechał do Europy. Farmy tytoniowe z Parrish też nie są w jego stylu, mimo że pełno na nich spragnionych

seksu kobiet. Palm Springs Weekend? Są tam pola golfowe, ale Prescott zbudował swoje laboratorium w żyznej dolinie w Wirginii. Nie wyobrażam sobie, żeby chciał mieszkać na pustyni. Zostało A Summer Place i ta niesamowita plaża, która wcale nie jest w Maine.

Mgła zelżała, ukazując Grace i Cavanaughowi malowniczą drogę nad brzegiem. Na twarzy Cavanaugha perlił się zimny pot.

- Ale żeby się o tym dowiedzieć - ciągnęła Grace - musiałam obejrzyć wszystkie thrillery z Clintem Eastwoodem, jakie mogłam zdobyć. I chociaż lubię patrzeć, jak Clint rozważa złych, tak duża dawka jego filmów po kilku dniach może się okazać niestrawna. Nie wiem, czy jeszcze kiedyś się zmuszę, żeby obejrzyć jakiś jego film. I oto też mam do ciebie pretensję.

- Gdzie nas zauważyłaś?

- Prescott interesował się golfem. Wiedziałam, że wcześniej czy później przyjedziecie go szukać w ziemi obiecanej wszystkich golfarzy. Pebble Beach. Wczoraj się tam pojawiliście.

Cavanaugh milczał przez chwilę. Przybój wciąż grzmiał.

- Cholera.

222

223

- Wystarczyło poczekać na odpowiedniej okazji.

- Jak ci się udało porwać Jennifer?

- Oszczędź sobie kłamstw. Według dokumentów z torebki ma na imię Jamie. Poprosiłam o przysługę przyjaciółkę. Jediną przyjaciółkę, dodam. Przez ciebie Departament Sprawiedliwości bada sprawę laboratorium Prescottta i wszystkich zamieszanych w nią osób. W tej chwili moi kontrolerzy woleliby, żebyśmy nie istnieli, ja i Prescott. Moja przyjaciółka dała Jamie odrobinę tego. - Grace pokazała Cavanaughowi małą puszkę za mknącą szczelnie w plastikowej torebce. - Facetowi z siłowni ulżyło, kiedy ją stamtąd zabraliśmy. Omdlenia to dla nich nie najlepsza reklama. Moje kule sprawiły, że tylko bardziej nam współczuł. Nikt nie podejrzewa, że kobieta o kulach może nie być ofiarą.

Serce Cavanaugha waliło jak młotem.

- Czy Jamie jest bezpieczna?

- Na tyle, na ile można się spodziewać. Ale to, czy tak zostanie, zależy od ciebie. Miałaś dość czasu, żeby pomyśleć, jak bardzo ci jej brakuje? Jesteś gotów zrobić, co ci każe?

Czekał, aż wyjaśni, o co chodzi. Czuł pulsowanie w skroniach.

- Potrzebny mi Prescott - powiedziała. - To jedyny sposób, żeby moi kontrolerzy nie uznali mnie za zawadę. Jeśli go złapię, jeśli wyko nam zadanie i dostarczę dowód, że Prescott nie żyje, znów będą mogli mi zaufać na tyle, że pozwolą mi zniknąć na moich warunkach. Nie na ich. Cavanaughowi zrobiło się niedobrze.

- Ty mi go dostarczysz - powiedziała Grace.

- Śledziłaś nas. Czy to nie oczywiste, że nie wiem, gdzie jest? Do cholery, nie mam zielonego pojęcia, gdzie się schował.

- Ale masz dwie zdrowe nogi, a ja nie. Przez ciebie. Jeśli chcesz odzyskać Jamie, znajdź go. Znajdź go do jutra rana.

-Do jutra?

- Tyle masz czasu. Tyle ja mam czasu. Jeśli sytuacja z Prescottem nie wyjaśni się do jutra, moi kontrolerzy stracą do mnie zaufanie na zawsze. Znajdź go. Masz tu numer mojej komórki. - Grace podała Cavanaughowi kartkę.

- Chcesz, żebym ci go przywiózł?

- Przywiózł? Jasne, że nie. Chcę, żebyś go zabił i pokazał mi trupa. Cavanaugh nie mógł opędzić się od myśli, że wszystkie komplikacje wzięły się właśnie stąd, że chciał zabić Prescottta.

- Proszę - powiedziała Grace. - Może to ci pomoże.

Dała mu plastikową torebkę z pojemniczkiem, który pozwolił jej oszołomić Jamie.

- Trzyma przez kilka godzin - powiedziała. - Działa przez kontakt ze skórą. Używaj go tylko w lateksowych rękawiczkach.

Cavanaugh schował torebkę do kieszeni.

- Jeśli nie odezwiesz się do jutra rana - dodała Grace - następne, co ode mnie dostaniesz, to trup Jamie.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy.

Przybój ryczał.

Grace zniknęła w brudnoszarej mgle.

Stukanie jej kul cichło, mgła robiła się coraz zimniejsza. W pierwszej chwili Cavanaugh chciał ruszyć za Grace w nadziei, że doprowadzi go do Jamie. Ale mógłby ją śledzić tylko do samochodu. Nawet gdyby udało mu się rozpoznać markę wozu i spisać numer, nie miał jak go odszukać. Co więcej, musiał liczyć się z faktem, że Grace wynajęła samochód i więcej się do niego nie zbliży. Mógł też oczywiście pobiec po taurusa, ale we mgle musiałby włączyć światła. A Grace musiałaby je zobaczyć. Gdyby poczuła się zagrożona, mogłaby zabić Jamie i zniknąć.

Nie. Muszę znaleźć Prescottta.

A potem? Co potem? Czy mogę liczyć na to, że Grace dotrzyma słowa i wypuści Jamie?

Stuk-stuk. Odgłos kul ucichł. W mgle błysnęło stłumione światło reflektorów. Warkot silnika przycichł na chwilę, kiedy auto się zatrzymało. Trzasnęły drzwiczki. Samochód odjechał.

Cavanaugh popędził do taurusa. Zabić Prescottta? Nie ma mowy. Musiał utrzymać go przy życiu.

Prescott był teraz jedyną szansą, żeby odzyskać Jamie.

Ale najpierw musiał go znaleźć.

12

- Rutherford przy telefonie - odezwał się niski głos.

Cavanaugh ścisnął w rękę słuchawkę automatu na stacji benzynowej.

- Dalej nie znosisz chińszczyzny?

Rutherford wahał się tylko przez chwilę.

- Zostawiłeś nam tu niezłe pobojuwisko.

-Samoobrona.

- Zabrzmiałoby to przekonująco, gdybyś został na miejscu i wyjaśnił, co się stało. Wiesz, ilu agentów cię szuka? Ile praw złamałeś? Pewnie nie chcesz mi powiedzieć, gdzie jesteś.

- Chętnie ci powiem, bo i tak pewnie znajdziesz ten telefon. Carmel.

-

-

224

15-Sita strachu

- Nie ma to jak wakacje. - Głos Rutherforda ociekał sarkazmem. - Kiedyś sam zobaczę, jak to jest... - W tle słychać było gwar kilku mówiących naraz głosów. - Kiedy nie będę tkwił po uszy w sprawie Prescottta. Departament Sprawiedliwości twierdzi, że zidentyfikował jego kontrolerów. Ale skoro laboratorium jest zniszczone, a on sam zniknął, nie można ich połączyć ze sprawą ani udowodnić, że laboratorium zajmowało się nielegalną produkcją broni biochemicznej. Nie można też udowodnić, że testowano ją na cywilach i personelu wojskowym.

- Może mogę ci pomóc dostarczyć dowód - powiedział Cavanaugh.

- Miałeś okazję, ale zwiąłeś.

- Wiele się zmieniło. - Ścisnął słuchawkę tak, że zbieleły mu palce.

- Czym mam sobie tłumaczyć to cudowne nawrócenie?

- Moja żona zniknęła. - Starając się nie podnosić głosu, Cavanaugh wyjaśnił, co się stało z Jamie i co musi zrobić, żeby ją odzyskać. - Pomożesz mi znaleźć Prescottta i użyć go jako przynęty?

- Pomóc ci? Wcześniej nie chciałeś nas w to mieszać. Dlaczego my mamy mieszać w to ciebie?

- Bo nie wiecie, gdzie szukać.

- W Carmel? Tyle już wiemy.

- Ja znam więcej szczegółów. Słuchaj, John, jeśli nie zrobimy tego, jak trzeba, oni ją zabiją.

Przez chwilę Cavanaugh słyszał tylko głosy w tle. Rutherford się zastanawiał.

- Więc jak trzeba to zrobić? - spytał w końcu.

- Sprawdźcie wszystkie pola golfowe w okolicy Carmel i Monterey.

Zdobądźcie nazwiska golfarzy, którzy w ciągu ostatnich trzech tygodni zapisali się na grę.

- Mogą ich być tysiące.

- Porozmawiajcie ze wszystkimi okolicznymi agentami nieruchomości. Wydostańcie nazwiska osób, które w ciągu ostatnich trzech tygodni kupowały albo wynajmowały domy. Jeśli Prescottt wynajmował dom, mógł to zrobić z pominięciem agencji, ale od czegoś trzeba zacząć. Porównajcie obie listy. Szukajcie wspólnego mianownika.

Rutherford znów zamilkł.

- Trzeba pogadać z kilkoma osobami. To potrwa.

- Nie mam czasu. Dzisiaj po południu, John. Zadzwoń do ciebie dzisiaj po południu.

Prawie rzucił słuchawkę na widełki. Biegając do samochodu, nie mógł uwolnić się od myśli, że telefon do Rutherforda był tym, o co Jamie chodziło od samego początku.

- Bob Bannister. - Cavanaugh wyciągnął rękę na powitanie.

- Vic McQueen. - Instruktor włożył w uścisk dłoni sporo męskiej szczerości i siły.

Cavanaugh pozwolił przez chwilę miażdżyć sobie palce, po czym cofnął rękę.

- Piszę do nowego magazynu sportowego "Nasze Ciało, Nasze Źródło". Mamy siedzibę w Los Angeles, ale dzięki Internetowi nie musimy się stąd ruszać.

Vic pokiwał głową, wyrażając współczucie dla każdego, kto musiałby zamienić słońce doliny Carmel na smog Los Angeles.

- Mój wydawca oszalał na punkcie mojego pomysłu - powiedział Cavanaugh. - Chcę napisać artykuł o tym, jak szybko można stracić na wadze, jeśli się naprawdę chce.

Vic przekrzywił z zainteresowaniem głowę. Siedzieli naprzeciwko siebie w biurze. Półki ugięły się od rozmaitych trofeów sportowych. Na ścianach wisiały fotografie Vica w towarzystwie innych świetnie zbudowanych, niezwykle zdrowo wyglądających mężczyzn w obcisłych koszulkach.

- Chodzi mi o najgorsze przypadki - ciągnął Cavanaugh. - O ludzi, którzy sapią po przejściu przez pokój i wyglądają jak niedoszące zakrzepice. Chcę napisać artykuł, który pokaże, że nieważne, jakim się jest wrakiem, przy odpowiedniej motywacji, diecie i instruktazie można dojść do formy i zmienić życie w stosunkowo krótkim czasie. Nie w pół roku czy rok. Dla grubasów to cała wieczność. Nie chcą myśleć o wielomiesięcznej mordędze. Chcą szybkich rezultatów.

Vic zmarszczył czoło.

- O jaki czas panu chodzi?

- Miesiąc. Chcę wiedzieć, czy jeśli naprawdę gruby facet przejdzie na zdrową dietę, nauczy się ćwiczeń na przyrządach, będzie przychodził na kilka godzin dziennie do siłowni, uda mu się w miesiąc stracić dwa dzieścia kilo i czy zacznie wyglądać jak pan?

- Jak ja? W miesiąc? Nie, nie ma mowy.

- Ale mógłby wyglądać lepiej.

- To byłoby niebezpieczne.

- Tak samo jak bycie psychicznym wrakiem - powiedział Cavanaugh.

- Chcę opisać historię faceta przed taką metamorfozą i po niej. Chcę pokazać, że taki klub jak pański może dokonać cudów w bardzo krótkim czasie. Chodzi o to, że nie trzeba wielkiej cierpliwości, żeby dojść do formy, jeśli ma się motywację.

227

Vic zmagał się ze sobą.

- Mogłoby się udać, o ile napisałby pan o ryzyku, jakie się z tym wiąże.

- Dałbym panu artykuł do przeczytania. Sprawdziłby pan, czy wszystko jest w porządku. Może zamieścilibyśmy jakieś pańskie zdjęcia.

- Moje zdjęcia? Jasne.

- A co z członkami klubu? Ktoś pasuje do tego profilu?

- No, mieliśmy tu pół roku temu faceta, który...

- Chodziło mi o kogoś teraz, żeby można mu było zrobić zdjęcia w trakcie całego procesu.

- W tej chwili nie ma nikogo. - Vic był wyraźnie zmartwiony. - Czy to znaczy, że nie napisze pan o mnie i o mojej siłowni?

14

- Większość naszych gości jest w doskonałej formie. Od czasu do czasu przychodzi ktoś z nadwagą, ale nie było nikogo takiego w ciągu ostatnich trzech tygodni.

- Robimy dla ludzi cuda, jeśli dadzą nam szansę, ale...

- Nie w ciągu ostatnich trzech tygodni.

- Chyba mam kogoś takiego - powiedział instruktor. Wyglądał jak nordyckie bóstwo.

Cavanaugh z trudem ukrył podniecenie. To był dziesiąty fitnessklub, który odwiedził. Sprawdzał wszystkie siłownie w Carmel, Pacific Grove i Monterey. Ta znajdowała się piętnaście kilometrów na wschód od Carmel, w Seaside nad zatoką Monterey, niedaleko byłej bazy wojskowej Fort Ord.

- Naprawdę?

- Nazywa się Joshua Carter. Nie Josh. Joshua. Jest bardzo drażliwy na tym punkcie. Przyszedł do nas... - instruktor zamyślił się na chwilę - ... niecałe trzy tygodnie temu. Zapadł mi w pamięć, bo wyglądał tak okropnie, że bałem się, że sobie nie da rady. Ale zaczął przychodzić codziennie po południu. Codziennie. Ćwiczył godzinami. Na początku myślałem, że się zabije, że padnie trupem na bieżni albo na atlasie, ale on nie szaleje. Ćwiczy rozważnie, nie przetrenowuje się. Potem zamyka się w saunie i wypaca następne kilogramy.

228

Cavanaugh jakimś cudem opanował drżenie ręki, gdy zapisywał wszystko w notatniku. Serce waliło mu jak oszalałe.

- Wygląda na idealnego kandydata do mojego artykułu.

- Problem w rym, że już trochę za późno na zdjęcia.

- Za późno?

- Jest tak zdeterminowany, tak pilnuje diety i ćwiczeń, że wygląda inaczej, niż kiedy tu przyszedł. Prawie go nie poznałem, gdy wrócił z trzydniowej wycieczki. Nie mogłem uwierzyć, że zmienia się w takim tempie. Może ma jakieś zdjęcia w domu?

- Cóż, jeśli nie ma, marnuję tylko czas. Może mi pan podać jego telefon i adres? Zapytam go. - Cavanaugh nadał pytaniu pozytywne za barwienie, programując instruktora do odpowiedniej reakcji.

- Zobaczymy. - Mężczyzna wystukał coś na klawiaturze. - Vista Linda siedemdziesiąt osiem. To jedna z tych nowych ulic, które powstały, kiedy miasto przejęło pole golfowe Fort Ord.

Instruktor zapisał na kartce numer telefonu.

- Wie pan, jedno się nie zgadza. Muszę być z panem szczery.

- Tak? - Cavanaugh zeszytniał w obawie, że instruktor wątpi w prawdziwość jego historii.

- Im więcej o tym myślę, tym bardziej podejrzewam, że Joshua może się nie nadawać do pańskiego artykułu. Jego kondycja poprawia się tak szybko, że to aż nienaturalne. Zastanawiam się, czy to na pewno tylko efekt jego determinacji, diety i naszej pomocy.

- Co pan ma na myśli? - Cavanaugh spodziewał się odpowiedzi, ale udał zdziwienie.

- Cóż, mógłby pan mieć kłopoty, gdyby napisał pan artykuł, a potem okazałoby się, że Joshua poprawił swoją sylwetkę dzięki...

- Sterydom?

- Tyle się teraz mówi o ciężarowcach i futbolistach, którzy ich używają. Skandale z dopingiem na olimpiadach, plotki, że biorą je niektóre tenisistki... Cały fitness na tym cierpi. Niektórzy patrzą na mnie, na moje mięśnie, i mówią: "Jasne, każdy może tak wyglądać, jak bierze sterydy". Przysięgam na Boga, że w życiu nie tknąłem sterydów. Mogą spowodować atak serca albo udar. Są zaprzeczeniem zdrowego trybu życia, który prowadzę. Sterydy pasowałyby do Prescottta. Jest biochemikiem, pomyślał Cavanaugh.

- Pytał pan o to Joshuę?

- Był zaszokowany. Zaklinał się, że nie ma z tym świństwem nic wspólnego.

- Ale? - spytał Cavanaugh.

229

- Jakoś nie mogę uwierzyć, że tak dobrze mu idzie bez nich.
- Jeśli zgodzi mi się pomóc, spytam go o to. Jak on wygląda?
- Ponad metr osiemdziesiąt. Koło czterdziestki. Jeszcze trochę za okrągły, ale już nie bardzo. Cały czas chudnie i nabiera mięśni. Nie poznałem go też dlatego, że ogolił głowę. Zapuszcza sobie bródkę. Cavanaugh przypomniał sobie bródkę Roberta, to zaś sprawiło, że stanął mu przed oczami widok jego rozłupanej czaszki.
- Wygląda na fotogenicznego. Będzie się świetnie nadawał - powie dział. Marzył, żeby zobaczyć zmiażdżoną głowę Prescottta, ale musiał stłumić wściekłość. Najważniejsze to odzyskać Jamie. Żeby to osiągnąć, musi utrzymać Prescottta przy życiu. - O której zwykle przychodzi?
- Około trzynastej.
- Cavanaugh zerknął na zegarek. Cały rano spędził na przeszukiwaniu siłowni. Była za dwadzieścia pięć pierwsza. Czas. Miał mało czasu.
- Musi pracować w nocy, skoro ma wolne całe popołudnie.
- W nocy? Myślę, że w ogóle nie pracuje. - Instruktor uśmiechnął się.
- Nie rozumiem.
- Dobrze się ubiera. Ma złoty zegarek. Piageta czy coś takiego. Wiem, że drogi, bo kiedy zapisał się do klubu, dopytywał się, czy szafki w szatni są dobrze zabezpieczone. Jeździ porsche. Nie boxerem, carrera. Mieszka przy dobrej ulicy. Myślę, że jest tak bogaty, że nie musi pracować. Złoty zegarek? Porsche? Prescott nie pamięta, że ma nie zwracać na siebie uwagi?
- Pieniądze? To niedobrze - powiedział głośno.
- Dlaczego?
- Bogaci ludzie niechętnie mówią o sobie i nie lubią, kiedy się o nich pisze. Boją się, że sprowokują w ten sposób złodziei. Mam do pana prośbę. Niech pan nie wspomina Joshui o tej rozmowie. Spróbuję zbliżyć się do niego sam. Inaczej może nie udać mi się go przekonać, zwłaszcza jeśli będzie myślał, że to pan mi o nim powiedział. Skoro już o tym mowa, jeśli zacznie podejrzewać, że wspominał pan o sterydach, może się zde nerwować i pozwać pana o zniesławienie.
- Jezu Chryste, pozwie mnie?
- Może nawet cały klub. Bogaci tacy są. Proszę się nie martwić. Nie będę pana w to mieszał. Niech pan z nim tylko nie rozmawia przede mną.
- Rany boskie, nie mam zamiaru, niech mi pan wierzy.

- Porsche, tak?
- Aha.
- Gdybym kiedyś wygrał w lotto, też bym sobie takie kupił. Czerwone.
- Joshua jeździ białym.

230

15

Za pięć pierwsza na parking obok budynku siłowni zajechało białe porsche. Cavanaugh obserwował je z kawiarni Starbucks po przeciwnej stronie ulicy. Zapisał numer samochodu w notesie. Siedział przy stoliku nieco oddalonym od okna. Patrzył, jak porsche zatrzymuje się blisko wejścia do klubu. Ze środka wysiadł wysoki mężczyzna z lekką nadwagą. Nawet z tej odległości było widać, że czarne mokasyny, szare spodnie i niebieski pulower sąmarkowe i drogie. Miał ogoloną głowę i małą bródkę. Był opalony i nosił okulary przeciwsłoneczne. Cavanaugh, usiłując zachować spokój, odstawił kawę. Skoncentrował się na mężczyźnie, który twierdził, że nazywa się Joshua Carter. Jeśli to naprawdę Prescott, zmienił się nie do poznania. Gruby, niezdarny, o nalanej twarzy człowiek stał się kimś zupełnie innym. Chociaż wciąż miał kilka

kilogramów za dużo, to, co już zgubił, zupełnie zmieniło zarys policzków i linię szczęki. Bródka i łyśa głowa sprawiały, że wyglądał krzepko. Na swój sposób był prawie przystojny. Pod wygodnym luźnym ubraniem Cavanaugh wyczuwał rosnącą siłę.

Biorąc pod uwagę, ile miał czasu, to niemożliwe! Prescott musiał używać sterydów. A może - Cavanaugha olśniło - stworzył jakiś hormonalny stymulant?

Mężczyzna zatrzymał się na chwilę, rozejrzał po parkingu i okolicy i wyjął z samochodu ciemną sportową torbę. Wypatrywał kłopotów czy tylko podziwiał okolicę? Ciemne okulary Cartera kryły jego oczy, więc Cavanaugh nie mógł stwierdzić, czy rozgląda się nerwowo na boki. Nim jednak otworzył drzwi, bez wątpienia obejrzał się za siebie.

16

Pięćdziesiąt. Pięćdziesiąt dwa. Pięćdziesiąt cztery. Zaciskając mocno ręce na kierownicy, Cavanaugh jechał wzdłuż Vista Linda, licząc numery posesji. Wszystkie domy były starannie zaprojektowanymi, wartymi miliony dolarów posiadłościami. Rozciągał się z nich wspaniały widok na pole golfowe, od czasów Fort Ord zwane Bayonet/Blackhorse.

Sześćdziesiąt. Sześćdziesiąt dwa. Sześćdziesiąt cztery. Mimo bliskości pola Cavanaugh nie mógł zrozumieć, dlaczego Prescott zdecydował się zamieszkać tu, a nie w Carmel. Może chciał się trzymać z dala od miejsca, które można by z nim skojarzyć? Ale jeśli zachowywał taką ostrożność, dlaczego nosił złoty zegarek i jeździł porsche?

231

Siedemdziesiąt. Siedemdziesiąt dwa. Cavanaugh zamierzał zapoznać się z rozkładem domu Prescottta. Przedostałby się do środka, zaczekał i potraktował Prescottta sprayem obezwładniającym. Musiał się liczyć z alarmem przeciwwłamaniowym i czujnością sąsiadów, ale nie miał wyjścia. Siedemdziesiąt cztery. Siedemdziesiąt osiem. Jest. Imponujący piętrowy budynek, stylizowany na hiszpański, z dachem pokrytym dachówką...

Cavanaugh zwolnił, patrząc z niedowierzaniem na tablicę z napisem NA SPRZEDAŻ na trawniku.

17

- Przepraszam, że zawracam głowę - powiedział Cavanaugh do starszego, siwowłosego mężczyzny, który otworzył drzwi - ale zauważyłem tablicę po drugiej stronie ulicy.

Twarz mężczyzny była pomarszczona od słońca. Wrażenie suchości zwiększało jeszcze jego surowe spojrzenie.

- Mój tato jest chirurgiem w Chicago. Chce się tu przenieść, kiedy przejdzie na emeryturę - powiedział Cavanaugh. - Lubi golf, więc jeżdżę po okolicy i szukam domów na sprzedaż. Ten naprzeciwno wygląda idealnie, ale to nowe osiedle, więc zastawiam się, co z nim jest nie tak, że ktoś tak szybko chce się go pozbyć.

- Przeklęta tablica - powiedział ze złością mężczyzna.

- Słucham?

- Powiedziałem jej, żeby sprzedała dom po cichu. Niepotrzebne nam tu takie tablice. Psuje opinię całej okolicy. Przyjeżdżają tu pośrednicy i ludzie, których i tak na nic tu nie stać, gapią się, zagadują, śmieją. Żadnego szacunku. Jak tylko Sam umarł, jego żona natychmiast postanowiła sprzedać dom.

- Sam?

- Jamison. Sprowadziliśmy się tu obaj w tym samym tygodniu, dwa lata temu. Umarł na polu golfowym wczoraj rano, a po południu już stała ta cholerna tablica.

18

Na najbliższej stacji benzynowej Cavanaugh podbiegł do telefonu. Wsunął do szczeliny kartę i wystukał numer.

232

- Rutherford - odezwał się niski głos.
- Jak wam idzie? - spytał Cavanaugh zaskoczony swoją zadyszką.
- Kilkunastu agentów wciąż obdzwania okolicę. Wysłaliśmy ludzi z San Francisco i San Jose, żeby pomogli naszemu człowiekowi w rejonie Carmel-Monterey. Ale nie zdążyliśmy jeszcze sprawdzić bardzo wielu pośredników, a co do pól golfowych... Chciałbym dostać dolara za każdego człowieka, który czeka, żeby tam zagrać.
- Pospieszcie się. Sprawdź ten numer. To rejestracja kalifornijska. Nowe porsche carrera. Białe. - Cavanaugh podyktował numer. - Czyj to samochód?

- Jesteś w... - Rutherford podał Cavanaughowi lokalizację i numer automatu, z którego dzwonił.

- Macie dobry przekłety system lokalizacji.

- "Dobry" i "przekłety" wzajemnie się wykluczają- zauważył baptysta Rutherford. - Zostań tam, gdzie jesteś. Skontaktuję się z kalifornijskim wydziałem motoryzacji i oddzwonię za dziesięć minut.

- Pospiesz się. Będę czekał.

Cavanaugh odwiesił słuchawkę i wrócił do taurusa. Był pewien, że za chwilę pojawi się wysłany przez Rutherforda radiowóz. Przejechał dziesięć przecznic i zatrzymał się na następnej stacji. Czas, który przedtem biegł za szybko, teraz dłużył mu się niemiłosiernie. Dokładnie z wybicciem dziesiątej minuty Cavanaugh włożył kartę w szczelinę i wystukał numer. Pociły mu się dłonie.

- Czego się dowiedziałeś?

- Miałeś się nie ruszać z miejsca.

- Czego się dowiedziałeś!

- Porsche jest wypożyczone.

- Co takiego?

- Tylko na miesiąc. Przez kogoś o nazwisku Joshua Carter. Firma, w której wypożyczył wóz, twierdzi, że podał adres Vista Linda siedemdziesiąt osiem, Seaside, Kalifornia. Tamtejsza policja wysłała już nieoznakowany radiowóz, żeby to sprawdzić.

Cavanaugh mówił z trudem.

- Powiedz im, żeby sobie odpuścili. Carter tam nie mieszka.

- Nie mieszka? Skoro to wiedziałeś, po co kazałeś mi...

- Miałem nadzieję, że podasz inny adres.

- To szaleństwo. Jesteś mi potrzebny w centrum dowodzenia, które organizujemy. Tym razem naprawdę nigdzie się nie ruszaj.

- Dobrze.

Cavanaugh rozłączył się i pobiegł do taurusa.

233

19

Jezu, Prescott ma taką paranoję, że stworzył fałszywą tożsamość w ramach fałszywej tożsamości. Cavanaugh obserwował fitness club z kawiarni po drugiej stronie ulicy. Sukinsyn pewnie zrobił to, co mu powiedzieli w bunkrze. Sprawdził stare nekrologi. Znalazł nazwisko dziecka, które gdyby żyło, byłoby w tym samym wieku co on. Większość rodziców załatwia numery ubezpieczenia dla dziecka zaraz po urodzeniu. Niektóre stany - między innymi Kalifornia - dołączają te numery do świadectw zgonu. Idziesz do miejskiego archiwum i prosisz o akt zgonu. Mając numer ubezpieczenia, możesz wyrobić sobie prawo jazdy i konto w banku na nazwisko zmarłego. Udając, że czyta ilustrowany magazyn, Cavanaugh nie zbliżał się do witryny. Instruktor powiedział, że Joshua Carter spędza na siłowni około czterech godzin. Była piąta po południu. Prescott prawdopodobnie używał drugiej tożsamości, żeby sprawdzić, czy jest bezpieczny. Gdyby jego

niesamowita przemiana zwróciła czyjaś uwagę, mógłby bez trudu przestać być Joshua Carterem i wrócić do całkowicie pewnej, niepodważalnej tożsamości, którą stworzyła dla niego Karen. Wychodząc z klubu, przyjmował ją i jechał do swojego prawdziwego mieszkania.

Cavanaugh nie mógł liczyć na to, że przyłapie go w klubie, obezwładni i wyniesie, nie zwracając niczyjej uwagi. Mógł go jednak śledzić...

Prescott wyszedł z budynku. Zatrzymał się na słońcu. Wydawało się, że jest bardziej wyprostowany, niż kiedy wchodził, że barki ma szersze, a pierś potężniejszą. Zaczerwienione z wysiłku policzki zdawały się szczuplejsze. Cokolwiek brał, w połączeniu z dietą i ćwiczeniami dawało niesamowite rezultaty. Na nosie miał okulary przeciwsłoneczne i to samo ubranie, w którym wszedł. Trzymając w ręku tę samą ciemną torbę, rozejrzał się po ulicy i ruszył w stronę parkingu. Przy samochodzie rozejrzał się jeszcze raz, zanim wszedł.

Gdy tylko Prescott wyjechał z parkingu, Cavanaugh pospieszył do zaparkowanego za kawiarnią taurusa. Piętnaście sekund później ruszył. Musiał tyle odczekać, bo sprawdził, że dojechanie do znaku "stop" przy wylocie uliczki zajmowało odrobinę mniej czasu. Wyjeżdżając z parkingu kawiarni, zobaczył, że porsche dojeżdża do skrzyżowania po prawej. Chwilę później Prescott skręcił w lewo.

Cavanaugh pojechał za nim i zobaczył samochód kwartał dalej. Wiedział, że nie ma szans ze sportowym samochodem, gdyby Prescott zaczął manewrować, nadrabiając wymuszone przepisami ograniczenie prędkości. Cavanaugh miał jednak nadzieję, że z dala od klubu Prescott porzuci

maskę nonszalancji i będzie robił wszystko, by wtopić się w tło. Przynajmniej na tyle, na ile można w tak drogim samochodzie.

Rzeczywiście Prescott jechał spokojnie wzdłuż Del Monte Avenue. Kierował się na wschód, w stronę miasteczka Monterey. Tam skręcił dwa razy, wymijając popołudniowe korki, i wjechał do piętrowego garażu obok biurowca.

Wyjazd z garażu znajdował się tuż obok wjazdu, ale Cavanaugh musiał się upewnić, że nie ma innej drogi i że Prescott nie wjechał do środka tylko po to, żeby natychmiast wyjechać z drugiej strony.

Mogło się jednak zdarzyć, że kiedy Cavanaugh będzie objeżdżał budynek, Prescott wyjedzie tą samą drogą, którą wjechał. Cavanaugh zauważył kolejkę samochodów czekającą na wyjazd z parkingu i doszedł do wniosku, że zdąży objechać garaż, zanim Prescott się z niego wydostanie.

Tak jak miał nadzieję, z drugiej strony nie było wjazdu. Postanowił więc wjechać do środka.

Objechał cały dolny poziom, ale nigdzie nie było białego porsche. Wjechał więc na górę i znalazł je w sektorze oznaczonym napisem TYLKO SAMOCHODY OSOBOWE. WÓZ Prescottta stał między innymi, niedaleko drzwi wyjściowych.

Musiał jeszcze raz przemyśleć swoją strategię. Najlepiej gdyby porsche stało dalej od drzwi, zaparkowane wśród większych samochodów, najlepiej terenowych. Mógłby ukryć między nimi swojego taurusa i zacząć się na Prescottta.

W tej sytuacji jednak zmuszony był zaparkować dalej. Mógł ukryć się w ciemnym kącie niedaleko porsche i rzucić się na Prescottta, zanim zdążyłby wsiąść do auta. Mógł też odciąć kawałek pokrowca na siedzenie i wepchnąć go do rury wydechowej porsche. Prescott musiałby wsiąść, żeby sprawdzić, co się dzieje, a Cavanaugh mógłby go niezauważenie podejść.

Tylko czy Prescott rzeczywiście straciłby czujność? A może nagła awaria samochodu sprawiłaby tylko, że nabrałby podejrzeń? Jeśli nosi przy sobie pistolet, jeśli wywiązałyby się strzelanina... Nie mógł ryzykować, że go zabije.

Po chwili uświadomił sobie, że najlepiej będzie spryskać środkiem obezwładniającym klamkę drzwi porsche. Prescott dotknąłby jej, upadł, a on mógłby szybko zawlec go do taurusa i odjechać. Włożył kupione wcześniej lateksowe rękawiczki. Wyjął gaz obezwładniający z torebki i wysiadł, chowając ręce za plecami. Trzydzieści sekund później z powrotem siedział za kierownicą. Schował pojemni-czek do torebki i ostrożnie zdjął rękawiczki.

Taurus stał w półmroku. Wychodzący z pracy nie widzieli Cavanaugha. Cały poziom rozbrzmiewał echem otwieranych i zatraskiwanych

drzwiczek. Samochody odjeżdżały jeden po drugim. O szóstej pod ścianą koło drzwi stało już tylko porsche, a po przeciwnej stronie taurus i kilka innych samochodów.

Cavanaugh przestawił samochód dalej, chowając się między pozostałymi wozami.

Szósta trzydzieści. Z garażu wyjechało jeszcze kilka samochodów.

Siódma.

O ósmej, kiedy na całym poziomie zostały już tylko porsche i taurus, Cavanaugha olśniło.

20

- Ktoś zostawił na górze nowiutkie porsche - powiedział do chłopaka z kolczykiem w nosie, który siedział w budce przy wyjeździe z garażu.

- Fajowe, co?

- Można tu bezpiecznie zostawić taki samochód?

- Ja albo ktoś inny zawsze tu jesteśmy. Jak dotąd nikt nie próbował go ukraść.

- Jak dotąd?

- Ten facet od porsche zapłacił za cały miesiąc. Ale to dziwne.

- To znaczy?

- Zabiera je tylko na popołudnia. Około wpół do pierwszej wyjeżdża i wraca po piątej.

I wychodzi przez biuro, zrozumiał Cavanaugh. A potem z ulicy obserwuje, czy nikt go nie śledzi.

21

Widział mnie. Muszę założyć, że ten drap mnie widział. Cavanaugh wyjechał z garażu. Wiedział już, że garaż był linią graniczną między Joshuą Carterem a tożsamością stworzoną przez Karen. Wracając na Del Monte Avenue, był przekonany, że Prescott miał w pobliżu garażu zaparkowany inny samochód. Zwyczajny. Niewyróżniający się z otoczenia.

Pilnował się, żeby nie patrzeć w lusterko. Prescott nie może się domyślić, że Cavanaugh chce być śledzony. Nerwy miał napięte do ostatnich granic. Skręcił w lewo. Chwilę później zorientował się, że jest na Cannery Row. Butiki i kawiarnie zastąpiły przetwórnice ryb z czasów Joh-

236

na Steinbecka, ale nie zwracał na nie uwagi. Po prawej widział zachodzące nad oceanem słońce. Na nie również nie patrzył.

Jedź za mną, błagał. Jedź za mną.

Próbował sobie wyobrazić, co się dzieje w głowie Prescottta. Na pewno kusi go, żeby jak najszybciej stąd uciec. Ale wie zapewne, że Cavanaugh zdemaskował tylko tożsamość Joshuy Cartera. Gdyby Prescott uznał, że Cavanaugh działa w pojedynkę - a wszystko na to wskazywało - mógłby zechcieć bronić tożsamości stworzonej przez Karen. Wszystko zależy od tego, jak bardzo Prescottowi podoba się nowe życie, jak bardzo nie chce go porzucać. Ucieknie, czy będzie bronić tajemnicy, z powodu której zabił już pięć osób?

Cavanaugh jechał najspokojniej, jak umiał. Cannery Row skończyła się, więc musiał skręcić. Poza tym jednak jechał prosto przed siebie, mając po prawej brzeg oceanu. Słońce opadało coraz niżej, barwiąc karminem białe czapy fal. Cavanaugh ani razu nie spojrzął w lusterko. Minął kilka miejsc widokowych, aż znalazł takie, gdzie stało niewiele samochodów. Zaparkował z dala od nich i przeszedł na drugą stronę ulicy.

Tam zrobił coś, co -jak to sobie zaskoczony uświadomił - można by uznać za akt odwagi. Cały czas wyrzucał sobie, że gdyby posłuchał Jamie i wrócił z nią do domu, nie musiałby teraz postępować wbrew sobie, wbrew swojemu instynktowi. Wybrał dwa niskie głaży i usiadł na jednym. Na drugim zaś oparł nogi. Siedział plecami do parkingu, ręce oparł na kolanach i czekał.

Promienie słońca lśniły na falach. Cavanaugh czuł delikatną bryzę, która niosła ze sobą kropelki wody. Koncentrował się jednak na odgłosie silnika zatrzymującego się za nim samochodu.

Silnik nie zgasł. Trzasnęły drzwiczki. Przez huk przyboju Cavanaugh usłyszał zbliżające się kroki.

Zachrząścił żwir.

Ktoś stanął za jego plecami.

Strach domagał się natychmiastowej reakcji. Cavanaugh nie poruszył się jednak, mimo że jego ciało szalało.

- Jak mnie znalazłeś? - Głos Prescottta drżał tak samo jak za pierwszym razem, kiedy go usłyszał.

- A Summer Place i Zagraj dla mnie, Misty. - Cavanaughowi pociły się dłonie.

Przez chwilę słychać było tylko huk fal i warkot silnika.

- Jesteś spostrzegawczy.

- A ty szybko się uczysz. W innym życiu mógłbyś być agentem. - Musi się odwołać do jego dumy.

- Zawsze chwalisz ludzi, których chcesz zabić?

237

I I'

- Już nie chcę cię zabijać. - Patrzył prosto przed siebie, na skąpany w promieniach zachodzącego słońca ocean.

- Myślisz, że w ten sposób przekonasz mnie, żebym cię nie zabił?

- Nie po to tu przyjechałeś. Inaczej już byś pociągnął za spust.

- Więc po co przyjechałem?

- Żeby porozmawiać. - Cavanaugh z trudem kontrolował oddech.

Znów słychać było tylko fale i silnik.

- Trzymaj ręce na kolanach. Patrz na wodę - powiedział Prescott.

Wiatr się wzmógł. Cavanaugh usłyszał chrzęst żwiru pod butami.

Kątem oka zobaczył po prawej potężną sylwetkę. Prescott trzymał przerzuconą przez rękę kurtkę.

Pod nią miał pewnie schowany pistolet.

- Wygląda na to, że jesteś sam.

- Miałeś dużo czasu, żeby obserwować garaż. Wiesz, że tylko ja pilnowałem porsche.

- Czym spryskałeś klamkę?

- Aż tak dobrze mnie widziałeś?

- Ukryłem małe kamery na kilku wspornikach w garażu. Maleńkie.

Zasilane na baterie. Ledwie zauważalne. W Internecie pełno jest reklam.

"Skontroluj opiekunkę do dzieci". "Zobacz, jak nastoletnia córka sąsiada opala się w ogrodzie". Widziałem wszystko na monitorach w furgonetce na dolnym poziomie.

- Wiesz więc, że nie mam wsparcia.

- Czym spryskałeś klamkę? - powtórzył Prescott z naciskiem.

- Środkiem obezwładniającym. Działa przez skórę.

- Dlaczego jesteś sam? Dlaczego nie powiedziałeś władzom, że mnie znalazłeś?

- Bo władze dogadałyby się z tobą w zamian za zeznania obciążające wojsko.

- Wiesz o wszystkim?

- Przypuszczam, że nie użyłeś wobec mnie hormonu tylko dlatego, że wiatr rozwiałby go, zanim zdążyłby zadziałać.

- Kto ci o tym powiedział?

- Człowiek, który nazywał się Kline. Chciał cię porwać.

- Wiem, kim jest Kline. - Głos Prescottta stwardniał.

- Już nie musisz się nim przejmować. Nie żyje.

- Ty to zrobiłeś?
- Nie. Kobieta, którą nazywam Grace.
- Grace?
- Metr siedemdziesiąt pięć. Niebieskie oczy. Krótkie blond włosy.
Mocno zbudowana. Byłaby atrakcyjna, gdyby nie była tak niemila.
238

- Grace też znam. Naprawdę ma na imię Alicia.
- Zbyt kobieco.
- Kiedy przeszło się specjalne przeszkolenie, chyba traci się trochę kobiecości.
Słońce prawie już zaszło. Powoli zapadał zmierzch. Cavanaugh zrozumiał, dlaczego Prescott nie wyłączył silnika. Reflektory samochodu oświetlały ich obu. Prescott nie chciał ryzykować rozładowania akumulatora.
- To ona dała mi środek, którym spryskałem klamkę.
- Cieszę się, że to powiedziałeś.
- Dlaczego?
- Wątpię, żebyś znał się na chemii. Ktoś musiał ci go dać. To stoi w sprzeczności z tym, co powiedziałeś. Że pracujesz sam.
- Nie współpracuję z Grace, możesz mi wierzyć.
- Przekonaj mnie.
- Mam... - Cavanaugh z wysiłkiem łamał zasady bezpieczeństwa - żonę.
- Mówiłeś, że nie masz rodziny.
- Naprawdę? Zwykle nie mieszam jej do swoich spraw. Ale po tym, co się stało w bunkrze, tylko do niej mogłem się zwrócić o pomoc. Przyjechała ze mną do Carmel. Wczoraj Grace ją porwała. Jeśli nie dostarczę jej twojego trupa, moja żona... - głos uwiązł mu w gardle - ..umrze.
- To dobry motyw, żeby mnie zabić.
- Wręcz przeciwnie. - Pył wodny opryskał twarz Cavanaugha, ale ledwie to poczuł. - Gdybym dostarczył Grace twoje zwłoki, dlaczego miałyby wypuszczać moją żonę? Ma powody, żeby mnie nienawidzić. Zraniłem ją i wyeliminowałem jej zespół.
- Zraniłeś?
- Postrzeliłem w nogę. Chodzi o kulach. Jej kontrolerzy praktycznie się jej wyparli.
- Tak, to by ją naprawdę zirytowało - zgodził się Prescott.
- Więc podejrzewam, że kiedy oddam jej ciebie, wykorzysta moją żonę, żeby odplacić mi pięknym za nadobne.
- Bardzo możliwe.

- Chcę, żebyś mi pomógł - powiedział Cavanaugh.
Przybój huczał. Silnik wciąż pracował. Reflektory świeciły.
- Słucham?

- Wiem, jak rozwiązać nasze problemy. - Cavanaugh poczuł skurcz w piersiach.
- Mów dalej.
- Moja żona znaczy dla mnie więcej niż wszystko na świecie.
239

- Więcej niż pięćoro twoich zabitych przyjaciół?

- Więcej niż wszystko. Gdyby coś jej się stało, nie wiem, jak... Po móż mi ją odzyskać, a nigdy nie będziesz musiał się mnie obawiać. Ni gdy cię nie skrzywdzę. Nie pozwolę, żeby skrzywdził cię ktoś inny.
- Znow będziesz mnie chronił? - prychnął Prescott. - A niby jak mam ci pomóc?
- Rozwiązując swój problem, kiedy ja będę rozwiązywał swój. Za dzwonię do Grace i powiem, że cię mam, ale że cię nie zabiję, dopóki nie wypuści mojej żony. Umówię się z nią na wymianę. Podejdiesz do Grace, moja żona do mnie. Grace nie będzie wiedziała, że nie jesteś moim więźniem, tylko sprzymierzeńcem.
- Nie będzie nic podejrzewać?
- Wie, że przejechałem całą tę drogę, żeby cię dopaść. Wierzy, że ty i ja jesteśmy wrogami.
- A nie jesteśmy?
- Nie, jeżeli mi pomożesz.
- Zastrzeli mnie, kiedy tylko mnie zobaczy.
- Nie. Będzie chciała mieć z tego satysfakcję. Poczekaj, aż będziesz bliżej. Na wszelki wypadek włożysz kamizelkę kuloodporną. Grace pamięta cię z czasów, kiedy byłeś gruby. Straciłeś na wadze tyle, że w kamizelce będziesz wyglądał prawie jak dawniej. Nikt nic nie zauważy. Będę udawał, że cię biję, zanim cię do niej popchnę. Uśpię jej czujność. Zwiążę ci ręce. Ale luźno. Kiedy do niej podejdziesz... Wiesz, jak używać tego pistoletu, który masz pod kurtką?
- Codziennie rano strzelam na strzelnicy w Monterey. Cavanaugh nie powiedział, że strzelanie do celu to coś innego niż zabicie człowieka. Prescott zdążył udowodnić, że nie waha się w takiej sytuacji.
- Kiedy do niej podejdziesz, przerwiesz więzy, wyciągniesz broń i zastrzelisz ją.
- Łatwo powiedzieć. A jeśli nie będzie sama?
- Nie będzie. Ma jeszcze jednego agenta. Twierdzi, że ją opuszczono i nie mogła znaleźć nikogo innego.
- Może kłamać.
- Wybierzemy na wymianę takie miejsce, do którego będziemy mogli dotrzeć przed nią. To pozwoli nam się przygotować. Nieważne, co się stanie, będziesz miał jeszcze mnie.
- Mówisz serio? - spytał Prescott.
- Grace tak cię nienawidzi, że nigdy nie przestanie cię ścigać. Nigdy nie poczujesz się bezpiecznie. Zawsze będziesz słyszał za sobą kroki.

Jeśli chcesz zachować swoją nową tożsamość, musisz ją powstrzymać. Pomóż mi odzyskać żonę, a ja pomogę ci pozbyć się Grace.

- A potem? Jeśli nam się uda? Jeśli odzyskamy twoją żonę, nie zrobisz nic, żeby mi zaszkodzić?

- Właśnie - powiedział Cavanaugh.

- Mimo tego, co się stało w bunkrze? Wymagasz, żebym ci zaufał. Daj mi powód, żebym ci uwierzył.

- Dam ci najlepszy powód na świecie - powiedział Cavanaugh. - Moje słowo.

Po raz pierwszy oderwał wzrok od horyzontu. Odwrócił się i w świetle reflektorów spojrzał Prescottowi prosto w oczy.

- Daję ci słowo. Pomóż mi odzyskać żonę, a nigdy już nie będziesz musiał się mnie obawiać.

- Twoje słowo? - Prescott powiedział to tak, jakby to był zupełnie nowy pomysł.

-1 moją miłość do żony.

- Skąd mam wiedzieć, że ona w ogóle istnieje? Skąd mam wiedzieć, czy to nie jakaś sztuczka?

- Mogłem cię zastrzelić na parkingu przed fitness clubem. Nie zrobiłem tego, bo jesteśmy sobie potrzebni.

Ciemne oczy Prescottta rozblęły.

- Ale skoro ci to nie wystarcza, uwierzysz Grace? - spytał Cavanaugh. - Telefon w moim pokoju w motelu ma funkcję głośnego mówienia. Jeśli zadzwonię do Grace, uwierzysz mi?

22

Z pistoletem ukrytym pod kurtką Prescott wszedł za Cavanaughem do pokoju. Kazał mu zamknąć drzwi na klucz i zasłonić okna. Cavanaugh poruszał się ostrożnie, trzymając ręce z dala od ciała, chociaż zostawił pistolet i emersona w taurusie, tak jak mu kazał Prescott.

Prescott położył kurtkę na krześle. Naśladował Cavanaugha nawet w doborze broni. W ręku trzymał sig sauera 225.

- Tak się poznaliśmy - powiedział Cavanaugh. - Wtedy też do mnie celowałeś.

Źrenice Prescottta były tak samo wielkie i ciemne jak w magazynie.

- Pamiętasz naszą rozmowę o adrenalinie? - spytał Cavanaugh.

Prescott skinął głową, oblizując wargi.

- W bunkrze.

-

-

240

16 - Siła strachu

241

- Powiedziałem ci, że kogoś, kto panuje nad adrenaliną i wybiera opcję "walcz", nie można nazwać odważnym. Ale ktoś taki jak ty, kto działa, mimo że się boi, kto chce uciekać, ale zamiast tego stawia czoło niebezpieczeństwu, jest odważny naprawdę.

- Nie pochlebiaj mi. Chcę się tylko uwolnić od wrogów.

Cavanaugh wskazał ręką komodę.

- Otworzę szufladę i coś ci pokażę.

- Tylko powoli.

Cavanaugh otworzył szufladę palcami lewej ręki.

- Staniki. Majteczki. Już dawno temu przestały mnie bawić damskie ciuszki.

- Co takiego? - Twarz Prescottta poczerwieniała.

- W łazience znajdziesz damskie przybory toaletowe. Lakier do włosów. Szminkę. Krem do twarzy. Depilator. Nie chcę, żebyś miał jakiegokolwiek wątpliwości co do tego, że podróżuję z kobietą.

- W porządku, przekonałeś mnie - powiedział niechętnie Prescott. -

Pytanie brzmi tylko, czy naprawdę została porwana?

Cavanaugh wyjął z kieszeni kartkę, którą dostał od Grace. Podeszedł do telefonu przy łóżku, wybrał funkcję głośnego mówienia i zadzwonił na komórkę Grace.

Siedzieli z Prescottem na sąsiadujących ze sobą łóżkach i nasłuchiwali.

Drugi sygnał.

Cavanaugh zaczął już się niepokoić, że Grace jest poza zasięgiem, gdy wtem odezwał się surowy kobiecy głos.

- Halo.

Cavanaugh spojrzął na Prescottta. Prescotttowi zbladły usta.

Połączenie było trochę niewyraźne. To dobrze. Grace nie zauważy, że rozmawiają przez głośnik.

- To ja - powiedział.

- Mam nadzieję, że masz dobre wieści.

- Mam Prescottta.

- Martwego?

- Chcę usłyszeć głos żony.

- Pytałam, czy martwego.

- Powiedziałem, że chcę usłyszeć żonę.

Dobiegły ich trzaski i stłumione, rozdrażnione głosy w tle. Nagle usłyszeli ostry głos Grace.

- Powiedz mu, że jesteś cała.

Cisza.

242

- Chryste, powiedz mu!

- Jestem... - nabrzmiały bólem głos Jamie sprawiał, że Cavanaughowi krajało się serce - ..cała.

- Proszę - przerwała Grace. - Jest cała. Co z Prescotttem?

- Co jej zrobiłaś, do cholery?

- Nic, co nie mogłoby boleć jeszcze bardziej. Cavanaugh wyobraził sobie zalaną krwią twarz Jamie.

- Im szybciej ją odzyskasz, tym szybciej trafi pod czułą opiekę -

zakupiła Grace. - Prescott. Powiedziałeś, że masz dobre wieści. Nie żyje?

- Żyje.

- Więc to wcale nie są dobre wieści. Dlaczego go nie zabiłeś?

Cavanaugh spojrzął na Prescottta. Na jego łysej głowie lśnił pot.

- Bo chcę mieć pewność, że odzyskam żonę - powiedział Cavanaugh.

- Nie wierzysz, że dotrzymam słowa?

- Nie wtedy, kiedy dostarczę ci trupa. Dlaczego miałabyś mija od dać? Teraz mam coś na wymianę. Kiedy ja zobaczę żonę, ty zobaczysz Prescottta. Jak ją wypuścisz, ja wypuszczę jego. Potem możesz zrobić z nim, co chcesz.

- Cholera jasna, nie tak się umawialiśmy.

- Ale tak będzie.

Zapadła cisza przerywana tylko elektronicznym sykiem.

- Nie lubię, jak się na mnie naciska - powiedziała Grace.

- Powinnaś być zadowolona. Powiedziałeś, że do jutra musisz odzyskać zaufanie swoich kontrolerów. W ten sposób załatwisz to jeszcze szybciej. Oddaj mi tylko żonę, a będziesz mogła wziąć Prescottta. Nasze problemy prawie się skończyły.

Grace umilkła. Westchnęła z rezygnacją.

- Gdzie chcesz się wymienić?

Cavanaugh spojrzął na Prescottta po raz trzeci. Po drodze do motelu omówili szczegóły wymiany, na wypadek gdyby Prescott zgodził się na plan Cavanaugha. Prescott, który spędził dużo czasu na badaniu okolic Carmel, zaproponował miejsce.

Cavanaugh podał je teraz Grace.

- Około dwudziestu kilometrów na południe od Carmel Highway

One jest droga, która prowadzi w góry. Znajdziesz tam tabliczkę z napisem ZABYTEK.

- Tylko tego mi trzeba: kultury. Co to za zabytek?
- Kamienna kaplica, którą w tysiąc dziewięćset szóstym wybudował pewien pustelnik. Był bankierem, jego rodzina zginęła w trzęsieniu ziemi w San Francisco. Kaplica dawno już się zawaliła. Nikt tam nie jeździ.

243

- A ty skąd o niej wiesz?
- Byłem już kiedyś w Carmel - skłamał Cavanaugh. - Jechałem z Los Angeles, zobaczyłem zjazd i postanowiłem go sprawdzić.
- A ja mam czuć się pewnie, spotykając się tam z tobą?
- To ty masz pomocnika. Ja chcę się tylko pozbyć tego sukinsyna i odzyskać żonę. Co zrobisz z Prescottem, to już twoja sprawa. Pomyślałem, że potrzeba ci odrobinę prywatności.
Kolejne długie westchnienie. Podejrzliwość Grace zmagala się z potrzebą odzyskania zaufania zwierzchników.

- Kiedy?
- Za godzinę.
- Nie dam rady. Za dwie.

Grace przerwała połączenie.

23

Cavanaugh wyłączył głośnik i odłożył słuchawkę. Odwrócił się i spojrzał na Prescottta i wymierzony w siebie pistolet.

- Więc?

Prescott oddychał nierówno. Wyglądał, jakby zbierał wszystkie siły. Spojrzał na zegarek przy łóżku.

- Kłamię, że potrzebuje dwóch godzin, żeby tam dojechać.

- Zgadza się.

- Pojedzie tam najszybciej, jak się da - powiedział Prescott. - Żeby zastawić pułapkę i upewnić się, że ty tego nie zrobisz.

- Masz rację. Mówię ci, że rozminąłeś się z powołaniem.

- Nie mamy dużo czasu.

- Więc co zamierzasz zrobić? Będziesz dalej uciekał i wечно oglądał się za siebie, czy rozwiążesz swój problem dziś wieczorem?

Prescott patrzył tak, jakby Cavanaugha w ogóle nie było, jakby widział tylko ponurą perspektywę niekończących się dni i nocy łownej zwierzyny.

W końcu wstał. Czarna bródka odcinała się wyraźnie od pobludłej twarzy, po której ściekał mu pot. Wyglądał tak, jakby następne słowo było najtrudniejszym, jakie wymówił w życiu.

- Jedziemy.

Część siódma
ELIMINACJA

i i

w,
ó z to. - Cavanaugh podał mu kamizelkę kuloodporną. - Nie będzie jej widać spod koszuli. Włóż też kurtkę, żeby ukryć pistolet.

Nie wychodząc z samochodu, Prescott wypełnił polecenia.

Kiedy włożył kurtkę, Cavanaugh podniósł z podłogi rolkę taśmy kle-

- Przesiądź się do przodu i owiń sobie tym kostki.

Prescott spojrział na niego podejrzliwie.

- Ma wyglądać solidnie - powiedział Cavanaugh. Otworzył drzwi od strony kierowcy i wyjął nóż. Rozłożył go kciukiem i podał Prescottowi. - Natnij taśmę od środka, tak żebyś potem mógł ją rozerwać nożami.

Prescott wciąż patrzył na niego i milczał.

- Myślisz, że nie mogłem zabrać ci pistoletu i zastrzelić cię? - spytał Cavanaugh. - Dopóki jesteś ze mną, nic ci nie grozi. Owiń taśmę wokół kostek, potem natnij ją nożem - powtórzył. - Uważaj. Jest ostry.

Cavanaugh wszedł do samochodu i podniósł z podłogi sig sauera. Schował go do kabury. Zaczekał, aż Prescott do niego dołączy.

Zatrzymali się dwie przecznice dalej, przed sklepem spożywczym. Neon nad wejściem informował, że sklep czynny jest do północy. Cavanaugh wbiegł do środka i wrócił po pięciu minutach z papierową torbą. Zawartość wysypał na siedzenie.

Ruszyli. Prescott przyjrzał się leżącym na siedzeniu przedmiotom: butelka bezbarwnego syropu kukurydzianego, czerwony barwnik, plastikowa misa i wielka łyżka.

247

- Po co to?

- Wymieszaj w misce syrop i barwnik. - Cavanaugh skrzywił się na Highway One.

- Na litość boską, po jaką cholere?

- Zrobimy w ten sposób sztuczne rany i zaschniętą krew.

Włączyli się w sznur samochodów jadących na południe. Cavanaugh

- choć zdenerwowany - nie przekraczał dozwolonej szybkości. Była dziesiąta czterdzieści. Mimo pośpiechu stracili już dwadzieścia minut.

Prescott wymieszał składniki, a potem wyjął z kieszeni metalowy pojemnik.

Cavanaugh zeszywniał.

- Czy to...

- Hormon? - Prescott kiwnął głową. - Miałaś rację. Nie użyłem go na plaży, bo rozwiałyby go wiatr. Kiedy przekręcę nakrętkę, po dwudziestu sekundach uwolni się zawartość.

- Chcesz tego użyć?

- Ustaw się tak, żebyśmy mieli wiatr w plecy.

- Jeśli nawącham się tego świństwa, nie będę mógł ci pomóc - za protestował. - A jeśli Grace i jej partnerka zareagują tak jak rangersi na Florydzie? Zamiast uciekać, mogą spanikować i zacząć strzelać. Mogą trafić Jamie.

Prescott nie odpowiedział.

- Nie - powtórzył Cavanaugh.

- Ale...

- Połóż to na siedzeniu.

Prescott spojrział na niego.

- Mówię ci - powiedział Cavanaugh. - Zostaw to.

Prescott odłożył pojemnik.

- Przez to świństwo po raz pierwszy w życiu przekonałem się, co to strach - wyznał. - Jest na to antidotum? - Miał nadzieję, że pytanie zabrzmiało swobodnie.

- Jasne. Inaczej hormon działałby na tego, kto go używa.

- Antidotum likwiduje strach?

- Tylko ten spowodowany przez hormon.
 - Daj mi je - powiedział Cavanaugh.
 - Nie mogę.
 - Dlaczego?
 - Nie mam go przy sobie - powiedział Prescott. - Zresztą i tak by nie zadziało.
 - Dlaczego?
- 248

- Ciągle bałbyś się o żonę. Kiedy kogoś kochasz, boisz się o niego naprawdę. Na szczęście mnie udało się uniknąć tego strachu. Teraz ty się dowiesz.

-Czego?

- Czego wymaga odwaga.

Jadąc dalej na południe, minęli Carmel. Ruch na drodze był coraz mniejszy. W okolicach cypla Lobos mijaly ich już tylko pojedyncze samochody. Cavanaugh zauważył między drzewami światła samotnych domów.

-Gdzie jesteśmy?

- W Carmel Highlands. To mała osada na urwisku nad oceanem. Cavanaugh zobaczył prowadzącą do niej drogę. Reflektory taurusa przeszły ciemność, kiedy zjechał na pobocze i zaparkował między drzewami. Wyłączył światła.

- Nie mogłem tego zrobić wcześniej, bo ruch był za duży. Jakiś policjant mógłby cię zobaczyć i nas zatrzymać.

Zanurzył łyżkę w misce i rozsmarował czerwony syrop na twarzy Prescottta, rozmazując go na policzek, skroń i ogoloną głowę. Prescott wyglądał, jakby miał na twarzy zakrzepłą krew. Cavanaugh włączył z powrotem światła i przyjrzał się rezultatom swojej pracy.

- Wyglądasz, jakbyś się kwalifikował na ostry dyżur.
- Ale czuję zapach syropu.
- Zanim Grace zdąży go poczuć, będzie już po niej.
- Muszę mieć pewność.
- Co masz na myśli?
- Zrób to naprawdę.
- Nie wiem, o czym...
- Skalecz mnie.
- Co takiego?
- W głowę. Rany głowy mocno krwawią. Zapach krwi ukryje syrop.
- Jezu.
- Zrób to.

Prescott drgnął, kiedy Cavanaugh uniósł nóż. Ale nie mrugnął nawet okiem, gdy ostrze przecinało mu czoło.

249

Popłynęła krew.

Cavanaugh wytarł nóż o twarz Prescottta. Biochemik wyglądał teraz jak żywy trup.

- Wyciągnij ręce - polecił Cavanaugh.
- Owinął taśmą drżące dłonie Prescottta, wsunął emersona między nadgarstki i ostrożnie naciął ją z obu stron. Z daleka taśma wyglądała na nietkniętą, ale Prescott mógł ją bez trudu rozerwać szarpnięciem.
- W porządku? - spytał Cavanaugh.
- Prescott sprawdził taśmę, prawie jęcząc. Wziął głęboki wdech.
- W porządku.

Cavanaugh zawrócił i wjechał z powrotem na pustą autostradę. Po prawej stronie widział odbijający się w falach oceanu księżyc.

- Za następnym zakrętem - powiedział Prescott.

- Dobrze znasz okolice.

- Kiedy zacząłem się odchudzać, unikałem ludzi, dopóki mój wygład odpowiednio się nie zmienił. Spędziłem tu sporo czasu.

Cavanaugh minął zakręt. W świetle reflektorów ukazała się tablica z napisem ZABYTEK. Skręcił w lewo, na wyboistą, polną drogę między drzewami.

Droga przecinała łąkę i znów zagłębiała się w las. Kilka razy zawadził podwoziem o kamienie.

Gałęzie krzaków drapały drzwi samochodu.

- Zaraz będzie następna łąka - powiedział Prescott. - Kapliczka, a właściwie jej ruiny, są na zboczu. - Oddychał coraz szybciej.

- Policz do trzech, jak bierzesz wdech.

- Co takiego?

- Zatrzymaj oddech znów na trzy. I wypuść powietrze na trzy. Rób to cały czas. To pomaga. Teraz schyl się, zanim cię zobaczą. Udawaj, że jesteś nieprzytomny.

Prescott błady nawet w ciemności posłuchał go.

Cavanaugh słuchał jego rytmicznego oddechu. Czuł każdy podskok samochodu na wybojach, jakby skakało jego własne serce. Minął ostry zakręt i wyjechał spomiędzy drzew na kolejną polanę.

Oświetlał ją nie tylko księżyc, ale też reflektory samochodu.

- Cholera, dotarła tu przed nami - zaklął Cavanaugh.

Cavanaugh nie zwolnił. Jechał dalej drogą w stronę świateł. - Gotowy? - spytał skulonego na podłodze Prescottta.

250

- Trochę za późno, żeby się wycofać.

- Za pięć minut będziesz bezpieczny. Ja odzyskam żonę, a ty wolność.

- Ta sztuczka z czasem przyszłym zdziałała cuda, kiedy ratowałeś mnie z magazynu - powiedział Prescott. - Tak. Za pięć minut ty będziesz miał żonę, a ja wolność.

Słyszac te słowa, Cavanaugh sam poczuł ich magię.

- Zobaczmy, czy jesteś równie dobrym aktorem, co biochemikiem.

-1 czy ty... - Prescott wstrzymał oddech i policzył do trzech -jesteś tak dobrym obrońcą, jak utrzymujesz.

Taurus zbliżył się do stojącego na polanie wozu. Grace, podpierając się kulami, stała obok swojego samochodu. Za jej plecami majaczył kształt krzyża.

Cavanaugh zatrzymał się trzydzieści metrów od Grace, poza zasięgiem strzału z pistoletu. Istniało jednak ryzyko, że w lesie zaczął się ktoś z karabinem, ale potrzebowałby celownika z noktowizorem. Było mało prawdopodobne, by Grace w tak krótkim czasie zdołała zdobyć taki sprzęt. Zresztą reflektory samochodów uniemożliwiłyby snajperowi zadanie.

Cavanaugh zostawił włączony silnik i światła.

Zmrużył oczy.

- Przyjechałaś wcześniej! - zawołał do Grace, starając się opanować drżenie głosu. Przypomniała mu się ich poranna rozmowa we mgle pod Tor House. Jego głos odbił się echem od zboczy.

- Chyba nie zaskoczyłam cię bardziej niż ty mnie - odparła Grace. -

Otwórz wszystkie drzwi.

Cavanaugh usłuchał. Grace miała tylko jeden cel: ktoś ukryty w lesie miał sprawdzić, czy nikogo nie ma w aucie. Zaczął się martwić, że między drzewami jednak czai się snajper. Istnieją przecież

nowoczesne noktowizory, reagujące na ciepło, a nie na światło.

Ze strachu zrobiło mu się niedobrze. Otworzył wszystkie drzwi i znów stanął przy światłach. Miał nadzieję, że raczej go osłonią, a nie wystawią na cel.

Podejrzewał jednak, że sprawdzą się jego najgorsze obawy.

Boże, błagam, pomóż mi odzyskać Jamie.

Nagle Grace powiedziała coś, co przywróciło mu nadzieję.

- Gdzie jest Prescott?

Wszystkie drzwi były otwarte. Snajper z pewnością zobaczyłby Prescottta i dałby znak Grace, że Cavanaugh nikogo więcej ze sobą nie przywiózł.

251

- Siedzi z przodu na wpół przytomny ze strachu. - Kazała otworzyć drzwi, żeby go zmylić. Poczul, że nie wszystko stracone. Grace chce, żebyśmy myślał, że w lesie jest snajper. Ale jego tam nie ma.

- Wyciągnij drania.

- Nie, dopóki nie zobaczę żony.

Zniecierpliwiona Grace podniosła rękę. Dała znak komuś ukrytemu w ruinach kapliczki.

Zza gruzów wyłoniły się dwie postacie. Jedna popychała drugą. Popychająca wzrostem i sylwetką przypominała Grace. Może dlatego, że obie należały do tej samej grupy do zadań specjalnych, o której mówił Prescott.

Popychaną była Jamie. Ręce miała związane przed sobą. Potykała się, skulona, jakby coś ją bolało. Kiedy podniosła głowę, Cavanaugh zobaczył na jej twarzy krew. Poczul narastającą wściekłość.

- Wyciągnij Prescottta - powtórzyła Grace.

Cavanaugh podszedł do drzwi i sprawdził, czy Prescott usłuchał polecenia. Metalowy pojemnik leżał na siedzeniu. Wywłócił Prescottta i rzucił na ziemię tak mocno, że tamten aż jęknął.

Brutalnie zaciągnął go przed samochód. W świetle reflektorów kopnął Prescottta kilka razy w bok, czując, jak czubek buta trafia w kamizelkę kuloodporną. Chociaż kamizelka chroniła narządy, Prescott musiał czuć wstrząs ciosów. Znów zajęczał. Po czwartym kopnięciu przewrócił się na bok i zwinął w kłębek.

- Wstawaj - rozkazał Cavanaugh. - Nie będę cię całą drogę ciągnął.

Przeciął taśmę krępującą nogi i postawił go. Głowa Prescottta podskoczyła od siły, z jaką został poderwany. Cavanaugh złapał go z tyłu za ramiona i podtrzymał. Prescott chwiał się na boki.

- Chciałaś go, to masz.

- Co ty sobie wyobrażasz? - prychnęła kobieta. - To nie Prescott.

- Oczywiście, że to on.

- Prescott nie wygląda jak...

- Stracił na wadze, żeby nikt go nie poznał. Udowodnię, że to on. Ty fiucie, odezwij się do niej.

Prescott dalej się chwiał.

Cavanaugh zamarkował cios w nerkę. Grace nic nie zauważyła.

Prescott zajęczał i zgiął się wpół.

- Kazałem ci się odezwać!

- Uuuch... - Prescott podniósł głowę z trudem, jakby cierpiał. - Jak...

- Zakaszłał, jakby miał złamane zebro. - Jak leci, Al?

- To naprawdę on - powiedziała Grace. - Jezu, jak on wygląda! Co mu zrobiłeś?

252

- Odplaciłem pięknym za nadobne. Teraz ty możesz dodać coś od siebie. Puść moją żonę, a ja wypuszczę Prescottta.

Balansując na kulach, Grace spojrzała na swoją towarzyszkę i kiwnęła głową.

Kobieta popchnęła Jamie do przodu. Jamie zatoczyła się w świetle reflektorów.

- Teraz ty - powiedziała Grace.
Cavanaugh szturchnął Prescottta, który przechylił się jak marionetka.
- Jamie, jeszcze kawałek. - Jamie zatoczyła się w stronę Cavanaugha. - Wszystko będzie dobrze. Musisz tylko do mnie dojść.
Prescott włókł się do Grace i jej towarzyszki.
Nagle padł na kolana.
Cavanaugh podszedł i dźwignął go na nogi.
- Ruszaj się, do cholery. Czekają na ciebie. Mam ważniejsze rzeczy na głowie niż pilnowanie ciebie.
Znów go popchnął. Prescott jeszcze bardziej upodobnił się do marionetki.
Kiedy zbliżył się do obu kobiet, spojrzały na niego ze zgrozą. Prescott zatrzymał się po raz drugi i zachwiał, jakby miał upaść.
- Ruszaj się! - krzyknął Cavanaugh i pchnął go do przodu. Byli już w połowie drogi między samochodami.
Prescott zatoczył się i minął Jamie. Miała zakrwawione usta. Z przerażeniem patrzyła na zmasakrowaną twarz mężczyzny.
Już prawie po wszystkim, myślał Cavanaugh, modląc się w duchu. Grace może go teraz zastrzelić. Wszystko rozstrzygnie się w ciągu kilku następnych sekund.
- Jedziemy do domu - powiedział do Jamie. Pokazał jej samochód i wyciągnął ramię, żeby ją objąć.
Kątem oka zauważył poruszenie za Prescottem. Opierając się na jednej kuli, Grace uniosła drugą, żeby uderzyć go nią w twarz. Jej towarzyszka wycelowała w Prescottta pistolet.
Dałem słowo, pomyślał Cavanaugh.
Grace zamachnęła się laską. Prescott upadł, unikając ciosu. Kula świsnęła mu nad głową. Leżał na ziemi, przykrywając ciałem ręce.
Rozrywa taśmę i wyciąga pistolet.
Grace zamachnęła się po raz drugi.
Kiedy Prescott podejrzanie szybko przetoczył się na bok, Cavanaugh wyciągnął broń.
Trzy strzały z trzech różnych pistoletów rozbrzmiały prawie jednocześnie. Towarzyszka Grace strzeliła Prescottowi w pierś. Trzęsącymi się

253

rękami Prescott trafił w głowę Grace. Jej kula zaryła się w ziemię obok niego. Cavanaugh usłyszał krzyk drugiej kobiety, którą postrzelił w pierś. Czwarty strzał, znów Prescottta, trafił kobietę w twarz. Upadła na ziemię.

W powietrzu unosił się smród kordytu. W świetle reflektorów widać było pasemka dymu. Cavanaugh pobiegł ku Jamie. Z ulgą odkrył, że padła na ziemię, kiedy zaczęła się strzelanina.

- Wszystko w porządku?

-Tak.

- Na pewno?

-Tak.

Odwrócił się do Prescottta.

- Jesteś cały?

Prescott leżał na ziemi i próbował złapać oddech. Kamizelka zatrzymała pocisk. Nie odpowiedział od razu. Pewnie jeszcze do niego nie dotarło, że już po wszystkim. Że nie musi się już bać.

-Tak.

- Dotrzymałem słowa - powiedział Cavanaugh. - Pomogłem ci. Ty pomogłeś mnie. Nie musisz się już mnie obawiać. Nienawidzę cię, ale nigdy nie będę cię ścigał.

Prescott pokiwał głową. Wciąż leżał na ziemi i łapał oddech. -Jeśli nie wytarłeś odcisków palców z pocisków, zanim załadowałeś magazynek, pozbieraj łuski i zabierz je ze sobą- powiedział Cavanaugh.

- Pamiętałem.

- Uciekaj samochodem Grace. Kiedy go będziesz zostawiał, pamiętaj, żeby wytrzeć wszystko, czego dotykałeś.

- Nie zapomnę.

- A więc między nami wszystko załatwione.

Nie tracąc z oczu Prescottta, Cavanaugh cofnął się do Jamie. Pomógł jej wstać i ruszył razem z nią do samochodu.

- Jesteś cała? - spytał. - Potrzebujesz lekarza?

Prescott wciąż leżał na ziemi, trzymając się za miejsce, gdzie uderzył go pocisk.

Światła taurusa wydobyły z mroku sylwetki Cavanaugha i Jamie. Silnik wciąż chodził.

- Chyba nie mam żadnych złamań - wykrztusiła Jamie.

Cavanaugh podprowadził ją do drzwi od strony pasażera.

Nagle Jamie zdrząła gwałtownie. Pod Cavanaughem ugięły się nogi. Wydobywający się z samochodu smród wypełnił mu nozdrza i przyspieszył tętno. W ustach mu zaschło. Zaczął szybko oddychać.

254

Metalowy pojemnik na siedzeniu. Prescott odkręcił nakrętkę, zanim wywlokłem go z samochodu. Z taurusa sączył się hormon. Cavanaugh złapał pojemnik i cisnął go tam, gdzie jeszcze przed chwilą był Prescott. Ale teraz już go tam nie było!

Gdy Cavanaugh odwrócił się w stronę żony, z ciemności padł strzał. Jamie osunęła się na męża.

- Nie! - Hormon wypełniał mu płuca, obezwładniając grozą. Trzęsąc się ze strachu, Cavanaugh przytrzymał Jamie i zaczął strzelać tam, gdzie zobaczył błysk. Wydawało mu się, że widzi niewyraźny cień skulony za samochodem Grace. Strzelił w reflektory auta. Dwa razy nie trafił w końcu prawa lampa eksplodowała i zgasła. Zanim jednak zdążył strzelić w lewą, Prescott odpowiedział ogniem. Kula przeleciała tak blisko, że Cavanaugh usłyszał jej gwizd tuż nad głową. Wiedział, że drzwi nie osłonią ich przed kulami. Wepchnął Jamie na siedzenie, przerażony plamą krwi na jej piersi.

Kula przebiła przednią szybę.

Cavanaugh skulił się nad Jamie. Osłonięty silnikiem taurusa rozerwał jej bluzkę. Usłyszał świst przestrzelonego płuca. Prawie się zakrztusił od smrodu. Znalazł rolkę taśmy tam, gdzie upuścił ją Prescott. Drżąc coraz mocniej, oderwał pospiesznie kawałek i przykleił go do piersi Jamie, zatykając ranę.

Świszczenie ustało.

Cavanaugh oderwał drugi kawałek taśmy i zakleił nim ranę wylotową na plecach. Wzdrygając się od huku kolejnych kul, przeczłogał się nad Jamie i zatrzasnął drzwi. Potem wcisnął się za kierownicę, wrzucił wsteczny i wcisnął gaz do dechy. Samochód gwałtownie ruszył do tyłu.

Cavanaugh nacisnął hamulec i wykręcił taurusa o sto osiemdziesiąt stopni, stając nagle tyłem do Prescottta. Ruszył. Siła przyspieszenia zatrzasnęła otwarte drzwi.

Skulony nad kierownicą opuścił okna o kilka centymetrów. Powietrze zaczęło się oczyszczać, kiedy pocisk przebił tylną szybę. W gradzie odłamków szkła Cavanaugh skulił się jeszcze bardziej, trzęsąc się jak w gorączce. Prescott obniżył cel i zaczął strzelać w bagażnik w nadziei, że kule przebiją oba fotele i trafią Cavanaugha. Zamiast tego odbijały się jednak od zamontowanej w bagażniku stalowej płyty.

Pędząc w stronę skraju łąki i drzew, Cavanaugh nie poczuł się wcale lepiej na myśl o tym, że Prescottowi kończy się amunicja. Miał do dyspozycji broń Grace i jej towarzyszki!

Widoczne we wstecznym lusterku jedyne ocalałe światło wozu Grace drgnęło, kiedy samochód ruszył w pościg.

255

To sukinsyn! A ja obiecałem go chronić!

Taurus wpadł między drzewa. W świetle reflektorów mignął ostry, nachylony w dół zakręt.

Cavanaugh z osłabionym refleksem ledwie się w nim zmieścił.
Dałem słowo, że nie zrobię mu krzywdy!
Gałęzie szorowały o karoserię. Zmagając się z kierownicą, Cavanaugh wziął następny ostry zakręt.
W lusterku widział błyski wozu Grace między drzewami. Był coraz bliżej.
Jamie była ranna, a hormon niszczył jego układ nerwowy. Prescott miał przewagę. Jakby dla podkreślenia tego faktu, przy następnym zakręcie Jamie prawie spadła z fotela. Cavanaugh musiał zwolnić, żeby zapiąć jej pas.
Drzewa zniknęły, pojawiła się kolejna łąka. Światło z tyłu zbliżyło się gwałtownie. Cavanaugh usłyszał grad pocisków uderzających w bagażnik.
Mknąc przez łąkę, sięgnął na oślep do przełącznika zainstalowanego pod deską rozdzielczą.
Wcisnął guzik i natychmiast sam zmrużył oczy. W lusterku odbił się blask halogenów, które Jamie zainstalowała z tyłu.
Cavanaugh nie zwolnił. Halogeny świeciły tak jasno, że nie widział już w lusterku pościgu.
Wyobraził sobie, że Prescott osłania ręką oczy i zwalnia.
Zgubiłem go. Muszę zawieźć Jamie do szpitala.
Jęknęła.
Dobry Boże, proszę, nie pozwól jej umrzeć.
Przed nimi zamajaczyła kolejna ściana drzew. Nagle taurus skoczył do przodu uderzony przez samochód Prescottta. Siła zderzenia była tak wielka, że Cavanaugha rzuciło na kierownicę. Pasy boleśnie wpiły mu się w ciało. Głowa Jamie poleciała do przodu i w tył. Nie!
Zamiast zwolnić, Prescott wykorzystał rażące halogeny jako cel. Widział tylko je i nic poza tym i przyspieszył w ich stronę. Był tak blisko lamp, że ich światło odbijało się od maski jego samochodu i oślepiało Cavanaugha.
Cavanaugh podbił lusterko do góry. Walcząc o panowanie nad kierownicą, poczuł, że samochód Prescottta znów uderza w nich z tyłu. Prescott najwyraźniej niczego się nie nauczył podczas ucieczki z magazynu.
Prescott znów zderzył się z taurusem. Może chce rozbić halogeny? Spróbował zwolnić, widząc przed sobą drzewa, i poczuł, że Prescott pcha go od tyłu. Zrozumiał, co chce osiągnąć. Prescott próbował zepchnąć go na drzewa.

256

Cavanaugh mógł jedynie przyspieszyć. Kiedy oderwał się od Prescottta, blask halogenów nie był już taki silny. Prescottowi udało się zbić jeden reflektor. Teraz trzeba było już tylko hamować i wymijać drzewa. Wchodząc w pierwszy zakręt, Cavanaugh zahaczył o coś błotnikiem. Kula przebiła z hukiem szybę, reszta zatrzymała się na bagażniku. Inna kula trafiła drugi halogen. Jedynym źródłem światła z tyłu był teraz ocalały reflektor Prescottta.
Las gwałtownie się skończył. Cavanaugh skręcił w prawo, wypadając na Pacific Coast Highway. Przy wtórze pisku opon docisnął gaz do dechy i pomknął na północ, w stronę Carmel.
Jamie jęknęła.
- Nie umieraj - poprosił.
Za nim na szosę wypadł Prescott. Po lewej jasno świecił nad oceanem księżyc. Po prawej, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się zalesione wzgórza. Nie było widać żadnych świateł - ani samochodów, ani domów. Cavanaugh wpadł w zakręt i z trudem z niego wyszedł. Kierownica miała spore luzy, jakby coś gdzieś pękło. Może opony. Gdyby Prescott przestrelił którąś, nie wybuchłaby, tylko powoli gubiła powietrze.
Światło wozu Prescottta było coraz bliżej. Cavanaugh wjechał na następny łuk i musiał zwolnić, żeby się na nim utrzymać. Prescott uderzył w tył taurusa. Wstrząs sprawił, że Jamie szarpnęła się w pasach. Jęknęła. Cavanaugh bał się o niej myśleć. Musiał się skoncentrować na prowadzeniu. Kierownica chodziła coraz bardziej opornie. Mijając pierwsze domy, Cavanaugh pomyślał, że mają szansę. Na prostej wcisnął gaz do dechy, próbując zwiększyć odległość dzielącą go od Prescottta, ale taurus nie zareagował.
Przed sobą zobaczył parę świateł. Kiedy spory minivan przemknął obok, Prescott uderzył w

Cavanaugha i cofnął się. Podjechał bliżej, jakby chciał znów go pchnąć, po czym niespodziewanie zjechał na lewy pas. Przyspieszył, jakby chciał zrównać się z taurusem.

Nie!

257

Naśladowując to, co widział podczas ucieczki z magazynu, Prescott stuknął prawym przednim błotnikiem o tylny lewy Cavanaugha. Manewr się powiódł, taurus obrócił się w lewo. Samochód Prescotta pomknął bezpiecznie dalej, a Cavanaugh spostrzegł, że patrzy w kierunku, z którego właśnie przyjechał. Błyskając światłami, taurus uderzył w barierkę tuż przed niskim mostem. Przebił ją, zsunął się po pochyłości i przetoczył powoli na dach. Cavanaugh poczuł wstrząs, kiedy samochód uderzył o powierzchnię wody.

17 - Siła strachu

- Jamie!

Kiedy samochód spadł, Jamie rzuciło na pasy. Teraz cicho jęczała.

Ogłuszony Cavanaugh próbował zebrać myśli. Taurus zaczął tonąć. Ciśnienie wody na karoserię nie pozwalało otworzyć drzwi, dopóki wewnątrz się nie wypełniło. Cavanaugh zdążył opuścić odrobinę okno. Teraz wcisnął przycisk otwierający na całą szerokość okno kierowcy. Miał nadzieję, że przepchnie przez nie Jamie i sam wyskoczy, ale szyba ani drgnęła.

Zimna woda zmoczyła mu buty. Wyciągnął z kieszeni emersona i uderzył rękojeścią w szybę. Rozbił środek. Zaczął powiększać otwór, gdy wtem zobaczył jakiś czarny kształt i przestał. W świetle księżycy i gasnących reflektorów taurusa zobaczył głaz.

Odwrócił się do okna pasażera i zobaczył drugą skałę. Samochód zaklinował się dachem do góry między dwoma olbrzymimi kamieniami. Na pewno nie uda im się wyjść przez boczne okna.

Trzeba wykopać przednią szybę. Ale kiedy samochód dachował, przednia i tylna szyba pękły, tak że otwory się sprasowały, i teraz nie przecisnąć się przez nie żadne z nich.

Zimna woda sięgała mu już do kolan. Światła na desce rozdzielczej zamigotały. Drżąc z zimna, Cavanaugh wyprostował Jamie na fotelu, żeby jak najdłużej mogła oddychać. Zdrętwiały mu stopy. Drzwi. Zablokowane przez głazy.

Okna. Nie przecisniemy się przez nie.

Dach.

Cavanaugh otworzył emersona, rozciął podsufitkę i szarpnął ją dół. Dach był wgnieciony.

Usztywniające go rozporcki rozeszły się, tak że od biedy można by się między nimi przecisnąć.

Trzeba tylko zrobić dziurę w samej blasze.

Cavanaugh dźgnął metal. Emerson był bardzo wytrzymały. Ostry jak żyłotka, zaskakująco trwałe i bardzo wytrzymałe. Ząbkowane ostrze mogło przeciąć metal. Cavanaugh słyszał, że emerson może przebić nawet kevlarową kamizelkę.

Ostrość, wytrzymałość noża i siła, z jaką został zadany cios, sprawiły, że emerson przebił się przez blachę dachu. Cavanaugh nadpiłował kawałek, wyciągnął ostrze i znów je wbił, próbując wyciąć otwór. Woda dochodziła mu już do pasa. Wbijał nóż raz za razem, czując w ręce i barku ostry ból.

Pchnął jeszcze raz i jęknął. Zobaczył, że Jamie osunęła się w bok i zawisła nad wodą, która sięgała już do połowy brzucha. Posadził ją pro-

258

sto i znów zaczął walić nożem w dach. Z trudem oddychał. Woda sięgnęła mu do piersi. Pchnął jeszcze raz, ale opór wody odebrał ciosowi siłę. Nóż się nie przebił.

Światła zgasły. W ciemności taurus osunął się niżej. Cavanaugh zawył w duchu. Bez światła i z ograniczoną możliwością ruchu nie ma szans przebić się przez dach. Poczul, że Jamie znów osuwa się do wody. Znów ją podparł. Dotknął jej twarzy. Był bliski łez. Gdybym cię wystarczająco kochał, gdybym cię posłuchał, bylibyśmy teraz w domu. Nie ochroniłem cię. Tak mi przykro.

Woda sięgała już szyi. Nagle ogarnęła go wściekłość. Musi być...

Wcisnął przycisk otwierający bagażnik. Kopnięciem zrzucił buty, przeczołgał się nad siedzeniami i z pluskiem wpadł do wody. Dygocząc z zimna, złożył oparcie tylnego siedzenia i wbił nóż w

przepierzenie dzielące wnętrze samochodu od bagażnika. Drąc i szarpiąc, powiększył otwór. Wypchnął stalową płytę. Wziął głęboki wdech i zanurkował. Ciśnienie wody przygniatało klapę. Cavanaugh pchnął ją do dołu, ale chociaż wcisnął przycisk otwierania, nic się nie stało. Klapa musiała się zaciąć, kiedy taurus toczył się po pochyłości. Pchnął mocniej. Czując palący ból w piersi, wbił nóż w zapadkę, zakręcił nim, podważył i poczuł, że coś puszcza. Zaparł się plecami, pchnął i otworzył klapę.

Powietrze. Muszę odetchnąć. Rozpaczliwie precisnął się przez otwór w tylnym siedzeniu, wpłynął do wnętrza samochodu i podniósł głowę, uderzając nią o sufit. Wypuścił powietrze z płuc. Jego oddech w tak ciasnej przestrzeni zabrzmiał jak ryk. Cavanaugh pospiesznie obliczył, że powierzchnię wody i sufit dzieli jeszcze jakieś piętnaście centymetrów. Nie zwlekając, wciągnął do płuc następną dawkę i zanurkował. Wymacał przedni fotel i wyciągnął z niego Jamie.

Jej jęk napełnił go nadzieją. Nie można jęczeć, jeśli się nie oddycha. Ściągnął jej buty. Odwrócił ją twarzą do siebie, rozchylił jej pokaleczone usta i dmuchnął, próbując napełnić płuca powietrzem.

Musi przeciągnąć ją nad siedzeniem i przez otwór w tylnej kanapie.

Wciągnął Jamie do bagażnika, zaparł się stopami o podłogę i odepchnął w górę, walcząc, by unosić się z prądem.

Miał wrażenie, że coś ciska nim na wszystkie strony.

Jeden tysiąc.

Dwa tysiące.

Trzy tysiące.

Cztery tysiące.

Kiedy wydostali się na powierzchnię, usłyszał huk eksplozji. Fale rozbijały się o brzeg. Jamie sapnęła. Objął ją mocno jedną ręką i popłynął.

259

Snop światła latarki prawie go oślepił. Padał z mostu kilka metrów nad nimi. Prescott, pomyślał Cavanaugh. Wrócił, żeby nas wykończyć. Próbuje dopłynąć do głazów, Cavanaugh czekał na strzał, który rozłupie mu głowę. Jamie utonie wtedy, nawet jeśli Prescott jej nie zastrzeli. Ich ciała spłynęłyby z prądem do morza.

Tak blisko. Byliśmy tak blisko.

- Ty sukinsynu! - udało mu się wrzasnąć.

- Co? Nie słyszysz was! - odpowiedział mu obcy męski głos. - Spróbujcie dopłynąć do kamieni!

Cavanaugh nie miał siły odpowiedzieć.

Latarka ciągle go oślepiła.

-Zobaczyłem przerwana barierkę i zatrzymałem się. Widziałem, jak wasz samochód tonie!

Wezwałem policję! Podpłynicie bliżej! Mam w ciężarówce linę!

Jamie, w masce tlenowej pod kroplówką, leżała na wózku, z którym dwie pielęgniarki pędziły przez jasno oświetlony korytarz do sal operacyjnych. Za nimi biegli dwaj chirurdzy. Była za dwadzieścia pięć pierwsza. Widząc zatrzaskujące się drzwi, Cavanaugh zacisnął kurczowo dłonie na kocu.

- Słyszałem, że zatamowałeś krwawienie taśmą klejącą - odezwał się jakiś głos za jego plecami.

Cavanaugh odwrócił się. Ciemna twarz Rutherforda była blada ze zmęczenia. Wciąż miał na niej sińce.

- Będziemy tego uczyć w Akademii.

Cavanaugh przywitał się z nim niechętnie.

- Dobrze cię znów widzieć, John.

- Trudno mi w to uwierzyć. Za bardzo starałeś się mnie unikać.

- Kiedy przyjechałeś?

- Dziś wieczorem. Kiedy do nas dotarło, że znów chcesz nas wyrolo-
wać, paru chłopaków postanowiło odwiedzić Carmel. Twój drugi telefon

odebrałem już gdzieś nad Ohio.

- Policja informowała cię o wszystkich wypadkach z udziałem ludzi podobnych do nas?

- Wydawało mi się to rozsądne. Kłopoty to twoja specjalność. -

Rutherford wskazał na drzwi oddziału chirurgii. - Wyjdzie z tego?

Cavanaugh spuścił wzrok.

260

-Niewiedzą.

- Przykro mi. Mogliśmy pomóc ci ją odzyskać.

- Nie było czasu. Rząd wolałby zatrzymać Prescottta, niż mi pomóc.

Nie mogłem ryzykować.

- Kiedy lekarze będą coś wiedzieć o jej stanie?

- Za cztery, pięć godzin.

- To sporo czasu - powiedział Rutherford. - Możesz go spędzić w więzieniu albo z nami. Chcesz nam pomóc dorwać Prescottta?

W sali odpraw na komisariacie w Monterey stały dwa rzędy ławek. Siedzieli na nich ludzie z Departamentu Sprawiedliwości i miejscowi policjanci. Słuchali Cavanaugha. Ciągłe dzwoniły telefony. Za każdym razem Cavanaugh miał nadzieję, że to ze szpitala. Za każdym razem się mylił.

- Rysownik opracuje portret pamięciowy. Zawiadomiono już lotniska na całym wybrzeżu - powiedział Rutherford.

- Nie sądzę, żeby opuścił tę okolicę - stwierdził Cavanaugh. Światło nieznacznie raziło go w oczy. - Prescott wie tyle, że oboje jesteśmy martwi.

Przerwał na myśl o tym, że Jamie w tej chwili może rzeczywiście umierać.

- Powiedziałem Prescotttowi, że władze nie wiedzą, jak wytropiłem go w Carmel. Uwierzył mi. Gdybym pracował dla rządu, nie byłbym przecie sam. Prescott mógł dojść do wniosku, że wreszcie zatarł za sobą ślady. Możliwe, że postanowił zrobić coś nierozważnego i został w domu. Gdzie lista, którą mieliście zrobić? - Chodziło mu o spis ludzi, którzy kupili lub wynajęli posiadłości w okolicach Carmel i Monterey i zarezerwowali miejsce na polu golfowym.

Rutherford podał Cavanaughowi kilka kartek.

- Na razie mamy tyle. Nie ma tu ludzi, którzy wynajmowali domy bez pośredników. Sprawdzamy ogłoszenia w gazetach i kontaktujemy się z właścicielami, którzy bezpośrednio umawiali się z najemcami.

Cavanaugh przeczytał listę. Światło raziło go coraz bardziej.

- Więcej, niż się spodziewałem.

- To popularna okolica.

- Dlaczego tak mało ludzi w samym Carmel?

- Za droga ziemia. Niewielu na nią stać. Poza tym nikt tam nic nie sprzedaje.

261

Cavanaugh przeglądał spis. Uwzględniono w nim mieszkańców Pacific Grove, Monterey, Seaside, Carmel, Carmel Valley i Carmel High-lands. Lista ciągnęła się w nieskończoność.

- Trzeba będzie sporo ludzi, żeby to wszystko sprawdzić - powie

dział. - Dużo czasu i zachodu, żeby Prescott niczego nie podejrzewał.

- Mieliliśmy nadzieję, że oszczędzimy trochę czasu i starań, jeśli ktoś reś nazwisko zwróci pana uwagę - powiedział ktoś z FBI.

- Karen nie wybrałaby rzadkiego nazwiska - powiedział Cavanaugh.

- Ani takiego, które ktoś mógłby skojarzyć z jego poprzednim życiem.

- Chyba że miała co do Prescottta złe przeczucia.
Spojrzeli na niego.
- Jeśli Karen wiedziała, że jest w niebezpieczeństwie - powiedział
Cavanaugh - mogła wybrać dla Prescottta nazwisko, które znaczyłoby
coś dla mnie i które by mnie do niego zaprowadziło.
- Dla pana? - spytał agent.
- Wiedziała, że będę ścigał każdego, kto zrobi jej krzywdę.
- Byliście ze sobą aż tak blisko?
- Służyłem w Delta Force z jej bratem. "Wykrwawił się na śmierć na
moich rękach.
Zebrani zamilkli.
Cavanaugh przebiegł wzrokiem listę.
- Nazywał się - postukał palcem w nazwisko - Ben.
Rutherford spojrział na pozycję, którą wybrał Cavanaugh.
- Benjamin Kramer.

- Carmel Highlands. - Cavanaugh przypomniał sobie, jak spytał Pre
scotta o znaczenie tej nazwy. "Mała osada na urwisku nad oceanem",
usłyszał. Ten bydlak tam mieszka. Byłem tak blisko jego domu.
- Wierzysz w to? - Rutherford mówił, jakby sam rozpaczliwie chciał
w to uwierzyć. - To może być zbieg okoliczności.
- Nie zwróciłem na to uwagi od razu, bo Ben nigdy nie używał peł
nej wersji imienia. Zawsze był po prostu Benem. Ale Prescottt nie lubi
zdrobnień. Podkreślał, że ma na imię Daniel, nie Dan, a kiedy stworzył
Joshuę Cartera, kazał obsłudze fitness klubu zwracać się do siebie Jo
shua, nie Josh. Na tej liście sporo ludzi używa zdrobnień. Sam. Steve.
Benjamin na tym tle wygląda strasznie oficjalnie.
- A co z nazwiskiem? - spytał agent.
- Przed wypadkiem Karen była zaręczona z facetem nazwiskiem
Kramer. Kiedy tylko ten drań dowiedział się, że Karen została kaleką,
zerwał zaręczyny. Ben mówił, że jedyną dobrą stroną wypadku Karen
było to, że nie wyszła za Kramera.

262

- Sprawdźmy, gdzie to jest. Kto z państwa zna Highlands? - spytał
Rutherford.
- Moja ciotka tam mieszka - powiedziała jedna z policjantek.
Rutherford zwrócił się do innego detektywa.
- Czy macie szczegółowe mapy okolicy?
- Mamy program komputerowy i zdjęcia satelitarne z Internetu.
- Potrzebujemy dokładnej lokalizacji tego domu.
Zadzwoił telefon. Odebrał go jeden z detektywów. Cavanaugh miał nadzieję że to wieści ze
szpitala. Okazało się jednak, że chodzi o coś zupełnie innego.
Na ekranie komputera pojawił się plan ulic Carmel Highlands. Detektyw wpisał adres.
- Tutaj. Na skraju wzniesienia. Nad samym oceanem.
Powiększony obraz satelitarne pokazywał dachy domów, zarośla i za
rys ulic. Detektyw powiększył widok posesji.
- Duża działka - powiedział Cavanaugh.
- W Highlands niektóre mają około pół hektara.
- Wielki dom.
- Chyba parterowy.
Policjantka skończyła rozmawiać z ciotką.

- Tam wszyscy wszystkich znają. Kiedy ten facet się wprowadził, poszła go przywitać z koszykiem owoców. Był gruby i nieprzyjemny. Powiedział, że jest na diecie i nie może jeść owoców, bo zawierają fruktozę. Tak powiedział: fruktozę. Widziała go kilka razy od tamtej pory. Zeszczupłał, ogolił głowę i zapuścił bródkę. Ciocia mówi, że widzi jego dom między drzewami. W środku pali się światło.

- O wpół do drugiej w nocy? - zdziwił się agent.

- Może zostawia włączone, kiedy wychodzi z domu.

- A może się pakuje - powiedział Rutherford, łapiąc za telefon. -

W takim razie nie zostało nam dużo czasu.

Zmęczony do nieprzytomności, Cavanaugh stał za radiowozem blokującym wyjazd z ciemnej uliczki. Coraz bardziej martwił się o Jamie. Dzwonił do szpitala, ale ciągle nie było żadnych wieści. Stojący obok Rutherford i jego ludzie obserwowali przez noktowizor tonące w ciemności domy. Interesował ich ostatni. Stał na samym skraju urwiska, dobrze widoczny w blasku reflektorów. Światło paliło się też w kilku oknach.

263

- Nie widzę cieni postaci.

- Może Prescottta nie ma. Zostawił światła, żebyśmy myśleli, że jeszcze nie uciekł.

Cavanaugh miał na sobie suche ubranie. Mimo to poczuł chłód. Wciąż myślał o tym, co stało się z Jamie.

- Nic nie widzicie, bo Prescottt nigdy nie zbliżyłby się do okien.

Zauważył ruch. Spomiędzy drzew i cieni wyszli policjanci. Odprowadzili do barykady jedną z rodzin. Mieszkańców okolicznych domów zbudzono telefonami. Mieli nie zapalać świateł i wyjść tylnym wyjściem, gdzie czekali na nich uzbrojeni policjanci.

- To ostatni? - spytał Rutherford.

- Sześć domów. Sześć rodzin. Wszyscy - odparł detektyw.

Za barykadą obok otwartych drzwi furgonetki widać było niewyraźne, ubrane na czarno postacie. Antyterrorysty ze SWAT-u zakładali radia, kamizelki kuloodporne, noktowizory i hełmy. Sprawdzili pistolety i karabinki szturmowe. Wyglądali jak kosmici.

Rutherford podszedł do nich z Cavanaughem.

Po drugiej stronie furgonetki mężczyzna w średnim wieku, sąsiad Prescottta, objaśniał dowódcy SWAT-u plan wnętrza domu. Zza samochodu nie było widać przytłumionego, czerwonego światła latarki, którą komandos oświetlał sobie mapkę.

- Kiedy ostatnio pan tam był? - spytał.

- Pięć tygodni temu. Tuż przed wyprowadzką poprzedniego właściciela. Jay i ja byliśmy bliskimi przyjaciółmi. Szkoda, że się rozchorował.

- Czy od tamtej pory coś się zmieniło? Widział pan robotników?

Cokolwiek?

- Nic takiego nie widziałem.

- Dobrze, w takim razie za frontowym wejściem mamy salon. Pokój telewizyjny, sypialnię dla gości i łazienkę po prawej. Po lewej kuchnię, jeszcze dwie sypialnie i łazienki. Gabinet. Cholernie wielka chałupa. To są podwójne drzwi do salonu?

- Tak. Z tyłu jest taras nad urwiskiem. Z barierką do pasa.

- Co tu jest, za garażem?

- Pralnia.

- A obok?

- Ciemnia. Jay i ja lubimy... - Mężczyzna spochmurniał i poprawił się. - Lubiliśmy robić zdjęcia, zanim zachorował.

Dowódca pokazał mapkę swoim ludziom. Nie było żadnych pytań. Odwrócił się do Rutherforda.

- Jesteśmy gotowi.

264

- Chcemy go żywego - powiedział Rutherford.

A więc rząd chce się z Prescottem dogadać, pomyślał Cavanaugh.

- Jest uzbrojony?

- Z tego, co wiemy, ma AR-15 przerobiony na pełny automat i prawdopodobnie więcej niż jeden pistolet kaliber dziewięć.

- Jeśli zacznie strzelać...

- Macie gaz łzawiący. Macie petardy hukowe. Jeśli będziecie musieli się bronić, postarajcie się go zranić.

- Ma też kevlarową kamizelkę - wtrącił Cavanaugh.

Dowódca SWAT-u zmierzył go wzrokiem.

- Pan jest tym ochroniarzem? - spytał.

Cavanaugh zignorował przytyk.

- Parę razy się z nim spotkałem. Jest bardzo niebezpieczny.

Dowódca spojrział na Rutherforda.

- Powiedział pan, że celem jest biochemik.

- Zgadza się.

- Amator, któremu się wydaje, że jest agentem specjalnym.

-1 który do tej pory zabił przynajmniej pięć osób - powiedział Cavanaugh. - Jest inteligentny. Ma do tego dryg. Nie lekceważcie go.

- Obrzucimy go tyłoma petardami, że będzie głuchy przez tydzień.

- Słyszeliście o broni, którą wynalazł? - spytał Cavanaugh.

- Coś ze strachem?

- Rozpylany w aerozolu hormon.

- Hormon? - Dowódca spojrział na Cavanaugha, jakby chciał powiedzieć "zejdź na ziemię, człowieku". - Większość moich ludzi ma za sobą siedmioletnie doświadczenie. Biochemik to wakacje po tym, co nam się nieraz trafiało. Przyzwyczailiśmy się do strachu. Do radzenia sobie z nim.

- Rozumiem - powiedział Cavanaugh.

Komandos popatrzył na niego z powątpiewaniem. Cavanaugh nie wyglądał na kogoś, kto może wiedzieć, co czują żołnierze SWAT-u.

- Ale dopóki nie doświadczy się tego na sobie, człowiek nie zdaje sobie sprawy, jakie to potężne. Jeśli poczujecie ostry smród...

- To będzie zawartość jego kiszek - powiedział dowódca.

- Myślę, że powinienem pójść pierwszy - oznajmił Cavanaugh.

- Co takiego? - spytał zaskoczony Rutherford.

- Wiem, czego się spodziewać. - Cavanaugh zadrżał na myśl o hormonie. Nie mógł jednak pozwolić, żeby komandosi weszli do domu, nie wiedząc, co ich tam czeka. - Mam większe szansę...

- Spójrz na siebie, człowieku - przerwał mu dowódca. - Jesteś cały poobijany. Ten facet już raz cię dzisiaj załatwił. Dlaczego myślisz, że nie

265

zrobi tego po raz drugi? Myślę, że jesteś dobrym ochroniarzem, ale tą sprawą powinni się zająć zawodowcy. Odwrócił się do swoich ludzi.

- Idziemy.

Mimo złości Cavanaugh musiał oddać im sprawiedliwość. Rozdzielili się i zniknęli w zaroślach po obu stronach drogi tak sprawnie, że jeszcze tego w oddziałach SWAT-u nie widział.

Światła w domu Prescottta zaczęły gasnąć.

- Co, do... - zdziwił się ktoś.

- Może wreszcie poszedł spać.

- A może światła wyłączają się automatycznie o określonej porze - powiedział detektyw.

- Musisz ich zatrzymać - oznajmił Cavanaugh Rutherfordowi.

- Dowódca mówi, że poczekają dziesięć minut i zobaczą, co się stanie - powiedział siedzący w furgonetce policjant ze słuchawkami na głowie. - Jeśli Prescott faktycznie idzie spać, tym lepiej - będzie zaspany i zdezorientowany, kiedy wpadną do środka.

Cavanaugh patrzył na światła wokół ciemnego już domu. Zrobiło mu się jeszcze zimniej. Razem z komandosami czekał na sygnał do szturmu.

Minęło dziesięć minut. Za dwadzieścia piątą policjant w słuchawkach wychylił się z furgonetki.

- Wchodzą.

Cavanaugh zobaczył wyłaniające się z ciemności sylwetki, które szybko biegły w stronę domu. Dwóch komandosów z przodu niosło krótki taran. Uderzyli nim z rozbiegu w drzwi i wyważyli je. Cavanaugh domyślał się, że druga grupa robi to samo tylko od tyłu. Z bronią gotową do strzału mężczyźni w hełmach wbiegli do środka. Pięć sekund później za oknami rozbłysły stroboskopy. Zawyla syrena.

A potem rozległy się strzały i krzyki.

8

- Boże, co się dzieje?! - zawołał Rutherford. - Co to za syrena?! Skąd te stroboskopy?!

- Prescott - powiedział Cavanaugh.

Huk wystrzałów i wrzaski się wzmogły.

- Wezwać wsparcie! - krzyknął Rutherford do operatora w furgonetce. Wyciągnął pistolet. - Musimy tam iść! Trzeba im pomóc!

- Strzelają do siebie nawzajem - powiedział Cavanaugh.

266

- Co takiego?

- Do wszystkiego, co się rusza! Jeśli tam wejdiesz, ciebie też zastrzelą!

- Ale nie możemy pozwolić...

Strzelanina ucichła, a krzyki razem z nią. Syrena wciąż wyla. Od migotania stroboskopów Cavanaughowi zrobiło się niedobrze.

- Na miłość boską, nie wchodź tam, dopóki ci nie powiem! - zawołał. - Niech mi ktoś da pistolet!

- Nie wolno ci.

Cavanaugh porwał z furgonetki latarkę i strzelbę.

- Hej! - krzyknął operator.

Zanim ktokolwiek zdążył go powstrzymać, Cavanaugh przeskoczył przez barykadę. Dobiął do domu po prawej i przemykając od drzewa do drzewa, popędził w stronę słupa wysokiego napięcia. Słup stał na prawo od domu Prescottta. Cavanaugh zbliżył się do stroboskopów i zwolnił. Dobiął do ostatniego domu po prawej i skręcił. Przebiegł wzdłuż ściany, a potem przeczołgał się przez wąskie podwórko. Sięgający pasa kamienny murek odgradzał go od urwiska. Syrena prawie zagłuszała huk przyboju. Cavanaugh doczołgał się do wysokiego drewnianego ogrodzenia, oddzielającego go od posiadłości Prescottta. Za płotem obok domu stał słup. Na jego szczycie zainstalowano duży szary transformator.

Cavanaugh zamierzał przejść przez płot i odszukać zewnętrzną skrzynkę z bezpiecznikami obok licznika prądu. Przełącznik w skrzynce wyłączyłby syreny i stroboskopy. Bał się jednak wystawić

głowę nad płot. Nie wiedział, co tam może na niego czyhać. Przyszło mu do głowy, że Prescott zamknął skrzynkę na klucz i zamontował w niej zabezpieczenie obezwładniające każdego, kto chciałby odłączyć prąd. Miał mało czasu. Zostało mu tylko jedno wyjście.

Zarepetował strzelbę, wycelował w transformator i strzelił. W szarej skrzynce pojawiła się trzydziestocentymetrowa dziura. Wycie i migotanie nie ustały. Cavanaugh przeładował strzelbę i strzelił po raz drugi. Hukowi wystrzału towarzyszył błysk i trzask transformatora. Posypały się iskry. Wszystko ucichło.

Dom Prescottta pograżył się w całkowitych ciemnościach.

Cavanaugh przemknął ostrożnie wzdłuż płotu i przykucnął na skraju. Wychylił się czujnie i przyjrzał frontowi ledwie widocznego budynku.

Na ulicy rozległ się pospieszny tupot stóp.

Słysząc było zaniepokojone głosy.

Nagle obok Cavanaugha do ziemi przepadł Rutherford.

- W porządku, jak jesteś taki dobry, to co teraz?

267

- Zanim ktokolwiek wejdzie do środka, musimy powybijają wszystkie szyby.

- Wszystkie szyby?

- Żeby bryza znad oceanu wyiała hormon ze środka. Inaczej każdy, kto tam wejdzie, wpadnie w panikę i zacznie strzelać do cieni. Tak jak ci ze SWAT-u.

Dołączyło do nich dwóch agentów FBI. Po drugiej stronie ulicy w zaroślach kryli się policjanci.

W ciszy słysząc było tylko stłumiony szum fal u podnóża urwiska. Z otwartych drzwi dobiegł jęk.

- Tony?! - Rutherford zawołał dowódcę SWAT-u.

Bez odpowiedzi.

- Tony, słyszysz mnie?

Cisza.

To o niczym nie świadczy, pomyślał Cavanaugh. Jeśli Tony żyje, nie chce zdradzić swojego położenia. Za drzwiami znów ktoś jęknął. Rutherford wyciągnął zza paska krótkofalówkę.

- Mówią coś przez radio? Odbiór.

- Nic - zatrzeszczało walkie-talkie.

W oddali Cavanaugh usłyszał wycie syren.

- Jeśli ktoś tam jeszcze żyje, wykrwawi się na śmierć, jeżeli nie za bierzemy go do szpitala.

- A Prescott zastrzelił nas jednego po drugim. Wiesz, w co wierzą baptyści? - spytał nieoczekiwanie Rutherford.

Cavanaugh pomyślał, że John mówi, żeby się uspokoić. -Nie. W co?

- Że ludzie są grzeszni.

- Z tym się zgodzę.

- A naszą jedyną nadzieją jest boskie miłosierdzie.

- Z tym też.

- Niech Bóg się nad nami zmiłuje - powiedział Rutherford i pope dził w stronę sosny stojącej przed wejściem do domu.

Cavanaugh chciał pobiec za nim, ale nogi nieoczekiwanie odmówiły mu posłuszeństwa.

Przypomniał sobie zapach hormonu i zapragnął uciec stąd jak najdalej.

Rutherford powiedział coś przez krótkofalówkę. Syreny zawyły bliżej, a agenci FBI i policjanci ruszyli w stronę budynku.

- To prawda, niech się nad nami zmiłuje - powtórzył Cavanaugh.

Słyszając kolejny jęk, puścił się biegiem. Karcąc się w myślach za to, że

268

prawie stchórzył, przebiegł przez trawnik, dopadł ściany między oknami i kolbą roztrzaskał w nich szyby. Pół minuty później usłyszał brzęk tłuczonego szkła z tyłu domu.

Cavanaugh czekał, aż Prescott zacznie strzelać. Zasłony w oknach załopotwały, targane morską bryzą.

- Co to za zapach? - spytał jeden z policjantów.

- Odsunąć się od domu! - krzyknął agent.

- Kryć się! Tam się coś rusza!

- Nie strzelać, dopóki nie sprawdzicie celu! - zawołał Rutherford.

Z domu wybiegł jeden z policjantów.

Za nim wypadli dwaj agenci i popędzili w stronę barykady.

Cavanaugh wstrzymał oddech.

W końcu jednak musiał odetchnąć. Powiew niósł ku niemu gryzący zapach hormonu. Nawet rozrzedzony wstrząsnął jego mózgiem. Całe ciało Cavanaugha natychmiast spłynęło potem.

Uciekłyby, gdyby nie paraliżowała go panika. Wiatr wywiał z domu resztki hormonu, ale chociaż w powietrzu czuć było już tylko morską sól, Cavanaugh ciągle drżał.

- Salon czysty! - krzyknął ktoś w domu. Grupa ludzi wchodząca tylnym wyjściem miała wiatr w plecy, dzięki czemu nie ogarnęła ich chmura hormonu.

- Pokój telewizyjny czysty!

- Gościenny czysty!

- Łazienka czysta!

Za oknami migotały latarki. Agenci i policjanci wślizgnęli się do środka frontowymi drzwiami.

- Druga sypialnia czysta!

- Druga łazienka czysta!

- Gabinet czysty!

Litania okrzyków ciągnęła się dalej, w miarę jak policja przetrząsała kolejne pomieszczenia.

Cavanaugh wszedł do środka. Zamiast zapachu hormonu poczuł smród kordytu i odór krwi.

- Zdjąć blokadę! Dajcie tu karetki! - krzyknął do krótkofalówki Rutherford.

Cavanaugh zobaczył go pochylonego nad leżącym na podłodze ciałem. W świetle latarki na mundurze SWAT-u widać było krew. Mężczyzna dostał w twarz.

W następnych pokojach Cavanaugh zobaczył więcej ciał i krwi. Dzięki Bogu niektórzy komandosi ruszali się i jęczeli - kamizelki kuloodporne osłoniły ich korpusy. Mimo to mogli się wykrwawić od poranionych rąk i nóg.

269

Przez wybite okno Cavanaugh zauważył światła dwóch karetek pędzących w stronę domu.

Przyjrzał się zamontowanym wszędzie lampom stroboskopowym i syrenom.

- Główna sypialnia czysta!

- Główna łazienka czysta!

- Garaż czysty!

- Pralnia czysta!

- Ciemnia czysta!

Przyświecając sobie latarkami, do domu wpadli sanitariusze. Biegali teraz od ciała do ciała, robiąc wszystko, co w ludzkiej mocy, by utrzymać rannych przy życiu.

- Miałeś rację - powiedział Rutherford. - Wystrzelali się nawzajem.

Cavanaugh wskazał wiszącą w rogu konstrukcję.

- Stroboskopy były tak ustawione, że wyglądały jak błysk broni.

Może nawet wyświetlały migającą sylwetkę człowieka. Syreny pobudzały odruch samoobrony. Nie mogli odróżnić własnych ludzi od wroga. Wystarczyło, żeby jeden wpadł w panikę i zaczął strzelać. Reszta zrobiła to samo.

- Zawodowcy - zauważył Rutherford.
- Tacy sami jak rangersi, którzy wystrzelali się na bagnach. Cholera, gdzie jest Prescott?

Przybyły posiłki. Cały dom rozbłyskiwał światłem latarek, kiedy dwa tuziny policjantów i agentów federalnych zaczęło go przetrząsać od nowa.

- Nie ma piwnicy, nie ma strychu - powiedział Rutherford.
- Dach jest spadzisty. Musi być pod nim jakaś przestrzeń - zauważył Cavanaugh.
- Dwaj agenci przeszukali ją centymetr po centymetrze. Prescott tam nie ma.
- Kiedy SWAT podchodził do domu, zgasił światło - powiedział Cavanaugh. - Ustawił czujniki ruchu włączające stroboskopy i syreny.
- A potem wymknął się tylnym wyjściem - dokończył Rutherford. - Sprawdźcie sąsiednie posesje. Przeszukajcie domy. Postawcie radiowozy na ulicach i na autostradzie. Jeśli ucieka pieszo, daleko nie zajdzie.

- Z tym jest problem - powiedział agent.

-Problem?

- W garażu nie ma samochodów. Może ukrył jakiś w okolicy.

Po raz pierwszy w życiu Cavanaugh usłyszał, jak Rutherford klnie. Zatrzeszczała krótkofalówka. Cavanaugh rozpoznał głos operatora z furgonetki.

- Jest tam z panem ten ochroniarz? Odbiór.

270

- Stoi obok mnie. Odbiór.

- Niech mu pan powie, że właśnie dzwoniłi ze szpitala.

Cavanaugh siedział w kącie jasnej sali na oddziale intensywnej terapii. Naprzeciwko niego na łóżku leżała blada, nieprzytomna Jamie. Do piersi miała przymocowane elektrody, w lewą rękę wklutą kroplówkę, a w krtani rurę respiratora. Za nią migotały wskaźniki tętna, ciśnienia krwi i rytmu pracy serca.

Jeden z chirurgów, szczupły Latynos, odwrócił się do Cavanaugha.

- Jest bardzo silna.

- Tak - potwierdził Cavanaugh.

- Będę wiedział więcej za dwanaście godzin, ale jej żywotność to dobry znak. Mamy powody do optymizmu.

Cavanaugh kiwnął głową, wpatrzony w Jamie.

- Ma panu za co dziękować - powiedział chirurg. - Umarłaby, gdyby nie zatamował pan krwawienia taśmą klejącą.

- Nie - zaprzeczył Cavanaugh. - Zupełnie nie ma mi za co dziękować.

Lekarz spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Gdybym jej usłyszał, w ogóle nie zostałaby postrzelona.

Monitor serca popiskiwał.

- Mogę tu zostać? - spytał Cavanaugh.

- Zazwyczaj nie pozwalamy...

Cavanaugh spojrział błagalnie.

- Dobrze - zgodził się chirurg.

- Światło. - Cavanaugh skrzywił się. - Możecie zakryć jej czymś oczy?

- Kiedy tylko skończymy badania, zaciemnimy pokój.

- A teraz?
- Poproszę pielęgniarkę, żeby przyniosła ręcznik.
- Dziękuję.

Trzydzieści sekund później Cavanaugh został sam z Jamie. Respirator syczał, świszczwał i pohukiwał. Pierś Jamie podnosiła się i opadała.

- Przepraszam - powiedział.

Bolały go wszystkie mięśnie. Czuł się, jakby miał piasek pod powiekami. Zamknął oczy, osunął się na plastikowym krześle i natychmiast zasnął.

271

Nie obudził się, kiedy pielęgniarka przyszła sprawdzić stan Jamie i zmienić kroplówkę.

10

Była druga po południu. Cavanaugh jechał pożyczonym, nieoznakowanym samochodem policyjnym Highway One. Zatrzymał się na poboczu tuż przed skrzyżowaniem do Carmel Highlands. Wysiadł z wozu i trzymając się blisko drzew, podszedł do zakrętu. Popołudnie było przyjemne, niebo bez chmurki, ale Cavanaugh patrzył tylko na gałęzie drzew tuż za skrzyżowaniem. Zbliżał się do nich pod kątem. Zdjął okulary przeciwsłoneczne, żeby lepiej widzieć drzewa.

Nie zobaczył tego, czego szukał. Wyjął więc lornetkę. Cały czas trzymając się na uboczu, patrzył na miejsca, gdzie konary łączyły się z pniami. Po dziesięciu minutach jedynym obiektem jego zainteresowania była już tylko wysoka sosna po lewej, jakieś dziesięć metrów za skrzyżowaniem. Regulując ostrość, przyjrzał się szparze w gęstwinie gałęzi i pokiwał głową.

11

Cavanaugh po raz drugi zatrzymał się niedaleko wylotu ulicy Pres-cotta. Wysiadł z samochodu. Trzymał się pobocza tak samo jak poprzednio. Teraz, kiedy już wiedział, czego szukać, po pięciu minutach wypatrzył małą kamerę przymocowaną metalową klamrą do gałęzi sosny dziesięć metrów dalej. Klamra pomalowana była na brązowo, żeby nie różniła się od kory. Kamera przypominała te, które Prescott zainstalował na parkingu biurowca. "W Internecie pełno jest reklam", powiedział wtedy. "Skontroluj opiekunkę do dzieci". "Zobacz, jak nastoletnia córka sąsiada opala się w ogrodzie".

Albo jak policja organizuje szturm na twój dom i próbuje wziąć cię z zaskoczenia. Wczoraj w nocy Prescott widział każdy nasz ruch od chwili, kiedy wjechaliśmy do Highlands. Cavanaugh przypomniał sobie, jak światła w domu zgasły w chwilę potem, gdy komandosi ruszyli w jego stronę. Oczywiście, pomyślał, Prescott miał nadzieję, że jasno oświetlony dom odstraszy policję i da mu to trochę czasu. Ale kiedy zobaczył atakujących policjantów, przeszedł do etapu drugiego: wyłączył światła, ustawił detektory ruchu uruchamiające stroboskopy i rozpylił w powietrzu hormon.

272

Trzymając się z dala od pola widzenia kamery, Cavanaugh wrócił do samochodu. Wjeżdżając na ulicę Prescottta, po raz pierwszy zobaczył wyraźnie jego dom - niski, modernistyczny, zbudowany z ułożonych warstwami płaskich kamieni. Do frontowych drzwi prowadził obsadzony krzewami podjazd. Drzwi do podwójnego garażu były otwarte. Całą posiadłość otaczała rozpięta między drzewami żółta taśma z napisem: POLICJA. MIEJSCE PRZESTĘPSTWA. WSTĘP WZBRONIONY.

Co innego jednak przykuło uwagę Cavanaugha. Dwaj elektrycy stojący na podniesionej platformie ciężarówki naprawiali transformator na słupie. Brodaty mężczyzna wyładowywał na podjeździe swojego pikapa. Połowa wybitych okien była już zasłonięta sklejką. Po lewej stronie przy krawężniku stały przodem do Cavanaugha dwa radiowozy i nieoznakowany ciemny sedan FBI. Cavanaugh zawrócił powoli przed domem. Zajrzał niepostrzeżenie pod okap. Małe skrzynki z otworami mogły być budkami dla ptaków, ale mogły też skrywać kamery.

Zaparkował przed radiowozami, wysiadł z samochodu i spokojnie ruszył w stronę domu. Ze środka wyszedł Rutherford i przyjrzał mu się uważnie.

- Z twoją żoną już lepiej? - Chociaż Rutherford przebrał się i ogolił, wyglądał kiepsko. Sińce na twarzy sprawiały, że wydawał się blady.
- Ciągłe jest nieprzytomna. - Cavanaugh zmusił się, żeby mówić dalej. - Ale chirurg twierdzi, że wygląda to lepiej, niż się spodziewał. Mamy coraz więcej nadziei.
- To dobrze. - W głosie Rutherforda zabrzmiała autentyczna ulga. - Przypadkiem dowiedziałem się, że nazywa się Jamie, a nie Jennifer.
- Przykro mi.
- Oczywiście.
- Myślałem, że jeśli zataję jej imię, uda mi się ją przed tym ochronić.

- Ale nie udało się, prawda?

-Nie. Nie udało się.

- Po co przyjechałeś?

273

- W szpitalu nic nie mogę zrobić. Czekanie... - Rozejrzał się dookoła. - Miałem nadzieję, że przydam się wam do czegoś.

- Nie wiem, do czego. Prescottta dawno nie ma. Albo miał ukryty gdzieś w okolicy samochód, albo udało mu się jakiś ukraść. Zaalarmowa liśmy wszystkie miasteczka na północ i na południe stąd. Patrole na autostradzie. Lotniska. Przystanie. Stacje kolejowe i autobusowe. Co chcesz. Obserwujemy samochód, który zostawił w Pacific Grove, furgonetkę w ga-
rażu, gdzie stało porsche.

18-Siła strachu

Brodacz przybijał sklejkę do kolejnego okna. Cavanaugh wskazał ruchem głowy otwarte frontowe drzwi.

- Ekipa z laboratorium skończyła?

- Nie znaleźli nic, co by się nam przydało. Skonfiskowaliśmy komputer Prescottta i wszystkie dokumenty. Może pozwoli nam to go namierzyć.

Cavanaugh wszedł do domu. Zewsząd dobiegały go głosy. Federalni i miejscowi detektywi kończyli ostatnią inspekcję. W świetle dnia ogrom domu robił wstrząsające wrażenie. Drogie modernistyczne meble znakomicie pasowały do architektury, chociaż kule zniszczyły większość krzesel, kanap, stołów i lamp. Podziurawione były też ściany i oprawione w ramki, czarno-białe zdjęcia okolic Carmel. Wszędzie pełno było potłuczonego szkła. Bryza rozwiała zapach krwi, ale jej plamy były widoczne na podłodze.

Cavanaugh przyjrzał się zamontowanemu w rogu stroboskopowi. Kolorowe żarówki zostały ułożone tak, że przypominały abstrakcyjne dzieło sztuki. Nie wzbudzały podejrzeń kogoś, kto zobaczyłby je przez okno.

- Liczba ofiar się nie zmieniła? - spytał.

- Pięciu zabitych. Pięciu w stanie krytycznym, ale stabilnym. Wygląda na to, że z tego wyjdą.

- Dzięki Bogu chociaż za to.

Cavanaugh przeszedł przez salon, schylił się pod żółtą taśmą i wyszedł na kamienny taras. W donicach rosły krzewy i kwiaty. Zamyślony wychylił się przez barierkę. Piętnaście metrów pod nim fale rozbijały się z hukiem o skały. Poczul na twarzy wodny pył.

- Łodzie patrolowe szukają w wodzie ciała, na wypadek gdyby Prescott okazał się wariatem i próbował tędy zejść - powiedział Rutherford.

- Warto sprawdzić.

Starał się zachowywać swobodnie. Odwrócił się i zobaczył następne dwie budki dla ptaków przymocowane pod okapem. Jedna skierowana była w prawo, druga w lewo. Jeśli w środku były kamery, a tego był pewien, Prescott widział każdego, kto próbowałby obejść dom dookoła.

Kiedy wrócił do środka, brodacz zabijał kolejne okno. Frontowymi drzwiami wyszło czterech detektywów. Dwaj agenci federalni czekali na Rutherforda.

- Zostaniemy tu i zamkniemy wszystko na klucz, kiedy tylko naprawią prąd i zabiją wszystkie okna - powiedział Rutherford.

Cavanaugh pokiwał głową.

Sprawdził gabinet, sypialnie i łazienki. Poszedł do garażu i obejrzał pralnię, a potem ciemnię.

274

Rutherford cały czas szedł za nim.

W końcu wyszedł przed dom, popatrzył jeszcze chwilę i pokręcił głową.

- Widzisz, mówiłem ci - powiedział Rutherford.

- Nie możesz mi zarzucić, że się nie starałem.

- To prawda. O to jedno nie mogę mieć do ciebie pretensji.

- Powinienem być zostać w szpitalu.

12

- Nie, proszę pana. Żadnych zmian - powiedziała pielęgniarka.

13

- Mogę w czymś pomóc? - spytał żylasty sprzedawca w sklepie z bronią.

- Potrzebna mi strzelba.

- Jakaś konkretna?

- Remington 870 kaliber dwanaście.

- No to raczej konkretna. Nie jest pan czasem policjantem?

- Nie, dlaczego pan pyta?

- Większość komisariatów lubi ten model. To ulubiona broń oddziałów specjalnych.

- Naprawdę? - zdziwił się uprzejmie Cavanaugh.

14

- Potrzebna mi najmocniejsza piłka do metalu, jaką pan ma, i kilka zapasowych brzeszczotów - powiedział Cavanaugh sprzedawcy w sklepie z artykułami żelaznymi.

15

- Potrzebna mi pianka do nurkowania - poprosił w sklepie dla nurków.

275

16

- Potrzebny mi ponton, do którego można podczepić silnik - powiedział w sklepie z militariami.

- Chodzi panu o coś w rodzaju zodiaca?

17

W motelowym pokoju Cavanaugh patrzył na zestaw do makijażu, który Jamie zostawiła na komodzie. Zadzwoił do szpitala, ale znów usłyszał, że nic się nie zmieniło.

Ściągnął z łóżka materac i klamrami przypiął do ramy strzelbę. Odpiłował dziesięć centymetrów lufy. Zabrało mu to godzinę, zniszczył kilka brzeszczotów, ale nie był świadom upływającego czasu. Miał wiele spraw do przemyślenia.

Po kolejnym telefonie do szpitala ("Bez zmian") otworzył dwa pudełka naboju "tactical". Lubił je, bo gruby śrut nie rozchodził się tak bardzo na boki przy strzelaniu na większą odległość.

Otworzył kciukiem nowego emersona CQC-7 i naciął każdą plastikową łuskę dookoła, mniej więcej w dwóch trzecich długości. W tym miejscu ładunek prochu styka się ze śrucinami.

Cavanaugh musiał uważać, żeby nie ciąć za głęboko i nie uszkodzić pocisku. Nacięcie musiało być jednak na tyle mocne, żeby dwie trzecie łuski oderwało się w chwili wystrzału. Wybuch prochu wyrzucał w ten sposób nie tylko same śruciny, ale też część plastikowej tulejki. W efekcie rozrzut

był niewielki, śrut zaś leciał zwartą masą, która eksplodowała, trafiając w cel.

18

Po zapadnięciu zmroku Cavanaugh pojechał Highway One do niskiego mostku na południe od cypla Lobos. Właśnie tutaj Prescott zepchnął taurusa do wody. Zaparkował na poboczu, zaczął na przerwę w sznurze samochodów i zniósł nad wodę sflaczały ponton. Napompował go sprężonym powietrzem i przycumował do głazu. Wrócił jeszcze dwa razy do samochodu po mały, zewnętrzny silnik i wodoodporną, niezatapialną torbę ze sprzętem. Piankę założył na siebie jeszcze w motelu. Teraz musiał tylko zdjąć sportową kurtkę, którą narzucił dla niepoznaki.

276

Ręce i stopy chroniły mu gumowe rękawice i buty. Odepchnął się od brzegu, włączył silnik i wypłynął na rozświetlony księżycem ocean. Trzymał się w stałej odległości stu metrów od poszarpanej linii brzegu, orientując się według światełek domów Highland.

Kiedy dopłynął do urwiska pod domem Prescottta, wyłączył silnik i zaczął wiosłować. Bezgłośnie zbliżył się do skał. Na górze naprawiono już prąd, mógł więc kierować się na zapalone dookoła domu światła. Fale i prąd powrotny utrudniały sterowanie pontonem. Pocąc się z wysiłku, na przemian to podpływał do skał, to zwracał się do nich burtami.

Był już zbyt blisko, żeby dalej płynąć pontonem. Twarz ochlapały mu rozbryzgi wody. Założył gumowy kaptur, płetwy i maskę z rurką. Złapał torbę ze sprzętem i skoczył do wody. Wstrząs termiczny na chwilę go sparaliżował, potem jednak woda dostała się do wnętrza kombinezonu i wypełniła cienką warstwę między gumą a skórą. Jego ciało prawie natychmiast ją podgrzało i było mu zimno już tylko w twarz. Prąd powrotny był jednak przerażająco silny. Ze wszystkich sił Cavanaugh walczył z żywiołem. Ciągnął za sobą torbę przymocowaną do lewego nadgarstka mocną, nylonową linką. Nadciągająca fala uniosła go i niemal roztrzaskała o skałę. Serce zabiło mu gwałtownie. Niewiele brakowało, a zmieniłby zdanie i wrócił do pontonu.

Nie mógł sobie jednak na to pozwolić, nie mógł ulec strachowi. Gdyby to zrobił, wiedział, że byłaby to pierwsza z wielu porażek w walce z samym sobą. Przybój wciągnął go pod wodę. Uniósł. Opuścił. Cavanaugh wydmuchał wodę z rurki i spojrzał przed siebie przez zalaną wodą szybkę maski. Oceniał siłę przyboju, zaczął płynąć, omijając sterczące z wody głazy. Fala cisnęła nim o skały. Gdyby nie piankowy kombinezon, ostry granit poharatałby mu ramię. Krzywiąc się z bólu, Cavanaugh do-sięgnął skalnego występu. Zmyło go. Następna fala znów rzuciła go na urwisko, ale tym razem udało mu się chwycić skały. Jęknął, zacisnął mocno uchwyt i wyciągnął drugą rękę. Znalazł szczelinę wyżej i podciągnął się, zanim kolejna fala omal nie ściągnęła go z powrotem. Wisząc nad grzmiącą wodą, Cavanaugh puścił się jedną ręką i zerwał z twarzy maskę. Oddychał gwałtownie. Zrzucił maskę do wody i kopnięciem pozbył się płetw. Wcisnął stopę w gumowym bucie w zagłębienie skały. Wisiał chwilę, żeby uspokoić oddech. Zaraz jednak rozpoczął mozolną wspinaczkę w górę. Poobcinał końcówki palców rękawiczek, żeby pewniej łapać się uchwytów, ale reszta ograniczała swobodę ruchów. Musiał je zdjąć, ciągnąc zębami za każdy palec z osobna. Natychmiast przemarzył mu dłonie, ale nie stracił czucia i nadal piął się w górę.

277

Linka na jego lewym nadgarstku przymocowana była do szpuli z regulowaną blokadą. Zwolnił ją, dopływając do skał, tak że mogła się rozwijać, a torba cały czas pływała na dole. To pozwoliło wspinać mu się bez obciążenia. Wyżej. Miał wrażenie, że krwawią mu palce. Nieważne. Liczyło się tylko to, żeby się nie poddać. Sięgnął w górę, szukając uchwytu. Oparł stopę w szczelinie. Znow sięgnął. Dotknął niskiego murka na szczycie urwiska i poczuł przyływ energii, wiedząc, że tę część męczarni ma już za sobą.

Miniaturowe kamery pod okapem skierowane były na siebie. Pokazałyby każdego, kto próbowałby się przekraść wokół domu. Ale ich zasięg nie obejmował barierki tarasu. Cavanaugh stanął na murku i zaczął zwijać linkę, wciągając na górę torbę. Kiedy postawił ją na tarasie, ociekała wodą. Tymczasem zdążył przyjrzeć się domowi Prescottta od tyłu. Jasne lampy oświetlały narożniki i podwójne drzwi do salonu. Okna zabite były sklejką i zamknięte na kłódkę. Przez środek biegła

żółta taśma policyjna z napisem WSTĘP WZBRONIONY. Przybite do drzwi obwieszczenie stwierdzało, że wejście bez pozwolenia na teren posiadłości będzie karane.

Cavanaugh otworzył wodoodporną torbę. Wyjął z niej obciążoną strzelbę i nylonową torebkę z pociskami. Emersona przypiął do kołnierza kombinezonu. Wyjął też zestaw wytrychów. Ściągnął z głowy kaptur i założył na szyję okulary noktowizyjne.

Gotów do działania, zeskoczył na taras i podpełzł po posadzce do drzwi. Tego miejsca kamery już nie widziały. Przykucnął, ryzykując, że zostanie zauważony, i pospiesznie otworzył wytrychem kłódkę. Wślizgnął się do środka, zamknął za sobą drzwi, założył noktowizyjne gogle i wycelował przed siebie strzelbę.

Ciemne wnętrze pokoju lśniło zielonkawo. Cavanaugh rozejrzał się po rumowisku w salonie. Sprawdził kolejno pokój telewizyjny, sypialnię i łazienkę dla gości. Nie interesowały go, ale musiał się upewnić, że nic mu nie grozi. Zadowolony przeszedł na drugą stronę domu, słysząc chrzęst szkła pod gumowymi butami. W powietrzu wciąż unosił się słaby smród kordytu. Uświadomił sobie, że kamery musiały go zauważyć, kiedy otwierał kłódkę, bo nagle poczuł mocny, ostry zapach hormonu.

Do tej pory w kombinezonie było mu ciepło. Teraz zaczął się pocić jak w saunie. Od gorąca zakręciło mu się w głowie. Rozpiął kombinezon na piersi. Nie poczuł żadnej różnicy.

W piwnicy Karen myślał, że doświadczył całej siły działania hormonu, ale teraz zrozumiał, że dotąd nie miał pojęcia jak potężną broń stworzył Prescott. Nogi się pod nim ugięły. W żołądku czuł na przemian lodowate zimno i palący żar. Serce biło mu tak szybko, że był na granicy omdlenia.

278

Kurczył się cały w sobie i modlił, żeby ten koszmar wreszcie się skończył. Coraz szybciej obracał się w miejscu i celował wszędzie wokół. Od gorąca zaparował zielonkawy wyświetlacz gogli.

Otoczony ze wszystkich stron przez potencjalne niebezpieczeństwo, z polem widzenia ograniczonym przez strach, zauważył mierzącego do niego mężczyznę w korytarzu prowadzącym do głównej sypialni. Już miał do niego strzelić, kiedy uświadomił sobie, że to tylko cień i że tak właśnie zareagowali rangersi i SWAT.

Cavanaugh miał nad nimi tę przewagę, że wiedział, czego się spodziewać. Kiedy ostry smród nasilił się do tego stopnia, że poczuł w ustach smak żółci, usłyszał irytujące, żalose popiskiwanie i uświadomił sobie, że wydobywa się z jego gardła. Piski były coraz głośniejsze, narastały do krzyku, który stłumił, rzucając się biegiem do drzwi sypialni.

Wpadł do środka, nie ośmielając się myśleć, wahać ani zastanawiać. W olbrzymim pokoju stała wielka konsola gier wideo. Na ścianie nad łóżkiem wisiał plazmowy płaski telewizor, a obok stała szafka z elektroniką. Na prawo od telewizora w ścianie znajdowały się przesuwane drzwi do garderoby. Po południu Cavanaugh zajrzał tam i zobaczył markowe marynarki Prescott'a wiszące na metalowym pręcie oraz drogie koszulki, golfy i swetry poukładane na cedrowych półkach.

Teraz wepchnął do garderoby komodę z takim impetem, że złamał wieszak. Ściągnął ze ściany telewizor i przewrócił szafkę z konsolami. Zablokował w ten sposób drzwi i odsłonił ścianę. Wyjął z torby z nabojami zatyczki i drżącymi palcami wcisnął je sobie do uszu. Smród hormonu był tak silny, że Cavanaugh omal nie zwymiotował. Przeklinając, cofnął się, podniósł strzelbę i strzelił w ścianę metr pod sufitem. Odrzut omal go nie przewrócił. Zauważył, że większa część plastikowej łuski oderwała się od pocisku, kiedy wybuchł proch. Pocisk niczym miniaturowa rakietka pomknął w stronę ściany i eksplodował, wybijając w niej dziurę wielkości pięści. Za ścianą coś świeciło bladym, upiornym blaskiem.

Cavanaugh szarpnął przedni uchwyt strzelby, wyrzucając resztkę łuski i ładując do komory następny nabój. Ogarnięty szałem znów strzelił w ścianę, celując metr od pierwszego otworu. Miniaturowa rakietka wybiła kolejną dziurę. I jeszcze jedną. Z każdej sączyła się blada poświata. Remington 870 mieścił cztery pociski w magazynku i jeden w komorze. Cavanaugh szybko wystrzelił wszystkie pięć, celując coraz niżej. Smród kordytu wyparł gorzki zapach hormonu. Cavanaugh niezgrabnie i w pośpiechu zaczął wpychać nowe pociski do strzelby. Pomimo zatyczek w uszach usłyszał dobiegające zza ściany stłumione krzyki. Znów zaczął strzelać.

Wybijał w ścianie kolejne dziury. Prescott wrzeszczał coraz przeraźliwiej. Cavanaugh znów załadował i strzelił. Z każdą dziurą poświata zza

ściany była coraz mocniejsza. Cała sypialnia wypełniona była dymem. Ładuj. Strzelaj. Ładuj. Strzelaj. Cavanaugh celował już metr nad podłogą. Z tej wysokości dobiegały krzyki Prescottta, zepchniętego w dół coraz niższymi salwami.

- Uwierzyłem, że uciekłeś! - krzyknął Cavanaugh. Strach i zatyczki w uszach sprawiły, że jego głos zdawał się dobiegać z oddali. - A potem zauważyłem te małe kamerki przed domem!

Załadował strzelbę i wywalił jeszcze jedną dziurę, metr nad podłogą, zmuszając Prescottta do skulenia się na ziemi. W powietrzu latały drzazgi i kawałki gipsu.

- Tyle kamer! - ryknął Cavanaugh jak zwierzę. - Kamerki potrzebu ją monitorków! Więc gdzie są te pieprzone monitorki?!

Strzelił jeszcze raz. Zapach hormonu był tak silny, że mało nie popuścił w spodnie.

- Gdzie jest garderoba, która musiała być w takiej wielkiej sypialni?

Załadował i strzelił. Przez otwory sączyła się poświata ekranów monitorów, ustawionych na półkach pod ścianą, z dala od miejsca, które patroszył śrutem.

- Nietrudno postawić w niej ściankę! Coś, co mógłbyś obracać jak drzwi i zamykać na klucz od środka!

Jeszcze raz pociągnął za spust. Wiedział, że sąsiedzi usłyszą strzały i wezwą policję. Nie obchodziło go to. Przed przyjazdem policji załatwi wszystko, co ma do załatwienia.

- Co zrobiłeś, przywiozłeś materiały furgonetką z parkingu? - Strzelba

znów ryknęła. - Sąsiedzi nie wiedzieliby, że budujesz ściankę w gardero bie! Półki pod monitory! Przewód wentylacyjny, połączony z głównym systemem! Połówka! Jedzenie! Przenośny kibel! Jak za pierwszym ra zem, kiedy cię spotkałem! Siedziałeś wtedy w swojej dziurze! Siedzisz w swojej dziurze teraz! Jak szczur!

Cavanaugh pociągnął za spust i wywalił środek ściany. Z poszarpanych otworów biło teraz już tyle światła, że musiał zsunąć gogle na czoło.

- Wszyscy byli pod wrażeniem wielkiego telewizora na ścianie i ni komu nie przyszło do głowy, że ty za nią siedzisz! Za kilka dni, kiedy policja przestałaby cię szukać w okolicy, mógłbyś wyjść w nocy! Ukradł byś samochód i był już w San Francisco, zanim ktokolwiek zgłosiłby kradzież! Nikt nie powiązałby tego z tobą, zwłaszcza, gdybyś pamiętał o wytarciu odcisków palców, tak jak cię uczyłem!

Dłonie i twarz Cavanaugha ociekały potem. Wyrzucił z komory resztki ostatniej łuski i zaczął łaadować.

280

Nagle oszołomił go grad pocisków zza pokiereszowanej ściany. Roztrzaskując deski i gips, ktoś strzelał z drugiej strony seria z karabinu szturmowego. AR-15 Roberta, pomyślał Cavanaugh, rzucając się na podłogę. Zatyczki w uszach tylko częściowo wytlumiły staccato strzałów. Sypialnię zasłaly kawałki gipsu, kule podziurawiły wezłowie łóżka i ścianę nad Cavanaughem. Pękały lampy i ramy zdjęć. W poszarpanej ścianie Cavanaugh zobaczył błysk ognia wylotowego. Nagle strzały umilkły. Cavanaughowi zdawało się, że usłyszał przekleństwo, zgrzyt metalu i szarpaninę z zaciętym w komorze pociskiem. W następnej chwili resztki podziurawionej ściany rozprysnęły się na boki i wypadł z nich z wraskiem Prescott. Od pasa w górę był nagi, nie licząc kevlarowej kamizelki. Poświata monitorów odbijała się od jego spoconych, potężnych ramion i łysej głowy. Nawet w półmroku jego oczy błyszczały. Ostry zarys szczęki i podbródka emanował furją zapędzonego w kąt drapieżnika. Cisnął karabin, przeskoczył nad rozbitym telewizorem i rzucił się na Cavanaugha z taką siłą, że ten czuł, jak ucieka mu z płuc powietrze. Kamizelka kuloodporna

usztyniła jeszcze potężną sylwetkę Prescottta; Cavanaughowi zrobiło się szaro przed oczami. Prescott złapał go za gardło. Pozbawiony powietrza, Cavanaugh czuł, jak kręgi szyi zginają mu się do środka, są na krawędzi pęknięcia. Huknął Prescottta otwartymi dłońmi w uszy. Usłyszał jego wrzask. Prescott odskoczył.

Cavanaugh przetoczył się do upuszczonej strzelby, ale Prescott dopadł jej pierwszy, pociągnął za spust. Huk przelatującego pocisku był ogłuszający. Śrut trafił w konsolę do gier, rozwalając ją na kawałki. Prescott nie znalazł się na mechanice strzelb i zbyt długo męczył się z usunięciem pustej łuski z komory, dając Cavanaughowi czas na atak. Obydwaj mężczyźni zderzyli się, przelecieli przez połamane drzwi i wypadli na jasno oświetlony balkon.

Reflektory raziły Cavanaugha w oczy. Prescott dźwignął się na nogi.

-Nic ci to nie da. - Głos Cavanaugha drżał ze strachu. Mocną chłodną morską bryza wypełniła mu usta i nos. -Zdażyłem załadować tylko jeden nabój, zanim przebiłeś się przez ścianę.

- Akurat.

Cavanaugh odpiął od kombinezonu nóż Emersona i otworzył go kciukiem. Kilka razy głęboko odetchnął. Nie czuł się od tego lepiej, ale też mu się nie pogarszało.

- Głupi, przyszedłeś z nożem na strzelaninę - zakpił Prescott.

- To kawał z brodą.

- Ale to ja się będę śmiał. - Prescott nacisnął spust.

Nic się nie stało.

281

- Koniec przerwy, wracamy na lekcje - syknął Cavanaugh. Wyciągnął zatyczki z uszu i usłyszał w oddali wycie syren.

Prescott gapił się na pustą strzelbę.

- Co powiesz na lekcję walki nożem? - Cavanaugh rzucił się na niego.

Prescott odskoczył.

- Chodzi tu o równowagę... - Kolejne pchnięcie.

Prescott uchylił się w bok.

- O zręczność... - Cavanaugh ciął czarnym ostrzem w tył i w przód, z góry na dół, tak szybko, że nie było widać jego ruchów.

Prescott chciał rąbnąć go strzelbą.

-I o wiedzę... Gdzie ciąć, w zależności od tego, czy chce się zabić szybko czy wolno.

Prescott nie cofnął się. Nabral powietrza, mimowolnie ostrzegając Cavanaugha, że ma zamiar zaatakować. Rzucił się do przodu.

Cavanaugh uchylił się przed ciosem, ciął go w ramię i odskoczył, zanim Prescott zdążył znów się zamachnąć.

Olbrzym z niedowierzaniem patrzył na krwawiącą rękę.

Syreny zawyły bliżej.

Kiedy Prescott zerknął w ich stronę, Cavanaugh skaleczył go w drugą rękę.

Prescott z wściekłością zamachnął się strzelbą i sapnął, kiedy Cavanaugh przeszedł pod ciosem i wbił Emersona w kamizelkę kuloodporną na jego brzuchu.

Cofnął się na osłabłych nogach, patrząc w szoku na zakrwawione ostrze w ręku Cavanaugha. Spod kamizelki pociekła krew, znacząc na czerwono bawełniane spodnie Prescottta. Jego oczy rozszerzyły się w niedowierzaniu; nie mógł się pogodzić z tym, co widział.

- Rana jest za płytka, żeby cię od razu zabić - powiedział Cavanaugh. - Przed tobajeszcze długie krwawienie.

- Jak... - sapnął Prescott.

- Taki mądrała jak ty na pewno się domyśli. Kamizelka jest zrobiona z polimerowych włókien. Zatrzymuje tylko tępą siłę pocisków.

- A nóż jest dość ostry, żeby wbić się między włókna?

- Zdałeś test. - Cavanaugh znów pchnął.

Ale Prescott wykorzystał chwilę przerwy do zebrania sił. Zamiast odskoczyć w tył, zaskoczył

Cavanaugh - rzucił strzelbę i zaatakował, przygważdżając mu ręce do boków, zanim ten zdołał go choćby drasnąć. Splótł dłonie za jego plecami i napiął mięśnie.

Cavanaugh czuł się, jak w metalowych obręczach. Nie mógł poruszać piersią, wciągnąć powietrza do płuc. Widział oszalałe oczy Prescott-

282

ta kilka centymetrów od swoich i nagle zakręciło mu się w głowie. Światła tarasu zdawały się przygasać. Ręce miał unieruchomione i nie mógł użyć noża. Był tak blisko Prescottta, że nie mógł też kopnąć go kolanem w krocze.

Rozpaczliwym ruchem zahaczył nogą o jego kostkę i szarpnął. Prescott upadł do tyłu. Cavanaugh pchnął; wyładował na przeciwniku, odbierając mu na chwilę oddech. Prescott rozluźnił uścisk na tyle, że Cavanaugh zdołał się wyrwać. Odskoczyli od siebie i zerwali się.

Cavanaugh pchnął nożem.

Prescott odskoczył w tył.

Cavanaugh znów pchnął.

Prescott znów odskoczył, uderzył w barierkę i przeleciał przez nią.

- Nie! - krzyknął Cavanaugh.

Rzucił się do przodu i w ostatniej chwili złapał Prescottta za rękę. Naukowiec huśtał się, drapiąc butami skałę urwiska. Ledwie mówił. -Proszę... nie... puszczaj...

- Ramię ciągle mnie boli po tym, jak mnie postrzeliłeś. - Cavanaugh przewiesił się przez murek. - Nie wiem, jak długo cię utrzymam.

Prescott złapał drugą dłoń Cavanaugha. W dole huczały fale rozbijające się o skały. -Boję...

- Wiem. Przez twój hormon jestem tak przerażony, że nie panuję nad rękami.

Jakby chcąc podkreślić to stwierdzenie, śliskie od krwi dłonie Prescottta zaczęły się wyślizgiwać.

- Na miłość boską - zachrypiął.

- Gdzie jest antidotum?

-Co?

- Powiedz mi, gdzie jest antidotum.

Syreny umilkły przed domem. Trzasnęły drzwi samochodu.

- Powiedz mi, gdzie jest antidotum, to pozwolę ci żyć.

Prescott osunął się niżej.

Drżące dłonie Cavanaugha poluzowały uścisk.

Prescott sapnął.

Cavanaugh skrzywił się i ścisnął mocniej.

- Gdzie jest antidotum?!

- Trzymaj ręce tak, żebym je widział! - krzyknął Rutherford z pistoletem wymierzonym w Cavanaugha.

- Chyba lepiej zrobię, co mi każe. - Cavanaugh zrobił ruch, jakby chciał puścić Prescottta.

283

-Nie, zaczekaj! -Antidotum! Gdzie jest?!

- W domu!

- Mów dalej. - Cavanaugh ścisnął teraz ręce Prescottta z całych sił.

- W mojej kryjówce! Za monitorem! W czerwonej puszcze!

- Niech to lepiej nie będzie spray na muchy, bo tak cię załatwię, że będziesz żałował, że nie spadłeś!

- Wyciągnij go! - Rutherford okrążył narożnik domu. Towarzyszyło mu kilku agentów FBI i policjantów. Wszyscy mierzyli do Cavanaugha.

Z drugiej strony domu pojawiła się taka sama grupa, z pistoletami i strzelbami.

Cavanaugh wciąż wisiał na murku.

- Co z nim będzie, John? Dogada się z rządem?

- Już nie. Za dużo ludzi wie o tym, co się stało wczoraj wieczorem.

Gazety i stacje telewizyjne na całym wybrzeżu zadają pytania. Tak samo kablówki, sieci, gazety wschodniego wybrzeża... Gdyby rząd układał się z wielokrotnym mordercą, pytań byłoby jeszcze więcej. Zostanie ukarany.

- Cokolwiek mu zrobią, to i tak będzie za mało. Prescott, słuchaj mnie - powiedział Cavanaugh, wyciągając go. - W więzieniu lepiej znów utyj, bo taki mięśniak jak ty będzie bardzo atrakcyjny dla kolegów z celi. A może lepiej najedz się jeszcze więcej stymulantów, żeby móc się od nich opędzać? Dopiero zaczynasz rozumieć, co to znaczy strach.

19

W bezlitosnym, jasnym świetle sali na oddziale intensywnej terapii Cavanaugh siedział przy Jamie, wypatrując najłżejszego drżenia jej powiek czy poruszenia mięśni ust. Z jej krtani usunięto już respirator. Pierś Jamie opadała i unosiła się o własnych siłach. Błyszczące monitory pilnujące jej tętna, ciśnienia i rytmu serca pokazywały równomierną poprawę.

- Dwadzieścia cztery godziny i żadnego pogorszenia - powiedział chirurg. - To doskonały znak.

- Prawda? - zgodził się Cavanaugh.

- Niech pan pójdzie się położyć, pośpi kilka godzin.

- Jeśli to panu nie przeszkadza, wolałbym zostać.

O szóstej trzydziści siedem rano (Cavanaugh dokładnie zanotował godzinę) zielone oczy Jamie wreszcie się otworzyły. Widać w nich było cierpienie i zmieszanie, ale kiedy go rozpoznała, najej poranionej twarzy pojawił się wyraz miłości.

284

- Rozumiesz, co mówię? - spytał Cavanaugh.

Kiwnęła prawie niedostrzegalnie głową. Wysiłek, jaki w to włożyła, zmęczył ją.

- Jeśli nie, albo jeśli nie zapamiętasz, będę ci to często powtarzał - mówił Cavanaugh. - Kiedy tylko ci się polepszy, wracamy do Wyoming. Do domu. I zostajemy tam.

Oszołomiona, próbowała mu się przyjrzeć.

- Gdybym zgodził się jechać do domu wtedy, kiedy ty chciałaś, nie byłabyś ranna. Nie wiem, jak ci to wynagrodzić, ale jakoś to zrobię.

- Prescott? - spytała z wysiłkiem.

- Znalazłem go.

W jej oczach pojawiła się troska.

- Żyje. John go aresztował - zapewnił ją Cavanaugh.

Zapadła cisza, wypełniana piskami aparatury kontrolnej.

- Chcę ci udowodnić, jak bardzo mi przykro - powiedział Cavanaugh.

- Jesteś dla mnie najważniejsza na świecie. Od tej pory nie ma rzeczy, której bym dla ciebie nie zrobił.

Jej powieki opadły.

- Na pewno za dużo mówię, nie rozumiesz jeszcze wszystkiego. Ale kiedy znów się obudzisz, będę tu i powtórzę ci to jeszcze raz. Bez przerwy będę ci to mówił. - Cavanaughowi zadrżał głos. - Aż mi wybaczysz.

Dotknął jej ręki.

Palce Jamie trąciły jego palce. Słabo, prawie niezauważalnie. Ale to wystarczyło.

- Będę tutaj - powiedział. - Zobacz, jaką mam pewną rękę. - Anti dotum działało. - Będę nad tobą czuwał.

Kiwnęła głową i rozluźniła się. Kiedy zapadła w sen, jej spuchnięte wargi ułożyły się w coś, co przypominało uśmiech.

Podziękowania

Wiele szczegółów pracy bohaterów Siły strachu do tej pory nie pojawiało się w książkach sensacyjnych. Poznałem je dzięki uprzejmości wielu osób, które dysponują doświadczeniem zdobytym w wielu niebezpiecznych misjach. Taktyczne zastosowanie taśmy klejącej, ołowianych ciężarków, irchowych szmatek i naciętych pocisków to zaledwie część tego, czego się nauczyłem. Chciałbym podziękować:

Lintonowi Jordahlowi, byłemu członkowi U.S. Marshal Service, która to formacja - wraz z Secret Service i Diplomatic Security Service - stanowi trzon ochrony rządu Stanów Zjednoczonych. Donowi Rosche 'owi i Bruce 'owi Reichelowi z Bili Scott Raceway 's Executive Security Driver Training. Wiele amerykańskich agencji rządowych, w tym Diplomatic Security Service, wysyła swoich ludzi na szkolenia do BSR. Tam uczą się defensywnych i ofensywnych technik prowadzenia samochodu. Żeby nie kusić przestępców, ominałem drobny, lecz istotny szczegół przy opisie metody zapalania silnika samochodu przez zwarcie w stacyjce.

Porucznikowi Dave 'owi Spauldingowi z wydziału szeryfa hrabstwa Montgomery w stanie Ohio. Wydział porucznika Spauldinga brał udział w ochronie rozmów pokojowych w Dayton w 1995 roku. Porucznik jest jednym z najlepszych instruktorów posługiwania się bronią palną w całych Stanach Zjednoczonych. Polecam jego Handgun Combatives / Defensive Living. Współautorem tej drugiej pozycji jest emerytowany agent CIA Ed Lovette.

Karłowi Sokolowi, rusznikarzowi. Wielu wojskowych i funkcjonariuszy policji zawdzięcza życie niezawodności modyfikowanej przez niego broni. Usprawnienia sig sauera 225, którym posługuje się główny bohater tej książki, wprowadził właśnie pan Sokol.

286

Ernestowi Emersonowi. Poza tym, że projektuje najlepsze noże bojowe, Emerson jest również doskonałym instruktorem walki wręcz; z jego cennych wskazówek korzysta zarówno policja, jak i wojsko.

Marcusowi Wynne, byłemu spadochroniarzowi z 82. Powietrznodesantowej, byłemu członkowi Federal Air Marshals i pierwszorzędnemu autorowi thrillerów. Polecam jego No Other Option / Warrior in the Shadows. Jako młody człowiek Marcus był moim studentem, kiedy wykładałem literaturę na Uniwersytecie Iowa. Wiele lat później odwdziaczył mi się, zapoznając mnie z sekretami świata tajnych agentów.

Danowi "Rockowi" Myersowi, byłemu członkowi US Special Operations, agentowi wywiadu wojskowego i byłemu oficerowi kontraktowemu Diplomatic Security Service.

W Sile strachu pojawiają się również inne nowinki. Za pomoc w ich wykorzystaniu dziękuję Jake 'owi Eagle 'owi i personelowi NLP Santa Fe, instruktorom programowania neurolingwistycznego. Wiele lat temu, kiedy dowiedziałem się, że CIA i inne służby wywiadowcze włączają do programu szkolenia, ukończyłem wstępny kurs tej techniki.

Jeśli nic nie pokręciłem, to tylko dzięki moim nauczycielom. Jeśli szczegóły się nie zgadzają, należy za to winić tylko mnie.

David Morrell Santa Fe, Nowy Meksyk

WYDAWNICTWO AMBER Sp. z o.o. 00-108 Warszawa, ul. Zielna 39, tel. 620 40 13, 620 81 62
Warszawa 2003. Wydanie I Druk: TćSinska Tiskama, a.s., Ćesky Tfšin